

Chata za wsią





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Chata za wsią

*PAŃSTWU
MICHAŁOWI I MARYI Z SZYMANOWSKICH
VON BLUMENFELDOM,
MALEŃKĄ TĘ PAMIĄTKĘ PRZESYŁA
J. I. Kraszewski.
z Hubina, dnia 20. Grudnia 1852. r.*

TOM I

I

Rzadko człowiek postawiony szczęśliwym losem na wygodniejszym nieco stanowisku, chce zwrócić oko na to, co się niżej niego dzieje; używamy, nie chcemy się uczyć, nie lubimy rozpatrywać. Często wejrzenie takie sprowadziłoby łzę, przypomniałoby ciężkie do spełnienia a konieczne obowiązki; wolimy więc wędrować dalej z głową wzniesioną ku marzeniom, lub odwróconą ku sobie, a co pod nogami mijamy. Tak idąc, ileżto przepuścimy mimo siebie prawdziwych życia tajemnic, których w żadnej nie znajdziemy książki, na żadnym obrazie, w najfantastyczniejszym nawet marzeniu!

O! szkoda zaprawdę, bo jeden tylko Bóg z góry pogląda na te tysiące ubogich żywiołów, w których jest więcej siły, piękności, energii i cnoty często, niż w cisnących się nam na oczy dramatach, którym chyba świecące ramy dają prawo do ludzkiej ciekawości, zajęcia, pamięci.

Nieraz wpatrując się w odartego żebraka, w ubogie dziecię wioski, które zostało sierotą i żyło spleśniałym chlebem jałmużny, myślałem sobie: ileby nauki dla nas wytrysnąć mogło z mikroskopowego wejrzenia na te pełne bólu, upokorzeń, nędzy i odrzucenia — życie nieznanych, nieszczęśliwych, zapartych istot, ledwie widnych na świecie...

Wiemy doskonale jak płyną godziny szczęśliwym, bogatym, znaczącym, spowitym w cieniuchne pieluchy od urodzenia i w brązowanych spoczywającym trumnach; wiemy, jak ich wodzą na paskach, jak musztrują dla przyszłości, jak chodzą, jak się kłaniają, co jedzą, jak się stroją, żenią, zwodzą, i rozwodzą, starzeją, głupieją, ziewają i umierają: a któż kiedy wypowiedział formy żywota nędzarza? Przecież przed Bogiem i w oczach badacza ludzi, te dwie egzystencje, z których jedna tak się błyszczy, druga tak kryje niepozorna, równie są wielkimi i znaczącymi. Motyl i najmizerniejszy robak zarówno są potrzebni na świecie i jedno mają prawo życia. Naturaliści równie śledzą obyczaje i instynkta drobnej muszki i ogromnego sępa; czemużby powieściopisarz nie miał też równie prawa opisywać drobnostkowo życie jednej z tych liszek, które pełzną po czarnej ziemi, zdeptane nogą niebaczną, giną niepostrzeżone i niepożalowane?

W ogromnej a dziewiczej jeszcze przestrzeni historii człowieka ileżto zakątów ciemnych, niezbadanych, opuszczonych!

Jak owi pisarze dawni, co mijając drobne twory, szli naprzód poznać się z temi, co im w oko wpadały ogromem, kształtem lub barwą; myśmy też w historii człowieka do zbytku i przesytu namalowali już obrazów uderzających, mijając wdzięczne równie, ale mniejsze, skromniejsze i nie tak łatwe do pochwylenia.

Dopiero dzisiaj postrzegać się poczynamy, żeśmy w wielki błąd popadli: że wszystkie nasze obrazy społeczności są niepełne i kulawe, że im brakuje jednej strony, i żeśmy wzięli część za całość i odjęli wszelką ważność temu, co w istocie jest może najważniejszym.

Z innego stanowiska, obrazy te pod względem sztuki przechodzą i przechodzić muszą jak sztychy wyobrażające mody paryzkie, które się wkrótce śmiesznymi stają. To, cośmy przywykli zwać społecznością wyższą, jest kosmopolitycznym amalgamem prawie wszędzie i zawsze, na którym się więcej odbija barwa uprzywilejowanych stolic mody, niżeli kraju z którego łąna powstaje. Tak niegdyś Ateny, potem Roma, dziś Paryż i Londyn, dają światu konwencyonalnemu, zwanemu wyższym, ton i koloryt. Salon najświetniejszy jest ten właśnie, który się najwięcej zbliża do cudzoziemskiego ideału. — W Londynie ideałem był Paryż, w Paryżu trochę małpują Londyn, a po całym świecie obie stolice; a nigdzie jak tylko u nas wszystko, co tylko obce. Wartoż tak upokarzającego szalu rysować wzorki i uwieczniać tak niesłychane zaparcie się siebie, poddaństwo mniemanej wyższości? — Nie wiem. To pewna, że jakkolwiek życie wyższych towarzystw wielce być może miłym, swobodnym w pewnym względzie (bo na straży wszystkim wybrykom stoi na szyldwachu konwenans), ja tego życia sznurowanego i krochmalnego nie lubię — przynajmniej malować. Musimy w niem żyć; — ha! żyjemy; musimy pod kłątą małpować zagranicznych dudków: małpujemy; ale żeby nasze kuse fraczki i kuse zfrancuziałe rozmowy zasługiwały na malowanie i studia!!... *nego! nego! nego!*

Spojrzymyż niżej! — Brudno — powiecie? Niestety, brudno istotnie; ale jak dla marlarza dziedziniec opuszczonej chaty daleko jest lepszym przedmiotem do obrazka, niżeli wywoskowany salon z kolumnami; tak i dla powieścio-pisarza, lachman daleko bardziej malowniczy od krochmalnej sukni balowej i werniksowanych bucików eleganta.

Cały ten ustęp ma jedynie na celu wytłómaczyć mnie przed czytelnikami (nie myślę się bowiem uniewinniać przed krytyką, której u nas rzemiosłem hałasować i czernić); wytłómaczyć się z przedmiotu tej powieści. Darujcie mi, że was wprowadzę między odarty tłum, do ciasnej chatki; że wam dotykać każę lachmanów i żyć godzinę w towarzystwie ludzi, co nie umieją po francuzku i nigdy się nie nauczyli grać na fortepianie! Może też na końcu tej bajki znajdziecie i do waszego życia pożyteczny sens moralny, który często mimowoli nawija się autorowi: bo autor każdy wzoruje z dzieła bożego, a w bożych twórcach sens moralny jest w najdrobniejszym kamyczku. Chodzi tylko o to, żeby kamyczek przemówił a człowiek zrozumiał.

II

Byłoby sobie... — wioska (niestety! niestety! znowu na pograniczu Wołynia i Podola) trochę jeszcze wołyńska, już nieco podolska; leżała w dole, co na jakiś jar zakrawała. Po nad nią na równinie szerokiej, ciągnęły się złociste łany zbóż niewielkimi czarnymi przecięte laskami; środkiem siola biegła ledwie dojrzana rzeczulka, w dość duży staw zebrana. Chaty poprzyczepiane do ścian wzgórza, w zielonych drzew wiązkach białeły wesoło, spoglądając z wysoka ku stawowi, który je w czystych wodach odbijał.

Cicho, zielono, spokojnie, dobrze jakoś było w tym rozdole, który w czasie potopu umyślnie wyżłobić musiały wody, kierowane ręką, co wiedziała, że tu kiedyś ludzie osiedą. I drzewom i chatom i ludowi było tam jak u Pana Boga za piecem; kawałek nieba zawsze jasny prawie świecił nad niemi, rzadko małeńki orzeźwiający wiaterek przeniosły tędy opiekuńcze duchy, a burze zawsze szły sobie gdzieś bokiem na lasy i bory.

To też osada rozkrzewiając się coraz dalej a dalej, posuwała się jarem nad rzeczką, i coraz to nowa chata biała zaświeciła w krzakach leszczyny i tarna, zarastających boki rozdołu. Na wysokiej płaszczyźnie wzgórza, jeden tylko cmentarz za wioską wyniesiony, po nad nią krzyżami górował; to też bardzo był smutny, i nie wiem jak ci ludzie do tak różnych chatek śmiejących się przywykli, mogli spać potem na tak opuszczonym rozłogu. Musiało tam dużo wstawać upiórów wygnańców i po nocy powracać do zacisznych siedzib swoich.

Cmentarz ten, byłoby jedyna część osady zupełnie brzydka, jeśli go jój częścią nazwać można. W istocie łączył się on z nią prawie; chaty czepiając się góry, wychodziły aż ku niemu, rozsypane po nad drogą; na wierzchołku góry były wrota na łan, i aż do nich przypierał cmentarz. Nie wiem, czyście kiedy przypatrzyli się wiejskiemu cmentarzykowi w okolicy żyznój, gdzie każda piędź ziemi droga? Jakto tam skąpo wymierzono gruntu umarłym, jak im tam ciasno i duszno! Sąsiedzi w strachu, żeby się cmentarz w ich grunta nie worał, opasali go wałem i rowem; ale nikt nie pomyślał posadzić drzewka, coby szumiało i płakało nad mogiłami. Tylko badyle ostów i zielska co się wszędzie uczeplą, obrosły i stare groby i przeszłoroczne nawet mogiły; tylko trochę pokrzyw i dziewanny w żółte strojnój dzwonki, gdziegdzie zielenieją na tyłą leż użyznionej roli.

Ale za to co za las krzyżów i krzyżyków! Nie każdego stało na mocny dębowy, na wielki i malowany; ubożsi wystrugali go sobie z kijów, wypilowali z kruchój tarcicy i zatkanęli krzywo niedbale, na niedługo: pierwsza burza je wywróci, kilka lat w próchno zamienią. Tam żółci się jeszcze świeżuchny grób, na którym nie miała czasu trawa się zasiać i uśmiechnąć zielenią: owdzie zamiast pagórka, dół już wklęsły tylko. Takto i z żalem, jak z mogiłami bywa: gdzie rósł do góry, wkrótce próżnią tylko po sobie zostawia... Na wale, na rowie, jedno wejście, jedna bramka ciasna, ale nią wchodzi umarły i jeszcze mu za szeroka; nad nią krzyżyk, a wrotka dawno służą za mostek, bo dyle jego rozpadły się i zgniły, leżąc w rowie głęboko.

Jeśli we wsi zacisznej wiatru i burzy nie słyhać, za to nieboszczyków na tej górze żaden wicher nie minie, żeby nie odwiedził; dużo on tu już krzyżów podruzgotał! Miarkujcie jak to tu smutno, jak ciężko być musi umarłym, a cóż dopiero żywemu!!

Bo tuż, przez drożynę tylko, o sześć kroków od wrot, nie widzicie? stoi chatka przyparta jedną ścianą do góry obrywu, drugą obrócona na cmentarzysko.

Chatka! oj złe nazwanie — lepianka chyba; i to jeszcze zawiele może — szałas, ale i nie szałas jeszcze, stoi to coś co się nazwać nie może, a jednak to nie jama zwierzęcia, to widocznie pomieszkanie człowieka. Trudno jest sobie coś nędzniejszego wystawić. Naprzód, że to w bezlesiu, zbudowano ją z kawałków drzewa pozbieranych gdzieś po drodze, może przyniesionych z wiatrem lub burzą, bo większe i lepsze polana nosi dobry wicher, gdy się rozhula. Ale czego to nie dokażą we dwoje; — człowiek z nędzą? Za dwie ściany służyła góra wilgotna, którą deszcze wygładziły; dwie drugie ulepione jak gniazdo jaskółcze. W istocie, znajdziesz w nich to, co w gniazdku tej przemyślniej ptaszyny; drzewko, słomę, glinę, błoto, zbite razem i misternie zlane w całość, która się trzyma i stoi. Zamiast dachu, narzucono kółków z płotu i krzywych gałęzi leśnych, i słomy jeszcze, i nie wiem tam czego, a pokryto darniną! resztę Bóg dokończył; zasiawszy na tej płaszczynie bujne bylice, pokrzywy, dziewanny, trawy i zioła liściowe, które związały kruche pokrycie lepianki. Szumi tam na dachu cały łań chwastów tak dorodnych, tak bujnych, jakby, na mogile! Z pośrodku nich wypleciony z chrustu, olepiony gliną, wystąpił dymnik, kawałkiem stariej maty przyrzucony i udaje komin, z wielkim talentem komedyant!!

Nie nudźcie się, nie nudźcie kochani czytelnicy to coś ciekawszego doprawdy od opisu pałacu w stylu odrodzenia, lub willi gotyckiej. Idziemy dalej.

Ściany żeby się nie obaliły, bo jednakże całkiem im nie wypadalo dowierzać (cóż na świecie nie zdradza, kołki nawet!), ściany obwiodł przemyślny budownik przyzbą, która je trzyma i nie puszcza; górą już się chyła, dołem ani sposobu: dwa czy trzy drągi krzywe, zamiast szkarpów służą. W tych dwóch ścianach minęliśmy drzwi i okna, niemniej przecie od reszty opisania warte. Okna? nie wiem czy tak nazwać można te dwa otworki nieregularne gliną oblepione, w które wstawiono bez ram, kilka brudnego szkła kawałków. Już ciżto okna, bo choć nie puszczaają powietrza a światła dają niewiele, ale oszukują przechodzących, zaręczając, że w chacie widno być musi.

Ze drzwi trudniej się było budowniczemu wykręcić ale wielki to budowniczy nędza: tworzy z niczego, żaden Palladio tego nie potrafi. Cud to prawdziwy te drzwiczki, tylko im się pilno przypatrzcie. Sięgają aż pod sam dach zbyt niski i mówić się zdają: niech się wchodzący nie schyla; a i one razem z kominem i oknami grają komedią, bo przyszedłszy bliżej, masz ich właśnie po pas! Ale i na takie drzwiczki niemało potrzeba było pracować, niemało. W bezleśnym kraju któżby to tak deskę porzucił, żeby ją można wziąć, nie powiedziawszy nawet: Bóg zapłać. A ten, co lepiankę stawił, widocznie musiał po zapłatę odsyłać do Boga. Oddałbym te drzwi do muzeum, gdyby ci, co szanują starożytne naczynia potłuczone na kawałki, umieli przeczytać z rozbitych drzwiczek, ile westchnień zламаło pierś co je lepiła. Patrzcie, ile tu sztuczek spojonych misternie, ile klinów, wstawek, kawałków, dziur kółkami pozabijanych, drążków pozamienianych na deszczułki tępą siekierą i słabą ręką. Co tu się zeszło rodzajów drzew zdziwionych, że im przyszło jedną pełnić służbę; sośnina, dębina, osika, brzoza i harda nawet grabina, co tylko młynarzom służyć zwykła, musiała dostarczyć kółków. Było tu pracy, było; ale to dawno, bo deszcz i powietrze jedną szatą szarą pokryły tych wszystkich przybyszów, których nierówność stanów ledwie teraz rozpoznać można.

Wystawcież sobie taką chatkę, takie schronienie bez nazwiska, przylepione do góry, naprost cmentarza, na łysym wzgórkcu, od wsi o staję; a spytacie pewnie, któż tam mógł budować się i mieszkać?

Ten, co zwykle mieszka w lepiankach — ubogi; istota często winna sobie swą nędzę, często niewinna przed Bogiem, choć przez ludzi wyklęta; biędne stworzenie, które spieszy się umrzeć, żeby odpocząć, bo mu żyć nie ma po co.

Móglże być stosowniejszy widok dla nędzarza, nad miejsce wiekiustego spoczynku?

Wioska, którąśmy widzieli, zwała się Stawisko. Dalej, dalej w jarze, ku górze już nieco, w kłębach zieloności, u rzeczki zakrętu, miała dwór bielejący zdaleka; śliczny dwór, nowiućki, czyściuchny, a tak posadzony zręcznie, że z niego widać było co tu najpiękniejszego dał Bóg: wodę, góry, chatki, cerkiewkę, kościółek i lasy w dali. Cmentarza ztamtąd ani słycho, ale też po co tam cmentarz?

Kto mieszkał we dworze, dowiemy się później: teraz się zwrócimy do chatki.

Przed laty kilkudziesięciu, nim jeszcze ten wspaniały dwór stanął i angielskie ogrody zajęły miejsce warzywnych, do Stawiska przywlokła się raz gromada cyganów, której, jak zwykle, naczelnik zajmował się kowalstwem, krewni byli pomocnikami, a rodzina wróżyła i kradła. Że już naówczas coraz rzadszemi stawały się pielgrzymki tych zagadkowych włóczęgów, których pochodzenie i język dotąd nieprzebitą pokryte są tajemnicą; cała swobodna część ludności powybiegała przyglądać się przybyszom, co po secinach lat wygnania, jeszcze nosili wypiętnowany na czołach ślad pochodzenia swego, kędyś z ogorzałego Wschodu czy Południa.

W istocie; w twarzach i stroju tych przybłądów było coś tak nienaszego, tak obcego, że obojętny nawet wieśniak zwrócić musiał oczy na tych ludzi innego świata i innego życia, nie umiejąc pojąć ani ich wygnania, ani dobrowolnej koczującej doli.

Wszystkie baby, nawet te, które miesiły chleb, z zakasanemi po łokcie rękawami powybiegały przed sień, wiodąc ciekawe a przestraszone dzieci za ręce i trzymając je silnie, w obawie, żeby ich cyganie nie porwali; wszyscy starzy wystąpili aż na drogę, a powracający z pola, było bowiem wieczór letni, zatrzymywali się z pługami wśród ulicy. Banda tych cyganów składała się z kilkunastu głów i szła powolnym krokiem aż pod karczmę; najdorodniejszy, słusznego wzrostu mężczyzna prowadził wóz, na którym widać było mały, połatany mieszek kowalski, złożony namiot, przenośne kowadełko i inne żelaztwa i manatki. Wśród tych rupieci siedziała średniego wieku kobieta, niewygodnie skurczona, z dziecięciami u piersi.

Istna to była czarownica: czarny włos spadał do koła jęj ogorzałej twarzy o oczach błyszczących, i koralowych szerokich ustach; fałdzista wielka chusta osłaniała ją całą. Na kolanach leżało dziecko nagie zupełnie i ustami przyczepione do macierzyńskiej piersi.

Wzrok tej kobiety, na której twarzy widać było znużenie, boleść i smutek, nie odwracał się od dziecka ani na chwilę; zdawała się coś roić o niém, a na resztę świata nie chciała spojrzeć nawet. Mężczyzna, który silną dłonią wiodł za sobą wóz ich podróży, był nadzwyczaj barczysty, ogromnego wzrostu i srogiej a chmurnej fizyognomii. Czarny, z piersią obnażoną i kudłami porośłą kruczemi, okryty ledwie koszulą dziurawą, zasmoloną i zdartymi spodniami, szedł boso, z odsłoniętą głową, której tylko włos kędzierzawy bronił od słońca i wiatru; ale mimo łachmanów szedł tak dumnym krokiem, z tak poważnym wejrzaniem, żeś zaraz w nim poznał wodza gromady, *Romów* (tak się zowią często cyganie).

Koło niego, po za nim, wlokła się reszta rodziny: troje dzieci nagich, różnego wzrostu, od dwunastu do ośmiu lat mieć mogących; chłopak dwudziestokilkoletni, dziewczyna smukła, pięknej kibici, może ośmnastoletnia, trochę wykwintniej ubrana i oryginalnie ładna; zgrzybiała baba, podstarzały o kiju z kędzierzawym łbem, popychający wóz krępy a niski człowiek, i dwie czy trzy jeszcze kobiety, obwieszone kołdrami pasistemi, wlokącemi się po ziemi.

Wszystko to szło cicho, jakby czekając rozkazu wodza i poglądając niekiedy na niego; wóz zatrzymał się pod karczmą, starszy podniósł głowę i obejrzał się dokoła.

Właśnie na próg gospody wyszło kilku gospodarzy i przodkujący im wójt w wysokiej czapie baranięj; patrzyli oni i milczeli, czekając z czém téż się odezwą podróżni. Cygan tylko okiem ich porachował, i instynktowo, czy po nowęj czapce może, domyślił się pana wójta, podszedł krok ku niemu skłonił się nieco:

— Bóg z wami, panie gospodarzu — odezwał się łamanym językiem z ruska, głosem silnym i pełnym szczególnego jakiegoś dźwięku, jakby po za tą mową pożyczaną, inna obca, druga się ukrywała. — Pewnie wy tu jesteście starszym?

— A jakby tak, to cóż? — spytał dosyć się szanując i z wysoka Maxym Lach.

— A jakby tak, — odparł cygan, powoli pot ocierając z czoła resztą podartego rękawa — tobym was prosił, żebyście mi pozwolili przenocować we wsi.

— Ba! ba! a jutroby jakiego konia niestało! — rzekł śmiało wójt, biorąc się w boki.

— Nie macie się co o to obawiać — z westchnieniem i półśmiechem odpowiedział cygan. — Wy koni nie macie podobno, a my nie z tych cyganów, co na cudze patrzą; swojemi rękoma na chleb pracujemy. *Ciurachanów* (złodziei) między nami nie ma.

— Ale zkądże u diaska wiedzieć już możecie, że ja nie mam koni? — z zadziwieniem zakrzyknął Maxym Lach, który aż podskoczył.

— Cygan wszystko wie, dobrodzieju! obojętnie mruknął dowódzca bandy.

— Toć i lichy — czerwieniąc się, a na swoich oglądając, ciągnął dalej niespokojny pan wójt; — gdyby wam to nie było potrzebne na złe, żeby wiedzieć wszystko, tobyście się nie starali o te wiadomości. Patrzajcie go, jeno do wsi wjechał, już wie, że u mnie koni nie ma. To znachor!

— Jakito znachor? — rzekł powoli ruszając ramionami cygan. — Ot zaraz wam opowiem z kąd co wzięłem, a dziwić się przestaniecie, żem tak mądry. Od tygodnia już siedzieliśmy w Piątkówce, o półtoręj mili ztąd; chwała Bogu ludzie się tam na Aprasza nie poskarżą: dużo się roboty przez nasze ręce przewaliło. Jakaśmy wychodzili, powiedzieli mi drogę do Stawiska i zalecili do was, panie wójcie; a stary Muryniec dodał: tylko jemu koni nie podkujecie, bo ich nie ma. Otóż cały sekret!

Gdy się ta rozmowa toczy, cyganów reszta znużona drogą, jak stała, rozłożyła się na ziemi. Starsi pospuszczali głowy, młodszy je podnieśli, przypatrując się wiosce, a dziewczęcę cygańskie stanęło obok dowódcy w postawie wdzięcznej i zdawało się chcieć czarnemi oczyma zmiękczyć ostro dosyć i nieufnie poglądających wieśniaków.

— No, no! jak ono tam jest, to jest, — zawołał Maxym Lach — a wy sobie ruszajcie z Bogiem dalej.

— Ale no, tylko przenocować pozwolenia prosim.

— Jeszcze słonko nie zaszło, dobijecie się do innej wsi; u nas tu cyganów nie bywało i bez nich się obejdzie.

Starszy westchnął, zamilkł chwilę, spartł się na biczysku, podumał, a powolnie głowę podniósł. Podstąpiła dziewczyna.

— A cóżto wam złego mogą zrobić cyganie? — odezwała się śmiało, wyraźnie i czysto po rusińsku. — Was tu tyle, a nas małeńka kupka: wstydalibyście się obawiać nie wiedzieć czego. W Piątkówce cały tydzień siedzieliśmy i chwała Bogu nie uciekliśmy z niej, ale nas ludzie pożegnali dobrém słowem i prosili z powrotem.

— Cicho Azaoro, cicho! — tupiąc nogą przerwał cygan — co się tobie w to wdawać? Za wóz mała! a do bab! Nie wypędzajcie nas, panie wójcie, a rozmyślcie się; teraz pora robocza, kowal o dwie mile, ciężko wam niejednemu dzień utracić dla naprawy lemiesza lub naralnika: pozwólcie nam przystać, a i my kawałek chleba mieć będziemy, i wy z nas wygodę! Za co u was drugi weźmie złoty albo dwa, ubogi cygan robi za dziesiątkę lub półzłotka, i dzień jeszcze zyszczecie, a to także grosz znaczy. Powietrza wam, ani ziemi, ani wody nie weźmiemy z sobą, a miejsca dużo nie potrzebujemy także. Ot — dodał wskazując — kawałek wygonu, aby namiot rozbić i kociołek powiesić, to dla nas dosyć...

Gdy cygan słów tych domawiał, gospodarze poczynali kiwając głowami spoglądać po sobie; znać było po nich, że się łakomili na kowala. Sam pan wójt poskrobał się w głowę, kilka razy czapki poprawił i obejrzał się w milczeniu na swoich, jakby rady szukał.

Aprasz uczuł, że przy nim wygrana i nieznaczne półuśmiechu prześliznęło mu się po ustach spalonych. Spiesznie począł mówić dalej, bijąc żelazo póki było gorące... i mówił tak skutecznie, tak zręcznie i trafnie, że wkrótce pomimo wstrętu, jaki wójt miał do cyganów, zaprowadzono ich na odłóg nad stawem, i tam namiocik rozbić dozwolono.

Cyganom tego tylko było potrzeba: kawałka ziemi do wbicia czterech kołków przenośnego ich domku, miejsca na ognisko i nadziei jakiegokolwiek zarobku. Pierwszego dnia nawet nie rozsypali się po wsi jak to zwykle bywa, kobiety nie włożyły się po wsiach, Aprasz nic nie pożyczał; ustawiono kuźnię, przyprawiono miech, wbito kowadło i już nad wieczór podkuto konia jednemu chłopowi z wielką jego radością, za bardzo tanią cenę, w której wypłatę wchodził chleb zczerstwiający, obrok dla konia i chuda kura oddawna niepotrzebnie gdacząca.

Nazajutrz już robota płynęła do kuźni cygana; a gdyby się był chciał trzeciego dnia oddalić i namiot swój zwinąć, myślę, że by go byli chłopci siłą, mocą wstrzymali: tak wiele jeszcze pozostawało do zrobienia, taki ścisk był na wygonie. Prawda, że też *Rom* (cygan) niesłychanie był zręczny: konie przedziwnie kuł, kurował i sprawiał, chętnie się wdawał w rozhowor, nie szczędził rady, a tak wiedział co do kogo przemówić! Na wsi też, jak wszędzie na świecie, temu najlepiej, kto się w porę z sobą popisać umie, i pracą swoją pochwalić i zalety jej pokazać, a Aprasz celował w umiejętném pochwaleniu się najmniejszą drobnostką.

— Patrzajno — mówił do milczącego i już zawczasu admirującego chłopka — przy-
patrzno się; co to za podkowa? Widziałeś ty kiedy w życiu taką? Ot, jaki u twój szkapy
róg kruchy i zadzierliwy, a jak ona się tu gładko przylepiła, jakby przyrosła. Popatrzajno!
gdyby rękawiczka! I nie zakuty koń nie zakuleje, nie bój się, bo ja nie zagwoźdżę! nie!
A w drodze na najsroźszej grudzie nie obleci drugiego dnia, jak po waszych kowalach!
Podziękujecie i będziecie Aprasza wspominali!

Słowem, wszyscy kowale okoliczni, którzy zwykli byli robić do Stawiska, stracili naraz
zajęcie: cygan wszystkich ku sobie pociągnął. W tydzień wierzono, że nikt na świecie nie
władza tak obcęgami i młotem, jak ten cudowny Aprasz; stęskano zawczasu myśląc, co to
będzie, gdy go nie stanie.

Trzeba też przyznać, że postępowanie całej bandy wiele się przyczyniło do tak ochoc-
zego przyjęcia cyganów; nie widziano dotąd nic podobnego: szpilka nie zginęła na wsi,
kobięty siedziały przy wozach dni całe, ani ich było słyhać. Baby same już po leki i po
wróżby przywlekały się do nich, ale niełatwo było wymódcz oboje; cyganki były smutne,
dzikie, ostrożne...

Po tygodniu cygan spiesząc dalej, chciał zwiijać namiot i wóz pakować; ale gdzie zaś!
tyle jeszcze złamanych było lemieszów i koni bosych, tyle dla niego zajęcia! Sam wójt go
przytrzymał.

Siedzieli Cyganie i siedzieli w Stawisku; a wkrótce tak się dobrze osiedlili, że Aprasz
jamę wykopać kazał, darnią ją pokrył i pod namiotem znalazła się niespodzianie ziemlan-
ka. Nikt przeciwko temu nie miał ani słowa, i owszem, cieszone się z kowala własnego,
pozbywszy pożyczanych; a z innych wsi nawet szli do Stawisk z naralnikami i siekierami.

Rodzina tych przybyszów składała się, jakeśmy wspomnieli, z samego wodza bandy,
z owęj kobiety z dziecięciem, która się zwała jego żoną, trojga wyrostków, dwudziesto-
letniego chłopaka, kilkunastoletniej dziewczyny oryginalnie pięknego stworzenia, które
miało instynktowe uczucie swego wdzięku, staręj baby, posługacza co przypominał Ku-
libana poczwarnością, i trzech kobiet nieznanym jakimś węzłem łączących się z rodziną.

Lecz byli to rodzina? Kto tu ojcem, matką, siostrą, bratem, żoną, mężem? — nie
można była z pewnością powiedzieć; zwali się wszyscy dziwnymi imionami, tylko władza
jednego despotycznie rządziła niemi. Dwoje starych nie mieli tu powagi swojemu wie-
kowi właściwej; traktowano ich jak posługaczy, jak dzieci, oni słuchali pokornie. Zresztą
nie był to pospolity motloch cygański, ale coś niby szlachetniejszego grało na ich osma-
lonych czołach, w oczach czarnych, na mlęcznych białkach osadzonych, biła z ich wejrzeń
tęsknota wygnañców, znużenie osieroconych, piętno wyroku dzieci Kaimowych.

Całymi dniami owa niewiasta, żona Aprasza, siedziała z dzieckiem, którego nie spuszcza-
ła z kolan, pod rogiem namiotu, milcząca jak posąg, nieruchoma, z oczyma wlepio-
nemi ślepo w drugi róg namiotu; i nie rzekła słowa, nie ruszyła się do jada, nie zajęła
niczem. Czasem mąż zagadał do nięj, ale mu nie odpowiedziała; przybiegły do nięj na-
gie dzieciaki, nie spojrzęła na nie; tylko gdy niemowlę zapłakało przycisnęła je silniej
do suchęj piersi i dwie prostopadłe marszczki przecinały chmurne jęj czoło. Stara baba
posługiwała jęj w podobnym milczeniu, a krępy Kaliban (zwany po cygańsku Cynonem
niskim) uwijał się przy kuźni. Trzy kobiety warzyły jedzenie, pilnowały dzieci; młody
chłopak z Apraszem stał za kowadłem i pomagał majstrowi, w milczeniu więcj robiąc
od niego.

Ostatni, pomimo że w rysach jego twarzy, w oczach i ustach przebijała się krew cy-
gańska, wiele się różnił od swojej braci Romów, jak gdyby obcego plemienia pierwiastek;
myśli i żądze grały mu w piersi. Włos jego nie miał kručzej czarności i kędzierzawości
Aprasza, i spadał w prostych strugach na szerokie ramiona; twarz także była bielsza, oko
inaczej wycięte i osadzone, wargi mniejsze i szczuplejsze. Ogół twarzy podłużny, miał coś
w sobie typu Rusinów, ale zmieszanego z krwią tulańczy.

Chłopak ten choć posłuszny rozkazom wodza, choć pracujący z nim razem, nie był
mu jednak tak uległy jak inni; często na słowo ostre odpowiadał niemniej żywo, mierzył
się wejrzeniem z Apraszem. Starszy w drzącęj dłoni młot nieraz podnosił do góry, jakby
go chciał uderzyć i zęby ścinał i brwi nań marszczył, jak iskry sypały się im słowa;... ale po

chwili zwada uchodziła, i znowu głucho i przerywane tylko biciem młotów następowało milczenie.

Po dniu pracy, młody cygan nie spoczywał ze swemi towarzyszami pod namiotem, rzadko sięgał do kociołka ich strawy; z suchym chleba kawałkiem biegł na wzgórze, siadał zadumany, i tam go oblanego rosą wieczorną noc chwytała, sen zaskoczył.

Uparte żony milczenie, częste z czeladnikiem spory, nie uszły oka chłopków, którzy na tę tajemnicę rodzinną dziwacznie spoglądali zaciekawieni i niespokojni. Nawet dla nich, co nie nawykli nic badać i śledzić, czuć było jakiś dramat pełen krwawych tajemnic w węzle, co łączył tych dziwnych włóczęgów. Ta matka, co się zdawała żyć tylko dla dziecka; ten pomocnik, który dawał pracę swoją, a nie chciał oddać naczelnikowi duszy i siebie; ci starzy wreszcie, jak bydłeta spełniający najcięższe posługi, i ta dziewczyna piękna, wdzięczna, zalotna, zdająca się wszystkim, a nawet wodzowi panować: — budzili ciekawość i roje domysłów.

Z gromady całej, najdobitniej cyganami byli Aprasz i Aza. Ta mogła mieć lat ośmnaście, i prócz wdzięku świeżej młodości, miała tę piękność nie naszą, dziką, osobliwą, brązową, ognistą, której próbki widzimy w indyjskich posążkach, w indyjskich malowaniach, zdobiących stare ich poemata. Oczy jój czarne siały ogień, i zdawały się więzić wzrokiem niepokonanym, przed którym każda najśmielsza zniżać się powieka; nos kształtnie zgięty, usta nieco wydatne, policzki jednostajnej barwy ciemnozłocistej, okalały sploty włosów hebanowych, tak obfite, tak ogromne, że niemi i głowa opasaną była i szyja otoczona, a reszty jeszcze splecione, przez ramiona na barki spadały...

Na jój czole, w oczach, ustach, i całej postawie, szatan czy anioł w kolebce napisał: ty będziesz panować! I szła za swém przeznaczeniem śmiało, pewna jutra; a było coś zadziwiającego w tej nędzy i łachmanach, okrytych purpurowym płaszczem uczucia swęj potęgi.

Kibić jój, bo i kibić ma potęgę swoją, wdziękiem przechodziła twarz jeszcze; czuleś pod obcisłemi łachmany, które ją okrywały, że to ciało wykute było ze spiżu, na wzór jakiś pierwotnych wieków, co się o ideał postaci ludzkiej otarły. Boska jój nóżka, czarna jój ale mała ręka, godne były deptać złociste wezgiłowia i obwijać się drogiemi tkaninami Wschodu. Na tej piersi lada płócienna zasłona zmieniała się w szatę bogatą, i posłuszna fałdowała się jak najcieńszy rąbek.

A jednak piękność ta nie była powszednią: nie każdyby ją był spostrzegł, rzadki się nią zachwycił; potrzeba było uczucia nieśmiertelnych typów piękna, żeby w niej ukryte cudo odgadnąć.

Śmiejcie się jeśli chcecie: gmin ją miał za dosyć brzydką młodą cygankę, a poeta biegłby za nią jak za cudnym zjawiskiem.

O! umiał się, umiała stroić zalotnica! Białego płótna kawał, pstry rańtuch, pas czerwony, sznur koralu, garść pstrych kwiatów polnych, świecące szkiełka: — wszystko jój było strojem i wszystko do twarzy. Stawała nad wodą, myślała trochę i obwieszała się coraz inaczej od stóp do głów w ubogie swoje świecidła; często godzinę tak wdzięczyła się sobie sama, lecz gdy wróciła potem pod szary zakopcony namiot, jaśniała w nim sama jedna odnowioną urodą, tak, że Aprasz nieraz podniósł głowę od roboty, ażeby się jój przypatrzeć, a spojrzawszy smętnie się uśmiechał czegoś.

Jeden chłopak, dziki ów cygan, coto z wodzem nieraz się śmiał spierać, ani patrzył na piękną towarzyszkę swoją; zdawało się to w nim raczej silnym postanowieniem, niżeli dobrą wolą.

Oparta o namiot, w cieniu, błyszcząc tylko czarnemi ognistemi oczyma, Aza śpiewała, lub słowy jak strzałami zatrutymi drażniła i jątrzyła milczącego. Ale te słowa były jak liście, co padną na wodę: woda się zmarszczy, liść płynie, i znowu niebo się w niej przegląda. Tumry, tak zwano chłopaka, nie słuchał, nie patrzył, nie odpowiadał; czasem się nachmurzył, niekiedy do siebie uśmiechnął i kuł żelazo jak nieżywy młot, jak posłuszne narzędzie, spoglądając, rychło zajdzie słońce i ogień pod hornem zagaśnie, żeby uciec na góry samemu i z sobą odpocząć.

Aprasz i dziewczyna, czasem dzień cały dogryzali mu ostrzonemi widocznie wymówkami, szyderstwem, śmiechem lub łajaniem; on cierpiał, oburzył się czasem na starego,

bryztał słowem na dziewczynę, lub częściej zmilczał, dobił końca dnia i uciekał. Innego dnia znowu i stary i Aza chcieli go ku sobie pociągnąć piosnką, miodowém słówkiem, długą nauką, lub słodkimi obietnicami: Tumry milczał uporczywie i udawał głuchego.

Wszystko to i wiele innych scen dramatu widzieli nieraz wieśniacy, czekając na swe lemieszce i radła, i pojąć nie umieli, co się tam działo pod tym namiotem wędrownego Tubal — Kaina. Rozmowy przybyszów gorące, żywe, szybkie, odbywały się wszystkie w tym języku niezbadanym, którego nikt dotąd dobrze nie zrozumiał, nikt się nie wyuczył: bo język ten zmienia się umyślnie, jak wąż barwiąc coraz inaczej, i jak wąż sunąc pod trawy i liście od ludzi. Któż tam wie, ile krajów, wieków, ludzi i pamiątek stworzyło tę mowę splecioną ze dźwięków najdziwniejszych. Może w niej brzmią jeszcze wyrazy robotników, co wołali z wierzchołka wieży Babel, może dźwięczy zaklęcie kapłanów Brahmy lub Ozyrysa; może!... ale któż to odgadnie!

Był jednak we wsi Stawisku ktoś jeden, co język Romów umiał, cygan, który za przybyciem swój braci zamknął się w chacie, by ich nie widzieć; ale palony niepokonaną żądzą usłyszenia choć z daleka dźwięków mowy, którą jak sen dzieciństwa pamiętał, nocą się podkraślał tajemnie pod szatnię i godziny całe leżąc na ziemi, pił głos rodzinnego języka, co mu się odzywał to w piosence Azy, to w narzekaniach kobiet, to w rozkazach Aprasza.

Stary Lepiuk w istocie był pochodzenia cygańskiego, ale w nim tylko jego pamięć pozostała, bo się długim życiem przetworzył zupełnie i rzadko kto w twarzy nawet mógł wyczytać ród jego. Ludzie mówili, że dawnymi czasy znaleziono któręś ciężkiej zimy, na drodze między Stawiskiem a Rudnią pod kupą nawianego śniegu, dwoje zmarzłych ludzi: było nagi cygan i cyganka. Oboje napadnięci w drodze mrozem i zawieją, czując widać zgon swój, ratowali już tylko dziecię, które mieli z sobą; sen śmiertelny ich zmorzył nad drogą skulonych przy kilkoletniem dziecięciu, które ocalało zasłonięte skostniałemi trupami rodziców. Jakiś litościwy gospodarz okrywszy kożuchem dziecinę, zawiózł ją do wsi, odchuchał, a zmarzłych cyganów pochowano na rozdrożu bez krzyża, i mogiła ich dotąd zasypywana kamieniem i gałęzmi, zowie się: cygan — cyganicha. Lepiuk właśnie był owym znajdującym; wychował się w Stawisku, wyrosł na parobka, przejął obyczaj wiejski, mowę, postawę i twarz nawet; zdawało się, że zabył swoich na wieki. Gospodarz, co go uratował, dał mu krewniczkę za żonę; objął z nią chatę, odziedziczył nazwisko, dochował się dzieci, i wzył się w wioskę jak w swoją.

A jednak, o wspomnień siło! krwi potęgo! cuda nieodgadnione! węzły niestargane! ile razy staremu już Lepiukowi przyszło przechodzić koło mogiły na rozstaju, stał tam długo i myślał i wdychał; a kiedy do wsi przybliżali się cyganie, Lepiuk głowę stracił. Uczuł, że mu się w niej mąciło, że stare, zastygłe serce przejechało wzdłuż i wszérz całą pierś, jakby z niej chciało wyskoczyć i rzucił się do drzwi, zaryglował je sam przed sobą; w nocy nie spał, we dnie chorował. Potem jął od braci cyganów uciekać, bojąc się ich spotkać, lękając się, by na jego czole nie wyczytali odstępstwa; a nocami wykradał się jak złodziej pod szatnię Aprasza, i stary płakał nad pieśnią, której z początku nie rozumiał.

Język ten jego dzieciństwa był w nim jakby uspiiony a nie zapomniany; spał on gdzieś w sercu, czy w głowie, a gdy go iskra uczucia dotknęła, przebudził się i powstał. Zrazu Lepiuk nic nie rozumiał prawie; było tylko szum jakiś, szemranie jakieś, jak gdy gwarny tłum jedzie śpiewając pieśń: chwytasz ją już, a jeszcze zrozumieć nie możesz. Potem po jednym, któż wie jaki wyraz spał głębiej, leżał ciężej przykryty, z kolei wstawać zaczęły słowa, ożywiać się, poruszać, ukazały się jaśniejsze, jedno drugie wiodło za rękę, aż wszystkie do jednego podniosły się, i zaśpiewały starcowi uroczą pieśń młodości.

A stary płakał rzewnymi łzami i wstydział się swych oczu i krył z niemi, a boleść i wstyd kamieniem go gniotły; kochał przeszłość, a bał się do niej powrócić.

On jeden słyszał wśród nocy dziwne rozmowy włóczędzów; widywał wybiegającego z szatry Tumry, wyglądającą za nim Azę, klnącego Aprasza i czarne oczy jego żony, nieruchomie wlepione w dziecię, którym żyła.

Nieraz, gdy starzy i posługacze usnęli pod wozem na darni, pod namiotem płonął jeszcze ogień i słycać w nim było długo szmer słów, jak iskry z rozżarzonego przyskające węgla.

— Słuchaj Azaoro, to daremnie — mówił raz Aprasz do dziewczyny, która wyciągnąwszy rękę, groziła nią po za namiot ku siedzącemu zdała na urwisku gliniastém Tumry. — Trzeba zapomnieć o tym zdrajcy, to krew nie nasza: to krew *Gadziów* (niecyganów), to dziecko mojego brata, ale nie siostry mojej, matka jego była jasno-włosą *Gdzią* (chrześcianką). Daremnie, byle krwi ich kropla zmieszała się tylko z naszą, zwycięza i bierze górę.

Wielki duch, *Mroden-oro* (Bóg) skazał nas na wszelakie zniszczenie, ile razy połączym się z innym rodem; krew obca zathumi krew *Romów*. Zostawmy go losowi, który go czeka, niech idzie na złamanie karku, gdy mi odsłuży co winien za naukę.

— A! byleście go odepchnęli, to pójdzie! — odpowiedziała dziewczyna. — Ptaka ziarnem wabią, nie strzałą...

— Małożem go wabił i głaskał? ty i ja?

— Ja może, ale ty niebardzo; zawsze w nim nienawidziłeś obcego.

— Mamże kochać obcych? — szydersko uśmiechając się odparł Aprasz — dla nas za niemi ani na ziemi kąta, ani kropli wody, ani cienia, ani spoczynku. Powitaż nas kto słowem pocziwém, pożegna dobrém życzeniem, powie nam kto, bracie? Wyklęci, musimy przeklinać!

— A cóż temu winien Tumry, że się urodził z jasno-włosąj matki?

— Winien, nie winien, każdy pokutuje za grzechy cudze; za nasze męczyć się będą wnuki, my za pradziadowskie jęczym... — I kłął nieznanym szatanem. — Słuchaj Aza — dodał — dosyć tych wabiń i przyciągań; on myśli, że się bez niego obejść nie potrafimy i w dumę się wzbija. Znajdziesz innego męża, niech go tam *Bynk* porwie (diabeł).

Cyganka uśmiechnęła się, i dwa rzędy białych zębów błysnęły z pod warg rumianych; ale w oku jej nie było uśmiechu... zadrżały jej usta odpowiedzią i zamknęły się milczeniem. W czasie tej rozmowy, cygan po kilkakroć rzucił okiem na kobietę z dzieckiem, zbliżył się do dziewczyny i szepnął znowu wezwawszy *Bynka*.

— Albo ta! albo ta! widzisz ją? i w niej gra krew cudzych ludzi, krew *Gadziów*. Już lat trzy milczy i lzy nawet nie puści, i wędruje z nami, a serce gdzieś zostawiła za sobą. Nie! nie! cyganom się nie bratać z białowłosemi; nasza dola wygnanie, nasz los wieczna włóczęga, a to ślimaki wiecznie do skorupy przykute. Oni się rodzą do jednego miejsca, a skoro je z oczów tracą, mrą powoli...

— Daj jej pokój — odpowiedziała Aza — wyplakała już lzy, wyjęczała słowa; pewna jestem, że gdy dziecię od piersi jej odskoczy, ona martwa upadnie...

Aprasz tylko ramieniem ruszył obojętnie, wyjrzał za szatrę, popatrzył na gwiazdy i powalił się na ziemię jak bryła bez życia.

Aza pozostała w miejscu, patrząc gdzieś daleko.

We dworze w Stawisku mieszkał naówczas młody, świeżo na świat wypuszczony człowiek; imie mu było Adam, a nazwisko — do czegoż wam nazwisko? Puszek ledwie jasny porastać mu zaczynał na wardze i brodzie, dwudziestu wiosen nie pamiętał, budził się dopiero do życia, a już mu ono smakować przestało. Rodzą się tak ludzie w wiekach przekleństwa, bez sił i ochoty do życia, bez ognia w duszy, bez ciekawości w głowie, bez popędu, bez chęci żadnej, bez zwierzęcego nawet szalu. Otwierają oczy gnuśne na świat dla nich bezbarwny, i sen obojętny je zamyka; nic ich nie bawi nic nie rozgrzewa, nic nie pędzi z kolebki piérzem wysłanej na drogę skalistą i krwawą nadziei, pracy i zawodów... Śmierć i życie dla nich równe zupełnie, ludzie bracia obojętni, świat niepotrzebną, spłowiałą dekoracją.

Jednym z takich młodych starców był Adam; wypieszczono go dziecięciem na martwego człowieka, brakło mu więc teraz ochoty i materiału do życia. Nudził się śmiertelnie; a że nudy sprowadzają gniew i złość: gniewał się i złościł na to, co go otaczało. Cóż winni byli świat i ludzie, że on był tak martwym?

Czasem, kiedy się wpatrzył jak inni wesoło i ochoczo krajali swoją kromkę razowego nawet żywota, zrywał się ze snu i próbował coś począć; ale wnet znużenie odtrącało mu ręce, szerokim ziewaniem kończył piosnkę, głowa opadała na piersi i powieki się zamykały. Były nań także napady myślistwa, pragnienie jakiejś krwi chorobliwe, jakaś żądza dziwniej miłości, silnych wzruszeń, bojów, kąpieli ognistej coby odrodziła, śmier-

ci, męczarni, uczucia... ale te chętki chwilowe przelatywały jak widma, i nikły w snach gnuśnych spowite. Adam nigdy nie kochał jeszcze, choć cały seraj dziewcząt ścisnął go kolejno białymi rękoma i oblewał łzami przymusu, choć nie jedno może zabiło do niego młode serce... Bawił się tylko kobietą i nie mógł dotąd odgadnąć, gdzie dla niej bije serce... jak ją kochać można? Nasycony, przesycony, zużyty, odpychał raczej niżeli pragnął nowych prób miłości; przekonany, że był na dnie tego raj, który dla innych wydaje się bezdennym.

Życie mu się wlekło, wlekło, pełzło powoli, że często dzień jak wiek się wyciągnął, a minuta wydała rokiem; i były chwile, że patrzył na skazówkę zegarka, a nie mógł się doczekać, żeby z miejsca ruszyła.

Jednego wieczoru po długim ziewaniu wstał Adam powoli; przyprowadzono mu konia, gotowe były psy i przyjaciele. Odepchnął skinieniem konia, psy i towarzyszków, i poszedł sam pieszo nie wiedząc dokąd: — żeby się rozchodzić, uczuć, że jeszcze żyje! Los go pędził na wygon ku namiotowi cyganów. Słońce czerwono świeciło nad zachodem i ukośne promienie jego, w pasy złote i czarne jak wschodni kobierzec, stroiły ziemię już w mrokach zacisznych kątków pokrytą rosą srebrzystą... Świat w tych blaskach dziwnych cały się jakoś zdawał odmienny od powszedniego; coś w nim było fantastycznego, uroczystego, wspaniałego. Ten wyraz jego oblicza uderzył oko zdrętwiałe Adama, stanął i obejrzał się. Był to właśnie przed namiotem Aprasza.

Przed nim, z rozpuszczonymi włosami czarnymi, siedziała smągła cyganka, piękna ogniem i młodością: rzekłabyś, że dwa węgle kowalskie płonęły w dzikich jej oczach. Wzrok biednej wygnanki wkrał się pod powiekę młodego chłopca i Adam zadrżał. Aza spostrzegła to i uśmiechnęła się, aż dwa rzędy zębów jak śnieg białych wypłynęły z pod warg różowych; i, zalotnica! odrzuciła w tył głowę na ramiona, podniosła wzrok, wygięła kibić sprężystą, jak gdyby ze wszystkimi skarbami swych lat siedemnastu pochwalić się przed nim chciała.

Adam stał, patrzył i poił się; serce mu nawet biło, krew nawet żywiej płynęła: pierwszy raz może w życiu silniej zapragnął — pokochał prawie.

W te suche serca kiedy iskra padnie, to jak pożar na posusze: w okamgnieniu płomień bucha niewstrzymany, niepowściągnięty, niszczący. Tak było z Adamem, bo nim się ruszył z miejsca powiedział sobie: ona musi być moją, i dodał cicho: choć bym ją krwią miał zapłacić.

Ledwie odszedł wolnym krokiem, cyganka pobiegła z uśmiechem radości do starego Aprasza.

— Słuchaj ojcie — rzekła — słuchaj *dados*, rzuć ten młot, odpocznij, będziesz mógł użyć wczasu: dziwne się rzeczy stroją! *Raklora* (dziewczyna) złowiła rybkę!!

— A co ci się tam znowu uroiło w młodej głowie? — odparł cygan.

— Co? wiesz? ja się znam na ludziach! Bóg, co nas posłał na wiekiwstą włóczęgę po świecie, dał nam węch jak staremu *szukeli* (psu) szukającemu sobie lekarstwa. My także instynktem czujemy ludzi i czytamy w nich lepiej, niż oni w swoich książkach. Przed chwilą przechodził tędy około namiotu *raj* (pan) tutejszej wioski, młody dziedzic wsi, o którym wiesz co powiadają, że mu woda zamiast krwi w żyłach płynie. I prawda! O biedne chłopię, zdaje się nie mieć w sobie także i siły do jutra!.. A jednak moje oczy go rozgorączkowały. O! bo też dobrze, dobrze patrzyłam na niego, aż zadrżał, aż się zwinął jak wąż gdy go nogą nastąpisz. I powoli rumieniec tryskał mu na twarz ręce drgać poczęły; wstrząsł się, poleciał jak szalony.

Klasnęła w dłonie.

— Azaoro będzie miała bogate *bucaki* (suknie), złoto na głowie, złoto w warkoczach, pasy czerwone, co zechce!

— O! tybyś się sprzedała, *rakloro*? — chmurno spytał stary cygan.

— Ja? na wieki, nie — na godzinę! Czemuż nie? Wszystko się sprzedaje na świecie, chodzi tylko o cenę. Czego nie kupisz za grosz, można mieć za milion! Serca mu nie sprzedam, ale oko, warkocz i rękę zimną... czemuż nie! czemu nie!

— Wszetecznicza! — zawołał stary przez zęby — wszetecznicza! *Bynka gasina!* (diable dziecko).

Aza odskoczyła jak piorunem rażona, wzrok jej zapłonął.

— Słuchaj stary — zakrzyknęła groźnie — nie masz jeszcze prawa mnie bezcześcić i *Bynkowi* oddawać; ty nie wiesz co ja myślę. Sprzedam się, ale się nie zwalam, bo to tylko mieć będzie za pieniądze, co daje wszystkim: śmiech, spojrzenie i piosnkę... A ty myślisz, że ja dłużej wytrwam w tych waszych łachmanach i brudzie! Nie! nie! ja się i wami i sobą brzydzę, ja jestem stworzona *rani* (panią) do bogactw i dostatku; mnie trzeba sukni, łańcuchów, błyskotek, szkiełek i państwa... A potem — dodała tęsknie się zamyśliwszy — gdy ta burza młodości minie, gdy zagaśnie co we mnie świeci: ubierzcie mnie w łachmany znowu, pójdę jak pies za wozem posłuszna.

Kował głową tylko pokiwał, ale w rękę drżały mu obcegi i młot.

— Psia natura — zamruczał — nie może sobie cygana zwabić, będzie panicza łaskotać. Nie wytrwa! Oj młodość! oj młodość!

— Tyś nigdy nie był młodym — odpowiedziała szybko Aza — bo kobiety tylko młode być umieją, a mężczyźni od powitka są starzy. Waszą dolą praca, a naszą śpiew... Jak śpiewać o głodzie i nędzy?

— Głowa ci się zawraca!

— Zawróciła! — krzyknęła tańcząc po namiocie cyganka — szaleję, stroję się myślą, śpiewam, bawię. Jutro będę w *kbera* (domu, pałacu), jutro będę *rani*! Bywaj zdrów stary kowalu!

Z ociężałym czołem Adam powrócił do domu. W ganku powitały go psy i przyjaciele; on usiadł nie głaszcząc ani ręką, ani słowem, jednych ani drugich. Chmura zawisła nad czołem, oczy nabrzmiały nagle gwałtowną żądzą, i o cudo! chciał, pragnął, kochał! Myślał powrócić nazad i podać rękę cygance i prowadzić ją do swego domu, by chwili żądy nie stracić; ale się wstydił sam siebie i przyjaciół i ludzi.

Całą noc walczył jak potępieniec, a ta noc przecie wydała mu się krótką, choć powiek sen nie stulił. Blask słońca oblał go wstydem; począł się śmiać z siebie.

— O! o! panicz pokochał się w cygance, w czarnej, brudnej cygance, co siedziała zasmolona w namiocie kowala; panicz, co mógł mieć na skinienie białą dziewę ze stolicy, w której bułki i dziewczęta się sprzedają. Zażądał razowego chleba nędzy! To być nie może, niepodobna! — wołał do siebie i śmiał się.

Odpedzał myśl, a myśl jak pijawka wpiła się mu gdzieś koło serca, koło głowy, i targała nim bezlitośnie. I rozpadł się na dwóch ludzi, jak to zwykle bywa, gdy nami szarpie namiętność silniejsza od rozumu i wstydu. Jak owi skazani na potarganie dzikimi końmi zbrodniarze, myśmy naówczas rozerwani na dwoje, i jeden z nas szydzi, gdy drugi boleje. W cierpieniu każdej namiętności jest takie człowieka rozdwojenie.

Ku wieczorowi dnia tego, wielki gniew opanował pana i kazał zawołać ludzi, żeby ich spytać, kto dozwolił cyganom rozgościć się na pustym pod wsią wygonie. Nie śmiał już sam iść do namiotu, ale chciał, żeby namiot przyszedł do niego; i w gniewie, w okropnym gniewie kazał przyprrowadzić cyganów do siebie.

Znowu już słońce zapadło, a Aza siedziała strojna od rana u namiotu, wywdzięczona, uśmiechnięta, a Aprasz z niej szydził niemiłosiernie; gdy przyszli ludzie po cyganów do dworu: wójt przestraszony i kilku wylekłych z gromady. Aza aż w ręce klasnęła.

Ludzie patrzyli na nią jak na szaloną, bo się obawiali pańskiego gniewu, który dla niej jednę był zrozumiałą.

Gniew ten był pragnieniem, bo gniew bywa różny: jest nienawiścią, miłością, żądzą, i jak suknia pokrywa różne postacie.

Aprasz szedł do dworu zadumany, a Aza podśpiewując wesółą, wystrojona, prawie piękną. Ona tak doskonale umiała uczynić się wdzięczną, gdy chciała, a tak chciała być teraz piękną i do reszty oczarować panicza.

Ani psów, ani przyjaciół w ganku nie było, tylko sam pan. Aza szła śmiało, prosto do niego z uśmiechem siły, ze wzrokiem zwycięstwa.

Adam aż uląkł się tych czarnych węgli jęj oczu, i zamiast gniewu, błądy uśmiech proszący o litość prześliznął się po jego ustach.

— Kto wam tu pozwolił się zatrzymać? Zkądście tu przyszli? — spytał po chwili.

— Mój stary nie umie dobrze mówić — szybko występując naprzód poczęła cyganka — pozwólcie mi się wytłumaczyć. Milcz Aprasz i dozwól mi się z nim rozprawić — dodała po cygańsku.

To mówiąc przystąpiła bliżej, przysunęła się pod ganek, przełamała główkę na karczku gdyby ptaszek, podparła ją dłonią i wlepiając węże oczy w młodzieńca, coś cicho, niezrozumiale, jakby zakłęcie mrucząc poczęła. Adam chwilę popatrzał, chciał się odwrócić, czując, że wzrok cyganki szarpie mu coś głębiej w piersi, niż dotąd kiedykolwiek czyje wejrzenie i słowo; ale już było zapóźno. Zręczna dziewczyna miała już go w sieci: spuścił główkę milczący, bezsilny, opętany...

Nazajutrz Aza była we dworze, a cyganie z kuźnią na wygonie; ale Azy ani poznać! Czarna cyganka wstała pod dachem pańskim królową bajeczną z nad brzegów Indu, marą z poematów Sanskrytu, i brakło jój tylko może kwiatka Lotusu w ręku, by wyglądała na bóstwo Lakszmi, na krewniaczkę Wisznu i Brahmy.

Adam u nóg jój leżał, a na ramionach młodziana spoczywały dwie nóżki upierścieniowane, różowe, depcząc poganina, niewolnika. Co było szat bogatych, szat starych po pradziadach i prababkach; co było świętości w domu po bohaterach umarłych, bezdzietnych: wszystko to teraz stroiło dziecko włóczęgów, obwieszzone złotogłowami, perłami i muślinami. Najmniejsze puchy otaczały jój ciało, najwdzięczniejsze wonie kołysały się nad nią w powietrzu. Psy i wczorajsi przyjaciele stali w sieni; Adam dnię całe, tygodnie, leżał sam u nóg czarownicy.

A dzień sam upływał w osobliwszym zajęciu: — ona patrzała, on słuchał. Czasem szyderskim uśmiechem uderzyła go jak sztyletem, to znów polyskała wejrzeniem; rzekłbyś zapaśnik, co walczy z przyswojonym dzikiem zwierzem. Adam gorzał; ona się śmiała z niego i codziennie pragnęła więcej, postępowała zuchwałej, stając się dumniejszą i dziksza. W miarę jak była pewniejszą siebie i swego panowania, gnioła go nielitościwiej.

Biedne skarłałe dziecko wielkich pradziadów! Co to był za widok: w tym dworze jeszcze świętą, pocziwą woniejącym stęchlizną, ten dzieciuch wielkich rodziców, w komnacie ubłogosławionej pracą i boleścią ojców, u nóg włóczęgi, którą ustroił w pamiątki poszarpane, w pokalane świętości!! I ściany nie zatrzęsyły się nad niemi, i stropy nie zalały się, nie zapadły podłogi!! Tylko wszystka woń przeszłości uniosła się z przybytku tego, gdzieś daleko pod niebiosa.

Aza zwyciężka żyła tylko swoim tryumfem; jój więcej nic niepotrzeba było nad widzenie się piękną, nad przeżycie chwili żywotem bogatych, którego nie kosztowała, nad upojenie się jakimś zwierzęcem wszystkiem, co poi. Ten mężczyzna leżący u nóg jój, blade, schorzały, zmęczony, którego piekła gorączka żądy bezsilnej, nie wzbudzał w niej nawet litości. Było to dziecię boleści, co przywykło mężczyznę widzieć pracownikiem i mężem; przypatrywała się więc temu karłowi z ciekawą jakąś pogardą: czasem śmiała się z niego, lub spragnionemu rzucała tylko jak psu kość, uśmiech dwuznaczny.

W nim miłość wrzała z gniewem, ale zbyt mało miał siły, aby obojgiem wybuchnął: paliły go wewnątrz tylko.

Aza latała i bawiła się wszystkimi fraszkami, które próżnowanie, zbytek, przepych, fantazyja, nagromadziły w starym domu. Codziennie potrzeba jój było nowego stroju, nowego cacka, nowego jakiegoś zajęcia; za wszystko płaciła tylko dziwnym swym uśmiechem i dziwniejszym wejrzeniem czarnych swych oczu. Adam nawet zimnego nie dostał pocałunku; — tak dziewczę wiedziało dobrze, że jój potęgą była żądza zużytego młodzieńca, co mogła w pierwszym uścisku zagasnąć. Dmuchała w tę iskrę oczyma i usty, pielęgnowała ją i żyła, żyła szybko, ogniście, piersią całą, jak się żyje snem rozkosznym, z którego człowiek co chwila lęka się obudzić. Chciała spróbować wszystkiego, dotknąć, spożyć, co tylko było pod ręką w tej szybkiej godzinie jej doli; a ile razy łachman zrzucony przypominała sobie: dreszcz ją przebiegał, i jak struś zamykała oczy, by przychodzącego niebezpieczeństwa nie widzieć.

Długo tak trwać nie mogło, a trwały jednak dosyć długo... dziewczyna paliła zwiędłego panicza na żar i popiół; on się żył, ale czując życie w sobie pierwszy raz od

dawna, nie wyrwał się z niego. Aza myślała o jutrze, o brudnej szatrze cygańskiej, o starym łachmanie, który zrzuciła jak wąż przyodziewający się na wiosnę; o życiu niedostatku i gołego nieba; myślała, walczyła z sobą.

Tu ją trzymały błyskotki, tam pociągała cygańska swoboda... Cztery ściany malowane zamykały niewolnicę, a przez okno widać było zawsze jedną, smutną, ciemnozieloną gałąź świerka, co się uwiesił na dachu dworca: nie czuła wiatru, który tylko świstał, szumił i huczał w kominach; nie piła powietrza żywego, które latało około domu; nie biegała ku nieznanemu, jak przywykła: i tęskno, tęskno jej było za wszystkim dawnym, nawet już trochę za nędzą.¹

O! któż ludzką pojmie naturę i ludzkie przeczyta serce? Często najsprzeczniejsze chwycą je żądze i szarpią, a obie tak nam drogie, że żadnej z nich odpędzić nie mamy siły. Tak było z Azą: tu ją cieszyły i bawiły miękkie poduszki dostatku i strój bogactwa; tam ciągnęła tęsknota za bożym światem szerokim. Bo to było dziecię *Errumanselów* (cyganów), wygnańców bezdomnych, wyrosłe pod skrzydłami burzy, wykołysane wiatrami, zapalone od słońca, myte rosą poranną; i jemu wędrówka jak bocianom rozwijała skrzydła od gniazda pędząc do gniazda, zawsze w tęsknocie do czegoś nieznanego.

W tydzień Aza płakała; chciała ulecieć, bo czuła że wędla, że tęskniła, że marła; a żal jej było błyskotek, wdzięku, który jęj dawały, i życia, którego skosztowała. Kochanek blady, zmęczony, zesłabły, mdlejący, był dla niej pogardliwą istotą, i brała ją litość nad nim, ale więcej obrzydzenie; po dotknięciu tój ręki wyschłej w próżnowaniu i rozpuszcieniu, ocierała dłoń swoją jak po ślinie ropuchy. Adam milczał, palił się, kochał — ale żył.

Jednego wieczoru pokazał się księżyc z za drzew² i Aza ze drzeniem pobiegła do okna; gdy jęj nocna gwiazda zabłysła, roztworzyła szyby, wlepiła oczy, wychyliła pierś na wieczorne powietrze. Księżyc ten srebrzysty przypomniał jęj wszystkie od dzieciństwa wędrówki po świecie i zdawał wzywać do nowych.

— Co ci jest? — spytał Adam.

— Co? — z szyderskim odpowiedziała uśmiechem ledwie zwróciwszy się ku niemu — albow to ty panie zrozumiesz? Żal mi nędzy, chłodu, głodu i włóczęgi mojęj, bośmy widać przeznaczeni na wiekuiste błąkanie się po świecie... Prawda, że ci to niepojęte, żeby tęsknić można za czarnym chlebem, za czarną dolą i za wędrówką bez końca? Mówią ojcowie nasi, że w kraju, z któregośmy wygnani, cześć oddawano ptakowi, który i do was zalata... Patrz, oto jego gniazdo na tém drzewie. *Cierik* ten (ptak) zowie się u was bocianem... Bocian w podaniu cygańskim jest przeklętym jak cyganie.

— Coś ja ciebie doprawdy nie rozumiem, dziewczyno! — rzekł ziewając Adam.

— Poczekaj, zrozumiesz może. Bocian, jak my, nie ma swojej ziemi. Dawno, dawno, lat temu tyle, ile ziarn w wydmie piasku, co gwiazd na niebie zimowém, wielkie było na ludzi nieszczęście. Ludzie naówczas jeszcze byli wielką jedną rodziną, ale ją już toczyły robaki... i Bogu nie upodobało się stworzenie jego, *Mroden-oro* chciał je zniszczyć całe. Między synami ludzkimi był tylko jeden z rodziną siwo-brody starzec, którego Bóg przeznaczył na odnowienie rodzaju; starzec ten zwał się *Noa-oro*... I kazał mu Bóg budować statek wielki, w którymby się mogły pomieścić wszystkie zwierzęta ziemi po parze i trochę ludzi wybranych... Kiedy się niebieskie otworzyły wrota, i wody potokiem lać się poczęły na ziemię: wchodziło co żyło do wielkiego statku, i co żyło żegnało swoją matkę ziemię wejrzeniem żalu i tęsknoty. Nie było oczów coby nie zapłakały rozstając się z kątkiem rodzinnym; jeden tylko bocian wszedł do statku z żabą w pysku, nie obejrzawszy się nawet na gniazdo swoje... *Mroden-oro*, co patrzył z wysoka, przeklął go za tę nieczułość, i skazał odtąd na wieczną tęsknicę. Gdy potem wody osiły, bocian rozpoczął wiekuistą wędrówkę od jednej do drugiej ziemi, bo Bóg tak uczynił, ażeby zawsze jednę żałował i po jednę płakał... Ten bocian, to cyganie paneńku — dodała dziewczyna. — Tęsknim zawsze, idziemy wiecznie, i nigdzie nie ma dla nas ojczyzny i spoczynku.

To mówiąc wstrząsała się cyganka i rzuciła ku drzwiom, jakby chciała uciekać; ale Adam roztwartemi zatrzymał ją rękoma.

— Ty musisz zostać ze mną! — zawołał.

¹U źródła brak strony 48. (zamiast niej jest duplikat strony 50.); powyższy tekst pochodzi z nowszego wydania. [przypis edytorski]

²U źródła brak strony 49. (zamiast niej jest duplikat strony 51.); powyższy tekst pochodzi z nowszego wydania. [przypis edytorski]

— A czemuż ty za mną pójść nie masz? — odpowiedziała dumnie cyganka. — Tyś mi ani miły, ani potrzebny; jam potrzebna tobie, ofiarą być nie chcę: bo gdybym nawet wlała w ciebie wszystką młodość moją, jutroby w tych lodach skrzepla i zagasła!

— Ale ty nie pójdziesz! — wrzasnął Adam z rozpaczą prawie.

— Nie, nie, dziś jeszcze — zimno odpowiedziała Aza. — Gdy księżyc dojdzie pełni, *ciomut-oro* (księżyc) wskaże drogę... mówię ci, że wówczas pójdę i pójdę.

Tak było we dworze, a pod namiotem Aprasza, jak dnia pierwszego, rozlegał się młot, przekleństwa i swar. Niewiasta z dziecięciem u piersi siedziała nieruchoma, chłopcy nago latali po wygonie, Tumry o zachodzie uciekał z pod szatry. Jednemu Apraszowi tęskno było po czarnych oczach Azy, i wesolej czy tęsknej jej piosence, i szyderczych jej rozmowach.

A ze wsi biedny stary Lepiuk, w którym kipiała krew *Romów*, co noc chodził pod namiot braci, by słuchać choćby dźwięku głosów, które zeń wychodziły i pić język zapomniany od dzieciństwa. A w jego chacie na przyzbie, zadumana, na łokciu podparta siedziała wieczorami długimi córka jego Motruna, i czegoś ciągle aż po za wieś poglądała. Motruna miała lat siedmnaście i niepodobna była do dziewcząt wiejskich, tak, że kiedy między niemi szła do cerkwi, to ją poznać wśród nich było można, jak lśniące ziarno hreczki w kupce złotej pszenicy. Zmieszała się na jej licu krew potępionego ludu ze krwią słowiańską, w jej sercu łagodność i miłość spokoju, z tęsknotą i wiekuiłą trwogą mieszkańców. Była piękną jak cyganka, a miłą jak rusinka; i gdy z jej oczu błyskał żar Południa, z ust śmiało się życie Północy, białe i jasne jak śnieg. Córka Lepiuka była jedną z najpiękniejszych we wsi, i jedną z najdumniejszych; jakby wcześniej na czole napisane niosła, że więcej przcierpi od wielu i mężniej, niż rówiennice. Nie lubiła śmiechu ani tańca, ani nic, co weseli dziewczęta; nosiła w sobie przyszyły smutek jakby pączek nierozwiniony. Nigdy jej nikt w taniec nie wywołał, ani pieśni wesolej wyuczył; a najmiłszą zabawą jej bywało usiąść na wysokim pagórku i patrzeć daleko, daleko, jakby ją ktoś z drugiej połowy świata wołał.

Matka jej umarła dawno, ojciec niewiele na nią dotąd patrzył, choć kochał; bracia, że byli jasnowłosy po matce i weseli i żywi, tęsknicy jej nie rozumieli. Dla niej męką było w chacie wysiedzieć długo; często płakała czując się przykutą do przyzby, a gdy przyszło iść po wodę, to leciała do najdalszej studni, byle nieznaną jakąś splądrować ścieżynkę.

Jednego wieczoru idąc z wiadrem, Motruna spotkała Tumry błakającego się po wzgórzach; i raz tylko na siebie spojrzeli — a nie wiem czemu odtąd o sobie nie mogli zapomnieć. Tumry był nadto hardy, żeby się chciał zbliżyć do dziewczyny, która go mogła ze wzgardą odepchnąć; Motrunie brakło męstwa, żeby go sama zaczepiła. Ale silniejsza od nich obojga wola losu i potęga rodzącego się przywiązania, sprowadzała ich ciągle, stawiając naprzeciw siebie. We dnie często droga wiodła Motrunę około cygańskiej szatry; wieczorem Tumry błakając się mijał codziennie chatę Lepiuka. W jego sercu rodziły się razem dwa uczucia, które często są z sobą w koniecznym związku: przywiązanie do dziewczyny, i potrzeba, żąda przykucia losu swojego do miejsca, do kątku na któryby się zlać mogła część miłości przepelniającej wezbrane serce.

Tumry nigdy nie lubił włóczęgi, a teraz bardziej niż kiedy wzdychał za swoją chatą, za własnym ziemi kawalkiem, z którego by go bicz włóczęgi nie spędzał. Marzył on o domie, o żywocie przy ognisku, o spokojnej śmierci pod swoją strzechą.

Tymczasem rosła w nim zarazem i miłość ku Motrunie, a w sercach obojga choć milcząca, mowną już była; brakło tylko jednego słowa, jednego skinienia, żeby ten związek tajemniczo poczęty, na wiérzch wypłynął. Spotkali się raz za wioską; ona szła z głową spuszczoną z pola, on wybiegł z szatry, rzuciwszy młot, na świeże powietrze i ciszę nocną. Nad wsią unosiły się wierzwy dymów szarych, jesienne opary, i woń żniwa; tęsknota na siwych chmurach wisiała nad niemi. Spojrzeli ku sobie, ale tak już znajomo, serdecznie, bratersko, jakby lata przeżyli z sobą. Motruna niosła oberemek suchych gałęzi, pod któremi się ugiwała. Tumry pożałował jej znoju.

— Ej! — rzekł zbliżając się — gdybyście mi to do waszej chaty zanieść pozwolili, lżejby wam było...

— Ależ wy idziecie w przeciwną stronę?

— Ja nigdzie nie idę.

— A biegliście?

— At! na powietrze! żeby odetchnąć! Nałykałem się dosyć iskier i dymu.

— Toście się i wy zmęczyli?

— Ej! nie! — To mówiąc wziął Tumry gałęzie, zarzucił je lekko na ramiona i zrobiwszy w ten sposób znajomość z dziewczyną poszedł z nią razem ku wiosce. Wieś była niedaleko, ale czas! czas! to niepojęta zawsze zagadka: w krótkiej chwili można całą wypowiedzieć duszę. Co oni tam wypowiedzieli sobie!? — cały żywot i wszystkie nadzieje!

Gdy się zbliżyli do chaty Lepiuka, Tumry i Motruna byli już doskonale znajomi. On wiedział wszystko co był powinien; ona знаła całą przeszłość cygana. W marzeniach i rozhovorze doszli tak do podwórka, i już Motruna przypomniałszy sobie, że ojca tu zastać mogą, chciała odebrać swój oberemek a Tumrego odprawić; gdy głos donośny przekleństwem ich obudził oboje. Lepiuk stał oparty o wrotka z fajką w ręku; patrzył i takim srogim wzrokiem mierzył córkę i jej towarzysza, że w Motrunie serce zastygło ze strachu.

— Ho! ho! — zawołał stary — co to ty sobie myślisz, włócząc się po nocku z cyganami! Patrzajcieno ją! A i tyś śmiały odartusie, żeś się już do gospodarskiej córki przypytał! Co to się znaczy?

Tumry cały się oblał krwią i zimnym potem, a Motruna już była znikła przez przelaz, uciekając przelękła i zmieszana, gdy się zabrał na odpowiedź:

— A cóżto tak wielki grzech, żeś waszej córce pomógł?

— Obejdzie się bez tych posług — drwiąco zawołał stary, ale ze złością źle pokonaną. — Ruszajcie sobie swoją drogą, a nie róbcie tu znajomości, bo się czasem poznać możecie z kijem dębowym, który stary Lepiuk trzyma na córkę i na nieproszonych gości.

To rzekłszy odwrócił się stary, cały drżąc i wytrząsając popiół z fajki, mruczał pod nosem:

— Ha! tego mi tylko brakło, żeby się znowu krew cygańska do mojej przyplątała. Ej! *Bynka Ciawa!* (diabli syn) patrzajcie, już się powąchali! Ale ja to Motrunie wybiję z głowy! Taki krew krwią: — cygan jej pachnie! Nie można się wytrzeć z tego cygaństwa; tyle lat pracuję, żeby ludzie o nim zapomnieli, a tu mi ono znowu włązi w drogę. Trzeba wcześniej zaradzić; a to powiedzą, że cygan stary umyślnie ją swojakowi poswatał. O! o! niedoczekanie wasze.

I biło staremu serce. Wpadł do chaty, gdzie już córka około pieca się zwijała, zasapany od gniewów wewnętrznych.

— Słuchajno, Motruna! słuchaj! nie odwracaj się i nie udawaj mi, że w garnku głowę chowasz i uszy; ze mną żartów nie ma. Co tobie do cyganów, co cyganom do ciebie? Będzie źle, mówię że będzie źle; ja tego nie zniosę. Ty gospodarska córka, a cygani ci pachną!

Chwilę milczała dziewczyna, aż nareszcie podniosła głowę.

— A cóżto tak złego — odezwała się pocichu — że się przyczepił; ja go nie prosiła o to.

— To go było odprawić.

Ruszyła ramionami.

— A jak mi i pomógł, to cóż się złego stało?

— Patrzajcie jaka mądra! ona mi tłumaczy! A wiesz ty, głupia głowo, od czego się źle zaczyna, i jak się najlepsze kończy? Nic, dziś się nic nie stało, ale jutro już byłby ci znajomszy i poufalszy, pozajutrobyś tęskniła, a kto wie, możebym cię potem kijem za nim z chaty wyprosił!

Dziewczyna milczała.

— Ej wara — dodał Lepiuk rzucając się na ławę — wara od takich znajomości. Z cyganem nam nie ma druzby; on jutro pójdzie w świat jak dziki zwierz: a jak plamę po sobie na nas zostawi, staremu ojcu na siwe włosy! Nu! nu! Motruno pilnuj się! ja nie daruję! ty mnie znasz.

W kilka tygodni, właśnie gdy we dworze już królowała Aza, Motruna i młody cygan zbiegali się na wzgórze za wioską; ale ostrożnie, oględnie, tak, że ich ludzkie nie dojrzało

oko. Motruna pomimo bojaźni ojca, szła za dolą swoją. Tumry już był w sercu postanowił nie opuścić Stawiska i pozostać tu, gdy cyganie odejdą dalej. W nędzy, niedostatku, upodleniu rzadkie są gwałtowne namiętności: im także potrzeba słońca, swobody, spoczynku; ale gdy trafem zrodzi je serce co o sobie nie wiedziało, buchają straszne, gwałtowne, niepohamowane. Nic ich już nie złamie, bo cóż zagrozić może temu, co wszystkiego spróbował i doznał? W naszych salonach często wątła miłość nie oprze się wrażeniu, jakie robi suknia wytarta; nie oprze się myśli, że kochać się będzie trzeba w lichym domku, w pracy, bez libery i bronzów: tam nic nie przeraża, nawet cielesne męki głodu, chłosty i żebractwa. Nasze przywiązania są jak kwiaty oranżeryjne: nie wytrzymują ani ostrego wiatru, ani przymrozków; chłopska miłość — kwiat rzadki, kwiat co w sto lat zakwita, ale przetrwać umie burze, chłód i boleść i urągać się przeznaczeniu.

Takiem wyjątkowem przywiązaniem był związek tych dwojga istot: w Motrunie przemałało ono nawet bojaźń ojca; w Tumrym nawet myśl, że dwie nędze sto razy są cięższe od jednej. Oboje nie zaklinając się i nie przysięgając, pewni już byli że zwyciężą i ojca, i ludzi, i nędzę.

Gotowość obojga na wszelkiego rodzaju ofiary była jakby potrzeby ich przeczuciem; poczęły się one szybko następując po sobie i nie dając opamiętać się dwom biednym istotom, których miłość podwajała poświęcenie. Nic nie ma skuteczniej podniecającego to uczucie, nad tak zwane w języku starych romansów *przeciwności*; niejedna skłonność gwałtowna im winna rozwinięcie swe i siłę. Przeciwność drażni i pociąga człowieka.

Dość długo Aprasz i jego gromadka stali obozem na wygonie pod Stawiskiem; kuli póki było co kuć, a resztę czasu spoczywali, i ośmieleni, kręcili się po wsiach i bliższych osadach. Aza tymczasem królowała we dworze, a Tumry latał za piękną Motruną.

Jednego wieczoru jesieni, pod otwartem oknem dworu zjawił się stary cygan z brwią namarszczoną i wejrzeniem surowem. Z okna tęskna, posmutniała, blada i zmęczona wyglądała piękna cyganka z zalawionem jakoś okiem. Patrzyła ona w księżyc i dumiała; Adama nie było przy niej.

— Słuchaj Aza, a długo to tego będzie? — zapytał stary z uśmiechem szyderskim, pełnym gorczy.

— Alboż ja wiem? — tęskno odpowiedziała dziewczyna — Mnie tu nic nie trzyma za serce, a odlecieć jakoś trudno. Ot tak jakoś, jak gdy czasem w podróży człowiek trafi na *kaszt* (drzewo) i wysiedzi pod niem na murawie miejsce wygodniejsze, to mu się z niego wstać nie chce. Nie wiem co się dzieje ze mną: chwilami tęsknię za naszą włóczęgą, *romów* włóczęgą; to znowu boję się nędzy naszej i żal mi tego cichego dachu, pod którym tyłu ludzi i porodziło się i pomarło! Kto wie: coś jest co sprzęga miejsce i człowieka; jam już zateśknić gotowa! Tęsknić za wami, gdybym tu została; za temi ścianami szaremi, gdybym od nich odeszła.

— Popsułaś mi się Aza, popsuła: mówisz to nie po cygańsku — rzekł grożąc Aprasz. — A nam czas dalej, bo zgnuśnijem i nie ma już tu co robić: wszystek *trast* (żelazo) wykuty... Kto wie, może ci już żal twojego panicza?

Stary rozśmiał się z gniwem stłumionym.

— A może i żal — odparła dziewczyna spokojnie dumając — choć doprawdy, wierz mi stary, chyba litość tylko i żal. Biędne to stworzenie, któremu świata nie ma jak ślepemu z urodzenia; on już swoje przeżył, nim mu broda porosła. A takie to znędzniałe, tak biędne, tak schorowane i nudne! Co on pocznie gdy mnie nie będzie?

— Co? znajdzie drugą! — rzekł stary ruszając ramionami.

— Takięj drugiey nie znajdzie — zawołała trzęsąc głową cyganka. — Jam go zrozumiała, jam go umiała trzymać na wodzy i podniecać, a kto inny nie potrafi.

— A! myślałabyś z nim zostać! — przerwał Aprasz z błyskiem oka, jakby zgadywał dziewczynę.

— Ja? zostać tutaj! tu! tu! Ojcz! ej, jakbo wy mnie nie znacie — żywo obruszyło się dziewczę. — Zostać z tym trupem zamkniętą między czterema ścianami, żeby mnie jutro wyгнаł, gdy dla niego nie będę ciekawością i potrzebą? Oj nie! nie, stary: zrzucę ja te świecidełka i pójdę w świat z wami. Życie mi to dojadło, dzień do dnia tak podobny, jak dwie paciorki, godziny włoką się jak konie kulawe, człowiek czuje, że drętwieje i usypia.

A jednak co powiesz stary? — żal mi będzie i téj chaty; poniosę ztąd z sobą dumę w świat, dumę długą, długą aż do starości może...

— Oj dziewczę! dziwne z ciebie stworzenie — pokiwał głową Aprasz. — Jam nigdy nie wątpił przecie, że gdy namiot zwinę, a *kakabią* (kociołek) na wóz włożę, ty wylecisz ze dwora, i pobiegiesz boso za nami: boś ty prawa *romów ciał* (cygańska córka). Gorzej podobno z Tumrym...

— No? a co się z nim stało?

— Tydzień jak mu ostatni rok czeladnictwa wyszedł i porzucił szatwę, nie kiwnąwszy mi nawet głową za *mandru* i *toń* (chleb i sól), za przytułek i naukę.

— Poleciał sam w świat?!

— O! nie, pokochał się tu podobno w dziewczynie ze wsi, i czeka tylko naszego odejścia, żeby tu stale osiąść. Jemu nigdy nie smakowała wędrówka; ma taki białą krew w sobie, korci go sięść i drzémać. Ale nie tak mu łatwo pójdzie jak on sobie myśli; ojciec dziewczyny sam podobno *Errumansel*, za nic mu córki nie da: i zaklął się na siwy włos swój, że póki żyw, nie pozwoli na małżeństwo. Dziewczyny uprowadzić nie może, bo gdzieżby z nią sam poszedł? Zginie Tumry jak *szukela* (pies).

— A szkoda go, stary! Oj! szkoda nam!

Szkoda? co za szkoda? Chce przepadać, niech łbem idzie na dno: nam ciężiej będzie bez jego rąk, ale lżej bez jego złości i uporu. No! i ty Aza gotuj się w drogę; a żebyśmy biedy nie mieli, żeby nas nie gonili: porzuc tam co ci twój panicz podarował, ubierz się w swoje łachmany i dalej w świat!

— Tak! w świat! w świat! dalej a dalej! — powtórzyła cyganka, kryjąc twarz w ręce splecione. — Zawsze dalej i dalej bez końca, do ostatka, do śmierci i po śmierci nawet...

— E! babo! *egaszi!* (kobieto) — krzyknął Aprasz — nie stękać: wstydzilibyś się. Tyle twój, coś dzień jaki nędzny odkradła; dosyć stać i w puch wrastać — w drogę! w drogę!

— Jutro! — żywo odpowiedziała dziewczyna zamykając okno — jutro!

— Pamiętaj! jutro!

Nazajutrz z rana jeszcze Aza była we dworze pana Adama, a już szatry cyganów znikła z wygonu: już *werden* (wóz) ładowano, dzieci dźwiżyły kociołki i młoty, podając je staremu, kobiety zwiżyły *plasty* (koldry, pokrycia), a milcząca matka patrzyła na te przygotowania suchém okiem niemój, obojętnój rozpaczy. Stare baby piszczały i krzyczały kręcąc się koło niój.

Z wierzchołka dalekiego wzgórza Tumry przypatrywał się tym przyborom z dziwném w sercu uczuciem; nie żal mu było starego Aprasza i cyganów, jedynój rodziny na szerokim świecie, a jednak w chwili rozstania, kiedy już miał pozostać całkiem sam z sobą tylko, czegoś biła krew do skroni, i rzucalo się serce ściśnione. Przyszłość stawała przed nim czarna i pełna strasznych tajemnic, jak jesienna noc burzliwa, w której głębiach świszczą tylko wichry i miotają się szatani. Tumry przecie postanowił tu pozostać: bez kawałka chleba, bez chaty, bez przyjaciela, dla jedynój dziewczyny, której ojciec zdaleka mu nawet na nią spojrzeć nie dozwalał.

— Co będzie jutro? — pytał się siebie, zasypiając pod gołym niebem u tarnowych krzaków w jarze — co będzie jutro? Umrę z głodu może, będę schwytany jak złoczyńca? Kto wie? lub wywalczę cierpliwością gdzieś róg słomianego dachu i kątek spokojny?

Nadzieja obiecywała niewiele, bojaźń przestraszała marami, żal ścisnął za odchodzącymi; i Tumry nie ruszył się, gdy cygański *werden* zaskrzypiał, tylko oczy zakrył i pogrążył się w sennój jakiejś dumie, co nie była ani jawą, ani marzeniem, a do obojga podobną.

Werden (wóz) był już u końca wioski, gdy przez ogrody i pola przyskoczyła ku niemu zdyszana Aza, w dawnym swym stroju cygańskim, zrumieniona pospiesznym biegiem, milcząca czegoś i gniewna.

— Jesteś? — rzekł Aprasz z uśmiechem. — Zwątpiłem o tobie.

— Jak widzisz stary; ale miejże litość, ruszajmy co żywiój, coś mnie nazad ciągnie, obejrzyć się nie mogę: tęskno mi, ciężko mi. Oj! w drogę! w drogę z piosenką cygańską, daleko a prędko!

— *Egaszi!* — mruknął przez zęby Aprasz, zacinając konia — no! samaż zanuć piosenkę wesolą, nakryj głowę, zakryj oczy, a jeśli i to ci nie pomoże, nachyl blaszanki, wypij *targimom* (wódki), to ci serce rozpowie...

— A Tumry?

— Psi syn! krew *gadziów!* został tam gdzieś ze swojemi; niech go robacy strawią!

Tak półsłowami rozmawiając, spuścili się cyganie w jar głęboki, i wioska znikła im nagle z oczu. Aza szła żywo przodem nie oglądając się za siebie, milcząca i jakby lękając się pogoni, coraz jeszcze przyspieszała kroku, tak, że za nią reszta bandy ledwie wydażyć mogła.

Nagle droga zatętniała, zakurzyło się, zahuczało i mijając wóz Aprasza, konny jakiś przyskoczył do śpiewającej cyganki, która nie krzyknęła nawet gdy ją za ramie pochwycił.

— Co to jest? — odezwał się głos drżący i ochryply Adama — co to jest Aza, powiedz mi, co to jest?

— Co? — odwracając się obojętnie zawołała cyganka — a co ma być? idziemy dalej!

— Ty idziesz z niemi?

— Chciałaś może, żebym w tej klatce waszej została?

— Ale ty nie pójdziesz!

— Ja! a dlaczego?

— Bo ja cię nie puszcę.

Uśmiechnęła się dziko dziewczyna.

— Jakiem prawem?

— Tyś mi obiecała zostać!

— Nigdy! nigdy! A pocóżbym tam została? — dodała zatrzymując się — żebyś mnie za pół roku, czy za tydzień wypędził, albo rzucił jak ogryzioną kość któremu ze swoich lokajów, jak było z innemi?

Adam osłupiał.

— Ja ci dam — rzekł zdyszany — ja ci dam co zechcesz...

— O! o! — kręcąc głową poczęło dziewczę — a jeśli zechcę ślubnego pierścionka?

— Ty szydysz?

— Widocznie; ale gdybym go żądała?

— Tego zażądać nie możesz, bo wiesz, że ci dać nie mogę.

— Ja też nie chcę, ni ciebie, ni twego pierścionka, ni domu, ani nic w świecie... Ty myślisz — dodała goręcej z okiem jak żar płonącym — ty myślisz, że jabym wyżyła tam w twojej *khera* (domu), w tej klatce, zamknięta jak niewolnica? O! to życie nie dla mnie: dla was pieszczochów, dzieciuchów, starców bez krwi i serca... Dosyć mi było spróbować. Bywaj zdrow panie! Aprasz! zacinaj *grami* (konia)!

Cygański *werden* zaskrzyphiał, cyganka puściła się przodem, a pan Adam pozostał jak wkuły do ziemi, błady, gniewny, bezsilny, przewracając w głowie myśli suche, jak liście jesienne, żółte, zimne i nieżywe...

Nareszcie ziewnął szeroko, zawrócił konia, i stępo, coś mrużąc pod nosem, pociągnął się powoli ku staremu dworcowi swojemu.

Tumry pozostał sam jeden, zmuszony w początku ukrywać się przed Lepiugiem, który wyspiegował, że chłopak od swoich odstał i około wsi się błąka. Szczęściem dla zbiega, kowal był taką dla wioski potrzebą, że o jego bytności i ochocie osiedlenia, dowiedziawszy się kilku gospodarzy, wpadli na myśl, by go w Stawisku zatrzymać. Widzieli oni, że Tumry był prawą ręką Aprasza i bardzo zręcznym rzemieślnikiem; uśmiechało się im, że go u siebie przytrzymają: poszli więc do pana do dworu z prośbą i powiedli z sobą chłopaka.

Ale pan Adam kłął właśnie wszystkich cyganów świata, i poprzysiągł zemstę całemu plemieniu *romów*. Poselstwo przyszło nie w porę, odprawił je więc kłatwą i gniewem, tak, że Tumry cały drżący wyszedł ze swemi opiekunami.

— Po wszystkich! po wszystkich! — zawołał na progu. — Nadzieja stracona: albo się powiesić, albo uciekać.

— Cytno, cyt! — rzekł stary wójt kładąc mu rękę na ramieniu — kiedy ludzi nie znacie, nie mówcie nic naprzód, nim się stanie. Pan łaje i klnie i pędza zawsze w początku,

ale go tylko ponudzić trochę, niechaj się wysapi: zapomni gniewu. Niech mu wierzchowca okuć nie będzie komu, to się to wszystko polepi; tymczasem poparobkowalibyście u mnie i poczekali cierpliwie.

Tak się stało jak wójt radził i przewidział: pan Adam przebolewał wkrótce i tęsknotę, a dla Francuzki guwernantki, którą odmówił komuś w sąsiedztwie, 30-letniej już awanturnicy, zapomniał cyganów i cyganek; bo niepiękna i niemłoda już wdowa (która jednak nigdy zamężną nie była) poznawszy dobroć pana Adama, wiodła go na pasku aż do ołtarza. Wójt więc wkrótce potrafił z łatwością wyrobić pozwolenie zamieszkania cyganowi w Stawisku.

Lepiuk, który na to wszystko z boku patrzył i starał się o ile mógł przeszkadzać, rady jednak przeciw panu i całej wiejskiej gromadzie dać sobie nie umiał. Dowiedziawszy się o tém, o mało z gniewu nie pękł. A tu mu i jego własne cygaństwo zawadzało, że głośno przeciw Tumry mówić nie mógł usta miał zamknięte, gdy najwięcej chciał się odezwać.

— A! — rzekł w duchu — pozwolili mu osiąść, niechże sobie siedzi; ale zjé kaduka, żeby za mego życia do Motruny się przybliżył. Nie chcę więcej cygańskiej krwi w moim rodzie.

Gdy przyszło na chatkę i kuźnię wyznaczyć miejsce we wsi, Lepiuk tak potajemnie i otwarcie zabiegał, że dwór, ekonom i gromada, niby ognia się bojąc, niby brzydząc cyganem, odepchnęli go aż za wieś pod cmentarzysko, i tam na pustce pozwolili się budować. W początku panowie gospodarze zobowiązali się jednak dopomódz wraz ze dworem do postawienia chaty; ale gdy przyszło do rzeczy, Tumry przekonał się, że nie będzie miał pomocników nad dwie ręce swoje. Słowa nie rzekł, otrzymał czego chciał: szmat ziemi, pozwolenie zamieszkania; więcej i domagać się nie śmiał, ażeby i tego nie stracić.

Smutne to było miejsce, gdzie mu się wskazano budować; wygnanie raczej, niż ludzka sadyba, naprzeciw mogilnika, ode wsi daleko, głosu ludzkiego nie słysząc; ni zkad ognia, ni zkad wody, ni cienia, ani kawałka ziemi; ale wygnańcowi, co nigdy nie miał nic swojego, i to jeszcze dobrém było. Tumry położył się spać na gołej ziemi i całą noc przedumał, jak tu tę chatę skleić. Na nikogo rachować nie mógł, nikogo poprosić: Lepiuk mu wszędzie szkodził.

Nazajutrz obłany rosą, wstał biédak rano, rozglądając się w pustce swojej; dojrzał obrywu góry, do której mógł się jednym bokiem lepianki uczepić i uśmiechnął się z radości. Głina do obmazania ścian była tuż blisko, ale z czego dach zrobić i ściany?

Po godzinie rozmyśłów poszedł do wójta, który z pługiem i chłopcem ciągnął na swój sznur.

— A co, panie majster? — spytał żartobliwie stary.

— A cóż, panie wójcie — odparł Tumry — coś mi się widzi, że ani dwór, ani gromada nie ma ochoty chaty dla mnie stroić; od dnia do dnia zwlekają, i nic z tego nie będzie.

— Nie wiem, nie wiem — mruknął Lach powoli — ale niewiele i ja na tę zbieraną robotę rachuję. A cóż myślicie?

— Myślę się sam budować!

— Z kim? jak? najmem?

— Toż wiecie, że grosza przy duszy nie mam, ale rąk dwoje nie na żarty!

— Bylebyście sobie jeden klocek położyli sami, jak zobaczą ludzie, że się sami bierzecie, nikt wam i palcem nie kiwnie.

— Czy tak, czy tak, wszystko jedno.

— A jakże sobie sam rady dać potrafisz?

— Powoli skleję lepiankę; nie będzie to *kbera* ale *bukunia* — dodał cygan po swojemu (nie dom, ale buda na ustroniu).

— Któż drzewo ci zwiezie?

— Ja je zniosę.

— O ho! ho! — rzekł wójt, coś poczynacie pleść od rzeczy.

— Dostańcieno mi tylko kwitek do lasu na materyał i podarujcie choć starą *towez* (siekiere).

— Siekiery ci nie pożałuję... to mi później odrobicie za nią — rzekł wójt. — Mam właśnie tępicę, ale jeszcze niezbitą i wcale niczego: warta od siebie rzucając więcej złotych; a kwit i jutro mieć możecie. Ale czyż taki doprawdy myślisz się sam brać do dzieła?

— A cóż? — rzekł cygan — nie mam czego czekać, poprobuję.

Nazajutrz rano, naprzeciw cmentarza kopał już drewnianą łopatą o suchym chleba kawałku Tumry, odrzucając twardą glinę, zbijając chwasty i oczyszczając kilkołokciowe miejsce na ziemi. Człowiek zostawiony sam sobie, przygnęiony i zmuszony do pracy, wiele może: daleko więcej, niżeli wyobrażamy sobie! Prawda, że na każdym kroku szafuje siłą podwójną ciała i duszy; ale wyszafowana powraca mu we trójnasób. Cudem prawie licha kletka cygana, jedną siekierą i dwiema dokonana rękami; każdy kawał drzewa potrzeba mu było lub na plecach dźwigać z lasu, albo zaprząwszy się doń samotuzkiem, ciągnąć powoli przez jary i góry; każde bierwiono samemu ociosać, domyślić się budownictwa, stworzyć całe rzemiosło nieznanne. A ile razy stępiło się stare toporzysko, musiał Tumry, nie mając kowalskich narzędzi, iść mil dwie do kowala, i służyć mu dwa dni za pomocnika, by tym kosztem znowu siekierę nastalić i poprawić. Tymczasem gdy go nie było, przejeżdżający drogą, przechodzący ze wsi kradli mu w pocie czoła nagromadzone drzewo, słoła psuła robotę, góra namokła odsuwała się, źle spojone kloce rozchodziły i spadały, i nie wiem wiele razy runęła budowa, nim ją lichemi beleczkami i łatami pokryć potrafił, zamiast krokwi, liche pozatykawszy kluczyny. Bóg tylko jeden policzył, ile tam kropel potu upadło na ziemię, ile pracy poszło marnie, ile się spotrzebowало wytrwałości i siły.

Ale nieraz same niepodobieństwa jątrzyły człowieka, by je przemógł wzmagały w nim ochotę, budziły myśl, podnosiły męztwo. Śmieli się ludzie poglądając na tę powoli wychodzącą z ziemi, lichą i niepocieszną lepiankę, która przy całej swjej biedocie jeszcze była cudem przemysłu i pracy. Tumry tak się przywiązał do dzieła swojego, tak się z niem zjednoczył i spoił, że nie miał spoczynku, póki go nie dokończył. Dwa razy tylko w dzień odbiegał roboty, żeby wyskoczyć przeciwko Motrunie, spojrzeć ku niej, uśmiechnąć się do niej zdaleka, lub przemówić słowo.

Rzadko się to jednak powiodło, bo stary Lepiuk stał na straży i zbliżyć się im nie dawał; a nadaremnie usiłując wygnać wygnańcuzka ze wsi, wciąż poprzysięgał, że gdyby Motruna dziewczką umrzeć miała, nie da jej za przybłądę i włóczęgę. Motruna nie drażniąc ojca milczała cierpliwie; ale gdy do niej przyszli w swaty, pomimo groźb i łajania, odprawiła z niczém. Lepiuk kłął, bił, rzucał się, ale to nic nie pomagało: dziewczyna wszystko zniosła odpowiadając jedném słowem — „nie chcę.”

Jednego poranku, gdy Tumry około najcięższej części swojej chaty był zajęty, starając się na niej postawić coś, coby belki i dach zastąpić mogło: ujrzał w brzasku i w mgłach wschodnich zbliżającego się ukradkiem Lepiuka, który podparłszy się na grubym kijsku, zamyślony stanął przy drodze i żarzące gniewem oczy wlepił w pracującego chłopaka.

— Buduj, buduj — zamruczał nareszcie półgłosem po długim milczeniu — na głowę twoję, na głowę! Niedoczekanie twoje, żebyś ty tu mieszkał!

I ze złością dodał głośniej:

— Co ty sobie myślisz klejąc ten chlew, słyszysz?

— Co myśleć? że w nim będę mieszkał — odparł spokojnie Tumry nie przerywając roboty.

— Czegoś ty się tu na swoją biędę przywłókl — dodał stary — po co? Mało ci było świata, słyszysz? he?

— A cóż ja wam zawadzam — rzekł cygan — powietrza nie wydycham, wody nie wypiję, chleba nie odjem; stanie ich dla nas wszystkich.

— Ale dlaczego przyszło ci do głowy przyczepić się do naszej wioski?

— Albo wam to co szkodzi?

— Ej! djabełby cię porwał! nie udawaj głupiego, podchwycił Lepiuk — bo ja nie myślę gadać długo. Ot w dwóch słowach: jeżeli sobie ztąd pójdziesz, gdzie cię oczy poniosą, zapłacę ci za robotę i kupię ten chlew; słyszysz, bylebyś się wynosił nie oglądając; a jak nie...

— To co, panie gospodarzu?

— To co! powiem ci tylko, że się tu cało nie osiedzisz!

— Czémże ja wam szkodzę?

— Ho! ho! ty lepij wiesz za co mam zęb do ciebie, nie potrzeba mówić długo.

O Motrunie myśleć tobie wara, z tego nic nie będzie, a ciebie diabli wezmą.

Tumry umilkł ciosając coś powoli około brzozowej krzywjej belki.

— Słyszysz, diabli cię wezmą! — powtórzył Lepiuk, którego zimna krew cygana jątrzyła.

— Kto to może wiedzieć, kogo *Bynk* pochwyć! zimno odpowiedział chłopak — zobaczmy!

— Zobaczmy! I nie chcesz ztąd iść? Mów!

— Nie pójdę, to darmo, nie pójdę, panie gospodarzu...

Lepiuk stuknął kijem o ziemię, zgrzytnął zębami, odwrócił się i odszedł szybko.

W tydzień potem, gdy już się kletka do ukończenia zbliżała, Tumry ze stępioną siekierą puścił się wedle zwyczaju do sąsiedniego kowala i zabawił trzy dni. Powracając marzył i rozpamiętywał o spotkaniu swém ze starym Lepiukiem, o jego groźbach i swoich nadziejach; gdy na zawrocie drogi, gdzie się ukazywało Stawisko, ujrzał na spokojnym niebie wieczora wstęgę sinego dymu, unoszącą się w powietrzu... Tknęło go coś, bo ogień zdawał się pochodzić z miejsca, gdzie stała rozpoczęta chata jego; przyspieszył kroku i wkrótce stanął wryty, postrzegłszy, że praca jego była już garścią dymiącego popiołu. Na ziemi widać było żarzące się jeszcze opadłe głownie, stos rumowisk i niedogasłe pożaru ognisko.

Nie miał siły zbliżyć się Tumry, tak mu pogorzeliśko to odjęło odwagę, taką boleść uczuł w piersi; i pierwszy raz od dzieciństwa dwie łzy puściły się mu z oczu czarnych, paląc twarz do nich nieprzywykłą. Stał i patrzył z załamanemi rękoma, przybity, nie wiedząc co począć, nie myśląc, jak obłąkany.

Ale ta rozpacz niema, straszna, która przejść mogła w szal i zemstę, gdyby z niej łzy nie trysły, trwała tylko chwilę. Cygan podniósł głowę, westchnął, otrząsnął się i odzyskując przytomność i męztwo, żywym krokiem posunął ku zniszczonej lepiance.

Myśl jego zwróciła się znowu ku wytrwaniu i pracy. Com raz zrobił, potrafię i drugi, rzekł w duchu: może łatwiej, może lepij, a na swoim postawię. Niech się Lepiuk wścieka, bo to jego sprawa, ja się nie dam wykurzyć jak pszczoły z ula i komary z izby.

To mówiąc, zbliżył się pod same pogorzeliśko, ciekawem szukając okiem, coby z niego jeszcze ocalić było można; ale ogień nie oszczędził ani patyczka, drzewo spłonęło wszystko i trocha węgla a popiołów dymila tylko jeszcze. Obejrzał się cygan smutnie i rzucił na ziemię pod gliniastym obrywem, który od ognia wypalony na czerwono, rozpadał się i sypał; zwiesił głowę i zadumał.

Wtém drogą usłyszał idących ludzi i sunący się po ziemi przewrócony pług, za którym szedł wójt.

Stary zdala ujrzał przy pogorzeliśku cygana, przyzastanowił się, usta otworzył, ale nie śmiał zaczepić, czując co się tam w duszy jego dzieć musi.

Tumry sam zerwał się raźnie i przystąpił do niego.

— Dobry wieczór, panie wójcie!

— Oj, niebardzo wam dobry — odrzekł gospodarz powoli z wyrazem litości — coście się to darmo napracowali! Wszystko jedna skra wzięła, i z dymem poszło!

— Skra temu niewinna, ale ręka czyjaś — odpowiedział cygan z westchnieniem. — A no, cóż robić, toć się dlatego nie obwieszę...

— A cóż myślicie?

— Co? — rzekł Tumry spokojniej — jutro do lasu, i znów się buduję.

— Czyś ty oszalał! a gdzież ci starczy siły?

— O! o! jeszcze jój jest dosyć — zawołał cygan. — Myślę tylko jak się zabezpieczyć, żeby mi znowu mój przyjaciel węgla nie napalił, nim kuźnię postawię — udając żart dorzucił chłopak.

Wójt ostrożny zamilkł, nie wywołując zwierzeń, ani się rozpytując na kogo padało podejrzenie, choć w tém wątpliwości nie miał, że Lepiuka cygan posądzać musiał.

— I doprawdy — zagadując ozwał się po chwili — myślicie się na nowo budować? doprawdy?

— A nie dalej jak jutro — głosem stanowczym rzekł Tumry. — Siekiera ostra, od-począłem trochę przy kowadle, pójdę w las.

— Ha! szczęść Boże! — popędzając woły zamruczał wójt, z poruszeniem ramion znaczącem — tęgi z was chłopak, co za szkoda że cygan!

Ostatnich słów nie posłyszał już Tumry, który powrócił na popielisko, drżącą je rozgarnął ręką i z zanadry wyjąwszy kilka kartofli, rzucił je w prysk na wieczerzę, którą one i kawał chleba suchego składać miały. Ale spaliły się kartofle, tak się cygan zadumał znowu, nie myśląc o jedzeniu; a gdy ranek świtał na niebie, wstał złamany i zбитy, topór zarzuciwszy na ramię i skierował się ku lasowi.

Szczęściem dla niego, porąb z którego mu materyał na chatę wyznaczono, nie był bardzo daleko, choć go dwa jary i wzgórze od nadanego gruntu oddzielały.

Na ścieżce, którą szedł, widne były ślady tylko co zmarnowanej pracy, przypominające cyganowi krwawy znój jego wczorajszy i dzisiejszy; gdzieniegdzie zeschnięte wały się gałęzie, po ziemi kłody ciągnięte powyrzynały pasy wyszlizgane; tam i sam rzucona wić dębowa zerwana, kawał sznura, odciosany kolek, zatrzymywały idącego Tumry, który je zbierał powoli, myśląc zużytkować. Wczorajszy żal przepalił się już w jego sercu: zastąpiła go silna wola pracy, tłumiąca najskuteczniej boleści.

Tak dumając spuścił się w jar nie patrząc przed siebie, gdy go głos znany ocucił.

— Dobry dzień Tumry, dobry dzień!

O kroków parę przed nim stała z dwojaczkami w ręku piękna Motruna, której czerwone oczy o niedawnych łzach świadczyły.

— Dobry dzień — z uśmiechem rzekł zbliżając się cygan. — A co słyhać?

— Chyba nic nie wiecie? Byliście koło chaty?

— E! nocowałem tam przy ogniu — udając obojętną wesołość odezwał się chłopak. — A cóż? spaliła się, trzeba myśleć o drugiej.

— Znowu tak samo? a to wy się zarzniecie — z litością i wejrzeniem głębokim rzekła córka Lepiuka.

— Nic mi się nie stanie — zawołał cygan ochoczo — bądźcie spokojni; trzeba swojego dopiąć... nic nie pomoże.

— A wiecie z czego chata spłonęła? — badawczy wzrok rzucając na Tumry spytała dziewczyna.

— Wiedzieć nie wiem, ale domyśleć się łatwo: twój ojciec musiał ją spalić.

Motruna smutnie spuściła głowę.

— Wiész — rzekła pocichu i oglądając się — zawczoraj Hryhor Skorobohaty przysłał znowu swatów do mnie; ojciec wziął mnie do komory i zagroził, jeśli ich odeślę, ale nic nie pomogło; powiedziałałam że nie chcę... Wieczorem jak szalony wyleciał gdzieś wzięwszy z sobą krzesiwo z kaletką. Tknęło mię zaraz, że to będzie nieszczęście, poszłam płakać na ogród; aż w godzinę widzę dym na górze przy cmentarzu, a tu i ludzie powybiegali, patrzą, wołają: pali się chata cygańska! Musiałam skryć się, bo na mnie patrzali wszyscy, a ja aż ryczałam z płaczu.

Nieprędko powrócił ojciec, trzęsący się czegoś, gniewny, położył się nie jedząc wieczerzy, nakrył kożuchem i dodziśdnia choruje!

Motruna ciężko westchnęła.

— Oj, na biedęto naszą — dodała po chwili — przystaliśmy do siebie, na biedę i niedolę... ale tak nam sądzono! Duszy nie odebrać kto ją raz dał komu... Już i to nie na los, kiedy ojciec nie błogosławi, a przeklina...

— Słuchaj — rzekł cygan biorąc ją za rękę cały wzruszony — jeśli tobie strach mojej doli i ojcowskiej kłątwy, powiedz słowo Motruno; ja choć cygan mam sumienie: gubić ciebie nie chcę, pójdę ztąd!

Motruna czarne oczy podniosła na niego, ocierając je z lez fartuchem.

— Duszy nie odebrać, kto ją raz dał — powtórzyła — nie czas nam się powracać! Wola Boża! sądzono!

— Niech ci Bóg płaci za pocziwe słowo — odparł silniej coraz przejmując się Tumry — nie pożałujecie tego, coście dla mnie zrobili. Pokażę wam, że cygańskie ręce żelazne i siła żelazna; nie dadzą mi tu rady ani bieda, ani ludzie... Widzisz Motruno, znowu szedłem z toporem do lasu; pocznę chatę nową, i da Bóg prędej ją i lepij dokończę, niż pierwszą; nie przepadniemy!

To mówiąc chciał ją uściskać, ale Motruna spojrzawszy nań tylko, jakby przelęknięta, rzuciła się ścieżynką na pola wiodącą.

— Bracia na łanie czekają na obiad; trzeba spieszyć. Twój bochenek chleba pod kamieniem, gdzie zawsze!

I kiwnęła mu głową oglądając się długo, nim znikła w krzakach kaliny.

Cygan powstał chwilę w miejscu, a potem zapomniawszy chleba, puścił się w las na robotę. Doświadczenie dawało mu teraz wprawę, której nie miał rozpoczynając pierwszą swą lepiankę; lepiej potrafił wybrać drzewo, ociosać, zręczniejszemu do kłód grubszych zaprzęgał i ścieżki wypatrzył mniej strome, gdy je ciągnąć przyszło. Wszakże nie na wiele przydała mu się ta umiejętność: sił jego podwoić nie mogła, ani lepianki pokazniejszą uczynić. Znowu ją rozpoczął klecić z takich samych kawałków, równie niezgrabnie, prędkiej tylko trochę; a podzielił tak pracę, że wprzód wszystko wyrąbał w lesie, co mu potrzebnem być mogło i w bezpiecznym miejscu ukrył, potem dopiero rozpoczynając ściągać materiał na grunt przeznaczony.

W kilka tygodni stos drzewa leżał już naprzeciw cmentarza, a cygan opaloną górę skopywał znowu na ściany lepianki. Przechodzący ze wsi zastanawiali się kiwając głowami i nie wierząc oczom swoim; tak im się upór i przemyśl cygana niepodobnemi do prawdy wydawały. Stare baby szeptały między sobą, zdaleka palcami wskazując ziemiankę rozpoczętą.

— Niedarmo cygan! On coś zna!

Posądzono go o pomoc szatana, a myśl ta przyjęła się łatwo u wszystkich; nawet biędna Motruna choć głową potrząsała słysząc o tém, zalekła się trochę. Ale serce, które wytlómaczy co zechce, rozpędziło tę bojaźń chwilową.

Stary Lepiuk tymczasem leżał chory ciągle, nie wstając z tapczana i przekleństwami okrutnemi ściagał córkę, ile razy mu się nawinęła na oczy. Nie śmiał on nawet dotąd nikogo zapytać o cygana: tak go jątrzyła myśl sama, że mógł, pomimo spalenia chaty, pozostać.

Któręś niedzieli nareszcie przyszli do niego w gości dwóch sąsiadów i siedli przy chorym, rozpytując go, co mu było, a radząc po swojemu, to żydówki znachorki, to baby co zamawiać umiały. Lepiuk słuchał tylko nic nie odpowiadając; po godzinie jakoś się trochę rozruszawszy, posłał po flaszkę wódki, wychylił kilka kieliszków: błysnęły mu oczy, wstał z tapczana.

— A co tam słyhać na wsi? — zapytał schrzyplym głosem.

— Co ma być słyhać — rzekł Skorobohaty — co zawsze: pańszczyznę pędzą a pędzą, ludzie stękają, chleba niewiele a biędy dosyć.

— Czemużbo nie powiecie — przerwał mu drugi — o cyganie, ta to jest czego posłuchać!

Lepiuk się wstrząsnął i drżącą ręką sięgnął po wódkę, której trzeci kieliszek wychylił.

— O cyganie? o cyganie? — pomruczał oglądając się w koło — a no gadajcie, kiedyście o téj bestyi już mówić zaczęli. Czy jeszcze jest we wsi?

— I jest i nie słyhać żeby się wynosił — rzekł Skorobohaty. — Wszyscy mówią, że coś zna, i to pewna. Myśleliśmy, że jak mu się spaliła ziemianka, plunie do licha i Stawisko porzuci; a on już drugą poczęł stawiać!

Lepiuk się zerwał z tapczana, klnąwszy nieprzytomny z wielkiej złości po cygańsku; czego się strzegł, i chyba w największym gniewie wyrwał mu się ten głos stariej natury.

— *Bynka ciawa!* (diabli syn).

Zaledwie słowa te usłyszał, ochłonął i usiadł znowu, patrząc przerażony, czy go zrozumiano; trząsł się cały, ale uśmiechem nadrabiał.

— A to prawda! — skreślił nagle — że cygan twardy! Drugiby i nie pomyślał probować! Napatrzyłem się ja, jak belki z lasu samołużkiem ciągnął, lub na plecach nosił; myślałem, że mu oczy ze łba wylizają, a krew nosem buchnie; ale nie! jeszcze się drugi raz zaprzęgał do swego! No! no! uparta natura!

Słowa te wyrzekł szybko, chcąc widocznie omamić udanym spokojem swoich gości, ale nadto był gniewny, żeby się zdobył na malowaną obojętność.

Oczy mu latały pod brwią, zapalone niecierpliwem rozdrażnieniem, pierś szybko się wznosiła, dłoń miotła jak w febrze.

— Ej! połóżcie się lepiej — rzekł wstając Skorobohaty — nie jesteście jeszcze zdrowi, to zaraz widać: z chorobą nie ma co żartować. Komu jak komu, a nam starym najmniej.

Pożegnali go gospodarze i odeszli. Lepiuk się położył mrużąc. Wieczór przeszedł w milczeniu posepném, noc nadchodziła i spać się już kładziono w chałupie, gdy stary poczęł jęczać i stękać.

Przybiegła córka, ale ją odepchnął z przekleństwem i silnym głosem zawołał starszego syna. Zaświecono lucywo, wszyscy się zerwali na nogi: synowie, najmici, kobiety i dzieci.

— Co tobie ojciec? — spytał starszy przybliżając się.

— Co? — rzekł powtarzając pytanie zwyczajem ludu Lepiuk — ot pora przyszła umierać; i, żebyż pora! ale bez pory skończyć muszę! Niechaj Janko jedzie po księdza... a ty słuchaj, co ci powiem.

Obejrzał się po izbie brew zmarszczywszy.

— Won baby! — zakrzyczał...

Kobiety usunęły się do sieni i alkierza, on sam pozostał z synami.

— Wiecie — zawołał — że Motruna pokochała się z tym cyganem... Jam mu chatę spalił, nic nie pomogło: buduje się słyżę i siada czyhać na nią. Ja sam jestem cygańskiego rodu — dodał ciszej i oglądając się po izbie — ale nie chcę krwi cygańskiej więcej, żeby nas palcami ludzie nie wytykali. Nie puszczajcie Motruny za cygana, choćby wam po nogach lała płacząc, choćby umrzeć miała! Słyszycie! słyszycie?! Jeżeli się uprze niepoczciwa, to ją ożogiem z chaty wygnajcie jak psa, i ani szmaty na koszulę, ani grosza nie dawajcie wyprawy! Ja tak chcę! słyszycie!

— A jak dwór pozwoli? — spytał starszy syn cicho — co mam robić?

— Co ja każę. Zechce iść na zgubę i hańbę, niech idzie; ale to nie będzie wasza siostra, ani córka moja. Precz z nią!

Długo tak jeszcze mówił stary, a Motruna przytulona do nieszczelnych drzwi alkierza, słuchała płacząc a nie śmiejąc odezwać się z jękiem; powtarzała tylko jak nieprzytomna:

— Oj dolaż moja, dola! o dola nieszczęśliwa!

O północy nadjechał ksiądz, a nadedniem stary Lepiuk w gorączce, nieprzytomny, z krzykiem i miotaniem się zmarł, cygańskimi wyrazy niezrozumiałe jakieś nucąc pieśni, opowiadając dzieje i wiodąc rozmowy. Przytomnych dreszcz przebiegał, tak straszliwie męczył się w ostatniej godzinie, nie znajdując w uściech słów innych, nad pierwsze wyrazy dzieciństwa... Może czuł, że się wydaje sam z pochodzeniem swoim i utajoną naturą, a nie mógł powstrzymać, bo własna mowa zdawała się go jątrzyć i w coraz większy szal wprawiać.

Nareszcie sił zabrakło na walkę, oczy stanęły słupem, usta okryła piana, oddech wyrwał się z piersi rozbitę ciężki, głośny, przerażający. Lepiuk skonał.

Krzyk rozległ się w chacie natychmiast i płacz pobudził sąsiadów; Motruna jedna pozostała w alkierzu skulona i przybita do ściany, płacząc łzami bez jęku, jakby się jeszcze obawiała ojca, i powtarzając swoje: o dolaż moja, dola!

Ledwie ją bracia i bratowe potrafiły zagnać do pracy; bo w życiu wieśniaka i najsroźsze cierpienie nie uwalnia od niej: nie ma się kim wyręczyć. Bóg tak dał biednym, by zajęciem boleść osłodzić.

Tymczasem nędzna za wsią lepianka znowu się powoli podnosić zaczynała: stały już słupy, zarzucały się ścianki mizernemi kołkami, które glina pokryć miała, a krzywe uszaki oznaczały miejsce ciasnych drzwiczek i małego okienka. Tumry nadźwigawszy się drzewa, spokojniej teraz na placu już się krzątał, pilnując swego dobra ostrożniej. Trochę słomy rzuconej na pochyło spartych żerdziach, zasłaniało go od deszczu i stanowiło tymczasowe jego schronienie. Wybiegał on czasami w jar pobliski, czatując tam na przechodzącą w pewnych godzinach Motrunę, ale od dni kilku widzieć jej nie mógł; a że z ludźmi wiejskimi oprócz wójta mało się spotykał, nie domyślał się ani choroby, ani śmierci Lepiuka, przypisując bojaźni ojca ostrożność Motruny.

Dnia jednego ku wieczorowi robił cygan około belki, gdy zdala słyszeć się dały śpiewy i płacze: postępujące drogą ku cmentarzowi. Niejeden pogrzeb tak przeszedł już mimo jego chaty; Tumry tylko w czasie obrzędu rzucać musiał pracę i z odkrytą głową stał sparty o ściankę swojej kletki, szanując przypomnienie śmierci, wielkiej *Mutes-oro*, którą i *Romy* nawykli z przestrachem spotykać.

Siekiera jego przestała ciosać; Tumry odstąpił kroków kilka, zamyślił się, ręce na piersi skrzyżował i oczy jego z zabobonną trwogą zwróciły się ku wąwozowi, po nad którym już poczynały powiewać wierzchołki różnobarwnych chorągwi, a między niemi proporzec czarny śmierci z trupiemi głowami i łzami. Orszak postępował powolnie i rozwijał się

na drodze; szli bratczycy, diak, ksiądz, nareszcie dwa siwe woły wielkie, wolno stępując ciągnęły prosty wóz na górę, a z nim białą trumnę wieśniaczą, na której bochenek chleba w szarym ręczniku spoczywał: ostatni chleb pożegnania!! Za wozem tuż ujrzał Tumry idących dwóch braci Motruny i ją samą zawodzącą boleśnie; serce na chwilę bić mu przestało, wlepił oczy, pobladł, domyślił się że *mates* zabrała mu nieprzyjaciela. Dzięki dziecię włoścogów nie uczuło ani politowania, ani żalu: uczucie jakiejś radości i nasyconej zemsty, pogańskie, poruszyło jego sercem; ale razem z niem przyszedł wstyd, i Tumry schował się za węgiel lepianki, by nie stać zwyciężonym na oczach. Motruna ani spojrziała na chatkę ukochanego, przed którą zastanowił się wóz żałobny, bo przez bramę cmentarzyka wjechać nie mógł, a trumnę wniesiono na barkach do przygotowanego wprzód dołu.

Przez cały ciąg smutnego obchodu cygan nie słyszał ani śpiewu, ani narzekania: tak silnie miotała nim nadzieja odrodzona doścignienia celu, pochwycenia Motruny... Stary nie żyje, powtarzał zadumany, stary nie żyje, bracia nie będą mi się przeciwiać, wójt mi dopomoże: ona moja! Byłem chaty dokończył, ona moja być musi!

Ani się spostrzegł, jak sucha ziemia zasypała zwłoki starego Lepiuka; zaskrzypiał wóz, rozeszli się ludzie, i znowu milczenie głucho, przerywane tylko krakaniem wron zbierających się na słoć, zaległo puste wzgórze. Niespokój pędził go do pracy: pochwycił siekierę i wybiegł z za węgła, rzucając okiem ku mogiłnikowi. Nikogo już tam nie było, tylko naprzeciw wrót żółta świeża mogiła, a po drodze ślady świeżych kół i stóp ludzkich świadczyły o obrzędzie, który bez nich mógł się dla cygana snem wydawać.

Nie postrzegłszy nikogo już podnosił toporzysko, gdy go ktoś zcicha pozdrowił. Odwrócił się przerażony; wójt z twarzą zafrasowaną stał niedaleko na kiju oparty.

— A cóż tam Tumry? — odezwał się stary — pracujecie, pracujecie, ani myślicie spocząć?

— Póki sił, panie gospodarzu: „co się zaczęło potrzeba skończyć”, mówi cygańskie przysłowie i cygańska natura.

— A ot i my tu przyszli nie w porę z temi odwiedzinami — dodał Laszuk kiwając głową — i przyprowadziliśmy sąsiada, któremu nocką może niebardzo rad będziesz.

Cygan trochę się zmieszał, ale chciał udać, że nie wie kto umarł.

— A kóżto zmarł? — spytał obojętnie.

— Nibyto nie wiecie — odparł wójt. — Toż Lepiuk, i bez czasu! Gryzł się, gryzł podobno Motruną, i nie wytrzymał.

Cygan milczał z głową spuszczoną.

— A taki — dorzucił Laszuk — i umierając swego nie darował, bo synom słyszę srogo przykazał, żeby Motruny za was nie dawali.

Tumry wzdrygnął się cały, podrzucił głową.

— Co mówicie? — zawołał — doprawdy?

— Najpewniej: słyszałem od sąsiady, która słuchała z sieni, jak synów uczył przed śmiercią. No! a co myślicie teraz?

— Cóż? — rzekł powolnie młody chłopak — nie zląkłem się ojca, nie przelęknę i synów; co Bóg da, to da, a ja swoje robić muszę.

— Ej! porzucilibyście — odparł wójt. — Chatę sobie budujcie, kuźnię stawcie, ale gospodarskiej córce dajcie taki pokój, bo bracia nie pozwolą, a i gromada za nimi: chybąbyście ją gwałtem porwali.

— A kóż gwałtem bierze żonę! — zawołał Tumry — to u was niewidziana rzecz: i gdzieżbym ją poprowadził? Nie mówmy lepij o tém, panie gospodarzu.

Wójt poczuł, że go nie przekonał i ramionami ruszył tylko w milczeniu.

— Tać wola twoja, nie gadajmy; nie chcecie dobrej rady, to jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz: co mnie do tego! Ot księżyc wschodzi, czas do domu! Dobranoc!

— Dobranoc — odpowiedział cygan, i znowu wziął się do swojej roboty.

Słońce już było zaszło, księżyc w pełni wypłynął powoli na niebo, ostatki wieczornych brzasków i światła nocnego mieszając się z sobą, stanowiły zmrok przejrzysty, a Tumry z nadchodzącą nocą nie przerwał ciesielki. Praca była mu potrzebą bo myśleć nie dawała, płakać i trapić się; i spoczywać też nie mógł obok tój świeżej, żółciejącej mogiły, którą oczy jego spotykały wszędzie, która mu się mnożyła wokoło i w tysiącznych przedstawiała kształtach.

Całą tę noc pierwszą spędził zapalczywie rąbiąc co napadł, przy świetle pełni na czystym niebie, co chwila się wstrząsając za każdym wierzby niedalekiej szelestem: bo szmer ten, śmiechem mu się zmarłego wydawał i zimny dreszcz przelatował mu po plecach, gdy myśl podbudzona szalem uczucia, wywołała Lepiuka z mogiły, a z nim tysiąc nieboszczyków wstających na pomoc.

Nawet cisza nocy, wśród której każde uderzenie jego siekiery rozlegało się z dziwnym brzmieniem rozchodzącym się daleko, przerażała Tumry; pot lał się z niego strumieniem, siły się wyczerpywały, oko mgłą zachodziło, wśród której żółte skakały mogiły. On rąbał, rąbał, siekł aż do brzasku, a gdy słońce zarumieniło wschód chmurny, rzuciwszy nareszcie siekiere, padł na ziemię bezprzytomny.

Nocna praca zniszczyła niemal cały zapas drzewa, porąbanego w nieforemne kawałki.

Gdy się obudził, słońce piekło skwarne, a zdala huczała nadchodząca burza; poprzędzający ją wichur szalał na wzgórzu, i onto chłodząc pierś jego przerwał mu sen dziwny, znużenia i gorączki. Tumry z dreszczem i spaloną wargą obejrawszy się po niebie, zaledwie potrafił zwlec się pod słomiany swój daszek, na garść zeschniętej trawy, na której upadł znowu, czując, że żelazna ręka choroby ciśnie mu pierś i głowę.

Wypadki wczorajsze, pogrzeb, rozmowa, nocne szale: wszystko mu się mieszało w kłębek różnobarwnych nici nierozpętany, który ręka *Nasuo* — *oro* (choroby) targała i miotła bezlitośnie.

— Umiierać! to umrzeć! — zawołał cygan waląc się na ziemię — tak lepiej niż się męczyć.

Wkrótce Tumry stracił znowu przytomność. Myśli jak burza na niebie zwiły się mgliste, jasne, czarne, piorunowe i poczęły przebiegać rozpaloną głowę; czas, miejsce, wszystko znikło z przed niego, a pozostało niewysłowione, dziwne, a zarazem rokoszne cierpienie, coś nakształt snu utkanego z przypomnień ziemskich i widzeń niebieskich. Była tam i nędzna młodość, i śpiew Romów, i wykrzywione ich twarze, i taniec *Azy*, i stukot młota *Aprasza*, i dymy cygańskiego kotła, i skrzyp ich woza, i *Motruna*; i stary Lepiuk, pogrzeb, mogiła, noc, pożar chaty i postacie jakiegoś nieznanego, straszne i wdzięczne, i przeczucia niewysłowione, i wszystko czém brzmi życie i czém mówi śmierć nadchodząca.

Zdawało mu się, że umiera, a umrzeć nie może, że leży martwym w jednej trumnie obok cygana Lepiuka, a w pierś jego wbijają krzyż i wbić nie mogą, bo go krew buchająca wypycha.

Po widzeniach tłumnych, ciszej się jakoś poczęło robić w jego duszy, jak gdyby już umarł: ustąpiły dręczące widma, szaro zawlókł się widnokrąg i spokój mogiły skrzydłem go chłodnym otoczył.

Otworzył oczy, zdawało mu się że śpi znowu, bo ujrzał przed sobą płaczącą *Motrune*, która dzbanek do ust jego nachylając, śledziła w nim ostatki życia. Kropla wody orzeźwiła go wreszcie, mgły gorączki rozchodząc się poczynają, pojaśniało mu w oczach, ruszył się, podniósł powoli. Nie było sen: piękna *Motruna* klęczała przy nim oblana łzami i mówiła do niego, ale słów jej jeszcze zrozumieć nie mógł. Brzmiały mu one w uszach jak pieśń jakaś dźwięczna, którą naprzóżno silił się schwytać.

— Tumry, Tumry — wołała dziewczyna — co ci to jest? Odpowiedz mi? co ci się stało?...

— Co mi się stało? nic! Był pogrzeb, potem rąbałem noc całą, potem usnąłem, śniłem burzę, mogiłę i nie wiem jak spałem długo.

Dziewczyna w ręce klasnęła.

— A toż trzeci dzień, jak mego ojca pochowano, zawołała. — Tyś chory, tyś trzy dni leżał bezprzytomny...

— Chory! może — słabo odpowiedział Tumry — ale cóż zrobić chorobie? Głód i sen ją przemogą, lub ona człowieka; na to tylko *Mroden-oro* lekarzem...

— Ja pójdę do dworu — przerwała dziewczyna — do pani; juścić nie dadzą tak umrzeć człowiekowi bez pomocy: oni się znają, oni poradzą...

Tumry nic nie odpowiedział, ale wzrok obłąkany: bezsilny i bezmyślny, którym rzucił na *Motrune*, przeraził ją do reszty; zerwała się.

— Oto woda! oto chléb — zawołała — a ja polecę do dworu. Jeśli nic zrobić nie zechcą, sama powrócę; niech bracia zabiją mnie jeśli chcą, a ja ciebie tak nie opuszczę.

I rozplakane dziewczę wprost przez jary i krzaki puściło się ku pańskiemu dworowi, myśląc a frasując się, jak i do kogo z prośbą swoją przystąpi. Ani się spostrzegła biedna, jak ją ten los, który często tak rozumny bywa, że mu w pewnych razach wcale inne wartoby dać nazwisko, zaniósł w piękny ogród otaczający dwór pana.

Mieszkał tu jeszcze pan Adam, ale już żonaty, gdyż wykradziona guwernantka, *Madame Le Roux*, szybko poprowadziła sprawę małżeńską, i ani się opatrzył kochanek, jak mężem został. Wielkie zmiany zaszły we dworze, w którym już nie pan, ale pani panowała, silną dłonią chwyciwszy męża i wszystko co ją otaczało. Pan Adam był, co najdziwniejsza, zawsze zapalonym kochankiem i pierwszym jęj sługą, choć kilka miesięcy upłynęło już od pierwocin szczęścia jego. Tę stałość winien on być niepospolitej znajomości serca ludzkiego, z jaką umiała nim kierować żona. W istocie byłato najlepsza aktorka, najprzebieglejsza kobieta, najdowcipniejsza ze wszystkich guwernantek, jakie kiedy z Francji do nas przybyły, gnane biedą lub nadzieją. Wiele doświadczywszy na świecie, napatrzywszy się ludzi zbliska, pani Le Roux, a drudzy mówili panna Le Roux, doskonale świat i człowieka znała. Co dla drugiej zdawać się mogło niepodobieństwem: ujarzmienie i ustalenie takiego jak p. Adam człowieka, dla niej było igraszką. Potrafiła go zaciekawić, przyciągnąć, utrzymać i rządzić nim, najpospolitszej do tego używając sprężyny: — miłości własnej; na inne bowiem uczucie tu rachować było niepodobna. Adam ubóstwiany, czuł jakby mu się z wdzięczności na czulsze sentymenta zbierało, i dawał się prowadzić zgnuśniały, gdzie mu iść kazano. Przypomnijmy sobie, że nasza powieść dzieje się przed kilkudziesiąt laty, a może odgadniemy jak wyglądała Francuzka. Byłto szczątek kobiet sentymentalnych, które strojąc się na nutę wieku, bez uczucia, grały nieustanną egzaltacją i rozczulenia. Pani Adamowa wiecznie krążyła w tych sferach d’Arlincourtowskich, z Ibsiboe i innymi heroinami; na świat spoglądając okiem, które wszędzie widzieć chciało co wyczytało w książce. Romans był jęj zajęciem, namiętnością, pokarmem; łowy uczucia całego życia celem. W sercu wszelako spokój panował największy, bo cały ów szał był sprawą zabałamuconej głowy. Zimna, wyrachowana, ostrożna, grała egzaltacją poświęcenia, męczeństwa; a po świecie tak szukała książkowych awantur, jak Don-Kiszot ciężycieli niewinności i uciśnionych heroin.

Nieszczęściem mało znajdowała pokarmu pani Adamowa w coraz bardziej prozaicznych czasach, których rzeczywiste oblicze z całą swoją poezją niepostrzeżone przed nią się usuwało.

Właśnie w chwili gdy zapłakana Motruna wpadła do pańskiego ogrodu; chodziła pani Adamowa z książką rozczulającą o przypadkach jakiejś nieznanomiej, po ścieżce nad wodą, wzdychając choć się jęj bardzo poziewać chciało. Szelest liści rozbudził ją z odrętwienia. Zrazu sądziła, że z krzaków wystąpi rycerz, przyklęknie, załamię ręce i wynurzy swe płomienie przed pięknym zjawiskiem, za które siebie poczytywała; zdziwiła się więc mocno, ujrawszy zapłakaną wiejską dziewczynę, która biegła ku dworowi z oznakami przestachu i niepokoju.

Ale że Motruna była pomimo swego stroju wiejskiego wcale piękną, a boleść dodawała jęj jeszcze wdzięku i wzniosłości; pani Adamowa przeczuwając w tém wszystkiém jakąś romansową awanturę, trochę nawet podejrzewając męża, co ją przestraszyło, wstrzymała dziewczynę. Pobyt jęj w Polsce wyuczył ją tyle języka ludu, że go zrozumieć już mogła; przystąpiła więc ku zapłakaniej i spytała ją, czego i dokąd tak leci?

Motruna, która pani szukała, na nią tylko rachując, że złożonemi rękoma poczęła jęj opowiadać naprzód o cyganie, potem o sobie, potem nagłona zapytaniem, odpowiedziała całe smutne a krótkie dzieje poznania, pokochania, śmierci ojca i choroby Tumry.

Francuzka słuchała z natężoną uwagą, chwytając łakomie wyrazy; szczęśliwa, że nareszcie w żywym świecie znalazła kochanków, miłość prześladowaną, i calutenki romans, wprawdzie w zgrzebnej koszuli, z bohaterem cyganem, z heroiną chłopką, ale zawsze niezmiernie dla zgłodniałej wrażeń, łakomy.

Chwyciła za rękę dziewczynę składając książkę, zapomniawszy nawet o miejscu w którym czytać przestała, i odżywna pobiegła z nią do dworu. Pan Adam drzymał po obiedzie; obudził go stukot szklanych drzwi i tak szybkie opowiadanie żony, że w początku rzucając oczyma to na nią, to na zapłakaną Motrunę, nic a nic zrozumieć nie mógł.

Przyszedłszy trochę do przytomności, znudzony zawsze i obojętny, pozwolił na wszystko, czego piękna Fanny wymagała po nim. Posłano natychmiast wóz po cygana, konie po doktora do miasteczka ruszono wszystkich ludzi, którzy pluli i klęli zmuszeni krzątać się dla włóczęgi; i nim słońce zaszło, Tumry leżał na folwarku, a w głowach jego łóżka siedziała Motruna, stała pani Adamowa i doktor.

W chorym oprócz gorączki pokazało się wyczerpanie sił pracą: skutki długiego cierpienia i niedostatku; ale natura potężnie jeszcze walczyła w nim z całym młodości zasobem, by go podźwignąć. Potrzeba mu było najwięcej spoczynku, pociechy i posiłku.

To wszystko znalazło się we dworze, a pani Adamowa zajęła się zaraz losem dwojga kochanków, zaprzysięgając, że ich musi połączyć.

Pani Adamowa, która już wówczas dla odżywienia męża podróżą, a raczej dla zobaczenia Francji i ukochanego Paryża, wybierała się za granicę, nie patrząc na to, że chata cygana nie była ukończoną, że świeżo zmarł był ojciec Motruny, zaprzętniętą była z właściwą sobie żywością połączeniem kochanków.

Jak tylko doktor uspokoił ją o zdrowiu Tumry i zapewnił, że żyć będzie, rozkazała natychmiast przywołać do dworu braci Motruny. Przyszli oni smutni, zafrasowani, nie wiedząc co począć, poniekąd domyślając się o co chodziło, bo cała już wieś wiedziała, że cygana do dworu przeniesiono, i że nim się sama pani opiekowała. A że do traktowania z nimi nie czuła się zdolną pani Adamowa, ani pan Adam: wysłano ku nim totumfacckiego, przybyłego do Stawiska jakoś niedługo po pobraniu się nowożeńców, kapitana Harasymowicza.

Słówko o panu kapitanie nie zawadzi. Byłto ranny w kampani którejś przeciwko Turkom, mężczyzna w sile wielu jeszcze: zdrow, olbrzymiego wzrostu i pięknej postawy. Mały mająteczek jaki posiadał w sąsiedztwie, złożony z dwóch chat tylko, puszczał dzierzawą, a sam przebywał to tu, to owdzie, włócząc się od komina do komina, z jednymi polując, z drugimi grając w karty, z innymi pijąc i hulając ochoczo. Byłto *natus* sekundant do wszystkich pojedynków, pretendent do każdej młodej wdowy, i gość przy wszystkich imieninach: jednem słowem rodzaj pasożyta, któremu choć niewielkie mienie własne dawało trochę niezawisłości i dozwalało głowę podnosić do góry.

Oprócz tych zajęć, kapitan handlował chartami, strzelbami i wszystkiemi, co miał; a miał zawsze ładne rzeczy, jak gdyby umyślnie dla facyndy. On i pani Le Roux znali się od lat kilku, a złośliwi ludzie nawet mówili, że w bardzo czułych byli stosunkach; to pewna, że zaraz po przeniesieniu się pani Adamowej do Stawisk i on się zjawił, zajął kwatery w oficynie, rozgospodarował się, charty sprowadził i zdawało się, jakby tu miał zamieszkać. Pan Adam mówił nawet o powierzeniu mu majątku na czas podróży za granicę. Niedołężność pana Adama, który rad się każdym wyręczał, dała pole kapitanowi schwycenia rządów majątku, dworu i opanowania Stawiska. Zręczny przytém umysł, charakter silny i przewaga, jaką mu otrzymać było łatwo nad gospodarzem, co dzień mocniej go na tém stanowisku ubezpieczały.

Z panią porozumiewali się jednem wejrzeniem i, jak służba mawiała, znali się jak łyse koty; a we dworze tak osiodłali znużonego pana Adama, że wydawał się we własnym domu rezydentem na lasce. Pieszczono go za to i pochlebiano mu co wlaźło, a wlaźło co chcieli.

Kapitan miał wysokie rozumienie o swych zdolnościach, urodzie, zręczności i w ogóle o przymiotach, któremi go obdarzyła natura: nic mu się nie wydawało trudnem. Wyszedł też do Lepiuków z miną gromowładcy, z cybuchem, którego jeden koniec krył się pod wąsem, a drugi włókł prawie po ziemi, w bok ręką się wzięwszy, pewien, że rzeknie słowo i przekona ich.

— No! — rzekł siadając na ławce w ganku naprzeciw dwóch chłopaków — wiecież czego was zawołano do dworu?

— Nie! Jaśnie Panie! — nisko się kłaniając, odpowiedzieli chłopcy.

— A zatem — dodał kapitan uśmiechając się — chcecie żebym wam powiedział o co chodzi. Słuchajcież.

— Słuchamy! — szepnęli podnosząc głowy chłopci.

— Pani i pan chcą, żebyście waszą siostrę Motrunę dali za tego cygana, który tu na kowalstwie osiada; to ich wola i tak być musi.

Lepiuki spojrzeli po sobie i zamilkli; starszy wystąpił po chwili z nowym pokłonem aż do ziemi i odezwał się, dusząc czapkę:

— Toćby my to Jaśnie Panie nie sprzeciwiali się temu, kiedy taka wola państwa, ale jest przeszkoda wielka.

— Jaka? co za przeszkoda? — ofuknął kapitan.

— A cóż poradzić z nieboszczykiem, który tego nie chciał i zaklął nas, żebyśmy Motruny za tego włóczęgę nie dawali. Słowo ojcowskie, słowo boże; synowi słuchać, nie rozbierać.

Kapitan, który moralność pospolitą zawsze uważał za doskonałą rzecz dla gminu, ale nieobowiązującą dla siebie, uśmiechnął się wzgardliwie.

— Co tam ojciec! — rzekł machając ręką. — Ojciec umarł, a wy róbcie co wam każą.

— Kiedyż myśmy się ojcu obiecali — odparł Lepiuk.

— Jakżeście mogli obiecywać, co nie w mocy waszej dotrzymać? — zawołał głośniejsz kapitan. — Dziewczyna tego chce, dwór pozwala i rozkazuje, cóż wy możecie przeciwko temu?

— Motruna nie może tego chcieć, kiedy wie, że ojciec nie pozwolił — przerwał młodszy Lepiuk.

— Cicho!! — wrzasnął kapitan, stukając fajką z energicznym gestem — nie wdawaj się w rozprawę. Słyszycie rozkaz, słuchać i po wszystkich; tak pan chce, tak być musi.

Bracia jakby naradzając się, spojrzeli na siebie, trochę przestraszeni zapalczywością pana Harasymowicza.

— Ale Jaśnie panie... ośmielił się starszy.

— Tu nie ma ale — przerwał wąsacz — nic, nic, posłuszeństwo i po wszystkich. Dacie Motrunie co się należy, wyprawicie wesele...

Lepiuk młodszy podniósł głowę, jakoś zadraśnięty rozkazem zbyt absolutnym kapitana, rumieniec wybił mu się na twarz, ręka zadrżała.

— Kiedy taka wola panów, a my przeciw temu nic nie możemy, to cóż gadać? Ale dla nas święta wola ojca, który umierając mówił, że jeśli Motruna pójdzie za cygana, on się jój wypiera za córkę, a my za siostrę. Niech państwo robią co chcą, ale wesela nie sprawim i z chaty nic nie damy, choćby nas nie wiem jak karać miano.

To rzekłszy, umilkł Lepiuk zagryzłszy wargi, a kapitan hardością niespodziewaną uniesiony, aż podskoczył z ławy.

— Co ty śmiesz mówić! — zakrzyczał — łajdaku jakiś! Będziesz się ty woli pańskiej sprzeciwiał! A wiész ty czém to pachnie!?

Lepiuk ani drgnął, ani się ruszył, ani okazał zmieszaniem, tylko zimne oczy zwrócił na kapitana i stał milczący; ale widać było w nich tak silną wolę, tak nieprzełamany upór, że Harasymowicz uczuł się zbitym i nie wiedząc co począć, zabelkotał tylko jeszcze:

— Ruszajcie, a com mówił, to się zrobić musi; z tobą zaś będzie inny porachunek — dodał grożąc Lepiukowi. — Idźcie precz!

Bracia skłonili się i poszli, a kapitan ochłonawszy nieco, wszakże nie swój trochę, wcisnął się powoli do salonu.

Naprzeciw niego wybiegła z iskrzącymi ciekawością oczyma pani Adamowa.

— A co kochany kapitanie? — spytała wdzięcząc się.

— Nic, chłopci jak zwykle chłopci: trochę się upierają, ale musi się tak zrobić jak chcecie.

— Mówisz że się opierają?

— At! plotą, że ojciec umierający zakazał im dawać tę dziewczynę za cygana, że się jój wyprą: głupstwa plotą. My zrobimy jak pani każesz...

— Jakto! mówisz że się nie godzą?

— Ale któżby ich pytał!

— Są więc z ich strony przeszkody?

— Dzieciństwo! wola twoja, pani, jest tu wszechwładną.

— Ale ja nie chcę jój nadużywać, wolę środki łagodności!

Kapitan ruszył ramionami.

— Co tam środki łagodności! U nas jest jeden tylko środek powszechny na wszystko: — kij; ten działa lepij i skuteczniej niż najwyszukańsze argumenta. Będą się sprzeciwiać, każemy ich ochłostać i kwita.

Czuła Francuzka wdrygnęła się, upadła na krzesło i twarz zakryła rękami białymi.

— Ach! barbarzyńco kapitanie! chyba żartujesz! Ja tego nie chcę, ja tego nie pozwalam; ja się oburzam na samą myśl przemocy.

— No, to rób sobie pani co chcesz — odparł kapitan ruszając ramionami — a ja się do niczego nie wdaję.

— Pan bo się musisz wdawać, i musisz robić jak ja każę — zawołała niecierpliwie Francuzka tupiąc nogami; — zawróć tych ludzi i staraj się ich ująć łagodnością, datkiem, pieniędzmi, czém chcesz, ależ przecież nie kijem!

— Ale zmiłuj się pani, tego się nie podejmuję — oburzył się rezydent. — Dziś ich zawracać, a toby dopiéro nosa do góry zadarli! Jutro się pomówi z niemi, bądź pani spokojną.

Tak się w pokoju skończyła rozmowa nadejściem pana Adama, który ziewając wsunął się przez przecucie godziny herbaty. My przenieśmy się na wieś, z powracającymi Lepiukami.

Koło karczmy oczekiwano na nich kilku poważniejszych z gromady, wiedzących już, że ich zawezwano do dworu, a ciekawych jak tu sobie państwo postąpią. Usposobienie ludzi jakkolwiek cyganowi niezbyt w początku nieprzychylnych, skłaniało ich ku Lepiukom raczej; przeczuwali bowiem, że przeciw nim będzie dwór, i oburzali się na to wtrącanie się w domowe ich sprawy. Ztąd i cygan będący przyczyną wdania się panów, coraz im bardziej obmierzał; nie mieli z niego posługi żadnej dotąd, a tu im zagrażało, że się z nimi bracić będzie, co dla wszystkich niemiłym było. Nim Lepiuki powrócili ze dworu, w kupce oczekujących już żwawo rozprawiano o tém małżeństwie i jego skutkach.

— Co to — mówił Skorobohaty, poprawiając pasa i podskakując jak miał zwyczaj na jednej nodze — co to? lada przybłęda, wołokita będzie nam zpod nosa brał gospodarskie córki i na naszej ojcowiznie osiadał. Tego u nas nie bywało! Co tu panu do tego, co my robimy z naszymi dziećmi: albo to nie krew nasza, o którą tylko Pan Bóg spytać może?

— A to prawda — ciszej dodał tchórzliwszy Symiacha — ale nie gadajciebo tak głośno! jeszcze kto posłysz! Cyt! cyt! A ot i Lepiuki: choćmy z nimi do ich chaty, bo tu przed karczmą niezdrowo; zaraz dworaki doniosą, że już się wieś buntuje, i biéda będzie.

Skorobohaty ruszył tylko ramionami, ale przyjąwszy radę, posunął się ku chacie Lepiuków, do której i oni ze spuszczonej głowy powolnie zmierzali.

— A co? — zapytał ciekawie — czy taki o Motrunę?

Bracia radzi zasięgnąć od doświadczonego zdania, opowiedzieli mu całą swą rozmowę z kapitanem i ostatni wyrok jego. Starszy powtórzył, co mu trochę uniósłszy się zwiastował.

— Dobrześ powiedział, chłopcze — począł Skorobohaty — tak się i należało, i tak róbcie; dwór się pomiarkuje, ta *chrancuzka* się złęknie, a kapitan... *oj! oj! sławny buben za borami!!* Alboż to pan! nic z tego nie będzie...

— No! a jak się uprą! — rzekł młodszy Lepiuk.

— To niech ją wydają do trzysta diabłów — gorąco podchwycił stary — niech ją sobie wydają za kogo chcą; a jeśli cygan ją weźmie, cała wioska wyprze się i jój i cygana, nikt do nich słowa nie przemówi, nikt im ręki nie poda, nikt ich znać nie zechce. Ot! co będzie...

Spojrzał Skorobohaty po gromadzie, wszyscy widocznie poklaskiwali mu i potakiwali.

— Tak! tak! niechaj siedzą w chacie pod mogiłkami, a do wsi się nie pokazują nawet, bo ich psami wyszczujemy!

— Psubrat cygan — podchwycił drugi — będzie sobie dziewczki u nas wybierał! ho! ho!

Stańło więc na tém, że bracia mocniej jeszcze w oporze swoim podtrzymani przez gromadę, zaprzysięgli siostry nie dać po dobrej woli i wrócili do chaty nic nie mówiąc Motrunie, ale chmurni jak noc.

Ona przeczuła co się tam działo na wsi: widziała jak szli do dworu, dostrzegła narady ze Skorobohatym, domyśliła się co za wyrok padł na nią; ale udawać musiała, że o niczym nie wie, że się tém ani zajmuje. Jako na najmłodszą, spadły na nią najcięższe domowe posługi; bratowe gromiły ją nieustannie: milczała i płakała. Ciężko nawet było teraz wyrwać się do dworu dla widzenia się z cyganem, bo jój nie spuszczano z oka, a gdy przyszło na pańszczyznę, posyłano inną, żeby nie miała z ręczności zajrzeć na folwark.

Nazajutrz wieczorem znowu posłano po Lepiuków obu, a kapitan z instrukcją nową wyszedł ku nim prawie uśmiechnięty.

— No! — rzekł — musieliście się namyślić od wczora; nie ma co wody warzyć. Motruna musi pójść za cygana, a zatem przygotujcie jęj uczciwe weselisko...

Lepiuk się pokłonił do ziemi, gdyż wieśniak wołyński kłania się nawet gdy słuchać nie chce, z nałogu.

— Niech sobie państwo robią co chcą — odezwał się z pokorą i jakąś rezygnacją zastanawiającą — my ani wesela nie sprawim, ani możemy na to się zgodzić co ojciec zakazał; to już ja panu wczoraj mówiłem.

Kapitan spojrział w oczy młodemu chłopcu i zdziwił się, spotkawszy toż samo wejrzenie zimne na pozór, ale niewypowiedzianie potężne, które go wczoraj tak zastanowiło. Czytał w niem bezwładny opór człowieka: który już przygotował się na wszystko i czeka co z nim uczynią, nie myśląc się dać pożyć na groźbie, ani prośbie, ani boleści. Nie ofuknął się tą razą pan Harasymowicz, ale rozśmiał, choć go to niepospolicie podrażniło.

— Gdyby to moja była sprawa — odezwał się powoli — wiedziałbym jak począć. Wasi państwo aż nazbyt są dobrzy i łagodni; nie chcą was siłować wola ich!! Powiem wam więc od państwa, że pani bierze na siebie i koszt wesela i posag Motruny i jeszcze obiecuję wam wasze posłuszeństwo wynagrodzić, ale żąda, żebyście tak zrobili, jak ona każe.

Lepiuk schylił się znowu do ziemi.

— Bardzo dziękujemy państwu — odezwał się nieporuszony — ale kiedy taka była wola ojca!

Kapitan już się zrywał, świerzbiał mu cybuch w rękę.

— No! pani wam daje parę wołów, byleście tak zrobili, jak się jęj podoba... Słyszycie!!

Lepiukowie spojrzeli po sobie, starszy się zgiął, westchnął i rzekł:

— Cóż my poradzim, kiedy ojciec tego nie chciał!

— A cóż u sto tysięcy diabłów — krzyknął kapitan — więc i to odrzucacie?

— Wola pańska i Boska! — westchnął starszy.

Napróżno kapitan prosił jeszcze, fukał, groził, gniewał się, ofiarował pieniądze: nic nie pomogło. Lepiukowie zostali przy swoim i odeszli przygotowani do zniesienia co los nada.

Gromada jednogłośnie oświadczyła się za nimi, i trudno wyrazić jakie uczucie pobudził w nięj, ten tak mało napozór znaczący wypadek. Im silniej nalegał dwór, tém uporniej obstawali przy swoim bracia, a cała ta sprawa wywołała w Stawisku niechęć ku panom i gorszą jeszcze nienawiść dla cygana.

Nareszcie pani Adamowa przekonana, że inaczej jak siłą nie zwycięży, rozkazała Motrunę zabrać do dworu, posłała na zapowiedzi i wbrew woli wszystkich, zajęła się weselem, przyspieszając je z powodu wyjazdu za granicę, który natychmiast miał nastąpić.

Smutnężto zaprawdę było to wesele! Napróżno zastawiano wódkę, piwo i sute przyjęcie: nikt ze wsi nie przyszedł, bracia ani się pokazali, żadna dziewczyna nie chciała być druhną, żaden parobek swatem i marszałkiem; wszystkich urzędników wesela musiano wybrać z ludzi obcych i dworskich. Upor zacięty gromady był nie do pokonania.

Nikt prócz państwa nie pobłogosławił biędnej dziewczynie; płatka nie dano jęj z chaty ojcowskiej, bracia pochowali się, żeby się z nią nie spotkać. Widząc to Tumry i przeczuwając jakie ich czeka życie, chciał uciec i wyrzec się swego szczęścia; ale lży Motruny, bojaźń wystawienia ją na późniejszą zemstę rodziny, sama w ostatku miłość, przemogły.

Dziewiczy wieczór zszedł bez pieśni prawie, korowaj upieczono we dworze bez tych obrzędów, jakie towarzyszą zwykle mieszaniu i przygotowywaniu symbolicznego placka; w cerkwi pustka, w siole jak wymiół, a wieczorem na tańcach sami dworscy, hałastra pijana. Nikogo krewnego, nikogo swojego, nikomu przytulić, pocieszyć i ośmielić sierotę. Motruna rozlewała się we łzach ciągle: tak ją już przerażała przyszłość, którą widziała przed sobą. Cygan siedział zadumany, przeleżał swym losem, jak żywy posąg smutku; tylko czarne oko zpod brwi nawisłój błyskało.

Na tém, myślicie zapewne, powieść nasza skończyłby się powinna. O nie! w książkach tylko wesele wszystko zamyka, w życiu od niego się dopiero poczyna historia ludzi; za

niem idą pierwsze rokosze, cierpienia, nadzieje, zawody, rozczarowanie, praca i cały szereg znanych wprzód tylko z nazwiska uczuć i wypadków. Właściwiej daleko bohaterowie powinni się żenić w pierwszym rozdziale; ale w ten sposób smutniejszą choć może więcej zajmującą byłaby powieść, odarta z chwil nadziei, zamknięta w rzeczywistości. Dopóki miłość (a miłość, niestety! nie z natury malowana, ale tak prawdziwa jak pejzaż Bouchera lub Watteau) była jedynym przedmiotem powieści: — ostatnią jej kartą ślub być musiał. Dziś wcale inaczej: — przedmiotem powieści jest życie samo, ze wszystkimi objawami swemi i w całej swjej nieprzebranej różnitości; miłość i wesele w niem chwilą i jedną tylko kartą w opowiadaniu.

Wracamy do Motruny i cygana.

Nazajutrz po ich pobraniu, państwo Adamowie ruszyli za granicę, zostawując rząd majątku kapitanowi, i co z niemi się stanie, niebardzo się już troszcząc. Francuzka sądziła, że dopełniła do czego się czuła obowiązana, czuła parę łącząc na wieki węzłem nierozzerwanym; nie przyszło jej na myśl nawet, że nazajutrz po ślubie może im chleba zabraknąć.

Tak było w istocie; chata Tumrego stała niedokończona, drzewo nawet przygotowane na nią popsuł był owęj nocy po pogrzebie, kiedy nim dziwny strach owładnął. Pani zostawiła im tylko jedną krowę, bracia nic nie dali, a małżeństwo nazajutrz po weselu nie wiedziało gdzie się podzić i czém się dalej wyżywić.

Kapitan, który pozostał w Stawisku, po odjeździe dziedziców wcale nie myślał się kłopotać losem nowożeńców; a że izba, w której przytulono cygana była potrzebną i nie było ktoby się zaopiekował sierotami: oddano im najgorszą krowę z obory i rozkazano szukać sobie schronienia na wsi.

Tak ledwie skrzypki ucichły, biedni zostali bez dachu, bez przytulku, nie wiedząc gdzie się podzić, i całą wieś mając przeciwko sobie. Ani pomyśleć nie można było zapukać do drzwi chaty: niktby ich nie przyjął. Ze dworu wypędzony cygan wziął Motrunę za rękę, która maleńkie zawiniątko niosła tylko pod pachą, i w milczeniu wyszli, kierując się ku cmentarzowi.

Kawałek wczorajszego korowaju, całym był ich zapasem. Tumry unikając dla żony przechodzenia przez wioskę, wyszukał instynktem ścieżkę poza ogrodem, i jakkolwiek była niewygodną, wolał się nią puścić, niż spotykać się z ludźmi coby z nich szydzili. Ze spuszczoną głową i zadumany szedł myśląc jakby tu sobie poradzić. Chacie brakowało dachu, części ścian, drzwi, okien, pieca, i całego gospodarskiego sprzętu; nie mieli ani grosza, ani mąki, ani chleba, ani nawet dzbana, którymby wodę zaczerpnęli... Co począć? od czego zacząć? gdzie tę krowkę zamknąć? czém ją karmić?

Motruna płakała i pocichu łamała ręce, niekiedy przypominając przekleństwo ojcowskie; i szli tak nie śmiejąc się odezwać jedno do drugiego, pod górę, drożyną, aż ku poczętej chacie zagrodnika.

Zdawało się, że oboje radzi byli przedłużyć drogę, oddalić chwilę stanowczej rozmowy; ale ścieżka krótsza niż inne, zawiodła ich wprędce przed drzwi cmentarza i lepianki.

Tumry w milczeniu przywiązał krowę do słupa, a Motruna sparła się o ścianę, oczy nieprzytomne wlepiając w cmentarz, na którym jeszcze żółciała ojcowiska mogiła.

Jej lzy bolały nieszczęśliwego cygana, który czuł, że z jego przyczyny płynęły; choć bezsilny i sam cierpiąc, wymógł na sobie uśmiech i odwagę.

— Nie płacz — rzekł do niej pocichu przybliżając się — płacz nie pomoże, potrzeba myśleć co z sobą zrobimy. Ja chatę dokończę przed zimą, tymczasem choć jedną izbę zamknę za dni kilka; ale żyć nie będzie z czego, trzeba naprzód krowę sprzedać.

Motruna gotowa się była zgodzić na wszystko, choć w sercu żał jej było tego stworzenia, które czémś więcej dla niej było niż datkiem pieniężnym: było zajęciem, towarzystwem, nadzieją.

— Szkoda krowki — szepnęła — ale cóż robić? Jak trzeba, to mus...

— Czémże ją przekarmim, a czém wyżyjem sami! Wszak to jesień!

— Poszłabym do braci...

— Do braci? — podchwycił cygan brew marszcząc, nigdy! nigdy! Gdybyśmy konali z głodu, ręki do nich nie wyciągniemy; trzeba sobie wystarczyć. Nie mów mi o tém... Czasu nie możemy tracić; idź z krowką do miasta, sprzedaj ją, wiesz co na gospodarstwo

potrzeba; ja muszę z chatą spieszyć... Tylko śmiało, Motruno, niech się ludzie wściekają, a ja im pokażę, żem coś wart!

To mówiąc cygan z zapalem jakimś pocałował ją w czoło, zrzucił z siebie opończę, porwał siekierę, oczy mu się zaskrzyły, chwycił się do roboty. Motruna patrzyła na to, i odwaga powoli wstępowała jęj do serca; dumiała chwilę, potem odwiązała krówkę od słupa, otarła oczy fartuchem, i z niejakiem wahaniem, żegnając męża w milczeniu, skierowała się drogą ku miastu wiodącą.

Cygan tymczasem jak w gorączce rwał się do roboty. Od czego tu począć? jak sobie dać rady! Opadały ręce, czuł rozpaczliwie niemożność; to znów pragnienie pokazania swęj siły podniecało go i utrzymywało. Robota w takim usposobieniu szła szalenie szybko, a ręce dźwigały ciężary, które chyba dusza pomagała im podnosić, bo w zwykłym stanie nie byłby się nawet o nie pokusił. I było widok zajmujący tego człowieka z czołem chmurném, z usty zaciśnionemi, oblanego potem, miotającego się jak cyklop wśród nawału bierwion i drzewa różnego, które w silnych dłoniach jego chrzęszczało. Siekiera gorzała mu w rękę, trzaski leciały świszcząc w powietrze, a wola dokazywała cudów; co chciał, robił z taką pewnością, z takim jakięms przeczuciem skutku, że się ani zawahał przed niepodobieństwem. Nie pomyślał nawet o spoczynku, o jadle, o wytchnieniu, a im więcej pracował, tém praca stawała mu się lżejszą. Ani się spostrzegł, jak noc chmurna nadeszła i nagle zciemniło mu się zupełnie.

Powlókl okiem po niebie osłoniómem, dobył krzesiwo, naniecił ognia z trzasek i obłamów, i nuż znów do dzieła! Wiatr rzucał mu w oczy dym gorący, migąło światło rozdmuchiwane i gasnące naprzemiany; Tumry na nic nie zważał, a sama robota podnosząc go coraz bardziej na duchu, potęgowała w nim wszystkie władze, przechodzące zwykłe normalnego stanu granice.

Szło mu o zarzucenie jakiego takiego stolowania na maleńką izdebkę, w której chciał żonę swą ukryć; zrana nie było jeszcze belek: musiał je pozaciągać, a łaty i koły sparte na nich wieczorem, zastępowały jako tako brakujący daszek. Zarzucił je Tumry słomą, ziemią, trzaskami, czém miał; okienko niezaszklone zasuwą naprędce wystruganą obwarował, lecz drzwi nie było zrobić z czego...

Gdzie tu dostać lada jakich choćby desek lub tarcicy? Zadumał się Tumry, zadumał, ale nic w głowie znaleźć nie mógł; na drzwi rady nie było.

Północ już nadchodziła i kury piałły na wsi, a księżyc rozbiwszy chmury, półtwarzą wychylał się ku ziemi, gdy cygan siadł znużony, myśląc i przemyślając nad drzwiami. Gdyby nawet mógł kupić tarcic, jak tu je przywieźć? Wójt przyjaciel, teraz trzymając z gromadą, nie pomógłby już biedakowi.

Sen wreszcie zamknął powieki spracowanego, ale i we śnie drzwi nie dały spoczynku. Ciało zasnęło, dusza pracowała jeszcze latając po świecie myślami niespokojnemi. I jak się często zdarza silnie zaprzętionym pragnieniem jakięms, we śnie dopięro Tumry znalazł drzwi swoje. Przed samym cmentarzykiem, naprzeciw w rowie leżał zbutwiały i przepuchniały mostek, nieużyteczny zupełnie, bo wrotka cmentarza teraz położone wpoprzek, miejsce jego zajmowały. Tumry mógł zabrać kilka desek zgnilych nie czyniąc szkody nikomu.

Na tę myśl serce mu zabiło, obudził się, oczy przetarł; potrzeba było zaraz to spełnić, by po dniu kto kradzieży nie dojrzał; i choć się lękał zbliżyć do świeżęj mogiły, wola gorąca popchnęła go gwałtownie: — poszedł ku cmentarzykowi.

Księżyc jakby go śledził, zakryty na chwilę, ukazał się znowu, zajaśniał i pomógł biednemu, który wlaższy pod drzwi leżące, namacał kilka desek, zgarnął je, pochwycił i uciekł, czując jakby go cmentarne gonilo powietrze.

Długo potem jeszcze dyszał niespokojny, ale radość zwycięstwa dodawała mu odwagi; położył się nareszcie pokrywając sobą wilgotną zdobycz swoję i usnął.

Zbudził się ze dniem, a przypomniawszy, że miał już z czego zbić drzwiczki, porwał się znowu do roboty; ale zaledwie ciosać zaczął i przymierzać deski, czoło się jego zasępiło: ujrzał na nich głębokó wyrzynięty krzyż, rok i jakieś znaki, po których kradzież jego łatwo poznać było można. Ręce mu znowu opadły.

Odrąbać tych znaków nie było podobna; spróbował je zgładzić, ale wilgoć przejadła deskę na wylot prawie i krzyż choć zdarty, plamą czarną w głębi drzewa wychodził ciągle.

Jakiś zabobonny strach na widok tego niezagłodzonego godła owładnął cyganem, chwycił wszystkie deski znowu, przebiegł drogę z niemi i zarzucił je pod mostek.

Chwilę tylko jednak trwało wahanie, bojaźń, niepewność; siekierę założył na ramię i puścił się w las. Żywej duszy nie spotkawszy na polu, wbiegł w zarośla szumiące jesien- nym suchym szelestem, rozglądając się w nich i nie wiedząc co począć. Myśl pracowała w nim tak żywo, że wszystkie deski, jakie gdzie spotkał w życiu, przychodziły mu na pamięć, widział je ze wszystkimi ich szparami, sękami, ćwiekami w nich sterczącymi, ale żadna nie mogła mu na te nieszczęsne drzwi posłużyć.

Szedł tak sobie dalej a dalej, wiedziony instynktem jakimś, bez ścieżki i drogi, gdy go przestraszył głośny śmiech dający się słyszeć tuż blisko. W każdym spodziewając się nieprzyjaciela, Tumry stanął gotując się do obrony i brwi nasrożył; obejrzał się: pod sosną siedział mały człowieczek.

Dobryto był znajomy cygana: zwano go we wsi głupim Jankiem: nieokreślone stworzenie, pół waryata, pół mędrca, postać osobliwsza i człowiek nie jak drudzy. Głupi Janek mógł mieć lat dwadzieścia kilka, ale znacznie wydawał się starszym: twarz miał blade- -żółtą, schorzałą, wykręconą jakby od wielkiej choroby, i żaden włos jój nie zarastał; oczy ciemne, małe, sterczały wśród niej, jak dwie tarnki okrągłe... Małego wzrostu, rąk bardzo długich, nówek cienkich i nieproporcjonalnie krótkich, co się jeszcze dziwniej przy rozrosłej i olbrzymiej głowie wydawało. Janek podobny był bardzo do tych poczwars le- -śnych, któremi wyobraźnia ludu zasiewa puste ostępy i bory. Od dzieciństwa za bezsilnego i na nic niezdatnego uznany w chacie, Janek włóczył się i robił co chciał: albo na piecu i za piecem wysypiając się na grochowinach, lub po lesie wałęsając się — co wołał. Znały go we wsi wszystkie psy i dzieci, bo jedne zawsze za nim ujadły, a drugie go prześlado- -wały nielitościwie; krewni, siostry, bracia, wszyscy nim poniewierali, a często mizerny kawałek chleba który wyprosił, gorzko mu wymawiano, choć niesprawiedliwie, bo Janek spełniał dobrowolnie najcięższe posługi. Nosił wodę, dźwigał drwa, zbierał grzyby, objął konopie i podejmował się ochotnie, czego kto inny zrobić nie chciał. Janek nawet mimo głupoty, którą mu przyznawano, wcale nie był głupim; ale że się śmiał prawie ze wszystkiego, co słyszał, ruszano nań ramionami, i nazwano szalonym. Dziwne położenie biednego karła nie rozjątrzyło go wcale przeciwko ludziom, owszem wesół zawsze, uśmiechnięty dla każdego, do rozmowy chociaż szeplecił i trudno mu z nią szło, gotowy; chętny do pomocy każdemu, od niejednego rozumnego wart był więcej. Ale we wsi, jak na szerszym świecie, gdy kogo raz głupim okrzykną, niechże się z tego wyplączę! Janek pozostał głupim i może temu winien był swoją swobodę.

Spotykali się oni z cyganem w lesie nieraz, a biedny włóczęga uczuł dla podobnego sobie biedaka jakieś politowanie; rozpoczął z nim rozmowy, pokazywał mu gdzie jakiego drzewa trzeba było szukać w lesie, dawał czasem parę grzybów. Tumry oswoił się powoli z głupim Jankiem i już go nie liczył za nieprzyjaciela.

— A! a! — odezwała się poczwarka siedząca pod starym dębem z uśmiechem, który podobniejszy był do skrzywienia niż do wesolej miny — dobry dzień, panie młody: czego to w lesie szukasz?

Cygan potarł czoło, wstyd mu było powiedzieć; ale Janek mógł pomódz.

— Może kalinowego stołu? może cisowego progu do chaty? — mówił dalej chłopak i począł śpiewać jakąś piosnkę weselną o kalinowym moście. Zanucił piszczącym, schrypłym głosem, przerwał i zbliżył się do cygana:

— Gadajże kochanku — rzekł przymilając się — czego ty taki zadumany? co to tobie? A to brzydko nazajutrz po weselu patrzeć po lesie, jakbyś już gałęzi szukał! No! co tobie trzeba? może ja ci pomogę?

— Podobno ani ty, ani nikt, chyba diabeł, rzekł chmurno Tumry.

— E! fe! kochanku, cyganku, serduszko, gołąbku — począł Janek — na co tobie tego szlachcica wzywać w takim ciemnym miejscu? Ja się go i na polu boję! Ot! lepij powiedz co tobie braknie, już ja ci pewnie pomogę i bez niego.

— Gdzie tam! — rzekł cygan — chatę jak chatę, polepię jakkolwiek; ale drzwi, pęknij, nie mam z czego zrobić! Deski nie upiłuję, ani kupię jój, ani nawet ukrasć.

— A tybyś ukradł!? — śmiejąc się i grożąc spytał Janek. — Cyganku, kochanie, nie dziwuję się, że tego jegomości wspominasz! Fe! gołąbeczku! na co tobie cudze brać, kiedy i tak poradzić sobie można...

— Jakim sposobem? — spytał cygan.

Wszak to, co niczyje, tego wzięwszy człowiek nie kradnie — rzekł zamyślając się z udaną powagą głupi Janek.

— A zapewne.

— Otóż tu w lesie jest stara buda — szepnął pocichuteńku chłopak — bardzo stara, tylko że się nie wali. Kiedyś w niej mieszkał leśniczy jakiś, ale się na drzwiach powiesił; od tej pory opuszczono chatę, a drzewa z niej nikt nie weźmie pewnie: może tybyś był odważniejszy? Jabym go nie ruszył, ale kiedy chciałeś diabła, nie mówiąc złego słowa, prosić o tarciczkę, toż i tę wziąć możesz.

— A gdzie to? — zapytał gorąco cygan.

— Chodź, ja cię zaprowadzę — odpowiedział Janek, schwycił kij ogromny wyższy od siebie i nuż sadzić przez pnie i krzaki.

Choć niezgrabny i krótkonogi, Janek tak był wprawny do chodu i tak się dobrze znał z lasem, że cygan ledwie go mógł napędzić; niekiedy obejrzał się, uśmiechnął, przyzastanowił, i znowu dalej. Po drodze to grzyba chwycił do torby, to krzak jagód wyrwał z ziemi, to się zaczął na wiewiórki przebiegające od drzewa do drzewa. Tumry milcząco nie spuszczać go z oka, szedł w milczeniu.

Kręcili się po lesie około godziny, aż nareszcie w gąszczy zapustów młodych, Janek pokazał zdaleka palcami cyganowi coś nakształt zrujnowanej chaty. Trudno było poznać teraz, czém to dawniej było, bo dach opadł, ściany się porozsuwały, postarzały kluczyny, komin pleciony rozwalił, a zielska i trawy objęły w swoje władanie tę dawniej ludzką siedzibę. Pod jedną z jej ścian jakoś przysłoniętą od deszczu, stały nieforemne drzwiczki, na których wisiała jeszcze resztką sznuru przegnilego. Cyganowi aż oczy pojaśniały; rzucił się ku temu skarbowi, schwycił go, ale ledwie dotknięte, w rękę mu się rozsypały.

— Otóż masz! — krzyknął Janek — szkoda naszych nóg, cyganeńku: i to próchno!

Nie byłoto jednak próchno całkowite: kilka się tarciczek choć podziurawionych przydało. Tumry podziękował swemu doradcy, zarzucił je na plecy i zawrócił.

— Cóżto ty myślisz sobie sam wziąć wszystko? odezwał się towarzysz — a mnie to gołąbeczku nic nie dasz?

— Albo ty dzwignął? — uśmiechając się z politowaniem odparł cygan.

— Dajże mi połowę, a spróbuję! — odpowiedział głupi Janek.

Zdziwił się niepomału Tumry, ujrzawszy jak niedołężne to napozór stworzenie, lekko, zręcznie i bez trudu niosło swoje brzemie, podśpiewując.

Ani się spostrzegli, gdy rozmawiając stanęli nad brzegiem lasu. Tu Janek deski swoje porzucił, uklonił się słomianym kapeluszem cyganowi i szepnął:

— Ruszaj sobie kochanećku sam; jakby mnie z tobą ludzie zobaczyli, powiedzieliby, że my obadwa czarownicy, a mnieby może i chleba za to w chacie nie dali. Bywaj zdrów! Ot patrzaj, że i głupi Janek na coś się zda! Cha! cha! jaki ja wielki pan, co jeszcze drugiemu świadcze! Gwałt! gwałt! a to cud! — Wziął się w boki — cha! cha! i śmiejąc się do rozpuku, poleciał do wsi co miał tchu.

Motruna z krówką swoją powoli szła do miasta i płakała biedaczka; płakała, aż za łzami świata jej widać nie było. Droga wiodła przez wioski, przez wielki gościniec; ludu na niej wiele, a każdy co przechodził zwracał oczy na piękną, młodą, ustrojoną kobietę, która z chudą krówką szła płacząc. Żydzi zwłaszcza domyślając się, że bydlę było na sprzedaż, a łzy dowodziły pozbycia się, kilka razy Motrunę zatrzymywali. Dawano jej coraz mniej za staruszkę, której chude boki i najeżona sierć, niebardzo zachęcały, i tak dowlekła się do miasteczka.

Wiatr trochę łzy osuszył, myśl się rozkołysała widokiem bożego świata, potrzeba było pomyśleć o przyszlém gospodarstwie, i Motruna stanęła na targu, zadumana co pocznie.

Tu ją zaraz obstarpił żydzi, żydówki, żydzięta, wieśniacy i targ się rozpoczął na bydlę, którego niepozorność a zatem i taniość zwabiała wszystkich uboższych. Ani się opatrzyła jak przybito ręce, jak wyliczono pieniądze, wzięto postronek i krówka z oczu jej zniknęła. Na dłoni miała młoda gospodyni trzydzieści kilka złotych; ale jakże to było mało na tyle potrzeb, na cały dom! Poszła kupować zapomniawszy płakać; ale nowa bięda, gdy się to

wszystko zebrało: i garnuszki i wiadro i dzbanek i sito i dzieżka i niecólki — niepodobna jój było zabrać tyle sprzętu.

Musiła szukać kogoś, coby z targu jechał na Stawisko do domu i powracał próżno: ledwie więc pod noc zwłókszy co kupiła, ruszyła ku domowi. Jechali wołami, najęty chłopak był pijaniuteńki; po drodze góry wielkie, noc ciemna, jeden Pan Bóg strzegł i prowadził. Z każdego pagórka wóz staczał się z łoskotem i zdawało się, że w kawałki poleci; ale stawał jakoś szczęśliwie w dolinie i woły szły dalej powoli, choć gospodarz ich sparszy głowę na nowej dzieżce, usypiał szczęśliwie.

Dobrze już dniało, gdy wóz się zastanowił naprzeciw cmentarza. Motruna ujrzała Tumrego zbijającego drzwi i z dumą pogładającego na swoją lepiankę. Młoda kobieta oczom swym wierzyć nie chciała: cudem się zappełniły ściany, zappełniła ściel, przygotowały nawet drzwiczki! Stała, złożyła ręce i zląkała się nawet trochę, bo pomyślała, że kto wie — cygan czarownikiem być może. Czary to były woli i odwagi...

Zniesiono co kupiła Motruna, ale na rozmowę na pociechę, na spoczynek nie było chwili czasu; on musiał tworzyć swój szałas, ona myśleć o chlebie i wodzie, bo tych dotąd nie było w chacie. Trzeba było iść po wodę do dalekiego źródła, żeby się z kim ze wsi nie spotkać, zamiesić choć placek, bo na chleb pieca jeszcze nie było, i zwarzyć choć garść kartofli przywiezionych z miasta.

Cygan tymczasem siekiery z rąk nie puszczał i gnał się z robotą. Drzwiczki wreszcie prawie całe się zlepiły, choć więcej w nich było sztuki niż w najmisterniejszego snycerza pracy, około wytworknego sprzętu. Stare deski rozpadały się za dotknięciem, dziur w nich było mnóstwo, musiał je cygan łątać, zabijać, sztukować i wiązać, gdzie kołkiem, to znów lisztewką, a nawet sznurkami; wszystko mu było dobre, byle trzymało. Ale co za zwycięstwo gdy na wrzeciądzach osikowych, skrzypnęły raz pierwszy drzwi chaty cygana, gdy je zamknął i zasunął, gdy pomyślał, że je z niczego prawie utworzył!! Za te drzwi oddałby był całą chatę, taką mu w sercu sprawiły uciechę.

Uśmiech jego, wywołał wesela trochę na smutną twarz Motruny, siedli w kątku nowej izby, na kupie mchu, którym mieli resztę szpar pozatykać, rozłamali pierwszy kawałek chleba pod ścianą swój chałupki i cyganowi lzy strumieniem polały się z oczów.

Zobaczył przyszłość przed sobą.

TOM II

Jest w człowieku siła, na której rzadko kto się poznał, rzadko kto użyć jęj umiał. Siła to czarodziejska, która dokazuje cudów: podbija pod swą władzę wszystko co ją otacza, pęta żywioły przeciwne, walczy zwycięsko z czasem, przestrzenią, zniszczeniem; której potęgą wznoszą się dzieła olbrzymie, stają się cuda niepojęte — tą siłą jest wola!

Słówko, ale co w tém słowie! Jakie skupienie władz wszystkich, jakie spotęgowanie człowieka! Rozbierz wolę, a znajdziesz w niej treść i istotę najwyższych przymiotów ludzkich; tą jedną sprężyną pociągnięte, wchodzą w ruch i działanie siły nieznanne, uspięne, nadziemskie, których nic nad nią poruszyć nie zdoła. Ustaje woli działanie, a zmienia się cały człowiek: słabnie, osuwa się, upada i niknie!... Wola nie jest wyłączną potęgą geniuszu, talentu, rozumu; każdy ją mieć może, kto ją w sobie wyrobił, i od najlichszego robaka ziemi, każdy nią cudów dokaże. Całe życie praktyczne stoi na woli; brak jęj czyni niewolnikiem³, jak posiadanie jęj władcą. Na tęg osi obracają się koła losów, niewidzialną kierowane dłonią, ale poruszane jedną siłą woli.

Nie wiem, czy więcję się dziwić potrzeba olbrzymim piramidom egipskim, celi pu-stelnika wykutęj dłonią drżącą w twaręg skale, czy chacie cygana zlepionęj niczém z niczego?

Zmierzcie siły i ich skutki, a otrzymacie wypadek sprawiedliwy: bo wielkość dzieła rachuje się władzą jego twórcy. Drobny, niewidzialny otworek, który wyrył robaczek w drzewie, dla mnie przynajmniej jest tak zadziwiającą budową, jak tunel pod Tamizą, żłobiony ręką i myślą ludzi tysiąca. Ciężar jaki mrówka dźwiga na swój *tumulus*, złożony prawie z mikroskopijnych okruchów, wzbudza więkšie podziwienie we mnie, niż obelisk luxorski przyciągniony do Paryża. Tak samo i w sprawach ludzkich: bylebyś wpatrzył się w ten światek maluczki, na który mało kto oczy obraca, znajdziesz w nim i piramidy, i dzieła olbrzymie, i cuda stworzone jedną tylko wolą, może bardziej zdumiewające niż to, czemuśmy codziennie dziwić się przywykli.

Naprzeciw cmentarza w Stawisku wznosiła się już chatka, dzieło jednęj silnęj woli, zdumiewające ogromem, choć liche z pozoru. Nikt nie pomagał dźwigać drzewa, nikt go prócz cygana nie ciosał i nie spajał, nikt nawet dobrém życzeniem nie wsparł osamotnionego robotnika; a jednak sklecił tę lepiankę, po każde polano drzewa chodząc z osobna do lasu, każdy dyl dźwigając na plecach pod górę, i za wyostrzenie siekiery pracując u kowala, bo mu inaczej jak czasem swoim zapłacić nie mógł.

W kilka tygodni po weselu i po opisanych wypadkach chata Tumrego była prawie na dokończeniu. Wielką w tém pomocą stała się dla niego żona, bo jęj widok zagrzewał go, zachęcał, a pracowite dłonie nie jedno polano przywlekły pod cmentarzysko. We dwojgu, praca już lżejszą stała się cyganowi; a gdy wieczorem uznojony upadł na lichęj ławie odpocząc, miał ku komu zwrócić oczy, miał już przemówić do kogo.

Motrunie przywyklęj do domowego gospodarstwa, które się dostatniém w porównaniu do nagich ścian ich chałupki nazwać mogło; ciężko było oswoić się z tym bytem, dla którego utrzymania wszystko niemal stworzyć było potrzeba z niczego. Tak mało, zdaje się znajdziesz w ubogięj chacie wieśniaka, a jednak ile tu niepostrzeżonego sprzętu, drobnostek, które powolnie nabywać, robić, dostawać musi. W chałupie Tumrego, prócz kupionych przez Motrunę na targu najpotrzebniejszych rzeczy, nic a nic nie było. Cygan obchodził się upieczonym kartoflem i zaczerpniętą w dłoń wodą. Począwszy od wiadra, sprzętu pierwszjęj potrzeby, przy którém jeszcze czerpak być musi lipowy, ileżto brakło co chwila! Stół, ławy, niecki, cebry, dziżkę dostać musieli, bo się bez nich obejść nie mogli we dwoje. Jednym tęg chlebem żyć było trudno, a ogrod zasadzać za późno.

W początku myślała Motruna, że wieś i bracia, którzy się tak nieprzyjaźnie stawili dla nich, dadzą się przekonać i nakłonić do przebaczenia; ale zaraz pierwszych dni przekonała się, że albo wiele na to czasu byłoby potrzeba, lub nigdy może dokonać się to nieda. Wieśniak ma to do siebie, że w raz powziętém uczuciu i myśli trwa uparcie; nie ma on czasu na rozmyślanie, na rozbiory tego, co uczuł i przedsięwziął: czyn zajmuje mu niemal życie całe, raz więc stanąwszy na drodze, zbic się z nięj nie daje niczém. W sercu

³niewolnik — wyraz cudowny, malujący nie-wolę, to jest człowieka bez-woli. [przypis autorski]

jego rozbudzone wzruszenie dzień jeden podaje drugiemu dniowi, a myśl, z którą usnął z wieczora, wstaje z nim nazajutrz rano.

Bracia Motruny stanęli właśnie na gościńcu, z którego ich nic sprowadzić nie mogło; owszem, dwór wdaniem się swoim przyparł ich jeszcze do niego, a cała wieś oświadczając się za nimi i pośmiertną wolą starego Lepiuka, niepodobnym prawie czyniło dla nich cofnięcie się.

Jakkolwiek kowal był bardzo wiosce potrzebny, zarzekli się wszyscy, że Tumrego nie użyją, choćby o mil kilka z naralnikami chodzić mieli. Bracia Motruny zerwali z siostrą zupełnie, i zdala nawet nikt nie spojrzął litościwie na tych wygnańców z pod cmentarza, których lepianka powoli się nakrywała i kończyła.

Przejeżdżając drogą, każdy z ciekawością poglądał na chałupę cygana, ale jak skoro znajomy zobaczył Motrunę w progu, popędzał konie żeby ją minąć, odwracając twarz ku cmentarzowi, bez powitania i dobrego słowa. Najodważniejsi nawet z gromady, starym zwyczajem trzymali z gminą i słuchali jej wyroku.

Dni tak upływały, a żywa dusza nieprzestąpiła proga, i nie słyszeli głosu nad swój własny; a gdy długa noc jesienna nadeszła z wichrem i burzą, tulili się do siebie z zabobonnym strachem, bo obojgu w tej pustce na myśl przychodził rozgniewany Lepiuk i sąsiednia jego mogiła.

Pracy tak było wiele, a znój tak nieustanny, a przyszłość tak straszna, że oboje nie mieli jeszcze czasu boleć nad dniem dzisiejszym. Toćto jedyna ulga wielkiej nędzy, że ona przed sobą daleko nie widzi. Szczęśliwsi dręczą się jutrem, płacąc za pomyślność dzisiejszą niepokojem przyszłości; biedny, w opasany zewsząd dolą swą dodniową widnokregu, na nią już tylko boleje. Tak i z niemi było.

Tumry zwłaszcza w znoju kończąc swą chatę i poczynając kuźnię, ani się oglądał na nadchodzące: głód i zimę. Motruna czasem myślą wybiegła po kobięcemu naprzód, ale ją odciągnęła troska powszednia. W istocie, przyszłość była groźna, a nawet dla najędźniejszych zastraszająca. Dwór pusty z kapitanem Harasymowiczem na gospodarstwie, nie mógł być żadną pomocą; wieś odsunęła się od nich całkowicie, bo nawet Maxym Lach unikał ich teraz; do postawienia kuźni więcej jeszcze potrzebował cygan pomocy niż kiedy, a z kąd było wziąć żelazo, młoty, kowadło, i pierwszy narząd rzemieślniczy?

Jakkolwiek przywykł Tumry po cygańsku obchodzić się lada czém, wszakże i miech, i cęgi, i młot, i kowadło były konieczne. Na horno potrzeba było cegły, i cygan sam zbudować go nie umiał! A bez kuźni jakąż znów dla nich przyszłość, i z kąd wziąć chleba kawalek?

Podtrzymywała go nadzieja, że gdy warsztat swój postawi, gdy ludzie zobaczą tuż blisko to, czego dotąd daleko szukać musieli; powoli zaczną się udawać do niego z pilniejszą robotą choćby ukradkiem, a za przykładem śmielszych pociągną się i bojaźliwsi.

Wiele jeszcze jednak potrzeba było do tego.

To, co pozostało Motrunie ze sprzedaży krówki, wychodziło powoli na kupno najpierwszych potrzeb do życia: mąkę, krupy omastę i nieustannie odkrywające się jeszcze nowe w domu niedostatki; ani pomyśleć mogli o przysposobieniu kuźni i potrzebnych do niej narzędzi z tej odrobiny, którą jeszcze mieli, bo ta musiała być obróconą na pilniejszej wydatki.

Cygan jeszcze jednak nie tracił serca, nie postradał odwagi, a praca nie dawała mu czasu na próżne narzekania i rozpacz. Choć chatka jako-tako zlepioną była powierzchownie, jeszcze w niej ściel musiał zakładać i lepić, ze szczątków szkła połapanych na śmieciakach, jakie-takie porobić okienka, postawić ławy, stół, łóžeczko. Krzątał się więc nieustannie latając do lasu, a w domu ciosając i przybijając od świtu do nocy. Ledwie im pozostawała chwilka na południową strawę, i spoczynek z rozmową wieczorną.

Motruna także miała co robić? Trzeba było chleb upiec, zgotować jedzenie, i na to wszystko nanosić wody, co najgorsza. Najbliższe źródło było w jarze nad drogą do wioski, o dobre staje od chaty, u brzegów stawu, a do niego trzeba było schodzić gliniastym obrywem biegnącą ścieżynką, którą lada deszczyk prawie nieprzebytą czynił dla ślizgoty: cóż dopiéro, gdy nią z ciężkimi wiadrami na plecach powracać musiała, drapiąc się pod górę Motruna! Po wodę zaś najmniej dwa razy w dzień zejść było potrzeba. Szczęściem jeszcze, że mało kto chodził do tej studzienki, i biedna Motruna nie spotkała tam kobiet, których milczenie lub ucieczka, byłyby ją boleśnie dotknęły.

W kilka tygodni po przeniesieniu się do ubogiej lepianki, nic o tém nie mówiąc mężowi, zajętemu jeszcze kończeniem lichéj budowy swojej; Motruna postanowiła spróbować szczęścia i zakolatać do serca rodziny i braci. Nie widziała ich od chwili, w której przeciwko ich woli opuściła chatę ojcowską, i widocznie unikali nawet przejeżdżania drogą pod cmentarz wiodącą, kołując dalej na pańszczyznę i w pole.

— Niejużciż ja im już obca? — mówiła sama w sobie — wszakże chowaliśmy się pod jednym dachem, jedną pierś ssali; czyby tak odepchnąć mnie mieli na zawsze? Swój polaje, pogniewa się, ale pożałuje. Jak im powiem biędę naszą, taki serce się im otworzyć musi, i pomogą, i przebaczą!

Takiemi zagrzewając się myślami i dodając sobie otuchy, której w istocie jój brakło, Motruna ku wieczorowi dnia jednego, gdy Tumry zabawił się w lesie, wzięwszy wiadro na plecy na przypadek, aby się miała czém przed nim wymówić, zesła niby ku studni. Tu w krzakach schowała naczynie i nosidła, a sama choć tęskno i bojaźliwie, pociągnęła w drogę ku dawnéj chacie ojcowskiej.

O! biłoz jój biło biędne serce, gdy ten dach słomiany ujrzała, dziś całkiem obcy, a dawniej tak dobrze, tak serdecznie znajomy! Każda tu na dachu mchów plama, każdy snopek świeży i żółty, każda kluczyna usunięta na stodółce, tak przypominały dnie, w których patrzyła na nie spokojna i szczęśliwa może! Toż samo stado wróbli świegotało na płocie i w bzach ogródka, i dym z komina tak się zwijał jak dawniej, i wrotka tak były na bok leżące otwarte; — wszystko jak było, wszystko, a jednak ten dom tak do serca przyrosły, już nie jój, już obcy, już cudzy!

Strach ogarniał zbliżającą się do niego Motrunę, a lzy kręciły się w oczach, bo całe dzieciństwo i młodość wybiegły przeciwko niej za wrotka, powitać wracającą wygnankę, i niosły w ręku pęki niezabudek... Ale prócz tych mar, nikt więcej nie wyszedł.

Wahała się czy przejść próg chaty, czy się ośmielić zajrzeć tam, i przemówić do dawniej swoich, dziś cudzych ludzi? A nuż nie zastanie braci, tylko ich żony, które zawsze krzywém okiem patrzyły na nią, choć z serca starała się im pomagać, i zastępowała je w pracy około chaty i na dworskiém. Sparła się na płocie biędaczka i zapłakała gorzko, tuląc oczy fartuchem; i stała tak długo zadumana, nie wiedząc co począć, gdy uczuła się trąconą w ramie.

Serce jój zabiło, otworzyła oczy, a nuż to brat, a nuż to siostra? Nie... byłto stary kot czarny, który ją poznał zdaleka, wskoczył na płot i łasił się Motrunie.

— A! pocziwy burek! — zawołała — choć on nie zapomniał Motruny; dziękuję ci, dziękuję!

Kot nie sam przecie przypomniał sobie rękę, która go dawniej karmiła: wkrótce otoczyły ją kury nadbiegające z podwórka, zwiedzione, sądząc, że im ziarna posypie, i para szarych gołębi zaczęła się kręcić nad głową.

To powitanie istot, co tak mało mają zwykle pamięci, poruszyło biędną wygnankę, sierotę, i do łez ją rozczuliło. Witała się ze wszystkimi, głośnie wywołując nadane im nazwiska; a gromadka krzykliwa kręciła się dokoła, coraz głośniej szczebiocząc. Nie ośmieliło to jednak Motruny wstąpić do chaty, która stała zawarta, i nikogo z niej dotąd widać jeszcze nie było.

Dzień był przecie sobotni, i pewnie żadnej we dworze ani w polu roboty: bo całe dwa dni lał deszcz, a od południa dopiero przesychnąć zaczynało. Już miała odejść przejęta strachem, gdy znajomy skrzyp drzwi od izby dał się słyszeć i wyszedł z nich starszy brat, widocznie tylko co przebudzony, przeciągając się jeszcze. Na gwar ptastwa sądząc, że może jastrząb zwija się w okolicy, przyłożył rękę do czoła i spojrział; a z za wrót postrzegł głowę Motruny i stanął, widocznie zafrasowany. Jedną już ręką chwycił za skobel od drzwi, jakby chciał nazad powracać, a drugą rzucił zniechęcony. Walczył z sobą: to uciekać myśląc, to odprawić siostrę kilką słowy: ale brew jego namarszczona nic dobrego nie zwiastowała.

Motruna wyciągnęła ku niemu rękę:

— Bracie! bracie!

— Nie ma tu tobie ani braci, ani siostry, ani rodni — odparł surowo jak sędzia, gospodarz — tyś już nie tutejsza! Precz cyganicho od drzwi i progu naszego, precz! Po co ty tu? Może wypatrujesz dla męża, którędyby konie nasze wyprowadził?

— Maxymie! na miłość Bożą, godziż się tak siostrę przyjąć! Odpędź, nie przyjm, ale nie łaj tak boleśnie! Co wam zrobił mój mąż? co ja wam winna?!

— A ojaście zapomnieli? — zakrzyczał Maxym groźno. — Kto go zabił jeśli nie wy dwoje, i kto potem szukał we dworze pomocy i opieki przeciw nam? No! niechże i teraz dwór was ratuje i dwór wam pomaga! My tobie nie bracia!

— Maxymie! choć dobrém słowem pożegnaj! My z głodu poumieramy: ty nie znasz naszej nędzy! Z waszej namowy cała wieś na nas, chleb nam z gęby wyrwaliście. Nie chcecie mnie za siostrę, ja wam się nie narzucam; ale przestańcie prześladować.

— Nie! nie — krzyknął Maxym — będziemy was męczyć, aż sobie precz ztąd w świat za cyganami, braćmi waszemi, pójdziecie. Obchodziła się wioska tyle lat bez kowala, obejdzie się i dalej, a my was nie chcemy mieć na oczach!

Motrunie ta nielitośna mowa odezwała się aż w sercu, i ścisnęła je gniewem prawie.

— Prześladowacie nas cyganami — zawołała podnosząc się — a i wyście synowie Romów! Prześladowacie nas, a lepsiście sami, co odpychacie krew waszą na zgubę i głód, byle wam z oczu uszła!

— Precz mi jedź! bo cię psami wyszczuję! krzyknął Maxym wypadając z chaty za próg.

— Psy lepsze od ciebie — rzekła Motruna — bo mnie wszystkie znają za panią, kiedy ty wyparłeś się siostry.

— Boś ty się wyparła ojca i jego woli — przerwał Maksym.

Motruna spuściła oczy, obeschła z łez i gorejące, wstrzęsła się i wzgardliwie rzucając wejrzenie na brata, odstąpiła na kilka kroków od chaty. Kot, kury, gołębie nadbiegły, w tej chwili stary Kasztan, pies podwórzowy, który się wśród wrzawy obudził i zszedł z przyżby: wszystkoto poszło za dawną karmicielką.

Maksym znikł już za drzwiami.

Burek zeskoczył zrazu z tynu, i ocierając się o Motrunę, kilka kroków włókł się za nią powoli; ale widząc, że minęła wrota i kierowała się ku drodze: przystał, usiadł, łapki pod siebie podłożył, i w początku poglądał na nią, a nareszcie, że słonko mu przygrzewało, zdrzémnął się wśród podwórka.

Kury napróżno pozierając na fartuch Motruny i szczebiocząc, poskakały za nią kilka kroków, dziobiąc ją po nogach i chwytając za spódnice; ale i te zobaczywszy że schodziła ze zwykłych granic ich państwa, zaczęły się grzebać w śmieciisku i porzuciły ją samą.

Para gołębi leciała nad jej głową przysiadając na gruszach, na studniach, na dachach; zdawała się ją wyzywać nazad i gruchała ku swjej pani; ale niedaleko jej towarzyszyła; samica pociągnęła ku gniazdu pierwsza, a samiec wrócił się za nią.

Kasztan stary wytrzymał podobno najdłużej: wyprowadził ją za podwórko, za wrotka aż na drogę, i lizał po rękę i mrucał, zapraszając niby, aby się nie oddalała od chaty. Ale Kasztan tak już był stary! Boki miał wypelzłe, ogon niemal nagi, nogi sztywne i suche, trudno mu chodzić było, zwykle najdalszą jego podróżą były wycieczki za wrota, a na drogę nawet nie puszczał się nigdy. Miał na przyżbie wyleżany barłóg słomiany, do którego był tak przywykły. Jakże mu było wrywać się nie wiedzieć jak daleko z Motruną? Szedł, szedł, i przystanowiął się kiwając ogonem; zrobił krok jeszcze, szczebkał nawołując, i spojrzął na chatę i na Motrunę, jakby rozmyślał co zrobić z sobą. Nareszcie, gdy nie odwracając głowy biedna sierota szła dalej, Kasztan podtuliwszy ogon spuściwszy głowę, zawrócił się po cichu do swojej przyżby, powoli podreptał ku niej, i mrużąc spać się położył znowu.

Uciekając ze wsi ze łzami w oczach, żona Tumrego przechodzić musiała koło stodołki ojcowskiej w której cep słyhać było. Wrota jej na pół otwarte, dozwoliły spojrzeć wewnątrz, i najrzała młodszego brata w koszuli jednej, związającego się koło kilku leżących na toku snopów żyta.

— A może też on litościwszy będzie! — zawołała w duchu i wsunęła się cicho we drzwi, a cież jej obudził zamyślonego pracownika.

Podniósł głowę, spojrzął, i zdumiał się widząc siostrę.

— A ty tu czego? — zawołał więc niespokojny jak gniewny — ty tu czego Motruna?

— Do was Filipie! do was! Byłam u Maxyma po dobre słowo tylko, po przebaczenie; Maxym mnie jak włóczęgę i obcą przepędził: czyż i ty tak zrobisz jak on.

— Maxym cię przepędził? — rzekł spierając się na cepisku Filip — a cóż ja ci pomogę? co ja ci poradzę.

— Choć pożałujcie! choć przemówcie! — zawołała biedna kobieta. Cała wioska z waszją przyczyny od nas jak od zarażonych ucieka: nikt słowa dobrego nie powie, twarz nawet, spotkawszy się, odwracają! Czyż taki litości nad biednymi nami mieć nie będziecie?

— E! to darmo — rzekł żywo zmieszany brat młodszy — to darmo: kiedy Maxym cię przepędził, to cóż ja poradzę! Z całą gromadą zmówili się na was, żeby nie przyjmować i wypędzić: to darmo! Ty wiesz, że ja sam w chacie z Maxymem ledwie wytrzymać mogę, a tobym się miał i z nim i z gromadą zadzierać! Toby mnie, ani żonie pokoju nie dali i z chaty bym uciekać musiał. Idź sobie, idź! bo jak cię tu zobaczą, to i mnie prześladować będą!

Motruna płakała stojąc oparta o wrota.

— O mój Boże! mój Boże! do kogo się tu już udać, kto pomoże, kiedy bracia własni opuszczają i wypędzają!

— A było ojca słuchać — rzekł cicho Filip — tobyś teraz nie biędowała Motruno; i dla cygana świata sobie nie zawiązywać i wstydu nam nie robić!

Motruna milczała.

— Co się stało, tego nie powrócić — odezwała się po chwili — ale nie daj Boże dzieciom waszym takięj doli, bo my z głodu pomrzemy, jak zima przyjdzie.

— A dwór? — spytał brat.

— Nie ma dla nas nikogo we dworze!

— Dali wam, słyszę, krowę?

— Już ją dojadamy, bośmy sprzedać musieli.

Brat Filip zamyślił się chmurno.

— Idźno! idź! już ja tobie tu nie poradzę — rzekł cicho. — Ot nabierz w fartuch żyta co dźwigniesz, a nie mów nikomu żem ci dał: słyszysz! Przed Maxymem powiem, że kopa była z brzegu, więc ją gęsi wytłukły i wróble nadpiły... Bierz, bierz, nie sromaj się; dla miarki nie przepadniemy. A idź, bo jak cię Maxym zobaczy...

Nie tak ta drobna ofiara kilku garncy żyta, jak pocziwe serce brata, do którego się odwołać mogła, bo dla niej nie było jeszcze stracone, uradowało Motrunę, i ze łzą w oku poczęła go całować w ręce, wołając:

— A! mój brateńku drogi! niech ci Bóg płaci za pocziwość twoję dla mnie! Dawno już nie słyszałam słowa, nie poradowałam się tak jak dzisiaj!

Filip zdawał się także wzruszony, ale wejrzenia jego rzucane na wrota, malowały obawę; począł sam zgarniać żyto, i prawie gwałtem wsypywać je w fartuch Motrunie.

— A dlatego — mruknął z cicha — idź ty sobie, idź! Póki Maxym cię tu nie zdybie, to ja ci czasem choć kradzioném pomódz będę mógł; ale uchowaj Boże, by zobaczył: i mnieby zjadł, i tobieby przepadło, co ja tam czasem dać mogę. Taki idź Motruno.

Łzy kręciły mu się w oczach, poprawiał końcem cepiska słomę, zgarniał ją, odwracał się, i wyprawiał biedną.

— Maxym — dodał w końcu — głowa domu: on wie co robi, i ojciec wiedział co robił! Nie trzeba było za cyganem latać, bylibyśmy żyli razem, a teraz wszystko przepadło!

— Jakto! — płacząc zawołała Motruna — czyż u was takie serce z kamienia, że mi nigdy nie przebaczyście?

Filip potrząsnął głową.

— A jak my mamy odmienić, co ojciec postanowił? On umarł z wolą swoją i nie ma go, żeby ci przebaczył! To nie my, to on rozkazuje; na to sposobu nie ma!

— Nigdy! nigdy! chwytając się za głowę zawołała kobieta.

— Musi być że nigdy — odparł Filip, i popychając ją z lekka, dodał żywo: — taki-bo idź Motruno, bo bieda będzie, a i mnie czas zgarnąć żyto, bo wieczór nadchodzi.

Milcząca rzuciwszy okiem na litościwszego młodszego brata, który jakby się swego serca wstydził, mrużąc coś, koło zboża robił i oczy chował; Motruna wyszła bogatsza o kilka garncy żyta, którego jój brat w fartuch nasypał, ale smutniejsza, ostatnią straciwszy nadzieję.

Od stodołki drogą po za płotami przebrała się do grobelki, przeszła staw, i zbliżyła się do studni, aby tam zabrać zostawione wiadra.

Nie było nikogo u źródła, a gdy przyszła odszukać wiader i nosidła, Motruna klasnęła w ręce z rozpaczy, spostrzegłszy, że jój najpotrzebniejszy sprzęt skradziono.

Tumry długo bawił w lesie, bo musiał odszukać drzewa na przysochy do kuźni i przyspobić kluczyzny, o które było trudniej w wyniszczonym borze, niż o inny materiał. Późno już więc mrokiem wrócił do chaty, i gdy się zastanowił przed progiem lepianki, chcąc ciężar swój zrzucić z ramion namulanych, postrzegł Motrunę, która fartuchem oczy zasłoniwszy, siedziała płacząc przed drzwiami.

Twarz cygana zapalała ogniem; pomyślał że mógł kto krzywdę wyrządzić żonie w niebytności jego, i wszystek ciężar swój rzucił o ziemię śpiesząc do niej.

Kobięta wstrząsła się na stukot padającego drzewa, porwała się na nogi i stanęła przełękła.

— Co ci to? na *Mroden oro*, co ci to Motruno? A! *gadziowie* przekłęci — rzekł, przypominając sobie w gniewie język cygański — już ci coś zrobili!

I pięść ściśniętą podniósł do góry.

— Klnę się — dodał — że już dłużej nie wytrzymam; sam zginę, ale wiesz pójdzie z dymem w popiół, za łzy i krew naszą! Niech pogina jak *szukela* (pies), kiedy jak *szukela* nie mają serca!

To mówiąc cygan, którego oczy gorzały, tak był straszny wściekłym gniewem, że się Motruna aż cofnęła, żegnając mimowolnie.

— A Tumry mój! — zawołała — czegoż się gniewasz i grozisz? Nic się nie stało naprawdę, nic mój kochany!

— Dlaczego płakałaś? *Row* (płacz) nie przychodzi bez przyczyny!

— Nad swoim głupstwem płakałam — odpowiedziała Motruna, chcąc wszystko utaić przed mężem. — Ot! przepadły mi wiadra z mojej winy, nie z niczyjjej.

— Wiadra? jakim sposobem?

— Poszłam po wodę, ale przez lenistwo nie chciało mi się czerpać z krynicy, więc zlażłam aż do stawu; a że tam woda płynie żywo, a mnie nogi drżały, potopiłam wiadra... Zabrała je rzeka... młyn porozbijał.

Cygan spojrział jój w oczy i głową pokiwał.

— Gdzie? co? — rzekł powoli — w stawie moczą konopie, a tybys tam wodę brała! Nadto z ciebie dobra gospodyni! Gdyby i poszły wiadra z wodą, toczy niedaleko popłynęły, bo trzciny rosna od brzegu, a tobie nie nowina po kolana się zamoczyć! Ej! to coś innego, Motruno; ty mnie nie oszukasz: inaczej te wiadra zginęły!!

Motruna niebardzo kłamać umiała: zarumieniła się cała, przemówiła coś niewyraźnie, ruszyła ramionami, udając trochę zagniewaną.

— Coto gadać! — dodał Tumry — mów prawdę kobyto, bo się ona nie skryje!

Ależ ci mówię jak było — wchodząc do chałupy, zmieszana odpowiedziała Motruna.

Cygan w ślad szedł za nią, i w tej chwili, choć zmrok padał, spostrzegł na środku izby leżący fartuch pełen żyta, który Motruna, nie myśląc co robi rzuciła powróciwszy.

— A to co — spytał wskazując ręką.

— To żyta miarka, którą kupiłam za złoty u przejeżdżającego z Rudni człowieka.

— Za złoty! — kiwając głową odpowiedział cygan już nie dając wiary. — Nie wierzę Motruno, mów prawdę, mów prawdę, to się nie godzi! Tyś płakała, ja chcę i będę wiedział wszystko, choćby mi przyszło nie wiem gdzie pójść po to.

Motruna milczała jeszcze, zbierając końce rozrzuconego fartucha.

— Ale boś mnie zastraszył swoim ogniem i gniewem. Tumry — rzekła powolnie — mamy już i tak dosyć gniewu ludzkiego, dość złości ludzkiej; nie sprowadzajmy ich więcj na głowę naszą!

— A gdybym ci dał słowo, że bez woli twojej nic nie pocznę?

Motruna odwróciła się zapłakana.

— Daj ci Boże zdrowie! Ot! lżej mi będzie, gdy ci powiem wszystko, i powiem, ale się mścić nie będziesz?

— Na *Mroden-oro* nie będę, póki mi stanie cierpliwości, Motruno; bom wiele już przebaczył i zmęczyła mnie nienawiść ludzka. Ale mów, a prędko, bo się trzęsę.

Motruna wtedy rozpoczęła całe opowiadanie swoje, przerywając je łzami, i omijając, co jój Maxym, wygnawszy z podwórka, powiedział: a cygan słuchał w tak posępnym milczeniu, tak upornie ścisnąwszy usta, że pary nie puścił, aż skończyła.

— Psy! — zawołał podnosząc się — psy bez serca! Nie chcę ich jałmużny! nie potrzebuję! Z głodu zdechnę, ty i ja, a ziarna tego przeklętego zboża nie ruszę!...

— A Filipże co winien? — nieśmiało wrzuciła Motruna.

— Filip baba, *Egaszi!* — krzyknął cygan — boi się mnie, boi się brata, boi się dworu i daje jałmużnę żeby się pozbyć! Rzucę mu ją jutro w oczy!...

— A! na miłość Boga — podbiegając przerwała żona — i jego, i mnie i siebie zgubisz! Maxym gdy się dowięd, pokoju mu nieda i zagryzie; a za dobre serce odpłacim mu biędą! Ja na to nie pozwolę!

— A nie skamienieje ci ten chléb w ustach kobięto? — zapytał Cygan — chléb jałmużny jak psu rzucony, siostrze przez *Pechral'a!* A będziesz ty go mogła jeść! a da ci on życie? Nie! o nie!

— Wyrzuc go jeżeli chcesz, ale nie oddawaj bratu — błagając, krzyknęła Motruna — i nie gub go i nie gub mnie!

Jeszcze Tumry odpowiedzieć nie miał czasu, gdy do drzwi niedomkniętych, ktoś powoli zaskrobał.

Szelest ten nieprzywykłym do niego uszom wygnańców tak się stał dziwnym, że oboje przejęci strachem, stanęli jak wryci; a cygan przeczuwając nieprzyjaciela bo się już wszystkiego obawiał! poskoczył ku progowi.

Motrunie przysły na myśl duchy cmentarne, upiór ojca mściwy, i drząc przeżegnała się.

— Kto tam? — silnym głosem, odmykając drzwi, zawołał cygan, usiłując okiem przebić ciemności, — kto tam!

— A, a, dobry wieczór? dobry wieczór? Cyt! cyt! nie bójcie się; a toż goły rozboju się nie boi, a u was pewno się nie ma na co połakomić?

Słowa te zająkliwe wymówione, i przerywane cichym śmieszkim, wyszły z ciemności powoli; a przed zdziwionym cyganem pokazała się dziwaczna postać głupiego Janka, który na ramionach dźwigał dwa wiadra pełne wody. A że był mały bardzo, ledwie z niemi przez próg mógł przelézć, bo się niemal po ziemi wlokły.

— Wiadra moje!! — krzyknęła Motruna plaskając w ręce z radości — doprawdy to wiadra moje... to głupi Janek!

— Otóż nie taki głupi jak myślicie — odpowiedział gość, — kiedy znalazł to, co mądry zgubił! A! a!

Bóg ci zapłać — rzekł cygan — ot już drugi raz winienem ci przysługę!

— Coś ty tam mnie winien! — skrobiąc się w głowę, wybelkotał karzeł.

Ale gdzieżeś je znalazł — spytała Motruna — Jakiś ty pocziwy, patrzcie nawet mi je zwodą oddał.

— A jużciż kiedy wiadra, to zwodą! Pocoby ci się o tój porze zdały bez niéj — odparł Janek — A gdzież ja je znalazł! o! o! to długoby o tém gadać.

— Powiedźże choć gdzie, i jakieś je odebrał.

— Ja ich nie odbierałem — rzekł Janek.

— A jakże ci się dostały?

— A! a! jakto wam gadać łatwo, to się zdaje, że i mój język tak chodzi jak wasze; poczekajcieno, poczekajcie!

Tumry i Motruna stanęli przed Jankiem, który siadł w progu.

— Ot jak było — zabrał się opowiadać powoli. — Idę ja sobie, idę, ot tak! wypędzili mnie z chaty, bo mieli jeść wieczrę, zamknęli drzwi: poszedłem... Idę, idę gdzie oczy poniosą przez grobelkę, przez mostek, i jakoś się zaszło do studni. Tu, myślę sobie, siadę, i choć wody się napiję, kiedy jeść nie ma co... Ale jak tu się wody napić, kiedy woda głęboko, a zacerpnąć nie ma czém. Myślę, myślę, a musi to być jakiś sposób, i niechno ja tylko położę się, a pocznę go szukać, to znajdę! Odstąpiwszy tedy od studni kilka kroków, buch w krzaki! Buch, i zbiłem sobie boki o coś! A żeby cię wciornaski! Obejrzę się parę wiader, a jeszcze nowe, i nosidło! Ot i sposób. Ale kto to tu porzucił je? Oglądam się, żywej duszy...

Nachodzi Naścia Laszkowa: dobry wieczór, Naścio! — Ta mi głową nie kiwnie — możeby ci wody wyciągnąć? — Idź do diabła. — Tylem skorzystał. — Moja Naściu, spytałem, nie wiecie czyjeto wiadra? — Wiadra! oj! — poskoczyła jakby jéj dał kulakiem

w bok, i nuż wołać: — a to moje, a ja ich szukałam! — Twoje! rozśmiałem się, taka to prawda jak mysz kaszle! Zapewne...

— No, moje nie moje — odpowiedziała — ale ja je biorę sobie. — A to za co? — A już ci ty mi oddasz. — Nu ja na nią głową kiwać: — A żeby ci kto wziął? — Zaczerwieniła się. — Powiedz lepiej spytam, bo ty znasz całą wieś: czyżeto one są?

Popatrzała dobrze, pokiwała głową: — Nowe, rzekła, nie znam... taki nie znam... Z téj strony wsi co jest wiader, tobym poznała, ale to nie nasze!..

— Ot i to poznam — dodała — że kupione na jarmarku w miasteczku, bo to robota nie tutejsza, tylko bednarza, co wozi furami na targ, het! od Piątkówki aż...

— Mnie już więcej nie było potrzeba — dodał głupi Janek — zastukałem sobie w główkę i zaraz mi odpowiedziało, że to wasze być muszą. Ale jak zaczęła Naścia gadać i to i owo, a ja z nią śmiać się, a tu nadeszła i Hrycycha, i we troje bajdurzyli, tak i do nocy przebalakaliśmy. Dopiero ja, żeby nikt nie widział, pociemku wody nabrawszy, przyciągnąłem je tutaj.

— Niech ci Bóg płaci, Janku! Ot i poczęstować cię nie mam czém — rzekła smutnie Motruna — u nas ubogo...

— Co tam dziękować i na co częstować! — rzekł mały potwór — mnie się jeść nie chce, bo wodę piłem! a taki w domu gdy przyjdę, choć łają i wypychają, coś mi w garnku zostawią. Ale u was tu goło, Motruno!

— A z kąd co wziąć? — rzekł cygan. — I to, co widzisz, dwoje rąk robiło, jedne plecy dźwigały;... a teraz coraz to ciężiej, coraz to gorzej, serce się drze... Nie wiedzieć już jak radzić!

— Czyto ja tego nie wiem? — odpowiedział Janek po cichu. — Kto jak kto, a ja na to patrzę ciągle, i dziwuję się, aż mię kark boli od kiwania głową... Taki darmo, żebyś ty miał jeszcze głów trzy i całą górę ochoty, nie dasz na to rady!...

— Muszę — rzekł Tumry.

— Muszę! cha! cha! choćby zgubić duszę! — wykrztusił mały. — Tu i muszę nie poradzi! Zlepiłeś chatkę, a z czego to zrobisz kuźnię?

— Koło cegielni jest dużo kawałków: będę powoli wybierał i nosił.

— No! no! a dalej: a kto horno zlepi? — spytał Janek.

— Mularz z Rudni...

— Darmo!

— Nie! ja będę tydzień robił u kowala, kowal za to mularzowi zapłaci, i horno stanie.

— A dalej co? Myślicie, żem ja kuźni nie widział! Byłem ja i w Rudni i w Piątkówce i w Czumarze na jarmarku, napatrzyłem się kuźni i cygańskich, i chrześcijańskich, i żydowskich!

— Będę rok pracował u majstra dniem i nocą — odpowiedział Tumry — to taki zapracuję na łatany miech, kowadło, obcęgi i na kawał żelaza do młota.

— A żona tymczasem?...

— Pójdzie sobie pracować! — rzekła Motruna żywo.

— A potem co? — spytał Janek — pójdziecie we dwoje w świat! Noć, to lepiej teraz!

— E! jak ludzie zobaczą kuźnię i węgla kupę, jak jeden, drugi podróżny pochwali się okuciem konia w karczmie, a przyjdzie transport w gołoledź albo z radłami w pole...

Janek głową pokiwał.

— Ta! ta! ta! to wy naszych nie znacie Stawiszczan — rzekł — Ho! ho! u nich jak u żydów, kiedy *cherim*, to *cherim!* Może toby i było za dziesięć lat, za dwadzieścia, ale wy tymczasem z głodu pomrzecie!

Motruna westchnęła, Tumry zamilkł posępnie.

— To darmo — rzekł Janek — już gromada się schodziła i ręce dawali i wódką zapijali i mówili się, a ja ich znam. Jakby kto tylko do kuźni zaszedł, toby go z wioski na podole wypędzili: takby go prześladowali. Żeby jeno wiedzieli, żem ja tu był i z wami gadał, toby mi drzwi chaty nie otworzyli. O tém i nie myślcie.

— Tak ci się zdaje, Janku rzekł Tumry.

— Niech i zdaje — odparł mały. — Jak moje nie w ład, ja z swoim nazad. To nie słuchajcie głupiego Janka, bo na to on głupi. Ale taki wam powiem, że jak ja co zaczął gadać, a do głowy mi się uczepi, to czy dziś, czy jutro, to się zrobić musi. Już jak tu

starego Lepiuka na cmentarz przywieźli, a posłyszałem że braci do dworu wołali; zarazem sobie powiedział: będzie kuźnia, ale chleba nie będzie!

Motruna westchnęła, Janek wciąż prawił dalej:

— Ot i ze mną — rzekł — ze mną tak jak z wami się stało. Albo to ja gorszy od Iwasia, od małego Czuryły, od Andrzejuka kulawego? a jak mnie okrzyczeli za głupiego, wszystko przepadło. Już mnie w chacie dla nich nie ma: ani ja do dzieła, ani do gospodarstwa, ani do swadźby; co i myśleć o tém! Jak potrzeba robić a ciężko, a do potu, a nad siłę, to mnie wypchną; a jak kozucha, strawy, ławy, czy dobrego słowa, u nikogo nie wyproszę. I tak to już poszło na całe życie!

— No to pójdziemy ztąd — zawołał Tumry do drugiej, trzeciej, do dziesiątej wioski, a pracując, znajdziemy kawałek chleba: nie tu, to tam! Ale nie porzucę im lepianki, która mnie tyle pracy kosztowała, póki mnie głód i nędza z niej nie wygnają!

— Róbcie jak chcecie — wstając rzekł Janek — a mnie czas do domu. Dostanę i tak szturchańca, zem się zapóźnił, a byle drzwi były zaparte, to mi ich już nie otworzą, i w chlewku lub w plewniku wyspać się będzie trzeba. Ale mnie to wszystko jedno: skóra już twarda! cha! cha! cha!

To mówiąc Janek wysunął się z chaty i znikł w ciemnościach, pocichu zbiegając do wioski. Tumry i Motruna zostali sam na sam znowu, milczący i zamyśleni.

Zabłyśło trochę światła w kominie, rozweseliła się chatka, i na krzywym stole ukazała się misa wieczorna.

— Na pohybel im! — zawołał siadając do niej Tumry — nie damy się, nie damy, choćby przyszło całe życie czekać, jak ten powiedział: aż źli wymrą i pójdą na cmentarz, a dobrych Bóg narodzi!!!... Nie płacz Motruno! nie płacz! bo za te łzy zapłacić będą musieli bracia!

W takichto drobnych przeciwnościach i ciągłej pracy, upływały pierwsze miesiące młodego małżeństwa; za chwilę spoczynku i marzeń, potrzeba było płacić drogo znojem i gniewem, który nie miał się wylać na kogo, bo z przed nich uchodziła wioska, omijając cygańską chatę, cygańską żonę i cygana z daleka.

Ale czy byli szczęśliwi oboje?

O! innato marzyć o szczęściu, a inna mieć je w dłoni; ono jak motyl mieni się rychło w poczwarkę, której opadają skrzydła. W swych schadzkach wieczornych, w pierwszych chwilach po poznaniu, nie domyślali się oboje, ilą łzami przyjdzie okupić zbliżenie się do siebie i wspólne życie. Motruna choć kochała Tumrego, zamyślała się często o swobodniejszej doli dni młodych! Łzy jój wyciskał ten rozbrat ze wszystkimi, to jój wygnanie ze środka rodziny, która się rozstała przed niemi. Często wśród nocy wdychała, a sen nie przychodził, i żałowała przeszłości: a gdy na pamięć przyszło przekleństwo ojca, dreszcz przelatywał po niej. To znowu myślała o jutrze, o zimie, o długich może latach, które w tej pustce spędzić będzie potrzeba, męcząc się i patrząc na cudze męczarnie, — chwytając się za głowę przerażona i wylękła.

Ale wracać się nie czas już było!

Przed sobą miała jeszcze może wygnanie, opuszczenie tej wioski, na którą choć zdala patrzeć lubiła — i los dzieci, i nędzę, i żebractwo, i włóczęgę!

Tumry dopóki od rana do nocy pracował, póki choć trochę miał nadziei, nie myślał o niczym, tylko o najpilniejszej robocie, dodając sobie sam sił, których nikt udzielić mu nie mógł; ale gdy praca się zastanowiła dla deszczów jesiennych, i zostawała mu tylko kuźnia, której sam postawić nie mógł; gdy całymi godzinami i dniami siedzieć było potrzeba bezczynnie, i dumać, dumać i dumać: i jemu ciężko się zrobiło na sercu. Przyszła tęsknota za życiem swobodnym, wędrownym, pełnym coraz jodmiennych widoków, w którym wczoraj nigdy nie było do jutra podobne: i przypomniła się Aza wesoła, dziwaczna, ale zapalająca jak iskra ogniska kuźni Aprasza, i wszyscy ci, których dla jednej opuścił kobiety: biedna, milcząca żona wodza, jój małe szczebiotliwe dziatki, stare wróżki, co się za obozem wlokły, kuźnia pod namiotem w polu, skrzypiący wóz, który ją z miejsca na miejsce przewoził, całe, całe życie cygańskie, pełne nędzy, ale też pełne ruchu i żywota.

Po niem dziś nagle Tumry siadł grzybem przy swojej lepiance, skazany na przykutą dolę, na jeden mały, smutny widok cmentarza z okienka, na jedną rozmowę, na niewidzialnych wrogów i pustkę!

Z Motruną przebrali się uczucia i rozmowy; rychło kielich wypili do dna, a nic nowego żywiołu nieprzyniosło ich losowi. Tumry chciałby być choć walczyć jak dawniej, jak wówczas cierpieć, byle czems wyjść z odrętwienia, które jak na mrozie mających skołowacić, snem martwym opanowywało. I codziennie myśl uporniej zawracała się do lat młodych, znienawidzonych, które wczoraj przeklinał, a które nateraz wydawały się zdaleka prawie uroczo ze swemi łzami i boleścią.

Z początku błąkanie się po lesie rozrywało go i ulgę mu robiło, ale i las jednostajny spowszedniał: czuł coraz żywiej wyradzające się uczucie jakiejś potrzeby ruchu, wędrówki, włóczegi, innego nieba i ludzi. Był to nałóg stary, budzący się po przygaśnięciu pierwszej gwałtowności uczucia, które wprzód go stłumiło. Niepokój jakiś go trapił, wychodził na próg, włókł się drogą, powracał, i znów go coś z chaty ciągnęło.

A gdy się przemógł i wytrwał w miejscu dzień cały, to wpadał w skamieniałość, ledwie iskrę życia mającą w sobie. Motruna widziała to i milczała; starała się go pocieszyć, bo nie pojmowała tego inaczej, jak udręczeniem przyszłością i niepokojem o jutro, ale jej samej dzień za dniem tak było ciężko!

Myśli ich prędko się rozbiegły: ta ku wiosce, co dymiła w dolinie; druga w siny świat nieznany, szeroki, nieprzyjazny, a pociągający ku sobie. I tęskno im było we dwoje, choć się kochali jeszcze; ale potajemnie obojgu płakać się już chciało rzuconej za sobą przeszłości!

Motruna siadała na pagórku, i w dłoniach sparszy głowę, z za łez patrzyła na spokojne Stawisko: i myśl jej lecąc na skrzydłach tęsknoty, biegła aż na podwórko ojcowskie, na strzechy chaty stariej, do znajomej studni, do kochanego ogródka; gościła tam długo, długo, póki jej widok mogiły ojca nie odwołał do rzeczywistości.

A ile razy spojrziała na żółty pagórek i jasny jeszcze krzyżyk co stał na nim: to się żegnała z przerażeniem, ze strachem, i biegła ukryć się do swojej lepianki, aby nie widzieć mogiły, z której mówił do niej groźny głos ojca.

Tumry, gdy go opanowała tęsknota wylatywał ze swęj chaty, i z włosem rozwianym, z nagą pierśią biegł gdzie go oczy poniosły. Czasem wpadał w las i pędził zaroślami, gęstwiną, aż się znużył do upadłego; jak koń, co się wyrwie ze stajni na swobodę i hasa choćby się miał rozbić; to znów przerzynał góry i lasy bezwładnym biegiem, aż się gdzieś oparł o staw, o rzekę, o jar, i upadł na ziemię cały drżący i bezsilny.

Wśród tego ruchu szalonego, który nim miotał jak nieprzytomnym, nieraz w milczącym powietrzu obijała się pieśń cygańska, nieraz lęz niepojętą poniosły wiatry w stronę przeciwną, i śmiech dziki zawarczał z ich szumem. A choroba ta w obojgu rosła i rosła olbrzymio! W początku byłoby tylko tęsknota chwilowa, którą lada wrażenie rozpędzić mogło; później stała się codziennym pokarmem prawie, wreszcie robakiem, który pożerał dniem i nocą.

Często dni całe nie przemówili do siebie słowa: cygan jak zwierz w klatce kołował po izbie, Motruna patrzyła na ścianę, przez którą widać było jak na dłoni wioskę, i we wsi chatę, starego Kasztana, Burka, kury, parę gołębi i ciche podwórko ze staruszką gruszą...

Po smutnej jesieni przyszła zima szybko, a taka straszna w swym białym całunie, taka mrożąca do kości! W lepiance zrobiło się chłodno, i poczęły świecić szpary, przez które wiatr wlatując, wygrywał zawczasu dzikimi tony złowrogą pieśń spustoszenia. Tumry lepił, otykał, pracował znowu; ale na wysokim wzgórzu i deszcze, i wiatry silniej się niż gdzieindziej czuć dawały, i pierwsze mrozy przejęły ich do kości. Naprózno rozpalamo ognisko do którego każdą zgniłą gałąź i spruchniałe polano musiał na plecach cygan przynosić; kwaśny dym tylko wyjadał im oczy, a ciepło uciekało szparami!

Były dni, że śnieg zawiął ich całkiem, to znowu woda z niego zalała sień i izbę; a gdy po wodę z góry iść przyszło, Motruna padała na ścieżce lodem pokrytej.

Chleb i grosz ciągnęły się jeszcze, ale już były u schyłku; i dnia jednego wyniosłszy resztki mąki, upiekłszy podplomyk zamiast chleba: Motruna załamała ręce nad bodnią próżną jak przepaść... Tumry już wprzód zajrzał był do niej, i widział, że węzełek chusty, w którym ostatni grosz się mieścił, pusty, rozplatany, wisiał na kołku w alkierzyku... A kuźni nie było, i roboty nie było, i ze wsi ani głosu żywego.

Jednego wieczora, gdy oboje drżeli od zimna, cygan westchnął głęboko i długie przewał milczenie:

— No! Motruno! — rzekł — już chleba nie ma, a *mandru* sam nie przyjdzie. Myślałem ja długo; nie ma rady, trzeba pójść i za lichy grosz robić młotem w drugiej wiosce... A jak ty tu sama zostaniesz?

Motruna poczęła się bawić końcem fartucha, spuściwszy oczy w ziemię.

— Zostanę — rzekła, — zostanę: będę pilnować chaty i ciebie wyglądać...

— Ja taki przyjdę choć raz w tydzień, co niedziela, i chleba lub grosza przyniosę;... ale iść potrzeba...

— Może też we wsi choć prząść mię kto weźmie — cicho odezwała się kobieta.

— Nie! nie! — zawołał Tumry — darmo i nie probować, ani darmo prosić! Nie chcę ich łaski: obejdzimy się jeszcze bez niej.

— No! to się obejdzimy — odpowiedziała Motruna — będę siedzieć w chacie.

— Ale sama, sama jedna naprzeciwko cmentarza! Gdy przyjdzie noc, wytrwaszże ty ze strachu, kiedy mnie nieraz, gdy wiatr poświśnie, ciarki po plecach przechodzą?

Motruna wstrzęsła się cała.

— Wyżyję — rzekła smutnie — a jakbym i umarła, to ci lżej będzie. Pochować, taki bracia pochowają przez litość; do mogiły nieść niedaleko, a ty pójdziesz w świat znowu.

— Cicho! cicho! — krzyknął cygan, — nie mów mi tego! Tylko tę zimę przebyć; a nie postawię kuźni, to chatę podpale i pójdziemy w świat...

— A! ale ta zima taka długa!

— A! długa Motruno! ale i życie długie, a przeżyć je trzeba! Ale kto ci tu wody nosić pomoże, drew przysposobi, i choć słowo do ciebie przemówi?

Motruna nie odpowiedziała ani słowa; a że ogień wygasł i nie było go czém podpalić, ustała rozmowa, i dumy obojga poszły przebijając ciemności, każda w swoją stronę.

Nazajutrz rano Tumry mimo chłodu i zamieci, z myślą jakąś wybiegł z chaty i skierował się ku wiosce, jakby szukał kogo, jakby chciał napatrzeć. Ale we wsi było pusto, że ledwie człowiek worem okryty, lub kobieta ze spódnicą narzuconą na głowę, przesunęli się przez ulicę; i tylko dym na słotę włókl się i szarą mgłę rozpościerał nad czarnymi dachami Stawiska.

Tumry do południa chodził po za stodołami, po drodze, po brzegu lasu, i z niczém, zmokły powrócił; tylko oberemek suchych gałęzi przydźwigał do domu i milczący siadł w kącie. Motruna rozpalila ogień, a cygan po krótkim spoczynku wybiegł znowu. Trochę się było wypogodziło, wiatr chmury rozpędził, i kawałkami sine na mróz poczęło pokazywać się niebo. Tumry błądził wciąż koło wioski. Już zmierzchało, kiedy się z głupim Jankiem spotkali.

Janek szedł dźwigając wór z młyna, bo na taki czas i błoto żałowano wołów, i bracia go posłali, żeby chudoby zaoszczędzić. Aż przykro patrzeć było, jak skulony biedny potwór pod ciężarem woru uginając się, brnął boso w zamarzającym błocie. Ale gdy go Tumry pozdrowił, gdy podniósł żółtą twarz swoją, nie znać na niej było tego wyrazu męki i znużenia, jakiego się na niej spodziewać było można. Owszem uśmiech latał na wargach skrzywionych, i oczy błyszczały swobodnie.

— A dokądto Janku? — spytał cygan — ja cały dzień szukam ciebie i znaleźć nie mogę.

— Boś źle szukał, cyganku kochanie — odparł stawiając wór na kamieniu Janek — było mnie szukać gdzie ciecze, gdzie biją, gdzie mokro, gdzie chłodno i głodno, tobyś mnie pewnie znalazł.

— E! — dziko się rozśmiał Tumry — taką rzeczą powinienem cię był znaleźć u siebie, nie szukając i nie ruszając się z miejsca, bo u nas to wszystko w chacie.

— Cha! cha! i głód? — spytał Janek.

— O! i nie dziś... bo już chwała Bogu i chleba nie stało.

— Cha! cha! — rozśmiał się Janek po swojemu, chuchając w skostniałe ręce. — No! a cóż będzie?

— Słuchaj Janku, jak ty nie pomożesz, to zginiemy!

Mały człowieczyna aż się za boki porwał od śmiechu, gdy to usłyszał.

— Aj! aj! daruj życie — zawołał — dalibóg umrę ze śmiechu, kiedy to i głupi Janek ma się zdać na coś na świecie, oprócz rąbania drzew i noszenia worów z młynów po błocie!

— Ratuj Janku, pocziwa duszo! — rzekł Tumry — a nie, to poginiemy.
— Oj! oj! mucha prosi komara, żeby ją ratował! Dalibóg pęknę! dalibóg pęknę!
— Chleba nie ma — rzekł cygan — mąki ani odrobinki, pieniędzy ani grosza...
— No! no! dawno ja się tego spodziewałem; a co dalej?
— Trzeba iść zarabiać gdzieindziej, a Motrunę samą porzucić!
— A dokąd pójdziesz?
— Do kowala, do Rudni...
— I zarobisz? co ty tam zarobisz?
— A choćby bułkę chleba na tydzień; ale co zrobić z Motruną!
— A co, cyganie braciszku, to i ją weź z sobą.
— Nie przyjmą nas we dwoje.
— A cóż będzie? — śmiejąc się, ale litościwie spytał głupi Janek — i co ja to mam robić?

— Gdybyś ty był taki jak ja myślę — rzekł cygan otwarcie — tobyś choć polano drzewa przyniósł czasem Motrunie, a pod noc tobyś mógł na chatę naglądać; niechby miała do kogo choć słowo przemówić.

Janek się zadumał, pokiwał głową i począł się bić po piersiach rękami długimi, wywołując tym ruchem trochę ciepła. Zdawało się, że ani myśli o czém mu Tumry mówi, a z pod przymrużonej powieki sączyła się łza: może wyciśnięta przymrozkiem wieczornym. A! bo też ledwie łachman miał Janek na sobie, i nogi bose, i słomiany, dziurawy, ze śmieciska gdzieś zdjęty kapelusz na głowie.

— Cha! cha! — rzekł w końcu — a jak ja ci żonkę zbałamucę? A to się tego nie boisz, cyganie kochanku; taki piękny mężczyzna jak ja, to niebezpieczna sprawa.

— Ej! ciebie się żarty trzymają, a mnie się serce kraje! — zawołał cygan. — Ratuj kiedy możesz, a nie szydź z nędzy!

— Oj! oj! co ja wam poradzę! Poprobuję co zdołam, ale niedaleko wy ze mną zajedziecie! niedaleko! A ty myślisz, cyganku kochanie, że mnie to tak łatwo swoją chatę porzucić i pójść do was na służbę za miarkę powietrza? Myślisz, że to mnie u panów braci niedobrze! A to ja się tam wylegam czasem nawet w izbie, a bywa i na ławie pod piecem! I taki szmat mi na plecy dają, i odzienie niczego, i poczęstują codzień kułakiem, żebym nie zapomniał, że mam plecy... A jak raz do ciebie pójde na parobka, już gdybym wrócił kiedy do nich, wyszczują mnie psami, stary indyk nawet oczy mi wydrapie... Ot taki wóz lub przewóz: a jak zechcę co dla was zrobić, panów braci potrzeba będzie pożegnać.

Cygan milczał.

— Czy ci to tam tak dobrze? — zapytał.

— Cha! cha! cyganku kochanie, albo mi to u was będzie lepiej, myślisz? Od swojej doli się nie wykręcić: człowiek ją na plecach nosi, i żeby się jak trzął, to jój nie zrzuci. A swoja chata, to taki swoja chata, cyganku serce moje; ty tego nie znasz, ale do niej jakby za nogę przywiązał! Jam się bo tam urodził. O! — dodał ciszej spuszcżając głowę — i tam miałem matkę...

Ten wyraz wybiegł mu z ust ledwie dosłyszany, a za nim westchnienie, a za niem łza, i głupi Janek stał się nagle poważnym.

— Słuchajno — rzekł inaczej już i głos zmieniając — ja chaty dla was opuścić nie mogę, bo w nią chcę umrzeć, a gdybym raz przestał im służyć jak wół, nigdyby mnie już nie puścili do niej; ale na to jest rada.

— A jakaż rada?

— Będę i im, i wam służył. Prawda nabiją mnie trochę więcej, ale moja skóra twarda! Nocką pójde chaty pilnować, ale nie wpród aż się u nas pośpią, i powracać będę o drugich kurach. A żeby nie spostrzegli, że się wałęsam, będę już spał w plewniku, choćbym zmarł.

— Ależto zima! nie wytrwasz!

— Już ja wiem, co ja wytrwać mogę! — kiwając głową rzekł Janek. — To moja sprawa. Polano drew i czasami suchy chleba mego okrawek przyniosę Motrunie... Bądź spokojny, idź do Rudni, idź cyganku, tylko wszystko mi strach, żebym ci żony nie zbałamucil!

I znowu się śmiać począł głupawo a szydersko.

— Niech ci *Mroden-oro* płaci — zawołał cygan.

— Chyba że ten ktoś, bo że nie wy mi zapłacicie za służbę, to pewna — rozśmiał się Janek. — I ja też taki bogaty, że płacy nie potrzebuję; ot widzisz, że wam się na coś przydałem i dobrodziejem jeszcze będę! A! gwałt! ratujcie, głupi Janek dobrodziejem! Umrę ze śmiechu...

To mówiąc pochwycił wór lekko i żwawo, i nie odwracając się do cygana, kilka kroków z nim podskakując zrobił, i obejrzał się.

— Cyganku kochanie — zawołał — już ty mi bądź spokojny, Janek nie da nic wam złego zrobić, i co powiedział, to dotrzyma. O! Janek wielki pan! cha! cha! Janek dobrodziej!

I na całe gardło śpiewać począł, wlokąc się dalej samym środkiem ulicy i błota, ku chacie swojej.

Cygan zadumany poszedł napowrót ku cmentarzysku, i spokojniejszy nieco począł się zbierać do drogi.

— Jużem tobie tu Janku mówił — rzekł do Motruny — że ci służyć będzie. Na całą wieś jedna dusza pocziwa, i to w takim kadhubie, że gdyby jój kto sto lat szukał, w nimby się niedomyślił. Janek ci drew przyniesie i w nocy pilnować będzie; ale jutro jak świt iść trzeba...

Całą noc płakali, a pożegnanie jak śmierć smutne było; jednak Motruna myślała: gdy jego nie będzie, to choć spróbuję na wioskę wybiedz trochę... a Tumry jakoś żywo dumał, że nową wieś i nowych ludzi zobaczy. Ale gdy u progu podali sobie ręce skostniałe i spojrzeli na twarze zbladłe, na oczy zapadnięte i wypłakane, na drżące i sine usta, gdy przyszło się rozstać jakby ich co przykuło, rozejść się nie mogli, i ani Motruna wrócić do izby, ani cygan wyruszyć w drogę.

Tumry wreszcie pierwszy pocałował ją w czoło, podniósł kij i skoczył na gościniec tak prędko, jakby go kto gonił.

Boć gonila go troska, zgryzota, niepokój i nędza, których połowę zostawił Motrunie, a pół wziął do torby podróżnej.

Zdawało mu się, że staje tak ubiegł z oczyma zamkniętymi. Podniósł głowę, spojrział i zadrżał wprost sama jedna z całego cmentarza pokrytego śniegiem żółciała mogiła Lepiuka, a na jój krzyżyku siedział kruk czarny, przekręcał głowę i krakał.

Motruna została sama w chacie, a gdy po odejściu męża weszła do środka, ścisnęło się jój serce na myśl, że już nierychło ujrzy jedyne swego opiekuna. Potrzeba było samój sobie wystarczyć rękami, głową i sercem; karmić się, by nie umrzeć z głodu, karmić, by nie zginąć z nudy i strapienia.

A w chacie tak było pusto, tak pusto. Prócz kilku wróbli, które już przy nowej lepiance zajęły sobie w strzesze mieszkanie i świergotały przerywając milczenie, żywego niespostrzeżę stworzenia: ni psa, ni kota, ni kury, coby szczebiotała w sieni, ni gołębi na dachu, ni głosu krówki z obórki, ni żadnego z tych towarzyszków pracowitego wieśniaczego życia, z którymi jakoś weselój.

Cały dzień ten zszedł na płaczu; nie zapaliła nawet ognia, i przesiadła w kącie izby na garści słomy, obwinęta kożuchem i świtą, nie poczuwszy że marznie i kostnieje. Mrok padał, gdy kroki dały się słyszeć koło chatki; ktoś zaszemrał w sieni, zrzucano brzemie drzewek i głowa Janka pokazała się przez drzwi w pół otwarte.

— Dobry wieczór, gospośiu — odezwał się doń wesoło — Ot i ja, wasz stróż i parobek! A co u was i ognia nawet nie ma w piecu!

— A! Bóg ci zapłać — odpowiedziała Motruna — Bóg zapłać żeś przyszedł, bo pod noc straszno mi się robić zaczynało. Nie rozpałam ognia, bo mi się już nie chciało, a zimna nie czułam.

— No, to ja go rozpalę — rzekł wchodząc głupi Janek — z ogniem, to jakoś weselój! Przyniosłem także trochę kartofli, bułkę chleba i co tam mogłem znaleźć, bo podobno zapasu nie macie. — To mówiąc złożył na ławie swój węzełek, zgromadził gałęzie i trzaski, dobył ognia, i jak najlepsza gospodyni zajął się około pieca.

— Oj! coś-bo u was — rzekł rozglądając się po garnkach — strasznie jakoś gospodarstwo kulawe. Motruno! coto się tobie stało? A toż bywało chwalili na całą wieś, że z ciebie taka doskonała gospodyni.

— E! Janku — szepnęła kobiéta wdychając — było gospodarstwo, gdy było na czém gospodarzyć a teraz!

— Ale bo to niesztuka — odparł śmiejąc się i jękając Janek, który się krzątał przy piecu — nie sztuka gospodarzyć, gdy jest na czém; ale jak nie ma z czego, a dlatego i ład jest i ciągnie się...

— Wiecie, jaka nasza dola: mnie już ręce opadły.

— To źle! cha! cha! to bardzo źle, Motrunko! Jak wy sobie pozwolicie, to i mąż nie da rady domowi.

— Ani on ani ja;... zginąć nam podobno!...

— Aj, żebyżto człowiek tak mógł zginąć, gdy zechce, i gdy mu źle ustąpić się; ale to biéda, że chudy pies najdłużej żyje: — nie zabiją go dla skóry...

Mówił, garnki pomywał, wodę nastawiał, a niekiedy rozglądał się po chatce i okiem rzucał na Motrunę siedzącą w kącie i odrętwioną.

— A ot i nowiny mamy — rzekł po chwili. — Wy nic widzę nie wiecie, co się na wsi i we dworze dzieje, kiedy się mnie nie pytacie nawet!

— Tak mi z tém, jak bez tego! — odpowiedziała obojętnie kobiéta.

— A może i niebardzo! — przerwał Janek — wszakto pozawczoraj jeszcze nasz pan z za morza powrócił!!!

— Pan powrócił! a pani? — poruszając się z miejsca zawołała kobiéta.

— Poczekajcie — rzekł Janek — ot zaraz wam powiem jak to było. Trzeba wam wiedzieć, że mnie nigdy na pańszczyznę nie posyłają, bo ekonom takiegoby cherlaka nie przyjął, chyba za dziecko lub babę. Głupi ekonom! nie wie, że ja za dwóch zrobię, choć i na pół człowieka nie wyglądam! Wczoraj posłali mnie za bratową do młockarni... Otóż wszystkiego się dowiedziałem; byle uszy, to się jest czego we dworze nasłuchać gotuje się jak w garnku!

Zaciekawiona Motruna wstała i zbliżywszy się do pieca na którym palił się ogień, usiadła naprzyzbie. Janek wieczerzę gotował.

— Wójt, gumienny, ekonom i cała gromada nic nie robili — kończył — tylko gadali a gadali o panu, który powrócił.

— Czemużeś ty Tumremu o tém nie powiedział? — spytała Motruna.

— Myślałem, że wie! — rzekł Janek.

— My tu jak na pustyni! — zawołała kobiéta — co my tu wiedzieć możemy; chyba kto umrze we wsi, jak na cmentarz przywiozą! Ale cóż tam mówili?

— Ot zaraz — coraz się rozgadując mówił parobek — bo naprzód trzeba wiedzieć, że pani umarła gdzieś daleko, i jegomość sam, słyszę, powrócił.

— Umarła! — krzyknęła z żalem w ręce uderzając Motruna. — Ach! ja nieszczęśliwa!

— No! no! nie lamentujcie, bo może i Harasymowicza się zbędziemy — rzekł Janek — to lichy dokuczliwe... Pan, słyszę, jak pojechał żółty, blade i słabeńki, tak i powrócił nielepij. Nic tam jeszcze doktory nie pomogli. Zaraz, słyszę, jak tylko na próg dworu stąpił, kazał zawołać kapitana, i coś jemu takiego powiedział, że kapitan poleciał do oficyny i pakować się kazał... Mówią, że ma wyjechać... Czegoś się klócili, i jegomość mu jakieś papiery rzucił w twarz... Ot co ludzie gadają, a dziś gromada hurmem idzie do dworu ze skargą na Harasymowicza.

— A cała nadzieja była w pani — westchnęła Motruna. — Jój nie ma, umarła i ta biedniaczka!

— Prawda, że to ona was pożeniła — rzekł Janek — musicie jój żałować, i krowę wam dała. — Hm! ale nie macie za co jój dziękować, że wam do biédy dopomogła. Byłaby was dola wasza nie minęła... A i pan niezły, gdyby tylko nie lenstwo że mu się czasem do człowieka gęby otworzyć nie chce... Moglibyście pójść do niego...

— To darmo! — cicho odpowiedziała Motruna — to darmo!

Janek spojrział na nią, ruszył trochę ramionami, i począł łamać gałęzie u progu, przygotowując je do utrzymania ognia.

— Mnie trzeba będzie iść — rzekł — ale na chatę zdaleka naglądać będę. Macie tu gałęzie i luczywo, świećcie sobie póki nie zaśniecie... I żebyście chcieli dobrej rady posłuchać, tobyście tak rąk nie opuszczali... Jak człek się kręci, to mu na sercu lżej jakoś... Dobranoc Motruno!... Ja tu niedaleko przenocuję...

Motruna znowu spuściwszy głowę nic nie odpowiedziała Jankowi i zapatrzyła się w palający ogień, który dwie lzy toczące się po jej twarzy oświecił... Żegnała niemi kobietę, której fantazyja więcej niż serce związała ją na wieki z losem cygana.

— I ona umarła! — mówiła w duchu. — Czasem mi na myśl przychodziło, że powróci, że pomoże, że się choć ona ulituje... Bóg ją wziął, żeby i tę nadzieję nam zabrać.

W takich myślach, dając wygasnąć ogniowi i pozastygać garnkom, biedna żona cygana przetrwała do późna; wśród ciszy nocnej słysząc już było trzecie kogutów pianie na wsi, gdy sen powieki jej zmrudył.

Ze dniem zjawił się znowu Janek, który poleciał był do swojej chaty pokazać się braciom i wrócił dopomódz Motrunie ogień naniecić.

Zdziwił się spostrzegłszy ją uspioną na tém miejscu, w którym wczoraj porzucił z wieczora: ogień niepoprawiony, nie zgarnięty, a garnki ostygłe i nietknięte.

Skrzyp drzwi przebudził kobietę, a płomień ogniska oprzytomnił znużoną.

— E! e! Motruno kochanie! — odezwał się Janek po swojemu — coś ty mi się nie poprawiasz, nic z ciebie nie będzie! Jaka z ciebie gospodyni drzémac pod piecem. I wiesz nie jadła, i obiadu gotować nie myśli. Ja za ciebie wszystkiego zrobić nie mogę; rusz się i sama!

— Do czego? — spytała kobieta — do pustych bodni i porozsychanego naczynia?

— A czemu bodnie puste? — spytał Janek — to ty winna! Czemu naczynie się porozsychało? nie przez kogo tylko przez ciebie!

— Przemnie!

— Dawniej bywało — mówił głupi Janek — Motruna i za cygana i za siebie pracowała: wodę nosiła, chatę lepiała, krzątała się, aż miło; jam nieraz zdaleka patrzył. Teraz ją ani napędzić! Wstyd! wstyd!

— Coś ty mnie łajesz, Janku?

— A muszę, Motrunko kochanie — odpowiedział, wciąż się krzątając koło chaty parobek — bo mnie za ciebie wstyd! Piękna z ciebie żona i gospodyni!

W chacie nie umieciono, na piecu węgle zgasły, garnki brudne! Coś miała cyganowi pomagać, to mu będziesz ciężyc! Wstawaj do roboty!

Jakoż tak szczęśliwie i śmiało przemówił Janek, że Motruna chwyciła się przecież z ławy i pobiegnęła do ognia; on się rozśmiał i zniknął.

— Doprawdy — mówiła w duchu kobieta — może głupi Janek i prawdę mówi: co ja wysiedzę pod piecem!

Wtém zaszczebiotało coś i zaskomlało w sieni.

— A toż co? — stając zapytała kobieta i serce jej zabiło, choć na głos zwierzęcy tylko, bo i tego tak dawno niesłyszała, a tak się jej żywo przypomniała chata rodzinna!

— Wszakito kura gdacze w sieni i coś skomli! — Otworzyła drzwi przyświecając łuczywem.

Sionka była od podwórza zamknięta, a po niej zwiwała się para kurek ślicznych, i młody żwawy kogucik, który spostrzegłszy światło, wbiegł na próg, strzepnął skrzydłami i zaśpiewał. Motrunie aż serce zabiło.

— A mój Boże! — zawołała — czubaty! czubate! i jakież śliczne!

Tuż pod progiem leżało kilkudniowe szczenię, skomląc, pelzając i nie mogąc przeleźć przez próg, który na jego nóżki był zawysoki.

— I pies! a! to będzie Kasztan! krzyknęła, chwytając na ręce rudego pieska, który piszczal ze strachu. — Pocziwy Janek! a niechże mu Bóg płaci. Ukradł chyba gdzieś dla mnie szczeniaka i te kury, boby mu ich w chacie nie dali.

Kury tymczasem wszystkie powskakiwały do izby i poczęły już rozpatrywać się w nowém mieszkaniu rozbiegając się po kątach, a Motruna oczyma chodziła za niemi:

— Jakież śliczne, jakież tłusciuchne! jakie wesołe! — wołała wesoło latając za niemi z psem na rękę. — Wychowam Kasztana na stróża naszój chaty a z kur!...

Zamyśliła się.

— Ale czémże je będę karmić?!

Zasmuciła się tą uwagą biedna Motruna; w istocie, ani na śmietniku ubogiej lepianki, ani w izbie nagiej i pustej, kurze nawet nie było się czém pożywić, tak każde ziarno i pyłek były tu drogie. Poczęła rzucać oczyma po kątach, jakby szukała pożywienia dla swojego nowego gospodarstwa, i dopiero spostrzegła węzełki, które poprzynosił z sobą Janek.

Było tam nawet trochę dla drobiu pośladu, a Motruna co najspieszniej posypała go na podłogę. Myśląc także o jedzeniu dla szczenięcia, znalazła chleb, a na widok jego obudził się i w nią głód, przytłumiony smutnym odrętwieniem.

Tak staraniem poczciwego Janka, który się już nie pokazał przez dzień cały, Motruna miała zajęcie, towarzysów, głos, który ją budził, i jakiś nowy żywioł w życiu, pełnym dotąd dni jednostajnie grobowych.

Głupi Janek dumny opieką mu powierzoną, pracował za czterech, żeby wszystkiemu zaradzić, a w domu nie dać poznać swych wycieczek do cmentarza; bo jakkolwiek mało mógł korzystać od swoich dla Motruny, zawsze cokolwiek przynajmniej tajemnie jej ztąd przynosił. Nie wdrygał się też wcale ukraść, i nie pojmował żeby co złego czynił, biorąc kawałek chleba, trochę stawy, warzywa, lub kilka kur dla żony cygana. Wszystko to, czém zbogacał jej lepiankę, prawdę powiedziawszy, aż do szczenięcia, kradzioném było; ale tak zręcznie, że się nikt nie domyślał złodzieja. Janek sam potem wysyłany na zwiady, szukał po wiosce tego, co pochwycił, i wieczorem doskonale braci i siostry oszukiwał opowiadaniem o wszystkich kurach sąsiedzkich i kurnikach, które zwiedzał. Co się tyczy szczenięcia, to, zdaniem jego, żarłoczne jakieś stworzenie bednarza pożreć miało: a że najmniej dbano o psa, niebardzo się też zniknięciem jego kłopotano.

Z największą usilnością głupi Janek ledwie mógł dniem i nocą wystarczyć na dwie chaty oddalone od siebie; ale się rozdzielał jak mógł, i o siebie nie dbał. W domu zrzucono na niego najcięższą pracę, którą że na pozór leniwie odbywał, stawało mu czasu na dobieżenie do cmentarza i najrzenia na chatę cygana. Motruna nie miała potrzeby ani po wodę chodzić, ani o drwach myśleć, ani się chlebem kłopotać; dla niej jednej, kur i szczenięcia było dosyć:

W niedzielę rano nadbiegł Tumry wybladły, żółty, zasmolony, z oszczędzonym chlebem i kilka groszami w węzłku i zdziwił się widząc Motrunę weselszą, witającą go w progu i chwalać się bogactwem swojego podwórka, a nawet psem, który już szczekać i burczeć poczynął.

Łzy zakreśliły się w oczach cygana, gdy mu żona opowiadać zaczęła o Janku; ale się razem zafrasował myśląc, z kąd do wszystko biedny karzeł mógł dostać.

— Ani chybi, musiał *ciurawa* (kraść) — rzekł w duchu. Poczciwy *ciurachan* (złodziej), ale nuż złodziejstwo się odkryje? Jego nie posądzą nawet, a na nas bieda spadnie!

Nie śmiał jednak powiedzieć tego Motrunie, która tak się cieszyła gospodarstwem swoim, że i cygan przy niej poweselał.

— A wiesz — rzekła po chwili — wszakto i nasz pan powrócił i kapitana słyszę wypędził, a nasza poczciwa pani umarła!

— Trzeba iść do dworu! — zawołał, nietylko zważając na śmierć pani, co na powrót pana, cały sobą zajęty cygan — może nam co pomoże!?

— Takto i Janek radzi! — dodała Motruna — ale ty pana nie znasz! Przystąpić do niego trudno: kilka dni chodzić trzeba, nim słowo przemówi, a taki chory, taki śpiący, że sam nie pomyśli o człowieku...

Ha! spróbuję — rzekł Tumry.

Jakoż z południa, odmywszy się trochę cygan, nie bez obawy powłókł się do dworu.

Ale tu przyszedłszy w dziedziniec, opędziwszy się psom, które na niego zajadle ujadły, potrzeba było stanąć opodal od ganku, i czekać zmiłowania losu i ludzi. Chodzili słudzy, mijali, żaden nie spojrzął; któryś spytał i ręką kiwnął, drugi rzucił słowo że pan nie ma czasu, a cygan stać i stać musiał. Nie miał on jeszcze wprawy częściżej do dworu chodzących ludzi, którzy umieją podsunąć się pod okno, zakaszleć gdzie pode drzwiami, i znużyć tak samą cierpliwością swoją, że ich nareszcie albo z niczém odprawią, albo do sieni wpuszczą. Szczęściem dla Tumrego, pan Adam spojrzął ziewając przez szybę, i dostrzegł chmurną, uderzającą wyrazem twarzy i smutkiem postać cygana, który sparłszy się o drzewo z oczyma w ziemię wlepionymi, jak zdrętwiały czekał co los postanowi, sam sobie radzić nie śmiejąc.

Pan Adam nudził się znowu jak dawniej. Wyjechał był z żoną za granicę leczyć wyżycie się swoje, ale nigdzie dłużej nad kilka tygodni bez ziewania nie wysiedział. Francuzka szalała ciągnąc go jak przykutego niewolnika za sobą, a on niecierpliwił się tylko, lub

zastygły śmiertelnie nudził. Los tak chciał, że to małżeństwo, które przypadek skojarzył, prędzej niż się spodziewać było można, rozerwać się miało; pani Leroux, późniejsza pani Adamowa, zaziębiła się wychodząc z balu wśród tłumów adoratorów, których jój nigdzie nie brakło, wpadła w suchoty i umarła.

Wypadek ten przerwał monotonię żywota Adama chwilą prawdziwej rozpacz, bo zrazu zdawało się, że pójdzie za żoną: tak się był do niej przywiązał, tak strata jój wielkie na nim uczyniła wrażenie; ale gdy karmiąc żal swój, po kilku tygodniach pan Adam począł szykować pozostałe po żonie pamiątki, wpadł na jój papiery, i te z żalu w gniew i rozdrażnienie go wrzuciły. Tyle tam znalazł miłosnych bilecików, tyle dowodów oszukaństwa, tyle szyderstwa z siebie, że przy najgorętszej chęci zaślepienia się, musiał ze wzdrgnącą pamięcią tój kobiety, która z zimną krwią urągała się jego sercu, odepchnąć. Powrócił do kraju i dawnego życia swojego, a na wstępie znalezione listy kapitana Harasymowicza, rzucił mu w oczy, dając odpawę. Kapitan próbował pomimo tego ostać się w Stawisku, korzystając ze słabości Adama, bo mu zarząd majątkiem i życiem cudzém bardzo były dogodne; ale się nie udało. Adam wysłuchawszy skarg gromady, które dodały jeszcze gniewu, wyprawił w kilka dni dawnego faworyta swój żony.

Znowu więc dwór w Stawisku stał pustką, zamieszkaną przez najstrasznieszczą ze wszystkich nud — nudę z życia, wyczerpania, bezsilności. Adamowi nic na świecie nie smakowało, nic go rozerwać nie mogło; konie, psy, ludzie, zarówno mu byli obojętni. Całe dni spędzał w pół-senném dumaniu sybaryty, który przemyślał czémby się potrafił rozbudzić. Przychodziły mu dzikie zachcenia Neronów i Kaligulów, i wzdychał żałując, że dla rozrywki nie mógł spalić Rzymu, by pieśnią pogorzelsko jego uczcić; lub ożenić się z koniem i ubóstwiać bydlę, a lud co go czcić będzie, zbydlęcić...

Ludzie jego nie mogli dać rady zdziwaczemu tak osobliwszemu chęciami, i niespodziewanemu miotał się gniewami. Były dni łagodności i dobroci bezsilnej, w których się wszystkim powodować dawał z uśmiechem obojętnym; w innych rzucał się, rozpałał, bił i wściekał bez przyczyny. Po namiętym wybuchu, następowały dni całe apaty, milczenia, nieruchomości, przerywane potem wulkanicznymi, niespodziewanymi wybrykami. Niekiedy przypuszczał sługi niemal do poufności, słuchał opowiadań, zdawał się zajmować losem; a nazajutrz karciał nietylko słowo, ale ruch i szelest, który go podrażnił.

Takim był pan Adam pomimo swój młodości, zniszczony rozpieszczeniem, próżnowaniem i bezczynnością umysłową. Szczęściem dla cygana, dzień w którym przyszedł był dobą dobroci; i pan spojrzawszy przez szybę na człowieka, który godzin kilka stał nieruchomy oczekiwaniem, począł jakoś swoją nędzną dolę porównywać do jego doli.

— Słota, chłód! jak ten człowiek wytrwać tak może! Musi mieć bardzo coś pilnego, kiedy tak stoi upornie.

Jeszcze z pół godziny przechadzał się pan Adam po pokoju, coraz to poglądając przez okno na cygana i obserwując go, jakby naturalista studyował robaka; jakoś go to zajmowało, nie spieszył się więc z przywołaniem zagadki. Nareszcie, gdy się już zmierzchać zaczynało, a Tumry jeszcze się nie ruszył, posłał człowieka, aby go zawołał do przedpokoju.

Tu pan zasiadł z fajką w podaném krześle, i począł się bawić przybyłym.

— Słuchajno! — rzekł — coś ty za jeden, i czego mi tu stoisz przed oknami?

— Jestem kowal — odparł Tumry — cygan — dodał ciszej.

— A! a! przypominam coś sobie: jakaś historia, ożenienie!... moja żona... Co to było?

Cygan, któremu się w głowie pomieścić nie mogło, żeby kto dotkliwej jego nędzy zapomniał, spojrział na ziewające paniątko wielkimi oczyma.

— Mówże mi to — dodał Adam — od początku, bo nic nie pamiętam.

Cyganowi niełatwo było się wytłumaczyć i dla zbytku rozdrażnienia, i dla niepokoju, jakim go ten zastygły pan przejmował, zdający się nic nie czuć i nic nie pamiętać; zebrał się wreszcie na historię swoją, a pan Adam wysłuchał ją nie przerwawszy słowem.

Pomimo że w opowiadaniu był tylko skielet ciężkiego losu młodej pary, że z niego niepodobna było pojąć co ucierpiała; paniątko zdawało się zajmować kowalem!

— Śmieszna była myśl mojej żony, rzekł w duchu, pożenić ich, psa z kotem, i wystawić na przesładowanie wioski. Cygan byłby poszedł dalej, a dziewczynę we wsi wydaliby za męża; a tak! co tu poradzić?

— Czegoż ty chcesz? — spytał cygana po chwili namysłu — kazać żeby cię kochali, nie mogę; a z gromadą sprawa trudna gdy się zatnie! Nie lepiej żebyś się przeniósł gdzieindziej?

— Dokąd i o czym? — spytał cygan. — Postawiłem już chatę, dość tu mojego potu na tej ziemi; żonie i nie pora i nie siła rzucać wieś, w której się urodziła i do której przywykła... Gdyby mi trochę pomocy, gdyby siaka taka kuzienka, ludzieby taki przyjąć do niej musieli: wprzód obcy, potem swoi.

Pan Adam się uśmiechnął, pokiwał głową.

— Probój kiedy chcesz — rzekł obojętnie — ja ci pomódz, pomogę, ale wiem że to darmo.

To mówiąc dobył grosza z kieszeni, wyliczył złotych killkadziesiąt, i rzucił je na stół; ale z taką wzgardą, tak jakoś niechętnie i bez serca, że ten dobry jego uczynek ledwie nie oburzył cygana. Musiał jednak przyjąć datek, i opłaciwszy go jeszcze rozmową, z której pan Adam wyciągnął trochę rozrywki, poszedł weselszy do chaty.

— Muszę też kiedy pojechać zobaczyć tę chatę za wsią, o której mi podobno i ludzie już wspominali — rzekł w duchu; ma to być doprawdy ciekawość! Szczęśliwi ludzie, jak im się chce żyć, jak im niewiele potrzeba.

I ziewać począł znowu, na inny tor myśli wpadając, gdy cygan leciał już do Motruny, pocieszyć ją lepszą nadzieją. W istocie, datek pana mógł wystarczyć prawie na pobudowanie kuźni i pierwszy sprzęt do niej, gdyby się do roboty wzięto zaraz; ale zima trwała jeszcze, i nic począć nie było można.

Motruna spostrzegłszy zdaleka męża, wyszła już przeciwko niemu, po ruchu jego poznawszy, że nie z próżnymi rękami przychodził.

Spojrzała na pieniądze i uśmiechnęła się składając ręce.

— No! cóż teraz poczniemy? — spytała...

— Muszę kuźnię postawić — rzekł Tumry — ale zima, nie pora, robić nic nie można! Jeżeli ten grosz ruszymy, na wiosnę nie będzie za co rąk zaczepić. Trzeba więc iść pracować na chleb znowu, i czekać!...

— A możeby to i na chleb i na kuźnię starczyło — przerwała Motruna, licząc oczyma pieniądze.

Cygan pokiwał głową.

— Nie — rzekł — *lowy* (pieniądze) prędko wychodzą, tylko je zaczepić! Drugi raz już ich nie dostaniemy, a tu na warsztat, na *trast* (żelazo) i na wszystko wiele potrzeba. Zakopimy je w chałupie, i musim czekać do wiosny. Wiosna niedaleko.

— Niedaleko! westchnęła Motruna: poczekamy, poczekamy.

— A teraz jakoś i raźniej czekać będzie — odparł cygan. — Zobaczmy co we wsi powiedzą, jak tu na górze młot się odezwie i komin zadymi!...

Wlokąc się tak powoli na śniegach, słoach, mrozach i odelgach przejechała nareszcie długa zima, a nic w lepiance pod cmentarzem nie zmieniło się jeszcze. Tylko Janek, który już był przywykł służyć żonie cygana i przywiązał się do nich, bo oni jedni mówili z nim jak z człowiekiem, i kochali go jak brata; przygotował zawczasu głęboki koszyk na kołyskę, i niechcąc go jeszcze pokazywać dla złej przepowiedni, przywiązawszy sznury zawiesił na strych, aby w potrzebie zdjąć go tylko.

Tumry wciąż chodził do Rudni na robotę, a że pracował z ochotą i znał rzemiosło swoje dobrze, majster się nim chętnie posługiwał, zwłaszcza że go niewiele płacił. Ludzie nawet rudeńscy śmieli się ze Stawiszczan na jarmarkach, że takiego kowala pod nosem mając, do cudzych o milę i więcej chodzą. Trafiło się, że gdy i do Rudni przyszedł kto ze Stawisk, Tumry mu posłużył wyręczając majstra samego, ale nigdy jednym słowem żaden z nich nie zaczepił cygana.

Zaledwie ziemia rozpuszczając zaczęła i zieloność się pokazała, Tumry najawszy człowieka, jął się już nie sam około kuźni żywo, bo rachował na czas roboczy, że we wsi będzie potrzeba kowala i ludzie się taki ku niemu nawrócą.

Grosz cały dany przez pana Adama, był zaledwie dostatecznym na mizerną klétkę z dachem pokrytym darniną, i kupienie co potrzebniejszych sprzętów kowalskich, niedostatecznych do lepszej roboty, ale wystarczających dla wioski, w której zrobienie podosków

do wozu, okucie konia, naprawa naralnika, pługa i zazębienie brony: są najważniejszą kowala pracą.

Mularz, który horno z kupnej cegły stawił; rzemieślnik, który miech zszywał, resztę pieniędzy zabrali, ale kuźnia w kilka tygodni była prawie gotową. Tymczasem jednak, nim się to wszystko wyrządziło, siejba wiosenna uciekła, a Tumry ani węgla jeszcze nie miał, ani obcęgi i młotów. Począł więc rachować biedak na kosowicę i kosy, na żniwo i sierpy, na siejbę jesienną i pługi.

Tuż, tuż zdawało się, że już gotowe wszystko że tylko zapalić węgle i stanąć do pracy; ale co chwila pokazywał się brak jeszcze czegoś najważniejszego, i trzeba było albo biedak do miasteczka albo samemu sporządzać.

Już wiosna miała się ku końcowi, gdy wreszcie uznojony Tumry, jednego dnia wszedł do chaty i padł na ławę, wołając:

— No! dzięki *Mroden-oro* — poprawił się — dzięki Bogu, kuźnia skończona, i choć jutro fartuch zapasać!

Tych słów domawiał, gdy Janek zdyszany cały wsunął się tuż za nim, i klepiąc go po ramieniu krzyknął:

— Cha! cha! wielka nowina! wielka nowina!

— A cóż ci to Janku? z czemżeś to tak przyleciał? — spytała go Motruna z uśmiechem łagodnym, bo się do biédaka serdecznie była przywiązała.

— O staję od wioski — rzekł Janek — wracając z lasu, spotkałem bandę cyganów, która się na łące rozłożyła noclegować.

Tumry wstrząsł się cały, zabelkotał coś niezrozumiale; a Motruna przestraszona instynktowo, załamała ręce.

— Czegoż oni tu przyszli? — odezwała się — po co?

Serce jej biło sama nie wiedziała czego, i strach jakiś ogarniał; Tumry widocznie był poruszony i zniepokojony, ale usiłował udąć obojętność.

— A co nam tam cyganie! — rzekł powolnie — przyszli, to i pójdą przenocowawszy!

— Ale jednak pilnujno ty męża, Motruno kochanie, żeby ci go cyganie nie pochwycili jak swego — dodał głupi Janek.

— Bładato już, kiedy kogo potrzeba pilnować! — odparła kobieta.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — rzekł gość. — Ale mnie trzeba iść do chaty; dobranoc!

Zwrócił się i pobiegł.

Tumry i Motruna pozostali we dwoje milczący i smutni; myśl obojga leciała ku szatrze cyganów; on zwłaszcza kręcił się i chodził po izbie jakby go piekło, i chwili usiedzieć nie mógł na miejscu. Kiedy niekiedy żona rzuciła nań wzrokiem ciekawym, i wyraz jego twarzy przerażała ją. Nigdy tak jeszcze nie widziała Tumrego jak dzisiaj: wargi mu się trzęsły, oko czarne gorzało, pot lał się z czoła, nozdrza miał rozdęte a pierś podnosiła się i upadała jakby rozpęknąć miała.

Siedli do wieczerzy, ale cygan nic nie wziął w usta, wciąż chodził milczący, chmurny, wpół obłąkany. Od progu jakby uciekał; do progu jakby go co ciągnęło; zdawało się, że mu aż drży ręka by pochwycić za klamkę; ale miał siłę nad sobą.

Rzekłbyś atleta, co drze się z dzikim zwierzęciem; tak walczył z sobą i miotał się żądzą jakąś.

— Słuchajno Motruno — rzekł stojąc w pośrodku izby — *Romy* (cyganie) wszystko mi popsuc mogą. Spieszyłem z kuźnią rachując na porę roboczą, że zmusi wieś pójść do mnie, jeżeli oni tu postoją ze swoją, wszyscy zwrócą się do nich, i my przepadli.

— Za cóżby mieli ich woląć od nas? — spytała Motruna.

— Tamci im nic nie zrobili — jam dla nich winowajca!

— Ale cóż poradzić na to? — spytała kobieta, oczy na niego podnosząc.

— Co? — zawahał się Tumry — co, ja sam nie wiem. Pójdę do nich i powiem, żeby szli dalej.

— Ty! ty do nich? — krzyknęła, porywając się z siedzenia kobieta — po co? żeby cię pociągnęli, z sobą, żebyś przepadł z ich ręki, żeby cię zabili, otruli, oczarowali? Nie! nie! ja cię nie puszcze, i ty nie pójdiesz!

Te słowa wyrzekła tak gwałtownie i namiętnie rzucając mu się na szyję, że Tumry zamilkł przemożony odrazu jej boleścią; ale śmiertelna bledność twarzy mu okryła, i spuścił głowę jak skazany na ścięcie.

— No! to zginiemy, kiedy ty mi nie ufasz, Motruno — rzekł na pozór spokojnie.

— Ja ci ufam, ja tobie wierzę; ale im ufać nie mogę... Cyganie mścić się będą, żeś uszedł od nich!..

Tumry jakoś się rozśmiał szydersko.

— Takto ty znasz cyganów! — rzekł powoli. — A za cóżby się mścić mieli? Wielużto z nich już poobsiadało na gruntach i gospodarzą na miejscu! Słyszałeś kto o zemście nad niemi!

— Ale oni czarownicy, — przerwała Motruna.

— Na czary są czary — odparł chmurząc się Tumry — a mój wzrok także za silny uchodził, bo go żadna siła nie zmogła!

Motruna, na którą spojrzął w tej chwili tym przesywającym wzrokiem, zadrżała i spuściła oczy; poczuła w istocie jakby gorące żelazo przebijało jej serce, jakby łańcuch żelazny pierś jej ścisnął, aż oddechu brakło, a w głowie kręciło się i wiło dziwacznie.

— Powiedz lepiej, że mi nie wierzysz — kończył cygan — ale nie że się o mnie obawiasz. Straszniej mi tu między twoimi, niż wpośród naszych braci *Romów*, a jednak widzisz, żeśmy caży i żyję.

— Ale po cóż iść do nich? — błagająco, cicho, szepnęła kobieta.

— Ażeby ich ztąd coprędzej oddalić!

Motruna nic nie odpowiedziała. Tumry na nią spojrzął, postrzegł ciche łzy, i począł znowu chodzić po izbie, tak gorączkowo i szalenie, że się zdawało, iż lepiankę rozwalił bo bił się w nią jak w klatce!

A kłamał biedny! kłamał szalony! bo nie strach tam go do ogniska pociągnął, ale serce, ale wspomnienie: ta siła tajemnicza węzłów kolebki, łańcuchów pamięci, który chyba starość zrywa, chyba szczęście osłabia. Tumry nie miał jeszcze czasu zapomnieć swych wędrówek po świecie, ani ognistych czarnych oczu Azy, ani zapachów cygańskiej *kakabii* (kotła), ani swojej włóczędzy, pieśni, głodu, chłodu, prześladowania i zemsty!

A tak misternie wielki Stwórca złożył każde życie, że jak w owocu ziarno, jest w niem odrobina szczęścia, jest nasionko pociechy! Boleść podnosi; głód oszala, nędza exaltuje prześladowanie spotęgowuje człowieka, i na dnie tych klęsk zawsze znajdziesz oręż, którym je zwalczyć można. Gdy cierpienie dojdzie do kresu, z niego samego wystrzela siła przeciwna, która już uczuć go nie da.

Tumry choć wiele przebolewał, teraz gdy się blizny pogoiliły, gdy nowe rany krwią mu płynęły, w życiu przeszłym widział tylko jego roskosze, barwy, zmiany i ruch, za którym tęsknił. Serce jednem słowem zburzone, parło się w stronę braci, a myśl już kręciła się w kole czarownem wspomnień dzieciństwa.

— A nuż to oni? — pytał się w duchu siebie. — Aza, Aprasz, stara Jaga, Pehabaj, Puza; a nużto ten namiot podarty, pod którym mi tyle kropel potu na ziemię upadło? i skrzypiący werden, i koń ślepy... A! gdyby ich choć zobaczyć! Czy też żyje żona Aprasza i dzieci! Jakbym ich widział: przypadli pod lasem pewnie w dolinie, nie śmieją iść do wioski... rozbili namiot... Aprasz siedzi twarzą w ogniu, bo mu go nigdy nadto, żona jego milczy i dziecię kołysze, Jaga papple, chłopcy skaczą, koń się pasie na rozłogu! A! jak im tam dobrze choć chleba nie mają, jak swobodnie! Żeby ich choć zobaczyć!..

Wzrok Motruny zdawał się na wyłot przebijać czaszkę cygana i czytać jego myśli; bo biedna coraz się bardziej smuciła, a Tumry corazto szalał wyraźniej.

Bóg wie tam, która była godzina nocy, gdy przy wygasającym ogniu pokładli się spać wreszcie, a cygan obwinąwszy się płachtą, głowę ukrył, by nie pokazać że nie śpi.

Ciągle w nim wrzało to pragnienie przypatrzenia się choć zdala cyganom; i walka z namiętną żądzą w człowieku, co się hamować nie umiał, wkrótce przerosła w stan prawie szału i gorączki. Znużenie po pracy zamykało mu oczy, a cyganie ciągnęli ku sobie; zasypiał, zdręmywał się, budził, jęczał, i szarpiąc pierś czarną, wpadł wreszcie w stan dziwny, który nie był ani snem, ani jawą.

Wyjątkowe duszy usposobienia wyradzają często dziwne także władze w człowieku, i spotęgowują go, podnoszą kosztem całego organizmu, który się przez posłuszeństwo

myśli do cudów wysiła; tak nawzajem choroba dręcząc ciało, przywodzi niekiedy duszę do niezwykłych jęj polotów...

Zaledwie usnął Tumry, uczuł się schwycony nieopisaną potęgą, i wstał, cały potem obłany, wprost kierując się ku drzwiom.

Motruna nie spała jeszcze: ostatni płomyk ogniska oświecał cygana, którego się przełękla nieszczęśliwa, nieśmiejąc tchnąć, krzyknąć, ani go wstrzymać. Załamała tylko ręce i opuściła głowę, żeby go tak straszonym nie widzieć.

Tumry zdawał się olbrzymem, tak wyprostował się pod naciskiem niewidzialnej siły; włosy powstały i najeżyły mu się na głowie, oczy miał słupem stojące, nieruchome i szklane, brew namarszczoną; a w całym nim była taka niepohamowana wola, że żona nie pomyślała nawet przeciwko nięj stanąć ze swemi łzami.

Drewnianym chodem kościotrupa, skierował się do drzwi, otworzył je dotknięciem i rzuciwszy otwarte, znikł w ciemnościach.

Schwyciła się kobięta z postania cała drżęca, chcąc zobaczyć, co pocznie; a że księzyc świecił na dworze, ujrzała go jak wyszedł z chaty, nie wstrzymując obrócił w stronę cmentarza, i wciąż niezwykłym chodem posuwając się, znikł jak widmo, w prostęj linii strzałę pręc się do niewidomego dla nięj celu.

Chciała iść za nim, ale ją siły opuściły, do reszty zbłąkało się w głowie i sercu; schwyciła tylko za piersi, osunęła się i upadła na progu. Tumry, krzyku który się wyrwał z jęj ust słyszcć już nie mógł, bo był daleko.

On leciał jak ptak, gonił jak zwierzę, nie wiedząc dokąd go wiedzie żądza, co nim kierowała: przeskakiwał mogiły i krzyże, przelatował rowy, wdrapywał się na góry, przelazł przez jary, a krok jego był tak pewien, noga tak silna, moc co go wiodła tak zwycięzka, że nic go wstrzymać nie mogło. Żadna zapora nie zastanowiła go chwili: łamał krzaki, rozbijał grudy spiekłęj ziemi, deptał chwasty kolące i nie czuł, że krew mu się z piersi i nóg ciekła.

Nareszcie w głębi doliny pod lasem zaświeciło czerwone światelko, i cygan zadrżał, podwajając biegu.

Księzyc wypłynął z chmur, i przyczynił nowego uroku, dziwnemu obrazowi, który się przed ośleplemi oczyma cygana roztaczał. Noc była ciepła i spokojna, wiatr zaledwie trawy i liście poruszał; niebo miało barwę ciemno-szarą, poprzerzynaną białymi jak wełna obłoczkami. Na dnie parowu szerokiego, który las otaczał z trzech stron dokoła, widać było małe obozowisko cygańskie całe w cieniach, ogrzane tylko jednęm namiotu ogniskiem.

Na tle jasnego dymu i płomieni, czarne jakieś postacie snuły się jak widma: to zaslaniając ogień, to usuwając się z przed niego. Część lasu bliższa, w blaskach ognistych stojęca, cudnie malowała się na czarnej głębi boru. Każda gałąź jakby złotem obłana wyskakiwać się zdawała, w tysięcznych kształtach wyginając się i drobnymi migocąc listkami...

Ale Tumry nic nie widział, i przyspieszonym, w miarę zbliżania się swego do szatry, lecąc biegiem, jak piorun wpadł pod namiot cyganów.

Stanął przed ogniem, zdawał się przebudzać, krzyknął przeraźliwie, cofnął i padł nieprzytomny o ziemię, jak drzewo wiatrem zwalone.

Od wyjścia swego ze Stawiska, gromadka, którą dowodził Aprasz, przewędrowała wielki kawał kraju i rozmaitych doznała losów; może przypadek, może wola Azy przygnała ją znowu w te strony. Młode dziewczę umiało tak sterować wszystkiemi, że choć pozornie stary cygan przewodził, ona w istocie i nim i bandę kierowała.

Któż tam wie, co się działo w sercu dzikiego dziewczęcia? Dość, że zwrócili się cyganie ku Stawisku. Czy chciała zobaczyć Adama, czy ciekawą była wiedzięć co się stało z Tumrym.

Po jego ucieczce, po wyjściu ze Stawiska, Aza zmieniła się bardzo; została jęj dawna żywość, ale uciekła wesołość. Pobyt we dworze nauczył ją tęsknić za strojem i zbytkiem, których raz skosztowała.

Żle jęj już było w łachmanach dawnych, w *gat'i* (koszuli) grubęj, w *urakba* (płaszczu) z prostego *hasyka* (sukna); chciała białęj *pochty* (plótna), i krasnéj *bucaki*, i świecideł, z któremi jęj przy czarnych włosach i czarnych oczach tak było do twarzy!

Umiała jeszcze z niczego stworzyć ubranie, przydziać się prostą *plastą* (kołdrą), do kibici, przybrać polnemi kwiatkami, i czystością zastąpić wytworność; ale wzdychała za jedwabiami, których tyle rzuciła we dworze Adama.

Często też, częściej niżliby chciał Aprasz, któremu wspomnienie zbiega napęliło krwią źrenice, Tumry przychodził na jej myśl i usta; mówiła o nim na przekór *dados'owi* (ojcu, bo tak zwano Aprasza) i nie zapomniła do końca: owszem zdawało się, że im był dalej, tém częściej i niespokojniej wymawiała jego imię. Sprzeczała się z cyganem ciągle, gdyż on utrzymywał, że niczém go wstrzymać nie było można; ona, że go odepchnęli srogością obejścia i prześladowania.

Aza jednak klęła się i prorokowała jak cyganka, że ten kto raz błędnego życia taboru ich skosztował, nie wytrzyma przykuty do chaty i roli, i powrócić do nich musi.

— Byleby nas zobaczył, byleby dym ogniska *romów* powąchał, zerwie się choćby z łańcucha i przyleci!!

W podróży powolnej od wsi do wsi, z miasteczka do miasteczka, cyganie kuli konie, leczyli, wróżyli, zamawiali, a Aza wielka wróżbiarka, wszędzie zwabiła ku szatrom wdziękiem swęj twarzy i czarnych oczu urokiem. I jak prawe dziecię Ewy, lubiła, żeby się za nią włócił ten łańcuch niewolników, których jeśli jedném nie zwabiła wejrzeniem, posyłała po nich i drugie i trzecie, i uśmiech w pogoń, i mrugnienie, i tę obietnicę roskoszy, która niestety tak często kłamie! Ale nikt nad to wejrzenie, nad ten uśmiech, nad obietnicę nie otrzymał nic więcej; kiedy niewolnik spętany leżał u nóg cyganki, odwracała się od niego ze śmiechem szyderstwa i zemsty. Serce jej było kamienne, a pierś jeszcze się nie poruszyła, wtorując czyjéj żądzy, czyjemu błaganu.

Codzień jej przybywało wdzięków, codzień w tém szatańskim wprawiała się rzemiośle. Stare baby wyuczyły ją tańca wyniesionego z Hiszpanii, a śliczna cyganka przy wdzięku prostej drumli, z kawałkiem płótna w ręku, umiała z niego uroczą układać scenę. Rzekłbyś, że skacząc tak sama, w monomii tym odgrywała cały dramat namiętnej tęsknoty, która leci ku ideałowi niewidzialnemu, zapala się doń, pragnie i rozbija o mgły i tumany! Chwilami miotła się wesoła, swobodna, jak prawdziwe dziecię cygańskie, i uśmiechała się do tego, który gdzieś zakryty stał przed nią; potem taniec jej wolniał, czynił się tęsknym, i znów gwałtowniej nią rzucał, aż wpadła w jakiś szal, w namiętność, która się wysiłkiem i jakby śmiercią pełną pragnień tajemniczych kończyła.

Na ten taniec zbiegali się patrzeć młodzież, starzy i ci nawet, których w początku wiodła prosta ciekawość, których w chwilę potem paliła namiętność: a Aza codzień stając się sławniejszą po miasteczkach, więcej zyskiwała swym tańcem, niż Aprasz młotem i kowadłem. Stare cyganki, a osobliwie Jaga, która niedarmo to imię nosiła od ognia (*Jag*) widziały w Azie podporę przyszłości, wróżyły jej wielkie losy, i chodziły koło niej jak koło królowej. Aprasz też, który chmurno, ale gorącym okiem na nią poglądał, stroił ją teraz i pieścił coraz więcej, zwłaszcza od czasu, gdy mu milcząca umarła żona. Biędna ta kobieta jakby czekała, rychło od piersi jej odpadnie ostatnie dziecię; gdy z kolan zeszło i uścisku matki nie potrzebowało do życia — pochylila się, i milcząca, bez jęku, jak żyła umarła. W włóczędze schwytala ją śmierć na rozdrożu w smutnym lesie sosnowym, i cygan tam ją pochował, narzuciwszy mogiłę suchemi gałęziami. Nie widać było żalu ani w nim, ani w dzieciach, więcej zdziwionych jak zasmuconych stratą matki, ani w starych kobietach i reszcie taboru, do którego nie zdawała się należeć, bo ją zawsze *gdzią* (obcą) nazywano, choć długie z niemi przebyła lata.

Szeptaly baby kładąc ją do mogiły niezrozumiałe słowa, mrucał coś Aprasz, który ją w ziemi składał szeroką obwinąwszy płachtą, ale ani jedna łza nie pociekła z oczu cygana. Tylko dziecię najmłodsze nadbiegło nad grób, widząc, że ją weń spuszczano, wyciągnęło rączki ku zimnemu trupowi pochyliło się i upadło na pierś, której bicia już wskrzesić nie mogło. Aprasz rzucił się za niem, wyciągnął, oćwiczył, i wkrótce ziemia przykryła zwłoki nieszczęśliwej.

Po śmierci jej zdawało się, że Aprasz zapragnie za żonę wziąć Azę; w kilka miesięcy powiedział jej nawet wolę swoją, ale się naśmiała i potrzęsa głową dumnie.

— Co ci to — rzekła — czyś szalony *dados*? A tożbym ja twoją *ciaj* (córką) być mogła, a ty ojcem moim! Tyś stary, ja młoda, i nie mam ochoty być *dają* (matką) cyganów i niewolnicą mężczyzny.

— Widzisz — odparł Aprasz chmurno — że nie mam ktoby mi był żoną.

— Weź jaką starą niewiastę: dosyć ci jęj będzie dla dzieci, a dla ciebie aż nadto!

— Azo! ty wiesz, że ja szyderstwa nie lubię.

— A ja szydę! — odparła dziewczyna śmiejąc się i białe ukazując mu ząbki — boś zasłużył na śmiech! Wyrwij sobie garść włosów i policz w nich siwe: znajdziesz więcej ich w jednej ręce, niż ja lat przeżyłam; przystałoż, bym była twoją?

Kilka razy jeszcze Aprasz napadał ją z tęp żądaniem, ale go zawsze odparła w ten sposób; a stare kobiety, jęj przyjaciółki, pilnowały ją dobrze od przemocy, i gdy przyszło do walki, krzykiem przynajmniej stronę jęj trzymały. Aprasz złościł się i zżymał, i groził, ale poradzić nic nie mógł. Postrzegł, że Aza wiedzie go ku Stawisku, w stronę w której wspomnienie pana Adama i młodego Tumrego ją pociągało; wściekał się zrozumiawszy jęj myśl, ale sam przeciwko całej gromadzie, którą zawładła dziewczyna, choć dowódzca nic nie mógł.

W miarę jak się zbliżali do wioski, Aza spoważniała, zadumała się, a strój jęj dowodził, że chciała być piękną: czy dla pana Adama, czy dla Tumrego cygana? — nikt nie wiedział. Aprasz jęj groził, ona się śmiała.

Doszli wreszcie do Stawiska nocą prawie, a cyganka chciała, by obóz rozłożyli w znajomém miejscu na odłogu; ale *dados* się oparł, i w pustkowiu na dolinie zastanowił *werden* (wóz) i namiot rozbił.

Aza chciała zaraz lecieć do wioski, ale Aprasz rzucił się do nięj z toporem i pogroził jęj straszliwie, jeźliby się krokiem ruszyła. Stare baby z Jagą na czele powstały wszystkie na dowódcę, wrzask stał się niezmierny: bo aż do dzieci, cała banda słuchała więcej Azy niż jego: i przerażony kowal uległ przemocy, bo topór z rąk mu wypadł, a dziewczyna wzgardliwém zmierzwszy go wejrzeniem, zawołała:

— Nie pójdę, bo nie chcę; pójdę, gdy mi się spodoba! Słyszysz, Aprasz! nie boję się ani twych gróźb, ani topora, ani gniewu; a od dziś dnia tyś mi nie *dados*, ja ci nie *ciaj*: my obcy! Idź jeśli chcesz i gdzie chcesz moi mnie nie porzucą.

Cygan zaciął usta, błysnęło mu oko czarne na białku, zamilkł i ustąpił.

Co się tam działo w sercu zrzuconego z panowania wodza, którego władzy ostatnia wybiła godzina z ostatnią nadzieją, to tylko jedna może wiedziała Aza, bo go lepiej znała od innych. Cały wieczór nieruchomy przesiedział przy ognisku, nie mówiąc słowa, nie dając rozkazów, w postaci jednego z tych królów zwyciężonych, jakich nam stare wystawiają rzeźby w wykopaliskach grodów Azyi i Egiptu. Byłby skonał w tęp męczarni, gdyby boleść taka zabić mogła; ale ona dręczy, a żywi i dobywa życie z człowieka, by cierpiał.

Aza wzięła rządy nad gromadą nie zważając na niego; ona rozstawiła wóz, ludzi, sprzęty, rozdała wicherzę, i jak na wzgardę misę stawy z okrajcem chleba kazała postawić przed tym, któremu dotąd pierwszy kęs i pierwsze należało miejsce. Cyganie zdawali się nie zważać nawet na wczorajszego wodza, i jak chorego lwa, każdy z nich jeźli nie nogą, to słowem bolesném potęrał; bo Aprasz bezsilny, zwyciężony, od tęp chwili wodzem być już przestał.

Właśnie o krok od siedzącego na zwalisku swęj potęgi Aprasza, obłąkany, senny, padł Tumry, łoskotem upadku swego przestraszając bandę całą.

Aza, która czuwała, chwyciła zapaloną gałąź z ogniska, i przybiegła pierwsza zobaczyć co się stało. Zdawało się, że przeczuła Tumrego, że się go spodziewała: tak zwycięzko spojrziała na twarz jego bladą, martwą, wychudłą, oświeconą płonąącą gałęzią sośniny.

— Tak! to on! — zawołała dziwnym głosem — wiedziałam że to on być musi. Ciągnęłam go tu i przyciągnąć musiałam. Ale trup! ale martwiec i upiór! A! a! — dodała zlewając twarz jego przyniesioną przez Jagę wodą z kociołka — cóż mi z niego zrobili *gadziowie*, i ta jasnowłosa *egąsi*, dla której *romów* i ich życie porzucił! Na twarzy znać co wycierpiał! Biędny Tumry! zestarzał, znędzniał, nawpół umarł i zamęczył się.

Tumry w tęp chwili otworzył oczy, podniósł się na łokciu, i zdziwionym wzrokiem powiódł po dziwnych otaczających go postaciach, gorące oko topiąc w pięknej dziewczynie, która z uśmiechem litości stała nad nim w blaskach swęj pochodni, jak nieziemskie zjawisko. To widzenie wydawało mu się jeszcze dalszym snu jego ciągiem.

— Gdzie ja jestem? — spytał schrypiłym od znużenia głosem, spozierając na *romów* i na skrwawione piersi, ręce i nogi swoje — nie jestem w chacie pod cmentarzem, gdzie się spać położył? Gdzież Motruna? kto mnie tu przeniósł! Czy to życie snem tylko było?

— Wszystko sen! — odpowiedziała cyganka, podając mu kubek wody. — Pij, orzeźwij się i bądź pozdrowiony z powrotem pod szatrę naszą! Sprobowałeś życia *gadziów*, serca ich, szczęścia: powiedz, czy ci lepiej było z nimi jak z nami?

— Ale to sen! to sen chyba! — trąc oczy począł Tumry. — Prawda! Janek mi wczoraj prawił o cyganach; cały wieczór rwałem się aby pójść ich zobaczyć, alem się spać układł w chacie: jakaż mię tu siła przyniesła?

— Siła, która ptaka pędzi do gniazda, a zwierzę do jamy — odparła śmiejąc się Aza — a któż zna tę siłę, która mocniejszą jest od nas?

Tumry patrzył i opamiętywał się powoli.

— Gdzie Aprasz — spytał — gdzie jego żona.

— Żona jego śpi na rozdrożu — odparła Jaga.

— A Aprasz śpi u ogniska — rozśmiała się Aza — bo od dziś przestał być wodzem naszym! Podniósł rękę na mnie i upadł! Patrz — odsuwając się i odstawiając siedzącego, dodała dziewczyna — oto Aprasz, który mnie, mnie chciał mieć swoją żoną i niewolnicą! Skań mu głowę lub pluń na niego, jak chcesz, a nic ci już nie zrobi, bo przestał być silnym!

Wtém stary wódz chwycił się, ukłóty słowem, od ognia, i porwawszy topór leżący na ziemi, z wściekłością rzucił się na Azę; ale nim ją mógł ugodzić, Tumry zerwał się na niego, wpół go objął i powalił, a nadeptawszy nogą gardło, wyrwał mu z rąk siekiere.

Ich oczy spotkały się z sobą i starły wejrzeniem krwawém, a Aprasz zaryczał i dłoń spuścił i żrenicę.

— Tak! — rzekł głucho — jam już bezsilny! Nie panować mi nad wami, ale iść za wozem waszym i słuchać! Puszczaj Tumry, na *Mroden-oro* (Boga), na *Mutes-oro* (śmierć), na *Nasua-oro* (chorobę), *giwes-oro* (dzień), na *rat-oro* (noc) klnę się, nic wam złego nie zrobię; puść mię niewolnika.

Ale Aza przypadła ku upadłemu wołając:

— Powtórz! jeszcze raz powtórz przysięgę, i dziesięćkroć ją powtórz, zanim ci uwierzę!

Aprasz począł powtarzać posłuszny.

— Odbierzcie mu *towez* (siekiere) — zakrzyczała — i *czuria* (nóż) i odtąd niech ich nie ma w ręku! Dziękuję ci Tumry — dodała — puść go: winnam ci życie. Wielki *Mroden-oro* przyprowadził cię tu na skrzydłach tęsknicy umyślnie, żebyś mnie uratował! Siadaj i grzěj się u znajomego ogniska, i mów, coś przeboleła, bo żeś nie był szczęśliwy, mówi to blada *busta* twoja (twarz).

— A! a! — odparł Tumry wspierając się na wywróconym miechu kowalskim, na który spoglądał jakby starego witał przyjaciela — nie ma co mówić o szczęściu i doli mojej. Próżno kto od niej ucieka! *Gadziowie* zjedli mnie i żonę, powolném prześladowaniem ogryzając kości, i odstąpili odemnie jak od trupa, a ja walczyłem z nimi. Umarł ojciec Motruny, powiodłem go okiem na cmentarz; musieli mi oddać dziewczynę, ale żyłem nędzą moją i ich złością: bo prócz jednego, nikt z nich twarzy nie zwrócił ku mnie!

— A białaż *egaszi* twoja? — spytała Aza.

— *Egaszi* kochała mnie i kocha — rzekł Tumry — ale cóż miłość o głodzie i w niewoli? Dom mój był dla mnie trumną i grobem, tak mi w nim duszno i tęskno i ciasno; oko zawsze jednym karmilem widokiem cmentarza, mogił i nagiego wzgórze...

— Ale was było dwoje?

— Troje z nędzą, czworo z głodem! — śmiejąc się dziko rzekł Tumry — pięcioro z pocziwym Jankiem.

— Znalazł się ktoś przecie pocziwy?

— Ale wy — przerwał Tumry — cóż z wami się działo? gdzieście byli, co was przynęcało tu znowu, na szczęście czy nieszczęście moje?

— Ja! — zawołała Aza — chciałam zobaczyć co się z tobą dzieje. Aprasz się sprzeciwiał, ale usłuchać mnie musiał! Życie szło jak idzie życie: dzień do dnia niepodobny, a zdaleka bracia rodzeni! Paliło się kowadło, sapały miechy, pracowały ręce, a Aza śpiewała i skakała *gadziom za łowy!* (pieniądze). I ot, widzisz, przyszliśmy tu wreszcie może umyślnie po ciebie, a może do młodego *Raj'a* Adama.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Co robi *Raj* Adam? — spytała — czy zawsze życie mu tak długie, a młodość tak ciężka do dźwigania?

— Nie wiem — cicho odpowiedział Tumry. — *Raj* ożenił się był z jakąś *gadzią*, mówią, że go zwodziła z drugim...

— A cóż miała robić biedna! — rozśmiała się Aza — musiała!

— Pojechali gdzieś daleko po zdrowie dla niego, po wesele dla siebie, a *rani* (pani) tam umarła.

— Umarła! o! jakże dobrze zrobiła! — zawołała klaskając w ręce Aza — znowu go męczyć będę! We dworze więc pusto?

— On sam tylko!

— Co powie zobaczywszy starą znajomę! — poczęła Aza śmiejąc się do swój myśli. — Jutro, nie dalej jak jutro, przystroję się jak *rani*, i polecę do niego!

Spojrzała na Tumrego; on chmurny obracał w ręku zagasłą głównię i milczał.

— Pójdę go męczyć — powtórzyła i śmiać się! A! żebyś wiedział Tumry, ilemto ja już *gadziów* miała: choć brać garściami! A co mi ofiarowali, a jak się modlili do mnie! Było ich widzieć gdy lecieli za Azą jak gromada *szukelów* brzęcząc pieniędzmi i obietnicami! Gdym widziała, że który z nich poddać się nie chce i patrzy na mnie chłodno, tom póty paliła go, pociągała, czarowała, ażem za sobą powiodła! O! miałamże miałam roskoszy, gdy wywiodłszy ich daleko, rzucalam po drodze jak ogryzione kości!...

Coś okrutnego było w mowie cyganki, a jednak taki był urok jój wzroku i głosu; że Tumry drżąc oderwać się od nich nie mógł! patrzył, słuchał i spragniony długą żądzą, nasycić się nie mógł.

Pięknąbo była przy ognisku, a świeże zwycięstwo okrywało ją jeszcze powagą jakąś i siłą nową! Tumry nigdy jój taką nie widział.

— Ale mówno mi o sobie — zbliżając się i łagodniejąc, odezwała się Aza, o swój — *bukuni* (domku) o *egaszi* (żonie), o życiu!

— Wszystkom ci powiedział — smutnie rzekł i powoli cygan. — *Egaszi* dobra i poczciwa, ale jój tęskno za swemi, których nie widzi, jak mnie za *male* (polem) i namiotem! Płacze i płacze biedna! *Bukunia* moja, którą krwią i potem zlepił; wygnanka, jak my za siołem stoi na pustkowiu i patrzy się w państwo *Mutes-oro*, na cmentarzysko *gadziów*. Ciasno w niej, głodno, zimno i pusto...

— A nie kwiliż w niej dziecię? — spytała zamyślona Aza.

— Nie — odparł Tumry — ale kto wie, kiedy się ten głos z drugiego świata pierwszy raz da słyszeć? dziś, jutro może.

Dziś! jutro! toś przepadł? — odpowiedziała cyganka. — Niechno zapłacze dziecina, a uwięzniesz tam na zawsze przy swojej bladej *egaszi*, i zeschniesz w pracy i utrapieniu!

Skinęła ręką!

— Idź skazany — rzekła — jużes ty nie nasz! Idź! idź! nie patrz na swobodę, nie kosztuj powietrza pod namiotem: tobie zgnić pod dachem uwiązaniem do słupa! Tyś niewolnik! tyś *gadzio*.

Wymówiła to przekleństwo bez gniewu, z litością raczej: ale Tumry uczył je w głębi piersi, jak przepowiednię nieodwołaną. Spuścił głowę, powoli podniósł się z ziemi, potoczył wzrokiem dokoła, jakby ich żegnał, i raz jeszcze spojrzał na Azę.

— Idź! — rzekła dziewczyna — idź do *khera* (domu), blade *egaszi* cię czeka! Niech ci się serce nie drze na widok *Romów*, bo do nich wrócić nie możesz!...

Otrzeźwiony, osłabły Tumry powracał mozolnie i powoli tą samą drogą, którą we śnie przebył tak żywo i łatwo. Zranione nogi zaledwie go wlokły, ciężka głowa ołowiem spadała mu z karku, serce to biło stem młotów, to przestając uderzać milkło w piersi, jakby na wieki spocząć chciało.

Dziwił się, że tak ogromną przebiegł przestrzeń, która w powrocie wydała mu się nieprzebytą, nieskończoną; wyglądał drogi i błąkał się, i znaleźć jój nie mógł; kiedy niekiedy odwracał się, by spojrzeć na ognisko, przy którym zostawił Azę! to znów znużoném okiem szukał swój chaty, cmentarza, wioski i z trudem ścieżki rozpoznawać musiał.

Była to chwila uroczysta, gdy noc ze dniem się łamie, ciemność poczyna walkę ze światłem, śmierć codzienna ustępuje życiu; blade niebieskie ognie, i księżyc nawet coraz

srebrzystszym się zdawał, gwiazdy uchodziły po jednej w niebieskie głębie eterów, chmury nocne zapadały z jednej strony, a ranne kupiły się z drugiej: ptaki, pierwsze stróże żywota ziemi, poczynały śpiewać zmartwychwstanie.

I drzewa i kwiaty budziły się także barwami, które noc ciemna uśpiła, a dzień rozwijał dla oczu; niektórych kielichy już piły rosę spragnione, inne gnuśniejsze, w powi-
jaczkach jeszcze cieplejszej czekały godziny. A cisza była długa, przerywana tylko pieśnią
rannego ptaszka i nieśpiących kruków i szumem porannej modlitwy lasów...

Tumry szedł i zataczał się! ani różowy blask wschodu, ani srebrne jasności ustępującej
mu nocy, nie roztworzyły jego źrenicy umarłej... Nareszcie zobaczył czarne krzyże mogił,
chude wierzby cmentarza, żółty grób Lepiuka, i nizki komin swój chaty.

Przyśpieszył kroku. — Co się tam dzieje z Motruną, zawołał w duchu, jeśli postrzegła
że poszedłem? A! żal mi jój, żal, ale na cóż pokochała cygana?

I minął cmentarz drżący, śpiesząc do drzwi lepianki. Na progu nie było Motruny...
tylko głos dziwny, niepojęty, uderzył jego ucho. Nie był to głos zwierzęcia, ani człowieka,
ani ducha, nie było skrzyp drzewa, ani świergot ptaka, ale wołanie niezrozumiałe, płacz-
liwe, jakby wzywające litości, w którego głębi słychać było mowę ludzką, i jęki zwierzęcia
i lzy człowiecze.

Wszedł na próg i pierwszym co zobaczył, była naga kwiląca dziecina, która leżała przy
Motrunie na ziemi. Biedna kobieta tuliła ją ku sobie płacząc, niepamiętna na boleść swoją,
cała już matką tylko!

W progu wartował głupi Janek, który dał wnijsć cyganowi, dał mu się zbliżyć do żony
i pokłęknać u jój barłogu: ale gdy Tumry wybiegł po chwili odetchnąć i oprzytomnić,
poczwarzka zjawiała się na przeciw niego.

Zdziwił się Tumry nie widząc na jego twarzy zwykłego wyrazu litości i uczucia, ale
chmurny gniew jakiś i groźbę.

— Co ci Janku? — spytał, z potu ocierając czoło.

— Co ci cyganie przeklęty! — podchwycił karzeł pięść ściskając — gdzieś ty był
w nocy włóczęgo, gdy żona jęczała wzywając twojej pomocy, a choćby twarzy twojej!

— Nie wiem co się działo ze mną!

— Ale ja wiem — zawołał Janek — szatan cię upętał diabli synu: chodziłeś na tańce
z czarownicami!

— Łaj mnie — rzekł Tumry — ale spytaj Motruny czym winien, czym poszedł
o swojej woli, przytomny?

Janek popatrzał nań surowo.

— Ej strzeż się cyganie — rzekł — małym ja człeczce, ale jak Bóg Bogiem, jak psa
cię zabiję, jeśli żony i dziecka pilnować nie będziesz!!

Tumry uśmiechnął się szydersko i wzgardliwie.

— Janku! rzekł, tobieżto mnie grozić?

— E! i robak kąsa śmiertelnie! — zawołał mały — i ja potrafię choćby robakiem być
tobie.

To mówiąc zniknął biegnąc ku wsi, a Tumry wrócił do chaty.

Serce mu się ścisnęło na widok biednej kobiety, której czoło pot śmiertelny, a twarz
bladłość okrywała trupia. Spoglądając na niego, jakby błagała o litość dla siebie i dziecięcia,
uczuł się winnym choć nie wiedział, jaka siła pchnęła go do grzechu i przyklął u łoża.

— Co się stało? jak to było? — spytał, ja nie odszedłem od ciebie własną wolą!

— Czarownica cię widać pociągnęła — odpowiedziała słabym głosem Motruna. —
Kiedyś spał, zerwałeś się, pobiegłeś, chciałam iść za tobą i upadłam.. Nie wiem co się
działo ze mną i kiedy mi Bóg dał dziecię... Otworzywszy oczy spostrzegłam w progu
poczciwego Janka, który mnie widać od drzwi przeniósł na łóżko...

Tumry spoglądał na kwilące niemowlę i myśl jego przebiegała cały szereg ciężarów
i obowiązków, jakie dla niego na świat przysły z tym dziecięciem... We dwojgu ledwie
żyć mogli: — troje umrzeć musieli... Potrzeba było pomocy osłabłej Motrunie, pokarmów
dla niej, pieluch dziecinie, sługi w chacie i chleba! chleba! chleba!

Tumry zarabiając nań, musiał opuścić żonę samą, a nie było jój komu dopomódz
w pierwszych dniach słabości.

Chwycił się cygan za głowę.

— Nie ma rady — rzekł głośno — ze wsi nikt nam posłużyć nie zechce, ja sam nie podołam wszystkiemu; pozwól mi pójść i zawołać Jagi cyganki.

Na te słowa Motruna porwała się i dziecię przytuliła do siebie.

— Cyganki! — zawołała — o! nie chcę, nie chcę, obejdziemy się bez pomocy niczyj... Oniby mnie struli, oniby mi dziecię porwali!

Tumry ruszył ramionami.

— A tyżes żoną cygana?

— Tak! tak! — rzekła — ale się boję, boję się! Miej litość nademną!

— Ty sama litość miej nad sobą! — zawołał cygan. — Toć pomrzemy, jeśli nam w tych dniach pierwszych ktoś nie pomoże!!

— A Janek!

— Ale tu potrzeba kobiety!

— Ja wstanę, ja wstanę — pośpiesznie poczęła mówić Motruna!

— To być nie może: kilka dni przeleżeć musisz... A któż tobie i dziecku posłuży, zgotuje; kto cię nauczy jak chodzić koło niego?

Motruna zmilczała, ale na twarzy jej, z ruchów niespokojnych widać było, że bojaźń ją nie opuściła, choć nie wiedziała co począć.

Chciała spróbować czy nie potrafi wstać, i opadła na łóżko jęknąwszy tylko boleśnie.

Tumry siadł przy niej na ziemi, i oczy wlepiwszy w dziecię i matkę, pozostał tak nieruchomy, w niemiej jakiejś rozpacz.

Wtém drzwi uchyliły się powolnie; spojrziała Motruna i zadrżała, widząc straszną twarz starej cyganki, ukazującą się powoli z sieni.

Był to stara Jaga, którą nie wiem, ciekawość czy inne jakie uczucie nagnało w ślady Tumrego. Poczwarna baba, mogąca przstraszyć wyrazem swych czarnych oczu i śmiejąco się zakłęsłej szczęki. Skóra jej na czarno opalona, włos kruczy rozrzucony w pozlepianych kosmach po czole i twarzy, pomarszczone policzki, uśmiech bezzębny i wejrzenie drapieżnego ptaka, robiły ją ideałem starej wiedźmy z baśni ludu! Brudna *gata* (koszula), zdarta *sokba* (spódnica) i narzucona na głowę płachta, stanowiły całe jej ubranie, z pod którego nagie ręce i pierś wyszła wyglądały. Zgarbiona, opierała się na wyłamanym w lesie kiju sękatym, którego długie użycie widać było z rozstrzępionego końca.

Wejrzeniem poleciała po chacie, i weszła z uśmiechem widząc, że będzie potrzebna. Na widok jej Motruna pochwyciła dziecię i drząc poczęła, a Tumry zerwał się i stanął zdziwiony, że się tak niespodziewanie zjawiała ta właśnie, o której mówił przed chwilą.

Zaledwie nogą na próg wstąpiła, już po cygańsku Jaga obleciała okiem palającym wszystkie zakątki izby, policzyła garnki, sprzęty, obrachowała stopień nędzy Tumrego, i wiedziała co ma i czém żyje.

Powoli jak kot kołując, skradała się do łóżka.

— Stój, — zawołał Tumry po cygańsku do niej — *agasz* boi się ciebie, drży, płacze; odstąp się ku drzwiom.

— A czegoż się boi twoja *gadzia*? — spytała Jaga, siadając u progu na ławie — alboż nie żona cygana, alboż to my nie swoi, a nawet nie krewni?... Jabym jej koło dziecka pomogła, bo ona widzę zacaluje go i zaściska, a poradzić mu nie potrafi.... Toć to moje rzemiosło... i daj mi *Mroden-oro* tyle lat żyć jeszcze, ilem ja *romów* i *gadziów* dzieci na świat wyprowadziła!

— Nie bój się kochaneczko, — zaczęła po wiejsku ale złamanym językiem, starając się przymilić i głos schrzypli spieszczając, a uśmiech czyniąc łagodnym — a toć to i wielkie panie, i ekonomowe, nawet i szlachcianki, nie jeden raz posługiwały się Jagą! Ja się znam koło dzieci, a tobie to podobno pierwsze, to je niebożatko zamorzysz z wielkiej miłości.

Powstała chcąc się zbliżyć, ale ruch Motruny rzucającej się do dziecka, oznajmił jej, że żadnej nie przyjęłaby pomocy.

— Słuchaj Jago — rzekł Tumry — możesz inaczej mnie poratować; weź się, rozpal ognia, nastaw wody, zgotuj co... Ona głodna... ja cały dzień pono nie jadłem, i dziecku coś będzie potrzeba...

Stariej w to graj, bo bardzo pragnęła zajrzeć po kątach, a gdyby się co trafiło, wyciągnąć po cygańsku; więc na pierwsze słowo zrzuciła z siebie płachtę, postawiła kij w kącie, i zakasała podarte rękawy.

— A gdzie żar? gdzie woda? gdzie śpiżarnia? Macie mléko?

Tumry uląkł się tylu potrzeb razem...

— Żar... poszukaj w popiele, być musi; woda? zobacz w wiadrze;... w spiżarni niewiele znajdziesz, a mléka! mléka nie mam...

— Jakto! ani kozy nawet? — zapytała cyganka.

— Ani kozy! — westchnął Tumry.

— O zły z ciebie gospodarz! — uśmiechnęła się Jaga rozgarnując popiół, — widać żeś zrzucił skórę *romów* i rozum ich! Żeby téż tyle tu siedząc, kozy nie dostać nawet! A włóczy się to tego tyle po polu bezpieczeństwa! mogła się która przybłąkać... Ha! ha! ha! a bałbyś się żeby nie poznali, to ją zaraz było przehandlować na targu... Zły z ciebie gospodarz!

— Cóż tu gotować? — spytała — zkad ja tu wezmę przyprawę? a i wody nawet ledwie męty!

— Po wodę pójdę — rzekł Tumry.

— Nie chodź, nie zostawiaj mnie samą — szepnęła Motruna.

— Po wodę i ja schodzę — odezwała się Jaga.

— A wiesz gdzie ona?

— O! uczyć mnie nie trzeba: już cię dokąd najlepiej ubita ścieżynka, tam woda pewnie! A może gdzie kozę lub krowę spotkam, to ją dla was wydoję; dajno garnuszka tylko.

— Jago! będzie bięda! — rzekł Tumry.

— A tak to jój nie ma? — odparła cyganka. — Lepiej z głodu zdychać, czy na szubienicy tańcować? — wszystko jedno! Daj garnuszka.

Stara wychodzić miała, kiedy się zjawił Janek, z mlékiem, chlebem, dzbankiem wody i węzełkiem krup: trochę tylko drzwi uchylił, dary swoje wsunął, słowa nie rzekł i wybiegł nazad pędem.

Jaga pochwyciła wszystko, a węzełek naprzód wetknęła za pazuchę dla siebie, udając, że mléko przelewa aby je zagrząć prędkiej. Nikt tego złodziejstwa nie spostrzegł.

Od tego poczęła stara swoją posługę w lepiance Tumrego, w której od téj chwili rozgościła się już śmiało, widząc się potrzebną.

Dzień już był jasny na niebie, i słońce dopiekało, gdy Aza rozporządziwszy wszystko w obozie, i zdawszy dowództwo cyganowi zwanemu *Puza*, bo czuła że jako kobieta utrzymać się na niem nie potrafi; wybierać się poczęła do dworu. Puza niemłody już cygan, krępy, mały, brzydki, który dotąd był ofiarą *Aprasza* i męczennikiem jego, zabierał się teraz oddać za swoje, gdy niespodzianie kolej rozkazywania nań przysła. Aza wybrała go umyślnie dlatego, bo była pewna, że dojrzy i uciśnie nieprzyjaciela.

Gromada chętnie się zgodziła na wskazanego jój nowego *dados* (ojca) i poszła pod jego rozkazy, a *Aprasza* nie pytano o wolę.

Młoda cyganka weszła do namiotu i rozpoczęła strój nie bez wielkiego namysłu i rachuby. Wybrała co miała najpiękniejszego, najświetniejszego, w czém czuła że jój było najlepiej, i skąpawszy się cała w krynicy, utrefiwszy kosę czarną, której ogrom ledwie głowa dźwignąć mogła, wdziała koszulę perkalową naszywaną, kilka na nią sznurów koralu i bursztynów, spódnice w kwiaty, fartuch jedwabny, kaftan czerwony szyty, na wierzchu narzucając rańtuch cienki, który ufaldować umiała z instynktem artystki.

Białe płótna i krasne farby ubrania, dziwnie podnosiły wdzięk jój twarzy opalonej, ale świeżej i rumianej, wśród której zęby i białka jak śnieg błyskały. Z pod czarnych rzęs długich, gdy ognistém rzuciła okiem w potłuczone zwierciadelko, uśmiech przeleciał po jój ustach...

— Zginiesz *Raj'u*, zginiesz w tych oczach! — zawołała w duchu — spalę cię na węgiel! o! spalę; żebyś był kamieniem to zapłaczesz!

— Czemuż mi tak słodkie lzy ludzkie? — poczęła się pytać siebie zadumana — nie wiem; ale kiedy je spostrzeżę, gdy jęk posłyszę, to tak mi się chce mordować i męczyć, zabijać i nękać, jak dzikiemu zwierzęciu! A jednak, jednak — odpowiedziała sobie w duchu — gdyby mi tak Tumry zapłakał, zajęczał, poleciałabym może ratować go i bić się z tymi co mu lzy wycisnęli! Tumry! Tumry! Ale to już nie cygan: błądą *egasz* pokochał, a Aza mu nie miła.. Wczoraj przecie przyleciał! O! i patrzył na mnie! a jak obronił od *Aprasza*! a jak zdawał się spragniony!... Nie! nie! — potrząsała głową — Tumry przepadł... pójdę męczyć! *Raj'a* Adama.

I raz jeszcze wejrząwszy w zwierciadło, śliczna Aza wyleciała z namiotu, a wszystkie stare cyganki widząc ją tak wystrojoną i piękną, uśmiechnęły się złośliwie, bo wiedziały, co to znaczy, i Aprasz ujrząwszy zdala odchodzącą zżymał się, a usta zagryzł do krwi.

Sama jedna młoda dziewczyna puściła się ku wiosce, znając dobrze którąś od niej do dworu; a szła jak cyganka, nie powolnym chodem *gadziów*, ale tym polotnym biegiem włóczędzów, których życie upływa na nogach, w wiekuistej wędrownicy. Pochylona naprzód, z rąbkiem którym wiatr powiewał daleko, zdawała się lecieć bardziej niżeli iść po ziemi.

Oko wlepiła w niebo, jedną ręką ujęła koniec zasłony, drugą podniosła fartuch i gnała szalona, nucąc jakąś piosenkę.

Dopadłszy do wsi, zatrzymała się nieco, i zdawała się na wpół przypominać, wpół węchem dochodzić drogi, o którą pytać nie potrzebują cyganie; potem brzegiem stawu, ścieżką ledwie widoczną, pobiegła przez ogród do dworu.

Pan Adam ledwie przebudzony, siedział w ganku w szlafroku, z długim w ustach cybuchem; gdy jak sen, jak widmo, skoczyła na schodki, ze schodków przed niego wystrojona dziewczyna, śmiejąc się do rozpuku.

— Ha! ha! — zawołała poczynając taniec swój przed nim od najnamiętniejszych skoków — *Raj* Adam tęsknił za Azą, Aza za *Rajem* Adamem, i wróciła do Stawiska! Wiesz, przyszedłam znowu poprobować życia z tobą, rzucić ci węgiel za pazuchę i odlecieć jak bociany!!...

Niepodobna wyrazić, jak się zmieniła twarz skamieniała młodego człowieka na widok czarodziejki, tak powoli musiał się ożywiać od toku namiętności i geniuszu, sławny posąg Pigmeliona! Ostyglye oczy poruszyły się, zajaśniały, usta otworzył uśmiech niezwykły, czoło zadrżało jak morze od wiatrów poranku, i pierś żywiej zapagnęła powietrza...

Nareszcie zerwał się i skoczył ku Azie.

— A! to ty! czyż to być może?

— Ot! ja! ja! paniczu! — odpowiedziała, rzucając mu się wprost na szyję dziewczyna, i paląc go uściskiem szalonym.

— Nie zapomniałeś mnie przecie? nie? a wieleż kochał już po mnie?

— Zkądże ty tu?

— Spadłam z obłoków, *batwany* (wiatry) mnie przyniosły... Poprosto zatęskniłam za tobą, kazałam zawrócić *werden*, i napowrót do Stawiska!

— I będziesz moja! — zawołał Adam w uniesieniu.

— Nie! — śmiejąc się i odpychając go zlekka, odpowiedziała Aza — ty moim będziesz *Raj* Adamie! Jam niczyją nie była i nie będę!

A! jak jój z tą dumą było do twarzy!?

Nie wiem jak to nazwać zechcecie; czy miłością, czy dziwactwem? To pewna, że właśnie tego rodzaju namiętnej rozrywki potrzebował zużyty Adam, żeby poczuć że żyje jeszcze. Cyganka paliła go oczami, mową, uściskami, obietnicami, szyderstwem; cierpiał, ale czuł że żyje. Kto inny silniejszy od niego, ale dumniejszy może i więcej panujący nad sobą, byłby Azę zmusił do zmiany, lub sam ją pierwszy porzucił! on z rozkoszą dawał się męczyć, nie mogąc ani oderwać się od niej, ani przemódz jój szaleństw bezlitośnych. Przeklinał jak szatana, a kochał jak anioła. Aza też dobrze znała całą siłę swoją: używała jój i nadużywała. Po długiej włóczędze, po cygańskim życiu, smakował jój zbytek, wczas i atmosfera dostatków, która ją otaczała. Czasami zdawała się wśród niej tracić ogień, który w piersi jój pałał, zaduma zalegała czoło, usta śmiać się zapominały: nieruchoma siedziała godzinami w miękkiem posłaniu; półsenna, półumarła; to znów zrywała się cyganka, błysnęła zębami, oczyma, ustami i rozpoczynała swój taniec namiętny, jak skoki dzikich ludów.

Ale w obudwu zarówno usposobieniach ducha, odpychała Adama, nielitościwem chłoscząc go szyderstwem: raz ze wzgardą poważną, to znów z wesołością trzpiotowatą.

— Jak ja mogę kochać ciebie pytała go — powiedz sam: jesteście dwoje ludzi mniej do siebie podobnych? Jam dziki zwierzę pustyni! ty dziecko zapiecka wymokłe, zbladłe, chude i bezsilne. Jeden mój uścisk zgniotłby ciebie, jeden pocałunek by cię spalił; a w pierwszej klótni, która z każdej miłości jak para z wrzątku wyrasta, jabym cię zabiła jeźli nie ręką to słowem!

Upokorzony pan Adam milczał, szczęśliwy jeszcze, że mógł u nóg jój leżeć i patrzeć w te oczy, nad które wymowniejszych nie widział w życiu...

Cyganka zwykle we dnie dowiadywała się do obozowiska swego, które teraz rozłożyło się na odlegu bliżej wioski i zostawało pod opieką dworu a więc bezkarnie mąciło spokój chłopów, lub rozsypywało się po okolicy; a na resztę dnia i nocy wracała ze starą cyganką do pana Adama. Choć droga nie wiodła ją tędy. Aza codzien prawie przechodziła około chaty Tumrego, na którą ciekawem rzucała okiem, jakby nietylko w nią, ale we wnetrzne życie, które w sobie zamykała, zajrzeć pragnęła. Oczy jój zapalały się naówczas namiętnością, gniewem, zazdrością i nie wiem jakim uczuciem, zlepkiem tysiąca uczuć dziwnych, miotających sercem dzikiego dziewczęcia.

Pierwszy raz tu przyszedłszy stanęła, aby policzyć może, ile dni pracy, znoju i trudów Tumry na swą lichą musiał położyć budowę; pokiwała główką, rzuciła ręką i poszła do dworu. Odtąd codzien prawie przelatywała około cmentarza i chaty, ale wejść do niej nie śmiała, choć uchem i okiem śledziła co się tam działo. Ani Tumry, ani nikt jój tam nie spotkał.

Dni leciały piorunem we dworze, ale powolnie wlokły się w chacie kowala. Motruna leżała zesłabła z dzieckiem, którego obawiała się od piersi puścić, oka nawet do snu zmrużyć ze strachu nie mogąc. Stara Jaga przerażała ją swoim uśmiechem, usłużnością i wzrokiem, w którym dziecko wsi przeczowało skrytego nieprzyjaciela.

Napróżno prosiła Tumrego, aby ją oddalił; jemu lżej było ze starą cyganką, i śmiał się z próżnych strachów żony.

Od nocnego widzenia się w dolinie, Tumry nie spotkał jeszcze Azy; dowiedział się tylko od Jagi, że była we dworze. Zadrżały mu usta i pobladł, gdy to usłyszał; ale więcej nie spytał nawet o nią.

Sama też stara cyganica co dzień niemal donosiła niepytana, o dziwach życia dziewczyny, w której pan dworu zakochał się, jak mówiła, na dobre.

— Mówią — dodawała — że gdyby tylko chciała, pewnoby się z nią ożenił; ale głupia *Raklora* (dziewczyna) śmieje się z niego, poniewiéra, i ani myśli o nim! O głupiaż, głupia! — szeptała — gdyby inna była na jój miejscu, cobyto skorzystać można! Prawda, że *Raj* błądy, nędzny, bezsilny, ale czyżto z nim żyć zawsze?

I takim uśmiechem kończyła swe narzekanie, jakby mu chciała podać kubek trucizny. Straszna była istotą ta Jaga! rodzajem kościotrupa dusznego, w którym ze wszystkiego co ludzkie, sama chciwość i łakomstwo pozostały. Wprawdzie zawsze prawie starość przybiéra te dwie cechy wieku, w których tętni jeszcze miłość własna, co wprzód służyła za jądro innych, przystojniej odzianych namiętności; ale gdy nago i bezwstydnie wystąpi w zesłabłym i schorzałym człowieku u schyłku życia, skąpstwo, pragnienie nienasycone i chciwość: — czynią zeń poczwarę obrzydłą. W stariej cygancie wszystko już było zgasło: uczucie, przywiązanie, czułość wszelka i pamięć; a że ją nędza chłostała życie całe, chciwość dziwna, zwierzęca, rozpasana, wzmogła się w niej do najwyższego stopnia. Chwytać, chować, zabierać, stało się jedyną namiętnością Jagi, która kradła instynktowo, machinalnie, co tylko w ręce jój wpadło. U Tumrego nawet, wśród nędzy codzien widoczniejszej, nie mogła się powstrzymać od kradzieży tego, czego ani schować, ani zabrać nie umiała; a w obozie codzien jój coś wytrząsano z węzełków i smagano nieszczęśliwą, która nazajutrz rozpoczynała na nowo. Nie dziwujmy się stariej Jadze, w naszym świecie ilużto starców zbiera, dusi, chwyta jak ona; ilu innych wykształceńszych obraca ten popęd w jakąś manię kolekcyi, w zapalczywą chęć pieniędzy i mienia?

Tumry nie zważał na szkody jakie mu wyrządzała cyganka, rad, że z nią trochę w chacie lżej było, zresztą nie widział wcale co się koło niego działo, i w smutku jakimś zatopiony, chmurny, zamyślony, zmęczony, całe dni spędzał na ławie przeciw łoża Motruny.

Kuźnia jego była gotową, ale nikt nie przychodził, choć pod namiotem cyganów kowadło milczało także: ludzie szli do wsi sąsiednich, a żaden nie zabłądził pod cmentarz. Od dni kilku, gdyby nie Janek i niewyczerpana pomoc jego, uboga jak on, ale ciągle, jużby jeść co nie było w chacie. A tu na głód i nędzę przybyła trzecia istota jeszcze, której wyschlą piersią Motruna wykarmić nie mogła.

Tumry chciał iść do dworu, ale nie śmiał; wahał się, od dnia do dnia zwlekał, a sam siedział z założonymi rękami, czekając, zdaje się, śmierci czy jakiegoś końca, z poddaniem się losowi zdrętwiałem.

Aza o wszystkiém wiedziała od Jagi, która co dzień chodziła pod namiot i widywała się z dziewczyną; a choć miała czém pomódz Tumremu, nic nie zrobiła dotąd.

— Dobrze mu tak — mówiła przez zęby białe ścinając usta — chciał białej kobiety i życia gnuśnego w chacie, chciał być *gadziem*, kiedy go Bóg *Romem* stworzył, niech cierpi! Życie siedzi głęboko: głód go i ból nie dostanie!

Jednakże przechodząc około cmentarza, codzień oko jój mglistszym wejrzeniem patrzyło na lepiankę; i raz, gdy pan Adam u nóg jój po obiedzie spoczywał, czekając jaki rodzaj nowej męczarni wymyśli nań dziewczę nielitośne, odezwała się do niego:

— Słuchaj *Raj* Adamie: co wam zrobił cygan *Tumry*, że u was z głodu umiera?

— Kto? gdzie? — z ciężkością przypominając sobie, zapytał pan Adam.

— Kował *Tumry*, co siedzi pod cmentarzem.

— Wszakżem mu dał żonę, krowę i pieniądze? — rzekł ziewając pan Adam — czegoż chce więcej?

— A ludzie twoi go prześladują: nie ma roboty, odpychają go wszyscy, siostry i bracia zaparli się ich! Czyżbyś ty nie mógł rozkazać, żeby było inaczej?!

— Rozkazać ludziom żeby kochali? — z uśmiechem zapytał pan domu — samaż mi powiedz czy można?

— Kochać! nie, ale słuchać powinni! Tyś tu pan: alboż ci nie wolno posłać ich do kowala, jak posyłasz gdzieindziej?

— Wolno mi, — rzekł Adam — ale na co się to zda?

— Spróbuj!

— Chcesz, spróbuję — odparł młody człowiek i rozkazał nazajutrz przywołać gromadę.

Rzadkato była rzecz rozmowa tego pana z czeladką i ludźmi. Powolny i łagodny do zbytku przez lenistwo więcej niż dobroć istotną, nie wdawał się wcale w to, co się działo u niego, i nawet w dni uroczyste przyjęcia gromady, rzadko się słowem do niej odezwał.

Rozeszła się więc wieść zwołania starszyny po siole, jak nowina niezwykajna; a *Maxym Lach*, *Skorobohaty* i *Symiacha*, stojący na czele starszyny, łatwo odgadli o co iść miało. Wieczorem po zapowiedzi atamana, skupili się w tyle za karczmą dla narady.

— To nic — rzekł *Maxym* — to pewnie cygańska sprawa. Ten czort cyganica w oko mu wpadła: będzie prosił za kowalem...

— O ho! — parsknął gniewnie *Skorobohaty*, podnosząc rękę do góry — z tego nic nie będzie: pamiętam ja słowa nieboszczyka *Lepiuka*! Toć i wstyd całej wiosce zrobił ten przybłęda, że nam z przed nosa wziął dziewczkę, i gromada się zarzekła, że go zmusi pójść precz.

— A takito dobry kowal — mruknął *Symiacha*, kręcąc głową — bywało w *Rudni*, jak przyjdiesz czy z radłem, czy z podoskiem, czy z kosą, czy z siekierą, to niema roboty, jak kiedy on stanie do młota. Już ja to doświadczyłem, że i mocno i sumiennie robi, i taki majster z niego dobry.

— A co to on jeden na świecie? — począł *Skorobohaty* — żyliśmy dotąd bez niego, pożyjemy i dalej: gromada swoją cześć i słowo powinna strzymać.

— A jak pan każe? — spytał *Lach*.

— Albożto do karczmy czy po staremu do młyna żeby nas pilnowali na bok nie jeździć! he? Co to kowal nas w arędę wziął?

— Jaki z ciebie mędrzec — odparł *Lach* — No! no! pamiętajże, weźże się i gadać za gromadą, jak jutro będzie potrzeba.

— Myślicie że nie potrafię? spytał *Skorobohaty* — Oj! oj! oj! tyleby biędzy; i powiem choć i panu co się parzy!

— A żeby my tak, ojcie podumali, rozmyślili się — przerwał *Maxym* — czy warto nabożeństwo świeczki? Za czyją to duszę pokutujemy, mając majstra pod nosem, chodzimy o milę i więcej? Komu to złość jeśli nie nam?

— A gromadzkie słowo? — spytał *Skorobohaty* — a *Lepiuk*?

— Umarł, pochowany, i święty mu pokój! Na co go z grobu wywlekać.

Na tę rozmowę nadeszło kilku innych gospodarzy i domysły o jutrzejszej gromadzie, to jest zborze do pana, a narady względem odpowiedzi jakąby dać wypadło, jeźliby chciał na kowala namawiać, rozpoczęły się na nowo.

Zdania były dość podzielone! jednakże brat starszy *Motruny*, a za nim większość ze *Skorobohatym*, głośno krzyczała, że gromada na swoim postawić powinna. Jak zawsze, choć może mniej było upartych, ale ci co się uparli, krzyczeli głośno, pociągnęli słabych,

i zagłuszyli nieśmiałych! Maxym Lach nie odważył się odezwać, Filip, brat Motruny, ust nawet nie otworzył.

Można więc było już przeczuwać co się stanie we dworze; bojaźliwsi zamilkną, krzykacze zagłuszą nieśmiałych i zostaną przy swoim uporze.

Zaraz nazajutrz zrana, gromada otoczyła ganek dworu w milczeniu; ale gdy do niej wyjść przyszło, pan Adam tak się wahał, zbierał, męczył samą myślą rozmowy i sprzeczki, że wytrzymał ją do południa w oczekiwaniu! Ze zgasłą fajką wysunął się wreszcie, grzecznym ukłonem witając swoich ludzi, którzy z pokorą, w cichości, czekali pańskiego słowa. Nie śmiejąc zrazu napaść z żądaniem, które miał na myśli, począł bąkać o urodzajach, zasiewach i gospodarstwie, aż wreszcie opamiętał się.

— Słuchajcie, panowie gromada — rzekł — zaco to prześladowacie biédnego cygana kowala, który wam jest potrzebny, a dla jakich tam głupich przesądów używać go nie chcecie? Zbudował chatę, kuźnię, osiadł, a żywa dusza ani gadać, ani żyć z nim niechce?

Skorobohaty wystąpił z ukłonem.

— Prawdę powiedziawszy panieńku, myśmy go tu nie zapraszali: siadł, bo chciał... A że gromada postanowiła go nie brać do roboty, to nie bez racji...

— Jakaż racja?

— A córka Lepiuka, którą tak jak gwałtem, przeciw woli ojca, cygan sobie zbałamucił? Albo to nie wstyd dla nas? Pobratł się z nami gwałtem, to my go więcej przypuszczać do siebie nie chcemy. Pozwól kurze grzędę, ona pójdzie wszędę; dalej cyganie nam będą wszystkie dziewczęta zabierać... Toż nie cygańska ojcowizna, Stawisko...

Pan Adam spojrział na chmurny wyraz twarzy Skorobohatego, i nie wiedział co począć dalej!

— A gdybym ja was za nim prosił? — zapytał.

— Lepiej tego nie róbcie — rzekł Skorobohaty — niechaj cygan wynosi się gdzie zechce; świat dla niego szeroki, żony mu nie odbierają...

— Gdybym ja tego żądał! — powtórzył pan.

— I nie żądajcie tego od waszjéj gromady — zawołał stary — nie powinniście chcieć wstydu naszego.

— Cóżto za wstyd? małoż cyganów pożeniło się i po wsiach osiadło, i pobrali gospodarskie córki.

— Tak! ale za pozwoleniem gospodarzy, a nie przeciw woli ojcowskiej — odparł Skorobohaty potrząsając głową. — Co złe, to złe!

— Mówcie co chcecie — przebąknął pan Adam — ale nie macie słuszności... Pogniéwaliśmy się, podąsali, czas darować i zapomnieć.

— Lepiuk nie żyje, a on jeden mógł córce przebaczyć; ani gromada, ani bracia nie mają do tego prawa.

Adam widząc upór starego, obrócił się do brata Motruny, który stał na boku założywszy ręce na piersi, w postawie oznaczającej, że myślał upierać się przy swoim.

— To wy jesteście przyczyną wszystkiego — rzekł, wy namówiliście gromadę, wasza to sprawa stawić się przeciwko dworowi;... ale pamiętajcie, że złe wyjdziecie na tém.

— Wola pańska — hardo odpowiedział Maxym — gromada ma swój rozum; niech mówi co chce, a my tu tylko ojcowski rozkaz spełniamy. Chciała Motruna cygana, dwóch pożenił, wszakżeśmy nic nie powiedzieli; ale bratać się z nim nie myślimy...

Pan Adam nie miał dosyć siły, by dłużej spięrać się z gromadą: chciał się tylko wywiązać z obietnicy, niewiele wierząc w skutek słów swoich.

— No! no! — rzekł z pańska i groźniej — nie chcę słuchać waszych przyczyn; dość, że mi się to niepodoba, że prześladowacie biédnego. Rozkazuję żeby mi tego nie było, żeby mi tego niebyło!

Powtórzył raz jeszcze i zniknął.

Panowie gromada spojrzeli po sobie z uśmiechem niemal szyderskim: pokłonili się nic nie odpowiedziawszy, i powoli się rozeszli.

Z okna pokoju, Aza słuchała téj rozmowy, i widziała postawy ludzi i pana; a gdy pan Adam wrócił zmieszany niepowodzeniem swojej wyprawy poczęła się śmiać na całe gardło.

— O! jakżeśto srogi! — zawołała kładnąc się na sofie — jakżeś straszny, jak cię się ludzie twoi lękają. Teraz to już pewna jestem, że tłumem pójdą do kowala? Cha! cha! cha! doskonałeś ich zgromił.

Adam się zarumienił.

— Cóżbo chcesz? — rzekł — Zrobiłem co tylko można, ale to lud uparty! Zresztą możnaż mu mieć za złe, że w takich rzeczach chce mieć wolę swoją?

Wzgardliwe spojrzenie całą było odpowiedzią cyganki, która wstała obwinęła się rąbkiem, i nie żegnając pana Adama, wyszła ze dworu.

Według zwyczaju skierowała się ku chacie Tumrego i zbliżywszy do niej, zwołała nieco kroku. Wzrok jęj padł na drzwi lepianki, i wstrzymał się na nich długą chwilę; oczy zaiskrzyły jakimś gniewem, wyrzutem, pragnieniem. Podeszła i stanęła, zdawała się wahać, wniknąć czy nie; a w tém błady, wynędzniały wyszedł cygan z sieni; i nie widząc jęj wstrzymał się w progu.

Znać było z jego ruchów, z twarzy i postaci, że nie myślał co robił; wyszedł, bo mu może zabrakło powietrza w izbie, i nie miał czém odetchnąć; stał, bo iść dalej nie czuł potrzeby, i wszystko mu jedno było być tu, lub gdzieindziej? Ręce opuszczone bezwładnie, obwisła na piersi głowa, rozczochrany włos na nięj, usta w pół otwarte, policzki wybladłe, wzrok zgasły; czyniły go podobnym do chorego, który powstaje z łóżka po ciężkiej i długiej boleści.

Aza niespostrzeżona wlepiła w niego oczy ciekawe, i coś jakby radość i litość razem z nich strzeliło. Podeszła jeszcze kroków kilka, a on nie widział jęj jeszcze; wreszcie cień padł na cygana, poczuł że ktoś się zbliża, i powoli, obojętnie, podniósł głowę.

— Tumry! co ci to? — spytała Aza — czyś chory?

— Chory! — odparł cygan.

— Jaga nic mi nie mówiła o twojej chorobie.

— Nie było co mówić o nięj — rzekł cygan krótko.

— A możebyśmy co poradzili?

— O! nie — uśmiechając się gorzko, odpowiedział Tumry.

— Nie? dlaczego?

— Dlatego, że to choroba i niechoroba; bo i choroba, i nędza, i głód, i rozpacz, i więcej a więcej jeszcze, niż słowo wypowiedzieć może.

Cyganka rozpoczynając z Tumrym rozmowę, szła powoli ku obozowisku, a on nie wiedząc co począć, machinalnie z głową spuszczoną, odpowiadał jęj, i włókł się za nią. Szli tak jedno przy drugim milcząc, to urywanemi słowami przerywając milczenie; i cygan ani się opatrzył, jak chatę daleko za sobą zostawił.

— A żona twoja, a dziecko? — zapytała Aza.

— Jak ja! — rzekł Tumry.

— Cóż z sobą myślicie?

— Co mamy myśleć? myślimy umrzeć.

— Głupstwo — przerwała cyganka żywo — umrzeć na rozkaz nie potraficie, a rady szukać potrzeba. *Mutes-oro*, (śmierć) nie przychodzi na zawołanie!

— Nie ma dla nas rady!

— A gdybym ja ci jaką dała?

I spojrziała mu w oczy z zapytaniem.

— Ty! — uśmiechając się niedowierzliwie odezwał się cygan — o! nie oddawaj czego i sama potrzebujesz; zda się tobie!

— Mnie, rada? na co?

— Boś i ty także jak ja z *gadziami* się związała, i jak ja wyjdiesz na tém.

— Ja? ja? — zaśmiała się cyganka — cóż ty myślisz Tumry?

— Myślę co widzę, i co widzą wszyscy: żeś także przepadła!

Aza nie przestawała śmiać się, poruszając ramionami!

— O! wam się zdaje — odezwała się po chwili niemęj niecierpliwości — że Aza tak miękka, tak dobrowolna, tak posłuszna jak wy wszyscy, którym *Mroden-oro* nie dał woli ani ducha; że dość na nią skinąć, dość jęj cacko lub *łowy* (pieniądze) pokazać, by poszła za kimkolwiek! Cóż z tego, że chodzę do dworu. Dwór mię dlatego nie spęta; ja jemu, nie on mnie rozkazuje.

— A pan Adam? — spytał wpatrując się w nią Tumry — przecieżto twój kochanek!

— Tyle co ty! — odparła dziewczyna.
 — Co ja? — ozywając się rzekł cygan — co ja? A jaż kiedy nim byłem?
 — I on nim nie był nigdy!
 — Dlaczegoż przesiadujesz u niego, na co go bałamucisz!
 — Siedzę, bo mi tam dobrze, wygodnie, ciepło, spokojnie, nie głodno! — śmiejąc się poczęła Aza. — I dzień i godzinę jedną ukraść cyganowi od nędzy i biedy swojej — tyle zysku! i to dobre! Możesz-że i ty myśleć, żeby cyganka jak ja *Raklora* (dziewczyna) pokochała takie stworzenie jak wasz pan, wymęczone, ledwie żywe, więcej doktora i lekarstwa niż kochanki potrzebujące. Oj! Tumry, nie znasz mnie jeszcze!
 — Kiedyś cię znałem — pocichu odezwał się cygan wdychając — ale któż za was zaręczy i powie co jutro będzie?
 — Jabym ci przecie powiedziała co będzie jutro, co zawsze być musi! — przerwała Aza zastanawiając się.
 A byli już daleko, wpośród pola, za wioską, sami jedni; i Tumry tu dopiero się opatrzył, gdy dla niej zastanowić się musiał, że nie wiedząc co czyni, zaszedł za dziewczęciem od chaty, opuszczając samą jedną Motrunę! Obejrzał się zdziwiony.
 — Cóż ma być jutro? rzekł z przymuszonym uśmiechem — to co i dzisiaj: głód i nęcza! Wy pójdziecie wędrować po szerokim *pfufie* (ziemi), a ja przykutą umrzeć tu muszę.
 — Co za mus? — spytała dziewczyna — możesz pójść z nami.
 — Ja z wami? — powtórzył Tumry — a żona?
 — Z żoną i dzieckiem — kończyła cyganka. — Alboż mało nas tak chodzi? Czegóż to dłużej czekać będziesz; żeby cię osądzili i powiesili? Z nas jeszcze nikt nie umarł głodną śmiercią, i ty znajdziesz chleba kawałek.
 — Ale ona, ona nie zechce!
 — Cóż to u was *egaszi* rządzi, nie *dados*? — szydząc zawołała Aza — będzieszże słuchał głupiej żony? Poszła za cygana, niech idzie za cyganem: przecież i jój tu nie chcą.
 — Nie! — po krótkim namyśle odparł Tumry — ja tego nie zrobię!
 I widać było, że skrytego coś utaił w sobie, bo mu się usta zacięły nagle, gdy już, już słowo z nich chciało ulecieć.
 — Dlaczego? — napięrając spytała cyganka.
 — Dlaczego? — chmurne wejrzenie coraz śmieliej ku niej podnosząc, odezwał się Tumry, który ją za rękę pochwycił — dlatego może, że i tybyś szła z nami; słyszysz Aza!
 — Ja? to i ja ci już wrogiem jestem? — z wymówką zawołała dziewczyna.
 — Nie, ale czas ci tu powiedzieć, tybyś mnie jak *Raja* (pana) tego spaliła na węgiel oczyma; ty nie masz serca!
 — O! a na cóż ci serce moje?
 — Pytasz się, Azo?
 — Pytam się, boś pokochał bladą *egaszi*.
 Tumry spuścił oczy.
 — Tyś w ówczas szalała z *gadziem* także.
 — Tak jak dzisiaj — odparła cyganka. — Ale cóż tobie do mnie i mojego serca? Nie chciałeś mnie wprzódy, nie czas już teraz...
 — Nie czas! nie czas! — puszczając jój rękę gwałtownie rzekł cygan — O! ja to wiem. No! ale ja dziś dopiero za tobą szaleję!
 — Oh! oh! doprawdy Tumry? — spytała nieco jednak pomieszana dziewczyna.
 — Podła! szydzisz ze mnie jeszcze!
 — Nie! mam litość i pytam się tylko.
 Cygan spojrział na nią z pod brwi nawislój i umilkł.
 Szli tak w milczeniu długą chwilę, ale wśród niego zmieniły się twarze i myśli obojga.
 Aza z szyderstwa przeszła w niezwykle jakieś zadumanie; znać było, że siła ją odstępowiała, że uczucie któremu dotąd panowała, brało górę nad postanowieniem: oko się zasłoniło rzęsami i usta zadrżały...

Tumry z obojętności i odrętwienia przeszedł w rozmarzenie, niemal w szal znowu, z jakim biegł niegdyś nocą do obozowiska... Nie tento już był cygan, który wyszedł z chaty nie swój, zmęczony i zesłably; pierś mu buchała, a oko gorzć poczynało. Kiedy dwa ich

wzroki znowu się po chwili spotkały niespodzianie z sobą, Aza aż się złękła tak uczuła się słabą, tak go postrzegła silnym i cofnęła się aż krokiem.

— Idź do chaty — odezwała się głosem drżącym — idź Tumry do chaty; zobaczymy się jeszcze.

— Gdzie? kiedy?

— Nie wiem... nie wiem — spieszenie pragnąc a nie mogąc odejść, poczęła Aza — może dziś, może jutro...

— A ty znów polecisz do dworu...

— Nie! do obozu idę...

— Ale będziesz we dworze? — zagadł Tumry, z pytania robiąc wymówkę.

— Wstydz się — dodał nie pozwalając jej odpowiedzieć — na co ci ten trup na wpół zgniły! Wiesz, że nie stworzony dla ciebie, a ciągniesz go i zabijasz...

Dziewczyna ruszyła ramionami, oko jej rozjaśniło się poczynając pałac znowu, usta tchnęły dumą i pogardą.

— A na cóżeśmy stworzeni? — spytała jakby natchniona — na samą nędzę tylko i tułactwo, na ból i cierpienie. Nie! nie! wiedział wielki *Mroden-oro*, na co nas na świat przysłał! On nas przeznaczył na zgubę, na klęskę, na niszczycieli *gadziów*; i kazał im szkodzić, kazał nam ich zabijać! Każdy z nas robi co umie, spełniając wielki rozkaz *Mroden-oro*, o którym matki mówią nam od dzieciństwa, przypominając co nas czeka. Stare wróżą i straszą wróżbami, chwytają im dzieci, zabijają młode matki a my dziewczęta, musim ich męczyć inaczej! Ja go zamęczę! zamorzę! ja go wzrokiem zatruję!

Jakiś instynkt zniszczenia i zjadłość tak zawzięta mówiła przez usta dziewczyny, że Tumry aż się jej przestraszył prawie.

— Mielizby oni posiadać wszystko, a my nic nie mieć prócz nędzy naszej? Za co świat podzielili między siebie, i bogactwo, i ziemię, i wodę, i powietrze? Nam też dostać się coś musiało, i myśmy robakiem, co się w ten owoc wpija, co ziarno z niego wyjada! Niech zginie! niech zginie! — dorzuciła z zapalem.

— Niech ginie! — poszepnął Tumry zamyślony — a jednak wiesz Aza — dodał wahając się — mnieby go żal było!

— O! boś ty już nie syn *erumanselów* — przerwała dziewczyna popędliwie — tyś *gadzio* jak oni krwią i sercem, tyś także nasz nieprzyjaciół, kiedy nad nimi masz litość!

— Szalejesz! — rzekł Tumry.

Aza uśmiechnęła się, a z pod warg jej różowych, białe zęby ścięte, jakby kęsać chciała, błysły dwoma rzędami pereł.

— No! dość tego! dość tego! do chaty niewolniku, do budy przykuty *szukela* (psie), do żony *gadziu*; a ja do swoich!

Tumry chciał się jej jeszcze spytać, kiedy ją zobaczy, gdzie się z nią spotka znowu; ale dziewczę odzyskawszy przytomność i władzę nad sobą, poniosło się jak wiatr, i z oczu mu znikło.

Wieczorem Aza znów przeleciała pod chatą Tumrego, i pobiegła do dworu. Co ją tam ciągnęło? czy chciwość, czy ciekawość, czy w istocie ten instynkt zemsty i prześladowania, który chwilami tak silnie się w jej sercu odzywał? Któż powie...

Pan Adam zawsze ją witał jednakowo słaby, rozdrażniony jednakowo pragnieniem; ale od dnia pierwszego nic na niej wymódz nie umiejac prócz palącego pocałunku, poczynął już, zwłaszcza gdy jej nie widział, gdy sam zostawiony był sobie, zżymać się i niecierpliwić.

— Co ona myśli? — mówił gdy go odbiegła i porzuciła sam na sam — zwodzić mnie tak i dręczyć do końca i znów potem odbiędz! Ludzie już nawet śmieją się ze mnie, ja sam niepoznaję siebie; potrzeba to raz skończyć, i albo zatrzymać ją tutaj, lub precz zwodnicę, osmagawszy wypędzić! Dostyc to już tego, dostyc!

I dodając sobie postanowienia, którego nie miał pan Adam, wciąż powtarzał, jakby się chciał przejść słowami swemi dostyc już tego! dość tego!

Ale gdy śliczna dziewczyna, trochę smutniejsza, niż zwykle, wbiegła do pokoju i zbłysła w tej czarnej pustce twarzą pełną życia i ognia, oczyma palącymi jak zwierzęcia dzikiego ślępie; pan Adam zapomniawszy na najuroczystsze dane sobie słowo, cały się rozpląnął w rozpamiętywaniu jej wdzięków.

Aza nie rzekłszy słowa do niego, rzuciła się na miękkie posłanie, podkurczyła nóżki pod siebie, jak by siedziała na ziemi, głowę wsparła na poduszkach i wlepiwszy oczy w sufit, pozostała tak długi czas zamyślona.

To dozwoliło panu Adamowi nieco się znów podsiłic i przypomnieć sobie pierwsze postanowienie.

— Azo! — rzekł surowiej podchodząc ku niej — no! cóż będzie z nami; raz to potrzeba skończyć.

Ale cyganka głowy nawet nie odwróciwszy, wciąż zapatrzona w górę, pewna swój siły, odpowiedziała obojętnie:

— No! mówże, rada posłyszę, jak się to skończyć powinno?

— Jak chcesz, byleby się skończyło — odparł, udając stanowczą wolę pan Adam. — Mam już dosyć twoich zwodnictw i twego szyderstwa; cyganie niech dalej idą, a ty zostań się ze mną, lub i ty i cyganie precz!

Ostatnie słowa wymówił tak cicho, tak drżąc i niewyraźnie, jakby się lękał sam ich usłyszeć, i urwał niedokończywszy.

— Cha! cha! cha! — rozśmiała się szalona dziewczyna, wciąż w sufit patrząc do góry — a gdy cyganie pójdą i ja z cyganami, co ty tu lepszego poczniesz? O! powiedz mi proszę! Będziesz ziewał, nudził się, przebierał w brudnych wieśniaczkach, kupował sobie blade mieszczańki; może w ostatku ożenisz się raz drugi, i drugi raz cię zwiodą...

Wspomnienie to zawsze przykre dla pana Adama i niecierpliwiące nadewszystko, było jedynym może sposobem rozdrażnienia go. Chwycił się z krzesła strasznie błyskając oczyma.

— Cicho zmij! — krzyknął, wpadając w uniesienie gwałtowne.

— A! a! — patrzajcie! zebrał się na gniew! — zimno poczęła cyganka.

Ta obojętna odpowiedź jeszcze bardziej podżegnęła bezsilnego.

— Jeszcze słowo, — rzekł, — a...

— A co? — zapytała Aza.

Pan Adam zatrzęsł się od gniewu i chwycił się aż za włosy; nie mógł już nic wymówić, taka nim miotła zajadłość chorobliwa. Potajemnym rzutem oka zmierzyła dziewczyna jego passę i niebezpieczeństwo na jakie się narażała, jeżeli jęj niepohamuje, bo wiedziała już jakim był pan Adam, gdy nagle z apatyj codziennęj wpadł w szal niecierpliwości; powstała więc powoli z uśmiechem, i nic już nie mówiąc, wlepiła weń dwoje oczu czarnych, w które z siebie sączyła jady i uroki.

Nie mógł się im oprzeć pan Adam, bo go ściagały wszędzie i pociągały jakąś niepojętą siłą; chciał wytrwać w gniewie pęrzył się i naszała, a czuł jak się to rozpryskiwało i uchodziło; nareszcie zwyciężony, rzucił się na krzesło w posepném milczeniu. Cyganka nie mogła pozwolić, by ją tak rychło wygnano ze Stawiska.

— O! nie — powiedziała sobie w duchu — nie czas mi odejść jeszcze: wprzódy Tumrego opętać i pociągnąć za sobą muszę. Pójdę kiedy zechcę, nie wypędzona sromotnie, ale odwoływana ze łzami. Czekał *Raju!* zapłacisz mi to we troje, zapłacisz za dzisiejsze!

Twarz jęj tymczasem rozjaśniała się smętnie.

— A! niewdzięczny! — zawołała — za to, żem do niego powróciła, on mnie jeszcze łaje i męczy!

I uśmiech tak łagodny wykwitł na jęj usteczkach, stała się tak zadumaną, powolną, tak jakoś nieszczęśliwą i strapioną; że pan Adam rozstrojony zupełnie przypadł do niej na klęczkach.

— A! daruj mi, przebacz, nie gniewaj się i nie płacz! Ja tyle ucierpiałem od ciebie, głowa mi się zawraca! Powiedz przecie raz co myślisz? Kochasz mnie, czy nie? będziesz, czy nie chcesz być moją?

Aza potrząsała głową.

— Czyją ja będę, to na całe życie; a kiedy się kto ma zaprzedać sam w niewolę, musi dobrze pomyśleć i serca zapytać. Nie! nie! ja ci tak prędko przyrzec nie mogę. A! widzisz, żem tu wróciła!

— Więc kochasz mnie? — spytał przechodząc nagle do rozczulenia pan Adam, i biorąc rękę, którą mu opuściła cyganka.

— Alboż ja wiem? — odpowiedziała, kogo kocham, i czy kocham, i czy kiedy kochać będę? Moje serce spi jeszcze, a kto je rozbudzi, ten posiędzie. Probuście!!

— Ale moje? — rzekł pan Adam.

— Twoje niech cierpi i niech czeka!

— To dziw, doprawdy — zrywając się i poczynając przechadzać, mówił sam do siebie pan Adam — zkąd się to proste dziewczę mogło tego wszystkiego nauczyć: i słów tych, i myśli i téj sztuki zalotnej, którą lepiej od naszych pań umie? Wyraźnie robi sobie ze mnie zabawkę!

Zapobiegając przewidzianemu buntowi, Aza, której się przechadzka pana Adama po pokoju niepodobała, pragnąc go silniej znów ku sobie przyciągnąć i wybić mu z głowy niewczesne zamiary, z którymi się wymówił zrazu; skinęła nań i chwyciła. Wiedziała czém go ukolysać, czém ująć i przynęcić; uczyniła się piękną, ponętą, zamyśloną, i posadziła niewolnika u boku swego, dając mu oko, ręce, a głowę niedbale skłaniając na jego ramie.

I czarodziejka zawładła nim znowu z łatwością, a pan Adam zapomniał, że przed chwilą srożył się na nią i wypędzał.

Tak mu było rozkosznie z tą główką zbliżoną do ust jego i spoczywającą przy piersi, w atmosferze jój oddechu i wejrzenia... Zamilkli oboje.

A w téj chwili, dwoje strasznych oczu czarnych przez gałęzie bzu i szyby okna wkradły się do przyciemnionego pokoju, i poczęły w nim zapalczywie szukać, na kimby spoczęły.

Dziewczyna jakby ich ukłucie poczuła nad sobą, wstrzęsła się i poruszyła, nie wiedząc sama co ją zbudziło śród gnuśnego jakiegoś marzenia; zerwała się, ale już było zapóźno!

Tumry, który śledząc jój kroki przybiegł za nią do dworu, szpiegując ją i Adama, zobaczył ich oboje w niemym spoczywających uścisku, i ściskając pięście odskoczył od okna zajadły.

— A! — zawołał — zabiję ich oboje! zabiję, podpalę dwór, puszczę w popiół wioskę całą... niech giną! Ta nędznica zwodzi mnie, zwodzi jego, radaby męczyć świat wszystkich! Za co ten człowiek ma ją sobie przywłaszczać? za co on tak szczęśliwy? ja tak nędzny, za co ci gadziowie mieć mają nawet z naszego dobra najlepszy kąsek! Przeklęci!

Mówił a patrzył, choć obraz który miał przed oczyma, palił go zemstą i boleścią; i nasycił się nim, oderwać niemogąc od widoku burzącego mu piersi. Aza tymczasem podniosłszy głowę, spuściła ją znowu na ramie obłąkanego Adama.

Dumali tak we dwoje, i z ust cyganki naprzód ledwie dosłyszana, cicha, wyrwała się piosenka lat jój młodych, dobrze znajoma Tumremu, budząca w nim wspomnień tysiące. Powoli wysnuta z ust i piersi: ożywiać się poczęła, stawała coraz głośniejszą, coraz weselszą, nową męczarnią karmiąc cygana. Bolał a oderwać się nie mógł; niewyraźne słowa, które sam tylko rozumiał, pełne ognia i namiętności rozpasanej, chwytiał uchem, polykał z oddechem, bojąc się stracić jednego.

Czegoż-bo tam nie było w téj dziko-tęsknej a miłosnej do szału pieśni cygańskiej!!

Tumry przypomniał sobie wszystkie miejsca, gdzie kiedy w życiu ją słyszał; całą swoją dolę od kolebki, i cierpienia młodości, i losy swoje i Azy, która pod okiem jego rosła z dziecięcia w dziewczeczkę, dziewicę, w czarodziejkę!

I zapomniawszy gniewu na jedną chwilę przelotną! zadumał się, zkąd mu przysłała ta niespodziana miłość, której wprzód nie czuł w sobie ani zarodka; z czego się urodziły tęsknice za żywotem niedawno dlań przeklętym i nienawistnym, i jak się mógł zmienić tak bardzo, by tak strasznie nieszczęśliwym zostać???

— A! to są chyba czary — rzekł wzdychając — to urok rzucony na nieszczęście i zgubę moją, to zemsta romów. Wleli w jój oczy jad, żeby z nich spłynął w serce moje! Chcą zatracić mnie, i żonę, i dziecię moje, nasyłając na nas oblędy, tęsknice i głupie pragnienie! Aza powoli zabije mnie jak wąż wzrokiem; nie żyłaby prawdziwa krew cygańska, gdyby czegokolwiek od kogo nie kradła!

— Powróć do chaty! — zawołał odwracając oczy. — Ale w tém nowa zwrotka pieśni przedłużającej się jeszcze, doszła do jego ucha, i zastanowił się Tumry.

Jak we śnie ciągnęły przed nim mary poczepiane do słów piosenki, i głębiej coraz a głębiej cofał się, za niemi do dni dzieciństwa, spieczoną głowę w dygoczących ściskając dłoniach...

— O! przekłeta! przekłeta! — wołał — ona czuć musi i wiedzieć, że ja tu jestem, że jój słucham, i pieśnią przykuwa mnie do siebie, trzyma, a serce wydiera! Pójdę! — I począł uciekać, ale drżały pod nim nogi, i na siłę przemagając urok, który go trzymał u okna, powlókł się do swojej chaty.

Tu pusto było i smutno jak zawsze, ale stara Jaga wróciła była do obozu, i Motruna ściągnęła się z łóżka z dzieckiem u piersi, rozpoczynając drugą część życia, którego pierwszą chciała zapomnieć. Stała się już matką tylko i żyła dla tej dziewczeczki, która w snach powicia nie wiedziała jeszcze, na jaką przyszła w świat nędzę.

Zaledwie wstawszy na nogi, potrzeba było Motrunie znowu zacząć myśleć o chacie, o dziecku, o mężu który codzień beczynniejszy, bezwładniejszy, mniej jój dopomagał, całe dni trawiąc przyrosły do ławy i jakby napół senny.

Jeszcze chora, poniosła naprzód dziecinę do chrztu, a nie było jój komu za kumów posłużyć i dwoje dziadów musiał ksiądz wezwać prawie siłą do tego obrządku, bo nikt z dobrej woli kumać się nie chciał z cyganichą.

Z niemowlęciem u piersi, biedna Motruna powlokła się potem pod drzwi ojcowskiej stodoły, spodziewając się tam znaleźć może młodszego brata. Szczęściem dla niej, wychodził właśnie z kulem słomy na plecach; gdy mu zastąpiła drogę.

— O! Filipie braciszku — zawołała, chwytając go za switę — zaczekaj chwilę, niech choć twój głos usłyszę.

Filip się uląkł siostry, ale zatrzymał.

— Czego ty chcesz? — spytał.

Motruna poczęła od płaczu, za którym ledwie przemówić mogła.

— Patrz — rzekła na koniec — miejcie litość, kiedy nie nademną, to nad moją dzieciną. Nie mamy już co jeść w chacie. Tumry opuścił ręce, jakby go na śmierć prowadzili, do niczego się nie bierze. Jeszcze na biędę cyganie przyszli i głowę mu zawracają; pełna ich chata! Ja się tak boję, a on ani zważa.

— A cóż ja ci na to poradzę? — spytał Filip.

— Dajcie co choć dla dziecka! Ja głodna, i ono się nie pożywi odemnie; gdyby choć mléka kropelkę, gdyby choć co dzień kawałek chleba!

Filipowi łzy zakręciły się pod powieką, jakoś mu serce zastukało w piersi, i zawołał nienamyslając się długo:

— No! chodź za mną!

Skwapliwie rzuciła się za nim Motruna, z trochę słabiej nadziei. Filip dźwigając słomę, wprost zmierzał ku chacie, a posłyszawszy siekiere Maxyma, ładującego wóz pod klecią, zrzucił kul z ramion, i skinął na siostrę, by szła z nim razem.

Zdawało mu się, że dość było biedną Motrunę pokazać bratu, żeby w nim litość obudzić. W istocie nie byłoby już owe śliczne, hoże, rumiane dziewczę, o które wszyscy parobcy we wsi rozbijając się myśleli; zwiędła, blada, schorowana i zameczona, starą się stała przedwcześnie, a ślady wdzięku i młodości starły cierpienia do szczytu, wyniosło z sobą znużenie.

Gdy Maxym podniósł głowę na głos Filipa i zobaczył siostrę, nie poznał jój zrazu, tak straszliwie ujrzał ją inną. Ona przybliżyła się do niego, ukazując dziecinę zapłakaną, i słowa powiedzieć nie mogąc do nóg mu padła. Maksym odstał kilka kroków.

— Po co ty tu? — zapytał, dodając sobie gniewu, którego nie miał, bo go złamał widok tej nędzy.

— Żebyś zobaczył, coście z nas zrobili — odparła Motruna.

— My? — rzekł jękając się Maxym — nie my, ale wy sami? A pocóż się było sprzeciwiać woli ojca? Pan Bóg cię skarał Motruno!

— A! czyż już kary nie dosyć?

Maksym cały był pomieszany; widać było, że sam nie wiedział jak sobie poradzić i szukał sposobu, by się z tego przykrego położenia wywikłać.

— Ratujcież mnie choć teraz — odezwała się Motruna — jeżeli nie czém innym, to chleba kawałkiem, bo i tego nie mam...

— Chleba już nie nadawać — odpowiedział Maksym, a i u nas go nie ma nadto: rok był nieomłotny, a u nas semia duża; ledwie do nowego wystarczy. Na co się wam upierać i tu koniecznie siedzieć, kiedy gdzieindziej zapracować możecie?

— A chata? a sadyba? — spytała siostra — a tyle naszego harowania koło niej? Zresztą mój bracie, jak mnie tam pójść w świat za nim?

Nie chciała powiedzieć biedna, że go się codzień więcej lękała: tak się jój zmienił, tak zdziżał, tak zcyganiał.

— Filipie — rzekł Maxym — dajcie ję miarkę żyta; tylko żeby żonka nie widziała, bo i u nas niewiele, a gęb dosyć... Idźcie już Motruno!

— I tak mnie odprawiasz, bracie?

— No! no! — dorzucił Maxym — bylebyś się cygana pozbyła, choćby poszedł do licha, byłaby może jaka rada;... ale z cyganem my nigdy nie będziemy mieć drużby, to darmo! Ojciec przykazał, gromada postanowiła, pan prosił i naglił, a nie ustąpiliśmy, to i nie ustąpimy!

Jakkolwiek Maxym nic nie obiecywał, sama zmiana mowy jego zapowiadała, że się wahał i chciałby coś zrobić dla siostry; nie nalegając więc, odeszła Motruna spokojniejsza po żyto, myśląc przyjść później i zostawując je umyślnie, żeby po nie do chaty i braci drugi raz zajrzeć miała prawo.

Na drodze spotkała się z Jankiem, który kulawego i upartego wołu pędził powoli ku zagrodzie.

— A z kądżeto Motruno? — zapytał przyjaciel — i dokąd to kochanie idziecie?

— O! jak my ciebie dawno, poczciwy Janku nie widzieli — weselęj odezwała się kobieta!

— Nie mam ja tam poco chodzić do was — bez ogródek odparł chłopak. — Myślałem z początku że to co poczciwego ten twój cygan, a to taki szelma jak i drudzy... Żebym był tobą porzuciłbym do licha niewiarę, niechby sobie wędrował ze swojemi, albobym poszedł i niewrócił, bo nie ma po co...

Motruna cała drżąca stanęła.

— Cóż on zrobił? — spytała — ja nic nie wiem?

— Dobra z ciebie kobieta żeś ślepa; chciałbym i ja wziąć z kąd taką żonę! A toć ten łajdak za cygankami lata jak parobek, domu nie pilnuje, a co mógłby do Rudni pójść na zarobek, to się to włóczy po polach, albo w chacie drzémi. Już ja tam do was i nie zajrzę, bom zły; bywaj mi zdrowa Motruno!

To mówiąc podniósł gałąź na wołu, który się paść zaczął, podpędził go i poszedł dalej.

Powierzchu patrząc na życie, jak potężne w niem różnice, jak wielkie stopniowanie losów w różnych klasach społeczności, a w miarę ich wykształcenia i obyczajów, jak pozornie odmienne uczucia zajęcia namiętności. Ale wewnątrz odarłszy z szat misternie narzuconych czynności i sprężyny ruchów, jak dziwnie na jedno bolejem wszyscy; płaczem, radujem się i umieramy jednakowo! Też same tu i tam choroby serca, też boleści duszy i ułomności natury, te same nadzieje i zawody... W ich objawieniu się na zewnątrz cała różność tylko; w głębi, człowiek człowiekiem wszędzie, i dlatego na najniższym szczeblu społeczeństwa prawdziwszy tylko, dobitniejszy, ale ten sam znajdziemy obraz co w górze. Pozmieniane nazwiska, pochrzczone przystojniej czynności, poprzybierane namiętności wstydlive; ale je poznasz po skutkach — wszędzie toż samo i toż samo.

W chacie wieśniaczęj tylko mniej komedyi, na którą nie ma czasu, lub komedia odegrana nieuczono, instynktowie, jak owe włoskie improwizacye sceniczne: a w pałacach sceny dłuższe, rozwiązania mniej burzliwe, choć czynność ta sama.

Rzadziej wprawdzie pod strzechą słomianą rodzą się gwałtowniejsze uczucia; ale raz powstawszy śmielęj i rączęj idą do celu, niż tam, gdzie wszystko przywykło ukrywać się i maskować.

W chacie Tumrego nie było pokoju, nie było marzonego niegdyś szczęścia; już przed przybyciem cyganów wyгнаły je wspomnienia, zawsze następujące po naglęj a zupełnej życia zmianie, w którą człek rzuca się nieuważnie, a odpokutować musi żalami i tęsknotą. Serce Motruny od narodzenia dziecięcia do niego należało wyłącznie, a Tumry zobojetniony, ostygły, ku sobie już go nawrócić nie mógł. Motruna domyślała się przywiązania jego do Azy, o którym i stara Jaga jęj plotła nieuważnie; ale nadto była hardą, żeby ze słowem wymówki odezwać się miała. Boleść swoją zamknęła w sobie, i cała poświęciła się dziecku, wyrzekłszy się innej przyszłości, przewidując zawczasu, że ten, dla którego wycierpiała tyle, porzucić ją musi i stać się niewiernym.

To poddanie się losowi, Motruna winna była instynktowemu wyłącznemu przywiązaniu do dziecięcia, w którym potrafiła zamknąć życie całe.

Tumry też od tej nocy, w której powstał z łoża nieprzytomny, ścigając obóz cygański, tak był obojętny, tak zimny, tak dziwnie zmieniony, że próżnym się zdawało chcieć go dawnemu i czynnemu życiu przywrócić. Jak gdyby wysiłek pracy go zmógł, jakby upadł na sił ostatku, błąkał się bezczynny, zdziczały; nie widząc nic wokół siebie, nie słysząc ani śpiewu matki nad kołyską, ani płaczu dziecięcia. Nigdy z troską ojca nie pochyliło się czoło jego nad niemowlęciem, na które rozdartym patrzył okiem; krzyk jego budził go czasem, ale do serca nie dochodził.

Motruna więc choć niby nieopuszczona przez niego, w istocie sama była na świecie; a słowo litości starszego brata, wątłą, jedyną dla niej zostało podporą.

Cygan to chmurny siedział na ławie, to latał całymi dniami szpiegując Azę, klnąc ją, ale szukając czarownicy.

Ostatniego dnia, gdy przytulony do szyby zobaczył ją z głową zwieszoną na ramie Adama, gdy pieśń stara cygańska rozkołysała nim do reszty; nie miał już siły powrócić nawet do domu, choć go tam wołało sumienie. Poszedł do chaty, odetchnął jej ciężkim powietrzem, i wybiegł w pole jak pies oszalały, kręcąc się bez celu, i nogi go same powiodły pod obóz cyganów.

Gromadka *Romów*, pod nowym panowaniem Puzy, wystawiała jeszcze większego nieładu obraz, niż przedtem; a Aprasz, dawny jej dowódca, z uśmiechem szyderstwa spoglądał na to, co się tu działo. Ale i on także zmienił się do niepoznania w krótkim przeciągu czasu. Zdawał się zgadzać ze swoim losem i spodziewać czegoś od przyszłości razem; posługiwał milcząc tym, którzy go wczoraj słuchali ze drżeniem, i niekiedy tylko błysk oka, ruch ust zdradzał niewygasłe uczucie dumy, lub zemsty pragnienie. Pod namiotem nie było ruchu jak dawniej; miech leżał wywrócony, kowadło było na wozie, narzędzia kowalskie na kupę zwalone; nikt nic nie robił prócz Aprasza i kilku starych bab, krzątających się dość leniwie i kłótliwie koło kociołka. Wszystkiego dostarczano ze dworu, a ufne w opiekę Azy stare cyganki, dokazywały po wiosce, wydzierając co mogły i panosząc się łatwowiernością ludu, z którego się śmiały.

Puza jako nowy pan, nadużywał swęj władzy i swobody świeżo zdobytej, całe dni nękał Aprasza, lub z fajką w zębach spędzał je u ogniska na drzémaniu.

Gnuśny spoczynek podobał mu się i całej bandzie, a dzieci nawet korzystały z niego, bezkarnie plądrując po okolicy. Aza, która rzadko i na krótko zaglądała do obozu, nie postrzegła co się tam w nim działo: ale codzień widoczniejszym było, że w krótkce zabraknie Aprasza, i Puza nie potrafi rządów w nieprzywykłej trzymać dłoni.

Tumry przywłókszy się pod obozowisko, zastanowił się przy *werdenie* (wozie), pod którym na gołej ziemi, sparty na żyłastém ręku, leżał samotnie opodał od drugich stary Aprasz. Spojrzał na niego spotkały się ich oczy, ale oba byli zarówno nieszczęśliwi: i dawna ich nieprzyjaźń zagała w sercach, przybita nowymi silniejszymi wzruszeniami.

W wejrzeniu ich nie było gniewu i nienawiści. Stary cygan zobaczył na twarzy Tumrego tak wyraźne ślady znękania i rozpacz, dochodzącej prawie do obłąkania, że się uczuł dość za dawne przewinienia pomszczonym; a Tumry widząc upokorzonego *dados*, w najgorszym miejscu na gołej leżącego ziemi, nie miał już serca więcej mu najgrawać się.

— Ha! — rzekł z cicha uśmiechając się Aprasz — zabłąkałeś się tu znowu, trudno ci już usiedzieć w chacie!

— Nie lepiej tobie w obozie! — odparł Tumry.

— A kto wie? — rzekł *dados* — tybys się może jeszcze na moją biędę pomieniał.

— A ty na moją? — spytał młodszy cygan.

— O! nie! — odrzekł dumnie trzęsąc głową dowódca — jam jeszcze dziś swobodniejszy od ciebie! Chciała ta *bynk'a ciał*, chciała gromada, żeby Puza dowodził: niech poprobują, zobaczymy co będzie dalej. Męczą mnie jak mogą, alem ja do pracy przywykł; łaję, ale ich nie słucham i śmieję się. Cóż mi tak złego zrobili?

— Jakto? nie przeklinasz swojej doli? — spytał Tumry.

— Na co tu kląć, gdzie potrzeba cierpieć! *Bukelisom* mi nie dokucza (głód), *piri* (garnek) co rana i wieczora przy ogniu, a pelen; nie jednoż mi wodę nosić i drwa rąbać lub kuć młotem!

— Ale ich słuchać!?

— Prawda — począł stary cygan — temu co rozkazywał całe życie, słuchać zrazu nie lekko; ale jakoś i tego nauczyć się można.

Tumry westchnął.

— A stracić nadzieję, kiedy się ją miało, jak ty coś Azę w rękę trzymał?

— *Egaszi* jest tak *gweka* (kobieta jest jak wąż) — odparł Aprasz powoli — któż ją kiedy miał w rękę? Trzymasz; aniś się opatrzył jak ci się wysłiznie i ukąsi.

— Chybaś jęj nie kochał, stary?

— A tyś ją podobno pokochał zapóźno — szydząc odparł zmęczony dowódzca. — Dla mnie to była nie pierwsza miłość; tyś się na swojej nie poznał, ja tę chorobę nieraz już przebolełem; ty dopiero na nią chorować zacząłeś. O! o! nie zazdroścę ci, bo jeźliś ją pokochał, to ci zaleje za skórę.

— To szatan kobieta! (*Bynk egaszi*) — zamyślony odparł Tumry — któż wie co ona myśli, kto wie kogo kocha, kto powie co zrobi jutro!?

— Jak kobieta — rzekł Aprasz zimno — a któraż z nich inna? — *Czy Ranni, czy gdzia* (cyganka, czy obca), wszystkie one jednakowe, jednej matki córki...

— Nie, takiej jeszcze na świecie nie było!

Aprasz przewrócił się na drugi bok i rozśmiał się głośno.

— Lata do obozu, lata do dworu, wabi kogo spotka, nęci każdego, a z kamienia sama.

— Zachciałeś: młodość w niej szaleje! Jabym jęj to wszystko darował, gdyby tylko chciała być moją!!

W tych słowach przemawiało samolubstwo starości, która się spodlic gotowa, by jeszcze użyć choć trochę. Tumry porwał się oburzony, nie pojmując tego uczucia.

— Ja! jabym ją za to zabił, gdyby moją była!

— Toś ty widzę naprawdę dla niej oszalał, Tumry! Dobrze ci tak! — rzekł Aprasz.

Cygan umilkł.

— Z kolei — dołożył szydząc Aprasz — może kiedy będzie i twoją, gdy jęj panicze nie zechcą, a przyjdzie do głowy przytulić się do cygana i zagrzać się przy czarnej jego piersi.

— Nie! nigdy! — gwałtownie przerwał młody cygan — bo gdyby potem uśmiechnęła się tylko innemu, tobym ją jak psa zabił!

— Gdybyś jak ja miał z górą pięć lat dziesiątków — powoli odpowiedział Aprasz, przezuwając liść tytoniu — inaczejbyś patrzył na te rzeczy. Nie widziałeś Azy po wyjściu ze Stawiska i twojej ucieczce, to nie wiesz jeszcze, jaki to szatan dziewczyna! Nie policzyć ilu chłopcom sprzedawała pocałunki i uśmiechy po drodze, ilu ich wlokła za sobą i jak im przewracała głowy. Nieraz i mnie staremu zazdrość poczynała gryźć serce spróchniałe; alem sobie mówił zaraz: byleby moją była, darowałbym jęj to wszystko! Bo w istocie ten szatan zwodzi tylko żeby męczyć, ale nie da się wziąć nikomu. Zdaje się, że szalenica jak jeść, pić i oddychać, tak zwodzić, męczyć i drażnić potrzebuje; łapałem ją nieraz jak poczwarnego Puzę i prostych chłopów czarowała oczyma, żeby tylko nie próżnować, a potem, potem na całe gardło się z nich śmiała!

Tumry potarł kroplami potu zroszone czoło.

— Więc jęj na chwilę wierzyć nie można?

— Wierz jęj gdy zła, ale gdy ci oczyma powiada o sercu swoim, ustami zaręcza że kocha: — pluń jęj w twarz jak kłamcy, bo kłamie!

Cygan wstał z ziemi i westchnął, a Aprasz z pod wozu spojrział tylko za odchodzącym, i tak się rozstali milczący.

Znowu błędnym krokiem włókł się Tumry bez drogi, stając, zatrzymując się, biegnąc jak szalony...

— Ha! — wołał sam do siebie — nie ma co myśleć dłużej: potrzeba skończyć, kiedy tak żyć ciężko.. Widziałem jęj głowę na piersi tego zgnitego trupa, i nie chcę nic widzieć więcej. Ani mi powrócić do cyganów braci, ani żyć z *gadziami*, którzy jak psa odpychają. Ot! stryczek na szyję i *Bynk'u* oddać duszę...

Myśl ta, która już nieraz przeleciała mu przez głowę, teraz w niej silniej niż kiedy uwięzła. A życie stało się dlań tak ciężkiem i nieznośnem, że dalej dźwigać go nie mógł. Motruny nie kochał, dziecię dlań było obojętne, nędza dojadła, Aza zdradziła; na jutro nic nie zostało, prócz śmierci.

I lżej mu się zrobiło po tém postanowieniu, jak człowiekowi, który płynąc po długiej burzy na morzu, nareszcie choć brzeg skały zobaczył.

Uśmiechnął się dziko i schwycił za pas czerwony, który już w myśli za stryczek sobie przeznaczał. Był to wełniany pas, wysnuty i ufarbowany ręką biednej Motruny — i żona przysła mu przezeń na pamięć.

— I jój téż lżej będzie, rzekł w duchu: bracia ją przyjmą, dwór i gromada, byle cygana niestało, wykarmią sierot dwoje! I ta nie zapłacze po mnie; na cóż żyć, żeby ludziom ciężyc i sobie!

Obejrzał się po niebie i po świecie, a chmurno jakoś było, i wietrzno, i smutno jak w przeddzień śmierci: w mrokach i we mgłach okolica wydawała się pustą i dziką. Już miał odpiąć pas i sięgał poń szukając okiem gałęzi, choć w około czyste rozciągało się pole, gdy żywy krok dał się słyszeć, i z za pagórka wybiegła pędem lecąc Aza.

Tumry aż odskoczył gdy ją postrzegł, i włos mu się najeżył.

— A ty tu? — zawołała z uśmiechem — chodziłeś widzę do obozu; czyś czekał na mnie?

— Czekałem na ciebie — gorzko odpowiedział cygan — żeby ci w oczy plunąć raz jeszcze, i więcej nie widzieć!

— Co ci się stało Tumry?

— Nic, tylko byłem pod oknem dworu, kiedyś śpiewała:

„Tłowawa jag...”⁴.

— I słuchałeś pieśni? — spytała obojętnie dziewczyna.

— I patrzałem jakieś spoczywała na ramieniu *Raja* Adama...

— Trzebaż było dopatrzeć do końca — z gniewem odpowiedziała Aza — byłbyś widział jakieśmy się rozstali!

— Lub jakieście się zesłi? — spytał cygan z pogardą.

— Tumry, tyś doprawdy oszalał! — tupiąc nogą z gniewem przerwała cyganka.

— Nie, alem się wytrzeźwił — krzyknął Tumry — i myślę skończyć dobrze!

To mówiąc rwał w rękę swój pas czerwony.

— Ale doprawdy głowa ci się zawraca! — poczęła Aza przestraszona rozgorączkowaną twarzą i ponurym wzrokiem Tumrego — co ty myślisz?

— Myślę pójść do lasu i powiesić się — rzekł cygan spokojnie. — Jak ci się zdaje, wszak dobrze zrobię?

— Dlaczego? dlatego że się dała uściskać temu schorzałemu, staremu dziecku! — odparła kobieta.

— O! o! nie myślno znowu, żebym się wieszal dla ciebie — przerwał Tumry, wciąż rozwiązując pas, którego rozplątać nie mógł — dość mi i bez tego życie dojadło, a tyś tego niewarta!

Aza stała coraz bardziej przestraszona, i postrzegłszy, że gniew nie pomaga, że rozkaz byłby daremny, poskoczyła z namiętnością do cygana; ale Tumry zdala ją odepchnął wzrokiem i ręką.

— Precz gadzino! — rzekł — precz! Idź, sprzedaj się komu chcesz i za co chcesz! Ja nie mam cię kupić za co!

To mówiąc odwrócił się i pobiegł w las, do reszty oszalały i rozmarzony boleścią.

I znowu leciał przez pola, jak niegdyś do obozu cyganów, a nie czuł jak przebiegał przestrzenie, nie słyszał krzyku dziewczyny, która goniła za nim, nie wiedział kiedy ciemna gąszcz lasu go otoczyła; skronią uderzył się o pień dębu i upadł krwią zlany...

Po nad nim szumiał wicher i burza, łamały się gałęzie, przelatywały kruków stada, spędzone zawieją dżdżystą; Tumry w odrętwieniu całą noc tak na mokrej przeleżał ziemi. Dopiero ranek i świtanie, chłód dnia i znużenie ostateczne, otworzyły mu oczy senne i oprzytomniły nieco. Ale z pierwszym blaskiem zorzy, myśl wczorajsza zakończenia samobójstwem przypięła się znowu wracając do serca.

Chwycił pas czerwony, którego nie puścił z dłoni ściśniętej konwulsyjnie, i błąkać się począł szukając drzewa, wybierając gałęzie; gdy wtém przysła mu na pamięć owa

⁴ „Tłowawa jag...” — początek cygańskiej pieśni od słów: „Palić ogień.”. [przypis autorski]

opuszczona buda w lesie, którą mu Janek pokazał, i poszedł szukać przeklętego miejsca na czynność przeklętą.

Ale obłąkanemu niełatwo było pokierować się w borze, którego głębi nigdy nie znał dobrze, a teraz znaleźć się w nim całkiem nie umiał. Szedł i powracał, błędził, nużył się do ostatka i byłby może skończył na pierwszej krzywěj sośnie, gdyby stara chata rozwalona nie pokazała się jakby cudem nagle, wśród gęstych zarośli.

Stanął więc nareszcie u kresu i uśmiechnął się sam do siebie, poczynając szybko szukać miejsca w upadliskach przegniłych starěj budy strażniczěj.

Jedna z belek, na którą pas zarzucić nie było trudno, trwalsza jeszcze od innych, które już zbótwiałe leżały, zdała mu się jakby umyślnie pozostała dla niego; i nie wahając się więcej, rozwinął pas czerwony, końcami jego opasując ją zrzęcznie.

Wtém, gdy stryczek wiąże i rozszerza, a węzeł mocuje, usłyszał dziwny śmiech za sobą.

Spojrzał przelękły: na pniaku wprost przeciw budy, której ściany całkiem się były rozwały, i słupy tylko trzymały jeszcze skielet budynku, głupi Janek zasiadł, patrzy i śmieje się.

— Dobry dzień ci cyganie kochanku — zawołał Janek, kłaniając mu się dziurawym kapeluszem słomianym — choć raz przecie rano do roboty wstałeś! A co? jak to dobrze, żem ci miejsce to pokazał, jakby umyślnie na urząd zrobione dla ciebie!

Tumry stanął osłupiały, puszczając z rąk pętlicę.

— Nic! nic! nie przerywam — kończył parobek — nie przeszkadzam, rób swoje: chcę się tylko przypatrzeć, jak się to robi, na przypadek gdyby się to i mnie przytrafiło kiedy. Rób, kochanie, swoje, ja cię pewnie nie oderżnę, nawet kozika nie mam w majątku!

Cygan znów ręką drżącą począł wiązać, rozwiązywać pas, i jakiś go wstyd ogarnął.

— Ja zawsze myślałem cyganku kochanie — mówił dalej powolnie Janek — że ty musisz tak kiedyś skończyć; ale się nie spodziewałem, żebyś to sam sobie przyrządził, i tak pośpiesznego! No! no! to i lepiej: kończże, kończ, nie bałamuć; ja dopiero jak dobrze zastygniesz, dam znać do wioski, żeby darmo nie wiedzieć gdzie nie szukali.

— Pójdźże precz Janku — krzyknął cygan — nie najgrawaj się ze mnie w ostatniej godzinie.

— A któżbyto śmiał z takiego wielkiego pana, co życie ludzkie trzyma w ręku, żartować sobie?? Godziłoby się to? — spytał Janek — Cyganku kochanie, nie sromaj się przedemną, my dawno znajomi: rób swoje!

— Janku, daj mi umrzeć spokojnie! — wyjęknął Tumry.

— Alboż ja przeszkadzam? chowaj Boże! Gdybyś się mnie spytał co masz robić, jabym ci był toż samo poradził! Motrunie, świętej kobiécie, pewnie lepiej będzie bez takiego darmozjada; a tobie wygodniej na stryczku niż w chacie, po której głód za tobą chodzi krok w krok jak u siebie...

— Ale ba! — rozśmiał się Janek po chwili milczenia — tyś filut: płaczesz, płaczesz, a powiesić się nie potrafisz! Jabym ci z serca pomógł, ale powiadają, że za to bięda być może; dawaj sobie sam rady! Nie mądraż to rzecz kulkę zrobić, szyję włożyć, a pod nogi lada pniaka podsunąć — i... —

Tumremu słowa te szumiały tylko w uszach jak szelest leśnych gałęzi; rozumiał tylko, że w nich było uragowisko.

— Ale ty bo cyganku kochanie — kończył zimno Janek — tylko sobie żartujesz i próbujesz, a darmo mię zwodzisz! Tyś widzę tchórz i tego nie zrobisz!

Ostatniemi słowy, które doszły do uszu Tumrego, dopełnił miarki parobek. Cygan nie patrząc już na niego, nie słuchając go, żywo założył głowę w stryczek, odrzucił nogą zgniły kawałek belki, na który się spiął sięgając do węzła — i zawisł z okropnym miotaniem się w powietrzu.

Parobek ani mrugnął, wstał po chwili, uklonił się trupowi, i powolnie zwrócił się drogą ku wiosce.

— Dobrze zrobił, — rzekł w duchu do siebie — na co mu było żyć, kiedy i sobie i drugim na nic się nie zdał, zawalidroga! Sprawiedliwy człowiek, osądził się, i sam bez kłopotu wyprawił duszę do piekła! Motrunie i sierocie lepiej będzie, a cygana niewiary nie pożałuje nikt... prócz mnie może. Nie zły byłby człowiek, gdyby się cyganem nie urodził, bo jak chatę budował, to było na co patrzeć; i gdyby go ta szatanica z czarnymi oczkami do reszty nie zbałamučila kto wie!!!...

— Ale pod koniec ja sam miałem ochotę zarzucić mu strycalek na szyję, bo żonę zamęczał: ni wprzód ni nazad z takim bestyą, a tak ot! i koniec. Wdowa! albo się kto z nią ożeni, albo sobie i tak da radę!

To mówiąc Janek narzucił na plecy trochę gałęzi, które był wprzód przysposobił, i śpiwając coś pod nosem, spokojnie, powolnie powłócił się do domu.

Późno już w noc Motruna siedziała w chacie przy ognisku, kołysząc dziecinę w zawieszonym od pułapu koszyku, który dla niej zawczasu przygotował głupi Janek. Smętna jakaś śpiewka lat młodych zabłąkała się na jej usta dla uspienia niemowlęcia; ale myśl daleko była od pieśni!

Cały dzień prawie nie widziała Tumrego i niepokój poczynał ją chwytać za serce; choć teraz od przybycia cyganów, codziennie mniej, codziennie rzadziej przebywał on w chacie. Zwykł był jednak zawsze choć na noc do lepianki swą powracać, a słowa czasem nie przemawiając do żony, zasypiał przynajmniej na ławie, i Motruna słyszała go stękającego w snach burzliwych.

Pora powrotu zwykłego do domu dawno była przeszła, na dworze wyl wicher ostry, burza jesienna trzęsła kruchą lepianką, a biedna kobieta coraz troskliwiej otulając dziecinę, podsycając ogień, nastawiała ucha, czy w pośród szumu nie usłyszy skrzypu drzwi od sieni i stapania na dworze.

Ale napróżno czekała, przysłuchiwała się, drżała, bo nikt nie przyszedł do chaty pod cmentarzem, i pomyślała wreszcie, że Tumry zanocować musiał z cyganami. Gdy dziecinę usnęło, ona nie kładąc się zdrzemnęła także u ognia i kołyski. Sen to był jednak ciągle przerywany niepokojem; najmniejszy szelest przebudzał ją co chwila, i gorączkowym drżeniem do zarania się męczyła. Spodziewała się jeszcze, że Tumry powróci nade dnem: oczekiwała go, wychodziła wyglądać, a nie było i nie było.

Słońce weszło i podniosło się wysoko. Motruna uwijała się z dzieciną i ogniskiem, ale co chwila odskakiwała od nich do okienka, przez którego szyby mało co jej widać było, to do drzwi, przez których szparę pusta droga wyglądała tylko. Niepokój jej poczynał dochodzić do najwyższego stopnia.

— Miałby już nigdy nie wrócić? — mówiła łamiąc ręce — miałby go całkiem pochwyć i uprowadzić z sobą cyganie? Mógłby on mnie bezsilną, samą z dzieckiem porzucić na zawsze? A! to niepodobna! On chyba zachorował, legł gdzie w polu; może mu się co stało! Po trzebaby posłać, szukać; ale kogo prosić o to?

Przyszedł jej zaraz na myśl głupi Janek, i byłaby pobiegła do niego, gdyby wiedziała gdzie go znaleźć. Wziąwszy nareszcie swój drogi ciężar na ręce, już się wybierała z chaty, kiedy w progu samym z starą się Jagą spotkała.

Nawet cyganie rada była wśród tego niepokoju, i powitała ją szybkim pytaniem:

— A! nie wiecie tam! nie wiecie wy co się z nim stało?

Cyganicha ruszyła ramionami, i zbliżyła się tajemniczo do ucha kobiety.

— Wczoraj wieczór był u nas... był... ale jak szalony... Widzieli go potem latającego po polach... Aza mi powiedziała, że ją złażał, zbecześcił za jakieś głupstwo, i odgrażał się, że sobie co złego zrobi.

— Ach! — krzyknęła Motruna, w której sercu odezwało się dawne przywiązanie, — biegnijmy go szukać.

Dalibyście pokój — wstrzymując ją za rękę odezwała się Jaga — to darmo! Co się miało stać, to się już stało, bo od wczorajszego wieczora do południa wiele wody upłynęło? Lepiej się przygotujcie zawczasu do płaczu, bo pewnie musiał sobie życie odebrać!

Jaga tak zimno i bezlitośnie wymówiła te słowa, że Motruna aż krzyknęła uderzona niemi.

— O ja nieszczęśliwa! ja nieszczęśliwa!!

— No! a cóż zrobić? — zimno poczęła baba. — Ot, jeszcześ młoda, radę sobie dasz i drugiego znajdziesz! Aby młodość!

Pociecha również była przerażająca jak domysł stariej cyganki; ale spojrzawszy na ten wyschły skielec, trudno się było po niej czego innego spodziewać.

— Ja muszę lecieć, pytać, szukać: może się błąka — zawołała Motruna: — i z dzieckiem na ręku, odepchnąwszy Jagę, która je tymczasem wziąć się podejmowała, puściła się drogą po nad cmentarzem, nie wiedząc dokąd bieży.

Cyganka nie goniła za nią! a ledwie straciwszy z oczu kobietę, wśliznęła się zaraz do chaty jak wąż, by ją w niebytności gospodyni splondrować. Motruna, którą ścieżka powiodła ku cygańskiemu obozowi, wahała się co ma począć z sobą; ale pomyślawszy potem, że od cyganów coś się dowiedzieć może, i że oni jedni zechcą jęj dopomódz; skierowała się ku ich namiotowi.

Biedne jęj dziecko rozkołysane biegiem matki, która porzucić go nie mogła, poczęło płakać w drodze, ale cisnąc je tylko do piersi, już się dlań nie zastanowiła Motruna. Narzeczcie zobaczyła ognisko cygańskie i spotkała Aprasza niosącego wodę w dwóch wiadrach blaszanych.

— Nie widzieliście Tumrego? — spytała zdyszana.

— Tumry — przyglądając się wynędzniałej kobiecie, rzekł Aprasz. — A! to twój mąż być musi; był on tu wczoraj wieczorem. Cóż? nie powrócił do chaty?

— Nie było go, nie było! — jęcząc odpowiedziała kobieta.

— To może go już nie być i nigdy! — zimno, idąc dalej, odparł cygan.

Motruna schwyciła tę okropną wróżbę i wiała się w miejscu, nie wiedząc co począć, gdyż Aprasza prosić o pomoc nie śmiała. Zwróciła się znów do wsi, przypomniawszy Janka; gdy na wierzchołku wzgórza otaczającego dolinę, zjawiła się blada, z rozognionym wzrokiem Aza.

Dwie kobiety zmierzyły się oczyma, i instynktem wzajemnej nienawiści poznały. Przybycie Motruny do obozu nadto było znaczące po wczorajszym spotkaniu cygana z dziewczyną, żeby ją uderzyć nie miało.

— Cóż się stało Tumremu? — zawołała Aza żywo podbiegając ku kobiecie.

— A tobie co do niego! — gniewnie odpowiedziała Motruna.

— Mnie!! — uśmiechając się gorzko odrzekła cyganka — chyba nie wiesz kto ja jestem?

— O! poznaję cię! — szydersko, może raz pierwszy w życiu odezwała się kobieta — tyś Aza.

— Tak, Aza jestem; ale gdzież Tumry? gdzie? co się z nim stało? Mów kobieto a prędzej!

— Ty lepiej zapewne wiesz o nim odemnie! — cofając się zawołała Motruna.

— Nie wrócił więc wczoraj? nie wrócił! — popędliwie poczęła pytać Aza.

— Nie wrócił! — cicho i pośepnie powtórzyła echem kobieta, z której oczu ciekły dwa długie łez strumienie, a przez nie przecież oczy zbolale wpatrywały się ciekawie w twarz ślicznej cyganki.

Aza ręce załamała, i jak stała, upadła cała na ziemię, poczynając zawodzić po cygańsku, i ręce załamawszy nad głową.

Ten płacz istoty tak do niego nie stworzonej, do reszty przstraszył Motrunę: onie miała z przerażenia.

— Ona wie, ona wie! — zawołała — co się z nim stało; ona go musiała zabić!!

Wtém Aza jakby odzyskując siłę i nadzieję chwyciła się na nogi, obejrzała wkoło, podeszła kilka kroków ku lasowi, i wnet obróciła się do dworu. Bieg jęj tak był rączy i popędliwy, że Motruna ani pomyśleć mogła ścigać za nią z dziecięciem i osłabieniem swoim.

Powlokła się tylko płacząc drogą, którą była przyszła; a cała ciżba cyganów wywabiona krzykiem Azy, wybiegła z pod namiotu i wskazywała na nią palcami, szepcząc:

— *Tumry Egaszi!* (kobieta Tumrego)⁵.

Aza wyprzedziła daleko Motrunę i znikła z oczu wszystkim, pędząc co najprędzej do dworu, cała oszalona myślą niebezpieczeństwa, a może śmierci Tumrego. Zdawało jęj się, że jeszcze ratować go można; biegła więc do Adama, aby wysłał natychmiast na wszystkie strony szukać śladów znikłego cygana.

⁵kobieta Tumrego — w języku cyganów, o ile mi wiadomo, nie ma wyrazów *mąż* i *żona*; jest to bardzo charakterystyczny niedostatek. [przypis autorski]

Straszna tą namiętnością tłumioną, która teraz w niej wezbrała; wleciała do pokoju, w którym pan Adam spoczywał, i przelękła go twarzą, jakiej u niej nigdy jeszcze nie widział. Zbladła, zmęczona biegiem, rozpaczająca, pochwyciła za rękę wczorajszego kochanka:

— Ratuj — zawołała — ratuj! Tumry cygan wczoraj chciał sobie odebrać życie; dziś dotąd niema go w chacie, niema go nigdzie: wysyłaj ludzi, niech go szukają, niech znajdą!

— A cóż mię twój cygan obchodzi? — oziębłe, z zazdrością prawie odezwał się powoli pan Adam puszczać kłęb dymu.

— Mnie! mnie on obchodzi! mnie! Słyszysz *Raj* Adamie — krzyknęła Aza targając go za rękę zimną — dam życie, dam siebie, tylko go każ ratować!

Adam spojrział na nią nie ruszając się z miejsca.

— Oszałała — rzekł — cóż to! brat twój?

— Kochanek! mój jedyny, ukochany, ulubiony; ten, bez którego ja żyć nie mogę, nie chcę — wyrwało się z ust cyganki — ratuj go! Ratuj!

— A jeżeli tak, nie mam się po co spieszyć — rzekł pan Adam — będziesz teraz moją!

— Jeśli on umrze, i ja umrę, a niczyją nie będę! — krzyknęła boleśnie cyganka drąc z gniewu rąbek i suknię — wysyłaj ludzi, wysyłaj ludzi!

Zapał z jakim wołała, głośny krzyk jej, już był cały dom poruszył. Słudzy zgromadzili się we drzwiach, a twarze ich zobaczywszy Aza, poczęła ku nim z błaganiem się zwracać, ręce łamiąc, płacząc i wzywając od wszystkich ratunku.

Ale dworska gawiedz nie mając rozkazu pana ruszyć się nie śmiała; a pan Adam siedział nieruchomym posągim, i wąsika tylko poglądał. Co go tam jeden cygan obchodzi!

— Słuchaj, ratuj go, a będę twoją — przyskakując i szarpiąc go, powtórzyła dziewczyna.

Adam się zimno uśmiechnął i jeszcze nie rzekł słowa. Cyganka próżno błagała, rzuciła się i latała po izbie z rozpuszczoną kosą czarną; nareszcie chustką, którą trzymała w ręku, uderzyła zniecierpliwiona po twarzy milczącego sybarytę, i wybiegła ze dworu z wołaniem rozpaczliwem, ciągnąc za sobą tłum ciekawych ludzi.

Co żyło, poczynano gromadzić się, zbiegać i powtarzać zcicha słowa cyganki; wszyscy chcieli biedz szukać Tumrego przez samą ciekawość, ale nikt nie wiedział dokąd się obrócić. Nareszcie i sam pan Adam po zniknięciu Azy, rozmyśliwszy się, rozesłał ze dworu na wszystkie strony, aby szukano kowala. Rozsypali się tedy, każdy gdzie komu na myśl przyszło; a Aza skierowała się ku lasowi jakimś przecuciem niewytłumaczonym... Kilku ludzi poszło za nią.

Nawpół drogi bo boru, spotkali głupiego Janka, który z wiązką gałęzi na plecach szedł śpiewając do domu. A że go widziano nieraz rozmawiającego z Tumrym, znano że żył z cyganem w drużbie; gumieny więc zatrzymał parobka, choć niewiele od niego spodziewał się dowiedzieć, bo jak inni, z powierzchowności sądząc, miał Janka za głupiego i nierozgarnionego.

— Słuchajno głupi Janek — spytał go — nie widziałeś ty czasem cygana, kowala... Tego, tego, co to z pod cmentarza?

— Kogo, kogo? — udając głupotę, szydersko począł pytać Janek.

— A! kowala cygana, głupi Janku! z pod cmentarza.

— Cygana! Tumrego! Oj! oj! widziałem go pozawczoraj, wczoraj, a nawet... (począł sobie przypominać) ot nawetem go dziś widział!

— Dziś? gdzie? gdzie? — pochwyciła Aza.

Janek nadto miał sprytu skrytego, żeby się wygadać zanadto i opowiadać rozmowę swoją, lub przyznać, że samobójstwa był świadkiem; odparł więc chłodno, skrobiąc się w głowę:

— No! a w lesie!

— Dawno?

— O! godzin już jakby ze dwie! Ono się na ranek zbierało.

— Co on tam robił?

— Albo ja wiem, co on tam robił? Może chodził po drevka, bo czegoś rozwiązany pas niósł w rękę; to pewnie chciał je zczepić... bo u niego i postronka nie ma w chacie...

Aza krzyknęła zaslaniając sobie oczy:

— Gdzież ty go spotkałeś?

— Czekajcie! Na Popowej niwie! Nie! nie! na Poroślaku! Nie! nie! w Lisich dolach; ale nie! ot jest! jest! dalibóg koło pustej budy!

Wszyscy więc szukający z Azą na przodzie, puścili się żywo w las drożyną ku pustej budzie wiodącą; a Janek podjąwszy drewka, posunął się dalej ku wsi, obejrawszy się tylko na ludzi, którzy go mijali, z uśmiechem głupowatym.

— Ha! ha! — szepnął cicho do siebie — trochę zapóźno przyjdziecie! A! cóż ja temu winien! Niechby był poczciwej kobiety nie zamęczał: a teraz dobrze mu tak.

Z bijącym sercem biegła Aza, a ludzie ledwie za nią zdążyć mogli, wskazując jej tylko drogę, którą iść miała. Nierychło jednak dostali się do pustej budy, bo ścieżynki do niej wify się dziwnie po lesie, a krzaki tak je zarastały, że w wielu miejscach trudno się było przez nie przecisnąć.

Nareszcie Aza pierwsza wskoczyła na łączkę otaczającą zwaliska z tej strony, podbiegła co tchu do rozwalonej budy, i plasnęła w ręce z wrzaskiem przeraźliwym, ujrawszy wiszący trup Tumrego, na którego twarzy żółta, woskowa rozsiała się już bladość.

W mgnieniu oka, gdy reszta ludzi zebrana w kupę stała jeszcze nieśmiejąc się przybliżyć ku samobójcy, cyganka skoczyła na belkę i poczęła już targać węzeł utrzymujący szyję wisielca; a niemając noża by go rozciąć, pochwyciła zębami i rozgryzła jak nitkę.

Trup okręcił się, zadrgał, pochylił i padł z łoskotem zimnej bryły na ziemię. Aza już była przy nim i usta przyłożywszy do twarzy, a rękę do serca, ciepła w nich i życia napróżno śledziła. Już ich tam nie było! Twarde, zimne, skostniałe ciało, wyzionęło już ostatnią żywota iskierkę...

Cyganka czołem padła na ziemię i tak nieprzytomna pozostała przy trupie.

Ludzie poszeptali, obeszli go dokoła, pokiwali głowami, namachali rękami, i zawrócili się dać co najprędzej znać do dworu, zostawując cygankę samą jedną nad ciałem kochanka.

Na rozstaju za wioską wykopano dół głęboki, i cichym wieczorem, parą wołów czarnych, przywieziono trupa Tumrego, któremu Janek zbił z kilku tarcic białą sosnową trumnę, bez księdza, bez ludu, bez płaczu, na wiekuiste mieszkanie.

Za wozem ledwie była garstka tylko; szła Motruna z dzieckiem u piersi, z zaschlém już od płaczu okiem, odprowadzając do mogiły nieszczęśliwą dolę swoją.

Za nią włókl się Janek, milczący, zgarbiony, zadumany, z rydłem na plecach, ze słomianym swym kapeluszem w rękę. Dwie stare cyganki mrużąc coś pod nosem, otulone szerokimi płachtami, sunęły się także zdaleka za tym pogrzebem samobójcy! Nie było ani stypy, ani kuti, ani przyjęcia, ani żadnego z tych uroczystych obrzędów pośmiertnych, które ze słowiańskich jeszcze czasów pozostały u wiernego starym zwyczajom ludu wiejskiego.

A gdy woły zastanowiły się na pagórku u wyspanej ziemi, dwóch ludzi zniosło trumnę z wozu i rzucili ją w dół, nie mówiąc słowa.

Janek pierwszy schwył za rydel i zasypywać zaczął, a dwie cyganki stanęły na brzegu przypatrując się z odrętwiąłą, głupowatą ciekawością narzucaniu ziemi, i powoli znikającej trumnie. Motruna bez jęku siadła na trawie, i podparta na dłoni, tuląc dziecko, które kwiliło z głodu, czy macierzyńską czując boleść; patrzała, patrzała na pracujących u grobowiska...

Już Janek z ludźmi dosypywał dół do wierzchu, i poczał go ubijać nogami; już na nim i wzgórek zaokrąglać zaczęli, i darninę na pokrycie wycinać z blizkiego rowu, i cała robotą powoli się skończyła. Odchodzący pierwszych kilka gałęzi suchych zwlekli wedle odwiecznego zwyczaju na mogiłę, jakby stos przysposabiając, do którego każdy przechodzień, dorzucać był winien choć suchy złomek jaki; już wreszcie rozchodzili się, a Motruna nie myślała wstać, ani się ruszyła z miejsca.

Cyganki, z nieboszczyka na nią zwróciły swoją ciekawość, i stanąwszy zdaleka, mrużąc spoglądając na biedną kobietę; ale się im przebrała cierpliwość, i gdy ludzie ku wsi zawrócili woły i pociągnęli nazad: one także poszły za niemi. Jeden tylko głupi Janek pozostał przy Motrunie, pilnie się jeszcze zajmując niby skończeniem mogiły, którą to udeptywał starannie, to stos na nią porządkował, urządzał, żeby go wiatr nie rozrzucił.

Oczy Motruny błędnie machinalnie po okolicy, zatrzymywały się to na nim, to na grobie męża, to na głowie dziecięcia; ale znać było, że nic nie widziały. Kiedy niekiedy tylko popłynęła z nich łza jedna i zaschła na policzku, drgnęły wargi, przymknęły się oczy, ścisnęły ręce wkoło dzieciny. Janek spojrzał z pod brwi nieruchomej na Motrunę i wciąż pracował.

Poczęło zmierzchać powoli, niebo się zasępiło, a Motruna nie wstawała.

— A co? — odezwał się długo wytrzymawszy Janek — chodźmy do chaty?

Motruna głową tylko potrząsała.

— Już ciż tu nocować nie będziesz — dodał. — Jeszcze tobie jak tobie, aleć i dziecku na wietrze i słońcu nie zdrowo.

Matka skwapliwie przytuliła do siebie niemowlę, i spojrzała na głupiego Janka, który nie był wcale tak głupi, jak się zdawał.

— O! pewnie — kończył Janek — że dziecku to zaszkodzi; a resztą co tu robić? Jużemy mu usypali mogiłę, niechaj odpoczywa! Wstań i chodź Motruno.

Zarzucał rydel na plecy, włożył kapelusz na głowę i przystąpił do niej. Kobięta zakryła oczy, z których na nowo potok łez wytrysnął.

— Płakać — rzekł Janek — można i w chacie, a już coś noc blisko; dziecku zimno, trzeba iść, trzeba iść — powtórzył z przyciskiem.

— Dokąd? po co? — zawołała Motruna. — O dolo ty moja! o dolo! co ja pocznę!...

Janek niezważając na łzy i żale, ujął ją za rękę i dźwignął z ziemi, a zwróconą ku mogile lekko nakłoniwszy w stronę wioski, pociągnął za sobą.

Motruna obejrzała się raz jeszcze, chciała gałąź tarniny leżącą pod nogami rzucić na mogiłę; ale zachwiała się i upadła. Janek podźwignął ją znowu.

— Pamiętaj na dziecko — począł cicho — ono teraz na twoich rękach i na twojej głowie! Chodźmy do chaty, dość płakać!

Już się tak byli oddalili wlokąc z trudem i powoli, gdy Janek obejrząwszy się zobaczył jak cień przesuwającą się cygankę, która pędem wpadła na świeżą mogiłę, i siadła na niej, a raczej rzuciła się na nią.

Niechając by ją widziała Motruna, przyśpieszył kroku, i zagadując jęki które aż do nich dochodziły, copędzniej spuścił się z nią w głąb jaru, który wreszcie zakrył im mogiłę samobójcy.

Aza sama jedna pozostała na rozstaju z wyschlęm okiem, przybita, nieprzytomna, dysząc namiętnością i rozpaczą pierwszą w życiu. Porywała się, biegła do koła wzgóрка, siadała na nim, wstawała znowu, ryczała jak zwier dziki; i wśród krzyku jęj dobywały się z piersi to jęki niezrozumiałe, choć z tysiąca słów złożone, to okruczności jakiejś pieśni, to pytania, to wyrzuty i przekleństwa...

Rzadko kiedy człowiek dochodzi do takiego stopnia rozpacz i szału, jaki ośwładnął dziewczynę, nieprzywykłą ani tłumić uczucia, ani z niemiem walczyć dla oka. Zdawało się, że całkiem zapomniała o sobie, o jutrze, o świecie, a bólem swym żyła tylko. Niepodobną była do siebie: taka wściekłość malowała się na rozprężonych rysach jęj twarzy zbladłej, wywróconej, zmienionej potężną dłonią męczarni... Oczy zdawały się wybiegać z pod powiek usta miała otwarte, zęby ścisnione konwulsyjnie, czoło zwiśnię na źrenice, brwi ściągnięte, a ręce trzymała wzniesione i splecione po nad głową...

Zdyszana pierś miotła się jak fala, a chwilami brakło jęj jeszcze oddechu...

Nie wiem jak długo walczyłyby tak z cierpieniem, i odrętwiałością czy zupełne szaleństwo skończyłoby jęj męki, gdyby z ciemności nie ukazał się po chwili wychodzący Aprasz.

Stanął on naprzeciw nięj, znowu silny, rozkazujący: taki, jakim był, nim mu dziewczyna odebrała dowództwo i władzę. Popatrzał na nią i niepostrzeżony przybliżył się.

— Aza! — krzyknął nagle głosem, który ją jak piorun uderzył — do obozu!!

Ona podniosła nań oczy strwożone i obłąkane.

— Do obozu *Egaszi!* do *kakabij* (kotła) ogień palić, jeść gotować i posługiwać, a nie po nocach się włóczyć!

Dziewczyna osłupiała, a cygan chwyciwszy ją za ramie, gwałtownie pociągnął za sobą. Nie było z jęj strony ani oporu, ani łzy, ani słowa, ani jęku; spuściła głowę, i poszła posłuszna. Na mogiłę wiatr z suchemi gałęziami i ptacy wędrowni poczęli długą rozmowę, która trwać miała wieki...

Tegoż wieczora obóz cyganów opuścił nagle Stawisko, i skrzypiący wóz ich pociągnął dalej, unosząc skrępowaną Azę, około której siedziała stara Jaga, którą Aprasz wyznaczył za stróża dziewczynie.

Dawny dowódzca objął znów żelazną ręką rządy gromady a *Romy* i Puza na czele, słuchali go jak niewolnicy do pańskiego przywykli głosu...

My zajrzemy jeszcze na chwilkę do dworu pana Adama, nim go stracimy z oczu na długo.

Po odejściu Azy, po odkryciu tajemnicy przywiązania jej do Tumrego, pan Adam naprzód się silnie rozgniewał, czując się upokorzonym tym nieszczęśliwem współzawodnictwem z cyganem; potem chciał gonić za cyganką, nareszcie bezsilny, gniewu się wyrzekł, i niewiedząc sposobu dogodzenia namiętności bez wielkich ofiar, opuścił ręce, usiłując zagłuszyć serce, czy żądzę odzywającą się jeszcze.

Ale nie tak łatwo z sercem swém wojować temu, który go się z młodu nie nauczył zwyciężać i kierować niém. Pan Adam poczuł wkrótce, że cygankę mocniej ukochał, więcej się do niej przywiązał, niżeli sobie wyobrażał zrazu.

Chciał za nią gonić, szukać jej, porwać ją siłą, niezważając ani na jej przywiązanie do Tumrego, ani na obojętność i szyderstwa. Nim to postanowienie przyjść mogło do skutku, banda cyganów daleko już była od Stawiska i znikła bez śladu, pozabierawszy tylko swoje i cudze konie, narobiwszy szkód bez liku, a po sobie zostawiwszy mogiłę w polu, łyzy i przekleństwa.

W takich jak Adam ludziach, strapienie gwałtowném jest tylko w pierwszej chwili; ale nie trwa długo i przechodzi bez śladu. Dni kilka dość było żeby boleść zmieniła się w tęsknotę, w znudzenie i potrzebę szukania rozrywki; a jej pragnienie już było najlepszą przepowiednią całkowitego zapomnienia przeszłości. Ziewnął, stęknął, kazał zaprzęgać pan Adam i do miasta pojechał.

W chacie po Tumrym, zbudowanej z taką pracą i wytrwaniem żelazném, nie mogła się rychło zatrzeć pamięć jego; bo ręka robotnika wszędzie zostawiła po sobie ślady, i każdy kawał drzewa ją przypominał. Biedna Motruna musiała zamieszkać w lepiance, i patrząc na nią, dolę swoją oplakiwać.

Po śmierci cygana przybliżyli się do niej bracia, ale i ci niewiele pomódz, mało los jej zmienić mogli. Potrzeba znać życie i zasoby najdostatniejszego wieśniaka, by uwierzyć, jak niełatwo mu przy najlepszych chęciach wziąć na barki kobietę i dziecię. Dwaj bracia Motruny radzi byli coś dla niej uczynić, ale żony ich na samą wzmiankę o tém, że cyganka mogłaby przenieść się do ich chaty, zakrzyzczały, poczęły rzucać się i gniewać, tak, że i pomyśleć o tém bez zakłócenia domowego spokoju nie było można. Trzeba więc było Motrunę zostawić na miejscu, w lepiance jej pod cmentarzem; a i tam nawet Maxym i Filip niewiele jej dostarczyć mogli, bo natychmiast żony ich obawiające się o siebie i dzieci, o głód na przednówku, głośną poczynąły wojnę za każdy datek. Przy najlepszych chęciach, rzadko też wieśniak jest w stanie przełamać się czarnym chleba kawałkiem. Najbogatszy ma ledwie tyle, że się głodu nie boi do nowego ziarna, a sprzedają pozostałej odrobiny, opędza pierwsze życia potrzeby. Jakże wielkiego potrzeba uczucia, jak świętych obowiązków, by wystawił na szwank los swój i rodziny? Bracia Motruny dopomagali jej ale tając się przed żonami, potrosze tylko i szczupło.

Pan Bóg zesłał jej opiekuna i niespodziewanego pomocnika w głupim Janku. Los tego odrzutka tak był ciężki w własnej chacie, tak nim tam poniewierano, często nawet wypędzając zupełnie, choć robił więcej niż za jednego człowieka i za jedno zwierzę domowe; tak mało mu tam dał kto dobre słowo, że głupi Janek, który śmieliej i niepotrzebując udawać głupoty, przystępował do Motruny, do cygana: do nich się też więcej niż do swoich przywiązał.

Los szczególniej kobietę zdawał się go silnie zajmować, bo Tumrego był znenawidził w końcu i prawie do samobójstwa popchnął przez żal, jaki do niego miał za Motrunę. Po śmierci też jego, Janek na chwilę wdowy nie opuścił: zajmował się sam pogrzebem, odprowadził ją do chaty, i pozostał przy niej na straży; w ten sposób ją i dziecię za rodzinę sobie przysposobił. Tegoż wieczora zaraz nasłał słomiany barłóg w sionkach pod drabiną u drzwi izby, i tam się umieścił. Nazajutrz poszedł do swoich dla zabrania garści

lachmanów, zowiących się jego własnością i nierzekłszy słowa, porzucił chatę ojcowską nazawsze.

Motruna miała z niego więcej niż parobka i posługacza: bo brata i opiekuna czuwającego nieustannie nad nią i sierotą. Przywiązanie i litość zrobiły z Janka istotę pełną przebiegłości, zapobiegliwą, baczną i bystrą nawet w potrzebie. Dla Motruny umiał zaraz znaleźć zarobek, znosząc jej przedź na motki, i różne drobne nastęrczając zajęcia, za które sam się wprzód targował, i chatę zasposabiał w żywność i sprzęt potrzebny. Drwa sam zbierał i nosił, wodę czerpał, rąbał, palił, gotował, świecił, dziecko całymi godzinami kołysał; a w strawie bojąc się zrobić uszczerbku, żywił się suchym chlebem i pozostałymi w garnkach resztkami jadła, którychby pieszczone psy nie chciało.

Nierychło opatrzone się w jego chacie, że głupiego Janka niestało; ale kiedy kilka dni nie powrócił, jakoś go zabrakło wszystkim. Bracia postrzegli, że nie mieli się kim wyręczać; siostry nie miały kogo posyłać, łajać i nękać, a bratowe nie znalazły z kogoby się tak bezkarnie naśmiewały. Choć wszyscy narzekali, że darmo chleb zjadał, gdy go niestało, stękać poczęli, że się nie obejdą bez niego, i nuż zbiega przeklinać.

Szpiegowano, dopytywano się, śledzono gdzie się mógł podzić; ktoś odkrył nakoniec, że posługuje u Motruny. Posłano zaraz starszego brata odebrać głupiego Janka, a ten obcesowo wpadłszy, łajac go począł, znalazłszy w kuczki siedzącego w sionce pod drabiną i kręcącego kawałek powrozu.

— A co ty tu robisz? próżniaku, darmożjadzie! A do chaty, do roboty — krzyknął pan brat.

Janek podniósł głowę, zmrużył tylko jedno oko, popatrzył na przybysza, splunął i dalej swoje robił.

— Co to ty sobie myślisz?

— Ot co myślę, — odparł Janek spokojnie — myślę tu zostać i zostać!

— Albo to my pozwolim włóczyć ci się gdzie zechcesz?

— A na cóż ja wam potrzebny? — odparł ruszając ramionami — hę? Małościęto mnie nawymawiali, że chleb jem daremnie? A daliście mi kiedy szmat, odzieży; dali nową koszulę i choćby łapcie na zużone nogi? Kiedym ja wam niepotrzebny, po cóż siedzieć miałem! Idźcie sobie braciszku z panem Bogiem i kłaniajcie się odemnie staremu Łysce...

Brat porwał się bić, ale Janek schwytał go za barki, wyrzucił z sieni i drzwi podparł kołkiem; a napastnik nakrzyczawszy i naodgrażawszy się z podwórza, poszedł z niczém do domu. Pozywano Janka do dworu na sprawę, ale tu głupi parobczak jak zaczął się bronić, przy swoim się utrzymał; pozwolono mu zostać z wdową, a braci odprawiono z kwitkiem. Dowiedział bowiem, że ani przysiewku w polu nie miał nigdy, ani odzieży nie brał, ani płacy, ani mu żadnej części z ojcowizny wydzielić nie chciano; nie miał więc żadnego obowiązku pracować tam za wszystkich, gdzie nikt mu nic za to, nawet łyżki pocziwej stawy, nie dawał.

Bracia srożyli się, krzyczeli, poznawszy że im bez niego jak bez pomiotła, nie będzie lekko wszystkim śmieci zagrzebywać; probowali odciągnąć go obietnicami, ale nic nie pomogło.

— Dopieérobyto był głupi Janek — mówił parobczak — żeby się dał drugi raz złapać jak wróbel na plewę. Ho! ho! niedoczekanie wasze: raz się wyprzągłszy z tego jarzma, drugi raz w nie karku nie nagnę, bom spróbował jak mula! Bywajcie zdrowi i kłaniajcie się staremu Łysce...

Łysko, stary pies podwórzowy, było jedyny Janka w chacie przyjaciel.

Motrunie, ani Jankowi na myśl nawet nie przyszło żeby na nich dwoje gadać coś miano; ale złe we wsi języki nie darowały i krzywemu Jankowi, ani błędnej i schorzałej Motrunie: śpiewano o nich w karczmie, śmiano się u studni i na przełazkach, choć oni ani się tego domyślali.

Janek był tak poczwarny i brzydki, że posądzenie o miłość jakąś dla niego, w głowie tylko starych bab i żon braterskich urodzić się mogło; a jednak gdy raz puszczono plotkę, przyjęła się i swatano ich zawczasu, a Janek tylko jak wyrobnik dla wdowy pracował.

Oboje często po całych dniach słowa do siebie nie rzekli, a Janek czasem tylko, gdy w lepszy wpadł humor, zmyślał powiastki dla rozweselenia Motruny. Ona słuchała i milczała, bo milczenie stało się dla niej nałogiem i drugą naturą, tak, że na słowo trudno

się jęj zebrać było. Zaśpiewała dla dziecięcia niekiedy, westchnęła ze znużenia, ale z serca zasklepionego ani się skarga, ani wspomnienie wyrwać nie mogło.

Macierzyństwo wystarczało jęj do nędznego życia, w niem były wszystkie pociechy, nadzieje i cel przyszłości, a uśmiech dzieciny wywoływał i na jęj usta coś nakształt smutnego, łzawego i bladego uśmiechu. Patrzała w kołyskę, siedziała przy nięj, spała nad nią, i na chwilę jęj nawet nie odstępowała. Czasem, gdy upadła znużona, Janek się podkradł i niezgrabnie zakolysał dziecinę; ale zaledwie zapłakało, już Motruna zrywała się przerażona tym głosem, i znowu sama piastowała ukochaną donię.

Takie tam było życie w tęg mizernęj lepiance, dnie, nocy, i jednostajnie płynące miesiące i lata. W około ruch był na wsi: przemieniało się we dworze, ludzie się mijali, ustępowali jedni, nastawali drudzy, kochali się, rzucali, umierali, rodzili. Tu tylko strzechy słomiana porastała mchami, Motruna bladła i chyliła od pracy, Janek żółkł i garbiał codzien bardziej, dziecina chodzić poczynała; ale ani los odmienny, ani dola lepsza nie zaświtała w lepiance cyganichy.

Wioska nie odstępowała jęj wszakże, ale nie bardzo tęg chętnie garnęła się do nięj; nie tak z powodu zabobonnego jakiegoś przesądu, jak raczej lękając się jęj ubóstwa. O! dla wielu, dla bardzo wielu na świecie, nic nie ma straszniejszego nad nędzę; dotknąć jęj ręką, spojrzeć się na nią lękają żeby ku nim nie zajęczała prosbą, nie zwróciła się z żądaniem pomocy!

Nawet o robotę nie było łatwo Motrunie, bo mało kto ośmielił się ją powierzyć ubogięj, lękając się bliższego z nią stosunku. Przecież staraniem Janka nie brakło ani chleba, ani pracy, ani zarobku, ani zbywało na pierwszych życia potrzebach. Przez lato, gdy dziecina podrosła, Motruna mogąc ją mieć z sobą w koszyku, najmowała się do żniwa; Janek zarabiał także, i lepiej od drugich, bo czasem aż po dwie kopy oziminy stawiał kiedy się rozmachał. W zimie żyli groszem uzbieranym i kądziolką wdowy.

W tęg wszakże nieustannęj pracy, Janek począł w lat kilka widocznie tracić siły, choć te zdawały się niewyczerpane; a że był przesądny i nie pojmował, zkad taka zmiana przyjść mogła: przypisywał ją rzuconemu przez którąś bratowę urokowi. Począł więc chodzić od znachorki do znachora, dla zdjęcia uroku, wypijał różne czarodziejskie leki, ratował się zamawianiem i różnemi, ingrediencyami wielce podejrzanymi własności, tak, że w końcu, skutkiem tych leków, zapadł gorzej jeszcze i obległ nareszcie śmiertelnie.

Jeszcze go jakaś przy życiu trzymała siła woli i ducha potężna; włóczył się o kiju z sieni do izby, z izby na poddasze, pomagając Motrunie; aż gdy jednego wieczora uczuł się bardzo gorzej, pomyślawszy, że śmiercią swoją biednęj wdowie narobi kłopotu, wziął kosztur, i niepożegnawszy się nawet, a przez szparę we drzwiach spojrzawszy na dziecinę, która już po izbie biegała szczebiocząc, powlókł się do chaty braci. Całych sił swych dobyć musiał, ażeby do nich się dostać, tak mu już w drodze słabo się zrobiło; a gdy na próg wszedł, zachwiał się i upadł pod piecem.

— Cha! cha! — rzekł — otóż mnie i macie panowie braciszkwowie; chcieliście żeby do was powrócił toć jestem na usługi! Musicie mi teraz z ojcowizny choć pogrzeb sprawić i *domowinkę!*⁶

Jakoż w godzinę potęg, głupi Janek już nie żył, a bracia choć się rzucali i łajali, zmuszeni byli pogrzeb mu sprawić.

Niepodobna wystawić żalu jaki ogarnął Motrunę, gdy się o śmierci Janka niespodzianie całkiem dowiedziała, gdy się jęj domyśliła raczej, bo zniknienie jego nie mogło mieć innego powodu. Dwoje tych istot tak się zżyło z sobą, że wdowa myśl jego odgadła odrazu i rozplakała się, uczuwszy, że nawet w chwili boleści przedśmiertnych pamiętał o nięj jeszcze i bał się jęj najmniejszą przykrość wyrządzić. Tak już do niego była przywykła, że zdawało jęj się niepodobieństwem wyżyć i wystarczyć bez Janka sobie i dziecięciu. Drugito już raz tak wdową ją los robił.

Głupiego Janka brakło wszędzie i ciągle, bo on był duszą nędznęj chatki. Nie mogła Motruna wyjść na próg, żeby go sobie nie przypomniała po miejscu, które pod drabiną w sieni, zimą i latem zajmował w rodzaju budki, skleconęj z tyczek od fasoli i miętęj słomy. W samęj chacie pełno było śladów pracowitéj ręki jego i przemyślnęj głowy: wyuczył się bowiem bednarki, ciesielstwa, mularki, i wszystko niemal sam robił, bo płacić nie miał

⁶*domowinka* — tak w niektórych wsiach wołyńskich zowią poetycznie trumnę. [przypis autorski]

czém majstrom. Na kołku nad ławą naprzeciw pieca, gdzie siadać i grzać się lubił, stary jego dziurawy kapelusz słomiany wisiał jeszcze, i pyłem przysuty, pozostał jak widoma po nim ostatnia pamiątka...

Znów za tym pogrzebem przyjaciela poszła Motruna i ucałowała trumnę, ostatni chleba bochenek, ostatni płótna kawałek kładąc na niej wedle zwyczaju; bo tych bracia mu poskąpili... Późno w noc skostniała powróciła do pustej, straszliwie pustej chałupki, myśląc co pocznie z sobą i dzieciną a myśl ta ręce odebrała jój na długo.

Dopiero szczebiotanie dziecięcia obudziło ją z marzeń przykrych, do życia i pracy. Ta jest korzyść nędzy, że w niej praca koniecznością, a ona najlepszym cierpieniem lekarstwem!

Trzeba było wziąć znowu kądziel i wrzeczono na chleb dla małej Marysi; ale nie było już kim się wyręczyć na wsi, ani komu odnosić motków i wypraszać przedziwa!

W takiej niedoli i najostatniejszej nędzy, z dnia na dzień grożącej śmiercią głodną, rosła sierota, Marysia.

Matka widziała już w niej, jak wszystkie matki w dzieciach swoich, małeńkie cudo a wielkie nadzieje; ale obcy nawet i niechętni, gdy szła ujawszy fartuch Motruny, małeńkimi nóżkami ścigając ją i podskakując jak ptaszek za matką; oglądali się z jakimś zajęciem na dziecko cygana.

Maryś, gdyż tak ją pospolicie nazywano, była w istocie śliczną dziewczynką, w której twarzyczce dwa złęczone typy, wschodni i północny, wydały trzeci odrębny, obojga wdzięki tylko mający. Maryś miała śliczne oczki czarne, ale nos prosty i nieco zakrzywiony, czoło wysokie, usta nieco wydatne, a pełne uśmiechu i słodczy; płeć dziwnie białą, włos złocisto-ciemny. W dziecinie już znać było dziwną zręczność ruchów, zwiastującą czém być miała, gdy rozkwitnie na dziewczeczkę. Motruna zakochana w niej do szaleństwa, stroiła ją, ubierała, wdzięczyła czém mogła, nienasycony wzrok pasąc tą twarzyczką pełną wczesnego rozumu, przenikliwości i łagodnej dobroci.

Z każdego słówka sieroty tryskał niezwyčajny dowcip, niecierpliwa ciekawość świata i chęć wybiegnięcia o swojej sile między ludzi. Małeńka już poczęła matkę wyręczać tak zręcznie we wszelkiej pracy, tak nieraz zdziwiła ją zgadując myśl jój lub poddając radę, że Motruna miała ochotę klęknąć przed cudowną dziewczynką. Kręciło się to od rana do wieczora po chatce, śpiewało, biegało, a gdy matka po swojemu spuściła głowę obciążoną smutkiem, czepiała się na jój kolana, rozcałowując jój zadumę.

Wychowana w ciągłym niedostatku, Maryś miała jakiś instynkt zaradzenia wszystkiemu, i w głowie swjej dziecinniej często więcej znalazła, niż matka w całym swém zbolałym sercu.

A tak to się umiało przymilić, uśmiechnąć, podobać, ułagodzić, że nieraz najobojętniejszy zatrzymał się gdy przemówiła; a stare nawet baby wracając z targu, rzucały cygańskiemu dziecku po jabłku lub obwarzanku.

Taką dorosła Maryś lat dwunastu, na bohaterkę ostatnią naszej chatki za wsią; a chcieli wiedzieć co się stało z sierotą, to poczekajcie trochę do następnego opowiadania..

TOM III

Znacie już tę biedną chatkę za siołem u cmentarza, skleconą przez cygana prawie z niczego, jedno siłą woli, namiętności i rozdrażnienia. Nigdy ona nie była nową, a kilka lat życia uczyniły ją zgrzybiałą staruszką, tak, że gdy dziecię, jedyne dziecię Tumrego podрастаć zaczęło; razem z biedną Motruną i lepianka pochyliła się do upadku. Co chwila potrzeba było coś podłatać, podeprzeć, podlepić i zatkać gdzieś dziurę, i spróchniałe, bo mokrém ścięte, drzewo zasztukować. Dachy nie było komu pozszywać słomą, zalepiano w nim otwory kawałkami darniny, która wprawdzie nie przepuszczała deszczu, ale zbyt ciężko obciążała kruche i wątłe krokiewki. W jednym miejscu nad sienią tak się już były powyginały, że niemal leżały na ścieli. Za to latem wszystka ta darń zielona, gdy się rozbujała, przypomniawszy sobie pole z którego wyszła, gdy zakwitła, aż miło było spojrzeć na ten wiszący ogródek. Wśród gęsto posplatanych ździebeł pospolitej trawy, tu i owdzie strzelały kwiatki łąk naszych, zdziwione, że ich losy na taką wysokość podniosły. Para brzoźek nawet, które tam zasiała dłoń Boża, ręką wiatru rozrzucając życie po świecie, ze swą bieluchną korą i drżącymi listkami, wysoko nad komin strzelały, i dobrze część dachu stojącą jeszcze przeniosły. Słoma, której codzień mniej pozostawało, bo raz wraz trzeba się było latać darniną z blizkiego cmentarnego rowu, służyła gnijąc za pokarm tym chciwym przybyszom.

Gorzéj daleko było ze ścianami, które się osuwały, zapadały w ziemię, krzywiły, kosily, wychylały i w końcu stały się jakąś niepojętą klejanką najdziwniej zmieszanych materyałów. Drzewo w nich niedostające zastępowały: chrust, glina, ziemia, słoma, śmiecie i co tylko było pod ręką. Jaskółcze gniazdko pod strzechą gościnną z większą nie zlepią się sztuką. Na podpory użyto rozebranej wprędce nieużytecznej kuźni, która na jakiś czas i paliwa i budulcu dostarczała. Pozostałe jéj słupy, horno i kupa gruzu, jeszcze swém sąsiedztwem większą ruiną czyniły ubogą chatkę, ale wprędce dobroczynna matka zasiała na nagiej téj górze pokrzywy i lopuchy, które zielonemi liśćmi robotę rąk ludzkich zniszczoną pokryły.

Ale człowiekowi, któremu po śmierci tak mały wystarcza domek, i za życia niewiele było potrzeba. Wchodziło się do lepianki na wpół łamiąc, by przez drzwi niskie przecisnąć, okno ramą spoczywało na ziemi, a we środku, w téj jamce ciemnej, smutnej i wilgotnej żyło się życiem powszedniém, zupełnie tak samo jak się cierpiąc, jęcząc i stękając żyje w niejednym mozaikowanym pałacu.

Kiedy po srogiéj ulewie opadła gdzieś ze ściany nalepa, albo w skwar oschła osypała się glina, i wiatr, gość nieproszony, po izdebce przeleciał: wdowa szła za chatę, rozmiesiła gliny, przyłożyła gruzu z kuźni, zaprawiła otwór, i znowuż na jakiś czas było zaciszno i cało.

I dziewczeczka, co rosła w téj rozpadlinie, nie zajrzawszy nigdy do lepszego mieszkania, nie wystawiała sobie, by co na świecie lepszym, piękniejszym, wygodniejszym nad nie być mogło. Młodość tak sobie kłamie gdy kocha, a dziewczę tak tę swoją chatynkę kochało! Dla niéj większe i porządniejsze budowy zdawały się nawet smutne obok téj jamki na górze przeciw cmentarza, do której częściej wiatr niż ludzie zaglądali.

Widzimy nieraz na suchej skale, w garści suchego piasku wyrastającą dzielnie i silnie roślinę, którą żywi ojciec Niebieski tylko, i stajemy zdumieni myśląc, z kąd ta wygnanka bierze soki pożywne. Miała je widać w ziarnie, które drobną łuską obejmowało wielki zaród żywota, i tą siłą tajemniczą krzepi się, podраста, dźwiga. Tak właśnie i sierotka rosła, bujała, rozkwitała, choć nic jéj nie pomagało ku temu.

Ciągle prawie zamknięta ze smutną matką, wpatrując się w zbladłe i uwiędłe jéj oblicze, słuchając westchnień niewyczerpanych, owionęta atmosferą śmierci, uśmiechała się przecie do życia, i rumieńczyk czasami krasił jéj śliczną twarzyczkę, a oczy poglądały pragnieniem żywota i ciekawością świata.

Wiecież, jak się wychowują wiejskie dzieci? — jak ptacy niebiescy, jak kwiaty na niwach, jak wszystko czém się sam Bóg tylko opiekuje przez ręce aniołów. Słuchają gadek wieczornych i pieśni macierzyńskiej, patrzą na czynne ojców życie, dumają w polu, poglądają na niebo, i koniec końców serce się rozkołysze, i w głowie myśl rozpowie, i budzą się ludźmi jak drudzy, często od drugich lepszemi. Mniej od nas wiedzą pewnie,

ale czują równo, jeżeli nie silniej, a więc i lepiej zgadują, bo w nich mówi serce, bo serca słuchać umieją...

Córce Motruny wiele nie dostawało i z tej nawet odrobiny, którą mają wszyscy; matka jej była tak ponuro milcząca, a wioska dla nich nielitościwie obojętna!

Nie było już znowy, i nikt Motruny nie odpychał gniewem, ale zwano ją pogardliwie cyganią, a jej dziewczeczkę cyganką; i choć się Maryś umiała przymilić, przypytała, ucześcić, podobać; choć jej nie odganiano: dzieci wiejskie z obawą jakąś stroniły od sieroty, uciekały od niej, a często nielitościwie płatały jej figle. O! dzieci bywają okrutne!

Nieraz wybiegła w pole i rada się była zbliżyć do pastuszków, którzy, gdy odłóg był w tej stronie, pod samą chatą rozkładali ogniska, piekli kartofle i swawolili naglądając na bydełko i owce rozpierzchłe po łanie; ale chłopaki i dziewczęta ledwie ją zoczywszy, szepotali: „Doczka czarownicy! cygańskie dziecko”, i rozpierzchali się po jarach. Biedna Maryś przysługiwała im się to przyniesionym ogniem, to trzaskami, to trochę łomu; przyjmowali od niej podarek, ale ani się było z nimi rozgadać, ani poweselić, ani podrużyć.

Marysia najczęściej była samą, samiuteńką, i tak już przywykła powoli dawać sobie radę, że ją ludzie nie nęcili. Patrzyła nieraz dni całe, usiadłszy w progu chaty, na przeciwległe cmentarzysko i wzgórze, na którym zdaje się nic do widzenia nie było, i umiała tam dojrzyć dziwnie zajmujących rzeczy.

Przelatywała jaskółka raz niosąc w dziobku trochę błota, to znowu odrobinę słomy lub piérza; Marysia szła za nią oczyma tam i nazad, pilnie przypatrując się pracowitej ptaszynie, tak, że te swoje sąsiadki znała niemal każdą z osobna i po ruchach i zajęciu rozpoznawała. Wiedziała ona, gdzie której gniazdeczko przylgnęło i z kąd sobie żywność nosiły, a po niespokojnych ich krzątaniach uczyła się poznawać nadchodzące burze. Bawiły ją szczebiotliwe wróble i drobne ptastwo gnieźdzące się na kilku wierzbach cmentarnych, i elegantki sroczki, często o dwa kroki od niej przechadzające się po gościńcu, ale nade wszystko malutkie susły, których jam niezliczona ilość okrywała brzegi pola i naddroże.

Pogodnego dnia, miesięcznej nocy, gdy cicho było dokoła, susły miały zwyczaj na progach podziemnych domostw swoich używać świeżego powietrza, i zasiadać rzędem pewnie na jakąś gawędkę, a Marysia dech w sobie zatrzymywała, by ich nie popłoszyć najmniejszym szelestem: bo trwożliwe zwierzątka zaraz znikwały w swych pieczarach. Zabawne ich ruchy, skoki, głos nawet przerywający ciszę, milemi były osamotnionemu dziecku.

A że gościniec dość był z tej strony nieuczęszczany, pola rozległe, lasy niedalekie: ciekawe dziewczę miało choć rzadziej i mniej pospolitych gości. Po nad chatynką przeciągnęły nieraz kaczki lecąc na nocleg do bliźkiego łągu, zjawiał się zajęczek umywający rosą lub skubiący zieleninkę, posiadały czasem siewki, pokręciło się hałaśliwe stado szpaków, zabłąkała z dębniaku kraska niebiesko-pióra;... a epokę stanowiły dropie na grubych nogach i podróżne żurawie... I było na co patrzeć i podziwiać się czemu.

A czyto wiele potrzeba takim oczętom młodym, co na wylot świat widzą żywym jakimś instynktem, niepojętą siłą serca i przecucia! Nieraz chmura komarów, para żółtych wiosennych motyli, piórko ptasie, które wiatr unosił w powietrzu bujając niem na wszystkie strony, trzymały jej oczy długo, długo, ścigające zjawisko, dopóki tylko mżyło w dali w powietrznych obszarach.

I myślała Maryś o Bożym świecie, o stworzeńkach bożych, o kwiatku co niezasadzone i niepolewany wykwitał u proga, a marzenie jej było jak bajka cudowne, i jak pieśń poetyczne i jak młodość świeżości pełne.

A gdy przyszło w słotę, w burzę i chłód zamknąć się z matką w izdebce, to dziewczeczkę szczebiało potem, że i milczącej Motrunie słowo z ust wyciągnąć musiało, i nieraz wywołało uśmiech, opowiadanie, naukę — lub żale.

Zresztą już Maryś odgadywała cudownie, czego jej matka dopowiedzieć nie mogła. Biedne kobięcisko tak było życiem znękaną, tak cierpiało w sobie, a podnieść się nad boleść swoją nie mogło: że nawet miłość macierzyńska rzadko jej otworzyła usta, a ze zwiędłych warg zwiędłe ulatywały słowa, nie wiele mogąc nauczyć.

Bo gdy dziecię rade było świat Boży, ptasi, kwiecisty, zielony, widzieć wesoło i jasno; z ust matki same słyszała narzekania, żale, a czasem... czasem nawet przekleństwa. Ta sprzeczność widoku wiosennego ziemi i wiosennego bicia jej serca ze słowy macierzyń-

skiem, długo się w główce dziecka pomieścić nie mogła, i pierwsze dumania zrodziły się ze sprzeczności niepojętej dla Marysi, której sobie rozwiązać nie mogła.

Z jęku matki wyczytała pierwszy raz cierpienie, męczeństwo, boleść, których nigdy nie widziała wśród ulubionych stworzeń, zawsze wesołych aż do zgonu i szczebiocących przy skonaniu; i pomyślała biedna, że albo matka jój była wyjątkiem, lub może żalność jój była skutkiem wieku i choroby.

Jój pojęcie życia tak było fałszywe, tak dziecinne, a tak pierwotne, że gdyby była całą myśl swoją wypowiedziała najzakamienialszemu z ludzi, byłby się nad jój weselem ufnęła w dół i przeszłość rozpląkała łzami krwawymi. Jak ofiara uwieńczona kwiatami szła naprzeciw losu, co ją oczekiwał groźny, nie widząc jeszcze ani noża, ani stosu, ani boleści, co na nią zaczajona czekała.

I rosła tak Maryś z nieopatrznie weselem, którym Bóg ozłaca pierwsze chwile młodości, pierwsze brzaski życia; a Motruna co dzień, co godzina, zdawała się latami starzeć i chylić ku przedwczesnej mogile. Nie żyła już, dogorywała tylko.

Nawet ukochane dziecię do żywota przywiązać jój nie mogło; bo sił do niego brakło i z tchem każdym reszty ich ulatywały.

Zimny pot występował na czoło matki, gdy pomyślała, jak swą sierotkę zostawi samą jedną na świecie samiuteńką niebogę; serce jój biło strachem, ale uścisk serdeczny, którym się wiązała ze swoją dzieciną, zamiast ją ożywić, do reszty osłabiał i w dziwną, pożerającą rzucał gorączkę.

Przychodziło to powoli, nieznacznie i rachując na powolność swój choroby, ludziła się Motruna nadzieją, że Marysię wychowa, nim oczy zamknie na wieki; ale myliły ją rachuby. Słabość owładła nią niespostrzeżona, zrazu szła żółwym krokiem, potem postępowała coraz chyżej, coraz szybciej, aż dnia jednego postrzegła się biedna kobieta, że już wiadra ciągnąć nie może, że najlżejsza dREW WIAZKA jest dla niej niepokonanym ciężarem, że samo chodzenie po izbie nuży ją śmiertelnie.

Usiadła na łóżku i zapłakała pocichu. Maryś na wszystko miała oko, ale wycieńczenie matki przypisywała starości tylko, wystawiając sobie Motrunę daleko, daleko starszą niżeli była w istocie; i gdy postrzegła niemoc jój, wzięła się tylko ochoczo do zastąpienia jój w pracy.

— O! nie turbujcieżbo się mateczko, — zawołała podskakując do jój kolan, — wszakci to ja na to rosnę i już cię potrafię wyręczyć. Probowalam dwóch wiader pełnych, i chociaż się trochę zginam pod niemi, ale mi ich podnieść nie trudno; dREW i spory oberemek zarzucam jak piórko na plecy... Odpoczywajcie sobie spokojnie, a mnie tylko znaczek dacie, to zobaczycie jak się sprawię.

Szczebiotanie dziecięcia jeszcze gorętsze łzy wycisnęło z oczu biednej kobiety, która w milczeniu przycisnęła ją do serca.

— Gołąbku mój, gołąbku, — odpowiedziała cichym głosem, — ochoty ci nie brakuje, ale gdzie te siły, któremi się tak chwalisz? Dobrze ci pobawić się z wiadrami, ale dźwigać wodę pod górę, ale przynieść dREW z lasu, a! i tyle, tyle ciężkich robót poopędzać koło domu, nie twoją to siłą, nie twoją!

Maryś pokiwała mądrą główką.

— Posłuchajcieno matuniu kochana! — zaśpiewała dziewczyna swym ptasim głosem, — wyście to mnie nieraz wieczorami dawniej rozprawiali różne piękne rzeczy, a ja dobrze je zapamiętałam... Ot! byle kto mocno chciał, zdaje się, to co zamyśli zrobi.

— Moja Maryś, tak w bajce!

— A cóż to bajka matuniu? — to wczorajsze życie.

— Bajka! at sobie wymyśl ludzki na pociechę tęsknego żywota... Może tak i bywało dawniej, ale dziś już tak nie jest: świat taki smutny, ludzie tacy bez litości!

— To tobie się tak zdaje matuniu; a choćby i źli byli, taki cóż? — dobrego obroni przy nim dobra siła, zła siła nic nie zrobi czystemu...

— Daj Boże! a! daj Boże! — i westchnęła biedaczka, bo więcej wypowiedzieć nie chciała.

Miała na ustach spytać swój Marysi, coby poczęła gdyby jój matki nie stało; ale na to brakło odwagi, zasmucić nie chciała dziecka, obawiała się przestraszyć.

Marysia tymczasem naiwnie się cieszyła, że teraz sama matce będzie służyć i gospodarzyć w domu.

Bóg wie co się tam roilo w tej głowie dziecięcjej: — czysta bajka z wieczornicy! Spać jęj nie dawało marzenie, tak pracowała, tak się krzątała ochoczo, tak umiała chatynkę, tak w niej już ład i dostatek tworzyła cudem, pełna ufności w Boga i ludzi.

— Już wiem! już wiem jak to będzie, — szeptała przewracając się na twardej pościolce; — będą ludzie iść z jarmarku, wyjdę sobie na drogę, i stanę i uśmiechnę się i pokłonię: chybaby serca nie mieli, gdyby mi też który nie podarował choć... jagnięcia, choć kozłatka, choć czarnej kurki czubatej. Rozhoduję, będzie za rok cztery, za dwa lata dużo, dużo — cała trzoda, całe stado... Na wsi przedziwa wiele, ja już umiem prząść i niegrubo, nie radowinę, ale na ośmnastkę, na dwudziestkę. Chybaby Bóg nie łaskaw, żebym na koszulę dla nas nie naprzędła i nie zarobiła to sërka, to jaj trochę, to mąki, to krup, to okrasy... O! to pójdzie... zobaczy matka! A potem przyjdą swaty od najbogatszego we wsi gospodarza, przyniosą matce podarek okrutny, pokłonią się do kolan, pocałują w rączkę... i będzie w cerkwi wesele, będzie dziwować się ludu mnogo; a teść mój matunię umieści jak u Boga za piecem, w ciepłej, nowj, białej chacie; tylko jédz, śpij i używaj!

I tak daleko serdeczném marzeniem leciało dziewczątko, że się już widziało gosposią, matką, siwowłosą staruszką; ogromne pełne zboża zasięki, stajenki pełne bydła, podwórko pastwem bielejące... i — sen w końcu skleił powieki zwilżone łzą niespokojnej radości.

Gdy się zbudziła Marysia, ujrzała nad sobą matkę bladą, wyżółkłą, chudą, jakby przez tę jedną noc dziesięć jęj lat przybyło, z kijem w ręku stojącą nad jęj pościolką. Po narzuconej na plecy świcie, po białym rańtuchu, po starych butach, które na nogi wdziała Motruna; poznała Marysia, że się gdzieś wybiera, i sądząc, że myśli iść po wodę, żywo skoczyła, by ją uprzędzić.

— A dokądżeto? dokąd? matuniu? — spytała przestraszona, — i po co ci wstawac było?

— Leż dziecko, leż, ja na wieś pójść muszę.

— Na wieś? po co? to mnie pošlijcie.

— Nie można, serce, nie można gołabku kochany; pójdę do Sołoduchy, poradę się jęj na niemoc moję.

— Ja ci tu Sołoduchę sprowadzę.

— Nie, nie! ty się pozostań w chacie: mnie taki samj trzeba.

— Aleś ty słaba.

— To nic, dojdę o kiju, dojdę... A tobym się rozleżała na nic... Ot zaraz i powrócę...

Marysia chciała się opierać, ale Motruna milcząc drzwi otworzyła i choć chwytając się za ściany i uszaki, szybko wyszła na podwórko.

Dziewczę wyjrzało tylko za nią z bijącym sercem, zawołało jeszcze raz pocichu, i pozostać musiało.

— Otóż kiedy tak! — pomyślała upinając spódniczkę i narzucając fartuch na głowę, bo dzień był wilgotny, — zwinę się i przyniosę wody, rozpalę ognia, przygrzeję juszkę nim matka powróci... Zobacz, jaka ze mnie gospodyni.

Gdy się tak ochoczo krząta w chatynce, Motruna tymczasem powlokła się do wsi nieboga. A tak to jęj teraz zdało się daleko! Co ujdzie kroków kilkanaście, to stanie i odpoczywa, i wciąga powietrze, jakby go już brakło na świecie; i znów pošpieszy niecierpliwa, a wnet przysiada, bo drżą nogi, bo się w głowie kręci. Idzie tak, idzie do chaty Sołoduchy, bo to stara znachorka i całej wsi lekarka; ale chata daleko, daleko, na drugim końcu sioła, a sioło wielkie, a droga górzysta.

Młodyby przebiegł w minut kilka, co jęj iść było potrzeba godzinę; dobrze jeszcze, że po drodze to płot, to ścianka, to kamień, to drzewo, oprzec się lub przysiąść pozwoliły; a i tak ciężko dźwignąć niemocy ciało, które się ołowiem zdaje. Chata Sołoduchy jakby coraz uciekała, ale wreszcie już ją widać: postrzegła wrota i jakoś lżej na sercu, że choć w drodze nie padnie.

Dwie biedy najprędzej się jakoś zbliżą do siebie. Sołodusze także świat nie był rajem, choć jęj nędza ani w połowie nie doszła do nędzy cyganichy. Naprzód stara miała męza dziada, ślepego prawda, niezdare, pijaka, haraburdę, który jęj często gęsto boki lałał i głowy nadszczerbił; ale też sprytny włóczęga i groszaki przynosił, i nieraz torbę pełną sucharów i wszelakiej ludzkiej jałmużny. Miała chatę pilnując wrót na łan i sposób do życia ze swego znachorstwa. Bóg wie jak jęj przyszła ta mądrość: ot tak, po prostu z wiekiem i zmarszczkami. Ten i ów jęj się poradził, pomogła jednemu i drugiemu, zaczęto ją

brać do słabych niewiast za babkę, a potem już i febrę i łamanie w kościach, i czego nie nauczyła się leczyć! W ostatku cała wieś innej nie miała lekarki.

Niebardzo ją ludzie szanowali, bo Sołoducha językiem nie darowała nikomu; ale aby kto stęknął, szła koza do woza — i ot... tak się żyło z cudzej biedy.

Stary Rataj (byłoto rodzinne nazwisko męża Sołoduchy) nie żebrał ciągle i nie wałęsał się nieustannie po drogach, bo był leniwe dziadziśko, i albo w karczmie zasiadywał, albo do góry brzuchem leżąc lubił; ale byle odpust, prężnik, jarmarki i święto, wdziewał torby i w pochód ruszał.

A tak sobie doskonale dawał rady choć oczy stracił, że i powodyra nie potrzebował, i gdziekolwiek stanął, wiedział co z sobą począć, kędy się obrócić, nie pytając ludzi.

W polu, w lesie, we wsi, wśród najrozmaitszych dróżynek, które latem lada przypadek po polu kreśli, kierował się śmiało, że ludzie z podziwu stawali patrząc, i ramionami ruszali. A choć się czasem zapił, to póki tylko na nogach się trzymał nie zbłądził nigdy; i padłszy spać, miejsce sobie wybierał dobre, a rozbudzony nie pytał gdzie wódkę wytrawił: strząsał się, zamruczał, i dalej w swoją drogę.

Dobrze się z żoną dobrali oboje.

Hulali póki sił stawało, Sołoducha chodziła jakto mówią na Podole, to jest włóczyła się całymi miesiącami nie zaglądając do domu; Rataj próbował różnego chleba: bywał na wozie i pod wozem, nareszcie zeszli się znowuż na starość i siedli razem wrót pilnować, klócić się i gderać. Sołoducha była kobietą słusznego wzrostu, silną jeszcze, krzepką, wyszczekaną i w istocie znachorką wielką. Chorobę jak chorobę, nie wiem czy poznała; ale człowieka na wylot. Dość jej było spojrzeć w oczy lada komu, gotowa była powiedzieć co myślał; a śmierć to tak czytała z wejrzenia, że kiedy pokiwała nad kim głową, już mu się pewnie niewiele należało.

Brali ją też i do wsi sąsiednich nieraz, i nie sami chłopci, ale ekonomowe, popadye, ba! nawet z Rudni szlachta czynszowa siedząca na budkach. W chacie niedostatku nie było przy dwojakiem rzemiośle, i gdyby był statek, mógłby być dostatek; ale oboje na starość wódkę polubili, i Rataj i Sołoducha, a przemyślny żydek i nielepszy od niego szynkarz szlachcic, byle podpoił, karbował nielitościwie.

Bywało tak, że stara zawiąże już kupkę groszaków w węzełek i schowa je na złe dni, a Rataj wetknie gdzieś w kątek przyniesioną jałmużnę, także od biedy ją chowając; ale w dni kilka i on i ona dobędą zapasu i przepiją wesoło. Jednakże nie brakło im chleba i wygody, bo Sołodusze nikt nigdy nie odmówił ze strachu, żeby nie oczarowała, a Rataj tak nudnie żebrał, że z kamieniaby grosz wydusił; a i wrota, choć rzadko, dawały szeląg przecie.

Stary doskonale miał ucho, i byle zaturkotało co na pana, wybiegał otwierać sam kłaniając się do ziemi, a białe swe oczy podnosząc potem do góry, aby ślepotę ukazać; ręką i głosem domagał się datku tak drapieżnie, że nie jeden bez ochoty rozwiązał dlań ściągiony woreczek.

Oboje mimo nałogów swych nie byli wcale złemi ludźmi, i gdy mogli, chętnie dobrze czynili, a nikt nie powiedział, żeby komu w czym zaszkadzili.

Sołoducha siedziała w progu, zapięta fartuchem, brodę trzymając na kolanach, a za nią w sieni leżał dziad na garści słomy; gdy ujrzała idącą ku sobie biedną Motrunę. Spojrzała tylko zdaleka i poczęła kiwać głową.

— Aj! aj! — rzekła — ktoby to powiedział, że ja ją znała dziewczyną, dzieckiem, a matka jej nawet była młodszą odemnie. Ot! dziś stara jak ja, a gorzej słaba odemnie... To tobie cygan! to tobie kochanie!

— O kim to ty mówisz? — odezwał się Rataj.

— A o kimże, — kiedy nie o cyganisze! Włecz się biedota, ani chybi, żeby jej co poradzić; ale komu życia zabraknie, to go żadne nie da ziele: już to ja widzę zdaleka, i dawno wiem, że do zimy nie dożyje nieboga! Tylko się duch w ciele trzyma, a szpary szuka żeby uciec...

— Oj! oj! jaka ty znachorka, babo przekłeta! — zawołał stary ze swego barlogu — żebyś ty tak znała swoją ostatnią godzinę jak ty co wiész. Ot! ludzi czmucisz, a porzuciłabyś mnie durzyć; czyto ja ciebie nie znam!

— Milcz stary! jeszcze ja i tobie ostatni dzień wypowiem.

— A! nie doczekanie twoje, gadzino!

I byliby się skłócili, gdyby Motruna nie nadeszła w tój chwili.

Sołoducho, którąśmy widzieli przed chwilą zęb za zęb ujadającą się z mężem, przybrała na zawołanie fizyonomię swojego stanu: łagodną, zamyśloną, tajemniczą, a choć Motruna była tylko biedną, ubogą sierotą, powitała ją z nadszkakiwaniem.

— Aj! cóż to tobie hołubczku moja! Czy nie słaba ty! — zawołała do zbliżającej się cyganichy.

— Słaba! gorzej niż słaba — odpowiedziała przerywanym głosem Motruna — przyszedł czas umierać!

— Cóż to gadacie; krzyż z wami! Albożto sobie kto sam śmierć przepowie! No! no! cóż ci to jest? powiedzno hołubko, a może co poradzimy.

— Gdzie tam! gdzie tam! — potrząsała głową siadając na kłodzie Motruna, której nogi drżały i świat się w oczach kręcił.

Sołoducho trochę się uczuła dotkniętą tym brakiem ufności w swoją sztukę.

— Jużciż nie po coście do mnie przyszli, tylko po radę? — rzekła uśmiechając się.

— Oj! nie po radę, nie — zawoła spoczawszy trochę kobieta — ale po miłosierdzie... Mnie już taki nie żyć, to darmo!

Dziad i baba pilniej coraz przysłuchiwać się poczęli, a przybyła tak głosem przerywanym mówiła:

— Jużto ja nie dziś czuję, że umrzeć potrzeba niedożywszy siwego włosa... A! i nie żalby mi było świata, gdyby nie dziecina sierota!... Ot tak Sołoducho, matko kochana, życie uciekało, uciekało i uciekło; darmo ziele warzyć i zażegnawać, Pan Bóg wie co robi: przekleństwo ojca wisi nademną. Spokojniebym umierała, spokojnie, gdyby nie dziecina; ale we wsi nie ma cyganicha brata, nie będzie mieć cygańskie dziecko opiekuna. Marysia moja zwala się i przypadnie. Takiej męki jak moja, wy nie rozumiecie, Sołoducho. Żyła bym żyła, żyła i męczyła się, żeby dziecię wychować, a to Bóg nie pozwala za grzechy moje. A! co się stanie z Marysią moją!

— Albo to Pana Boga nie ma? — odparła Sołoducho — albo to na świecie wilcy nie ludzie?

— Oj! jest Pan Bóg, jest, ale srogo za grzech karze; a ludzie...

— At! ludzie — mruknął dziad z barłogu — diabliby ich brali: niewiele lepsi od wilków!

Nikt nie uważał na ten wykrzyk starego Rataja, a Motruna wciąż jak z gorączki prawila swoje.

— Oj! dziecina, dziecina! co się stanie z moją Marysią! Tu śmierć przychodzi, a dziecko mnie za serce trzyma!

— Durzyciebo się darmo — odparła siadając przy niej bliżej Sołoducho — czyżto aby kogo głowa zabolala, zaraz i umierać? Ot, będziecie jeszcze zdrowi, powiedźcie, co wam jest?

— Co jest? — śmiejąc się boleśnie mruknęła wdowa — to co jest, to już koniec; pytajcie chyba co było... Marłam, schłam, słabłam, codzień stygło ciało, codzień się zasuwaly oczy, a ot, dziś, jutro koniec będzie.

— Porzućcie wy sobie prorokować.

— Darmo Sołoducho matko, ja bo czuję co mi jest; trzeba umrzeć, nie mnie już radźcie, a dziecinie.

Stara poczęła głowę kręcić w milczeniu.

— Co tu poradzić — szepnęła — toć macie krewniaków?

— Swoi! swoi to zawsze najgorsi — odparła Motruna, nie ma co ich wspominać; radźcie inaczej... Broń Boże na mnie końca, ta biedota sama się jak palec zostanie w chałtynie i nie będzie jej komu podać chleba kawałka; zginie marnie!

— Wezmą do dworu!

— O! to ostatni pohybel! — krzyknęła Motruna rzucając ręką — nie chcę, nie chcę! napatrzyłam się ja sierot, wychowanych we dworze... Marysia będzie ładna... twarz ją zgubi: wolałabym żeby z głodu zginęła a poczciwie. Ot, wiecie co Sołoducho... wy ubodzy jak ja, swoich dzieci nie macie, bądźcie wy matką Marysi.

Na te słowa wyrzeczone z wysiłkiem, na które rozpacz tylko zdobyć się mogła, Sołoducho porwała się z siedzenia, a dziad z posłania swego, i oboje krzyknęli coś niezrozumiałym głosem z podziwienia. Chwila milczenia złowróżbego nastąpiła po ich wykrzyku,

który nietyło oznaczał wstręt i niechęci, co jakiegoś przestachu i zdumienia. Dziad i baba spojrzeli po sobie ukradkiem, a białe oczy Rataja choć ślepe, w stronę żony się zwróciły.

Motruna uchwyciła trochę powietrza i niedając im odpowiedzi, ciągnęła dalej:

— Ona was nie obję przecie, a za troje zrobi; takiego dziecka drugiego nie ma tu na wsi; na nią i chatę zostawić można i posłać i powierzyć, bo wszystko zrozumieć, a cicha, a pokorna! Mielibyście sługę za kawałek chleba, i dziecko gdyby własne.

Starzy milczeli jeszcze.

— Kiedyby widzicie — odparła Sołoducha namyślając się jeszcze — ot, co to gadać zawczasu; nie dumajcie darmo o śmierci, nie wywołujcie wilka z lasu.

— On już wyszedł i przeciwko mnie stoi, — odpowiedziała wdowa pocichu.

— Choremu zawsze śmierć na myśli.

— A weźmiecież wy moją Marysię?

Dziad stanął we drzwiach i począł przysłuchiwać się trzęsąc głową.

— Kiedyby widzicie — rzekła Sołoducha kręcąc w ręku róg fartucha — to się dobrze potrzeba namyślić, żeby znów na próżną miskę nie zaprosić. Wy wiecie, jakie życie nasze: jałmużna i miłosierdzie boskie; ledwie mamy chleba kąsek... Nie pożałowalibyśmy go, ale jój u nas dobrze nie będzie.

— A gdzież jój będzie lepiej? Bogaty gospodarz gdyby i wziął, to będzie sierotą pomiać. Wy swoich dzieci nie macie, samiście ubodzy, rychlej się zlitujecie nad biédactwem, oczu jój przynajmniej chlebem nie będziecie wykałać.

Znowu starzy milczeli, aż Rataj się nareszcie wywlókł o kiju z chaty i stanął przed Motruną.

— Słuchajno, sąsiadko — rzekł raźnie do cyganichy — co tu długo gadać... My Marysię weźmiemy, a jakby Sołoducha nie chciała, no! to jój kijem boki wyłatam.

Stara rozśmiała się na całe gardło i poskoczyła do męża; nie rada była małżeńskich klótni rozpościerać przed ludźmi.

— A! mój ty stary, — poczęła słodko — ciebiebo zawsze żarty się trzymają. No! no! schowaj kija na psy, jakoś my się zgodzimy!

Rataj pomruczał coś i zamilkł; Motrunie lzy z oczu pociekły.

— Wy ją weźmiecie, wy się nią zaopiekujecie, bo jak nie wy, to już nikt; tylko nędza zna co to cierpieć, i ulituje się nad sierotą... Sołoducho, matuniu, bądź jój matką! ja za was i w grobie modlić się będę!

— Nie turbujcież się już o dziecko — przerwała baba — kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył.. Jeszcze wy ją sami wychodujecie.

Cyganicha głową potrząsała.

— Dziś, jutro — rzekła zcicha — to i koniec będzie. O mizerne ciało nie kłopotę się, muszą mnie pochować, a kiedy teraz i dla dzieciny Bóg dał rodziców, to już choć umrę spokojnie.

I chwyciła za kij chcąc wstać, bo coraz słabszą się czując, rada była do chaty powrócić; ale ledwie wzbiwszy się na nogi, znowu opadła na kłodę.

— Gdzie wam iść do chaty, takiej zmęczonój — poczęła Sołoducha — trzeba odpocząć...

— Nie ma czasu! nie ma czasu! — z dziwnym obłąkaniem zawołała Motruna — dojdę taki jeszcze choć do proga.

Sołoducha plasnęła w ręce.

— Nie zrywałabyś się lepiej — rzekła — a kiedy wam już tak pilno, ot jedzie Mosiej parobek popadyń, to go poprosimy, i podwiezie was pod cmentarz.

— Gdyby on to chciał zrobić! — zawołała z westchnieniem Motruna.

— Ej! poczekajcie, jam go wykurowała przeszłej niedzieli z takiego czyraka pod pachą, że waryował, a nawet mi nie miał za co kieliszka wódki kupić; dam ja sobie z nim radę. — To mówiąc, kiwnęła tylko Sołoducha na parobka, pewna swego.

— Słuchajno! — rzekła do niego — coby ty zrobił, żebyś znowu dostał czyraka w pachwinie?

— A niech mnie Pan Bóg broni — krzyknął Mosiej — dobrze żem tamtego przeżył!

— No! to nie chcecie drugiego?

— Co tobie kobieto?

— Bo ja to tak tylko się pytam... Wy wiecie, że kto mnie nie posłucha...
— No! no! a czegoż wy chcecie odemnie! zapytał chłopak niespokojny skrobiąc się po głowie.

— Podwieźcie chorą cyganichę do chaty pod cmentarzem — szepnęła mu na ucho, — jój się już nie wiele należy, do domu się już sama nie dowlecze.

— A, podwiezę, podwiezę, jeszcze na wóz wsadzę i z woza wysadzę — rozśmiał się Mosiej, rad że się na małym skończyło — tylko niech się dobrze okryje, żeby jój ludzie nie poznali, boby mnie palcami w karczmie wytykali, żem się z nią pobratał.

Coś tam więcej mówił jeszcze, ale go już nie słuchali, a Sołoducha pośpieszyła dopomódz biędnej Motrunie na wóz, który się z okrytą kobieciną potoczył powoli aż na drugi wsi koniec.

Choroba cyganichy, może skutkiem przestרחu o los dziecka, czy też wielkiego nad siły znużenia, w drodze już do chaty wzrastać zaczęła, tak, że gdy Mosiej z woza ją u drzwi chaty zsadził, ledwie się potrafiła zawlec do łóżka.

W chatce było pusto, bo Marysia zbierała w kruhlaku suche gałęzie (holce), aby niemi ogień podsyć, a Motruna miała czas odetchnąć, nim nadbiegło dziecię wlokąc za sobą całe brzemie suszu.

Nie wiem z kąd nabrała znów sił wdowa, by się wziąć do pracy, ale z zaiskrzonem okiem poszła pocałowawszy dziecko w czoło do pustej bodni, w której trochę tylko bielizny i parę sukman leżało na dnie. Z tąd wybrała sobie koszulinę, fartuch stary, i umywszy się zaczęła odziewać pośpiesznie, nic nie mówiąc Marysi.

— Czy to gdzie jeszcze iść myślicie, matuniu? — spytała zdziwiona sierota.

— Ot tak... może, może... trzeba będzie — odpowiedziała jākając się matka — nie wiem, mam sprawę u pana.

— Aleście się i tak już dziś zmęczyli.

— Ej! nietyle! Mosiej mnie tu przywiózł ze wsi.

— Tobycie może poszli tam jutro...

— Kiedyby to sprawa pilna, a z panem nie żartować — rzekła wdowa, której się lzy w oczach kręciły i łkanie połykała ze słowy. — Nie bój się Marysiu moja; jak nie zdołam, to nie pójdę.

— Połóżcie się lepiej — zaczęła świergotać dziecina, — ja zaraz ognia lepszego rozpale i krupniku wam wczorajszego odgrzeję... Wamby się i posilić potrzeba.

To mówiąc pobiegła odgrzebać węgle starannie popiołem przykryte, a cyganicha jakotako się odziaszły i zawiąwszy głowę rańtuchem, powoli przeszła z alkierza, i położyła się na łóżku.

Marysia uradowała się widząc, że matka jój posłuchała, i żwawiej jeszcze jęła się swojej roboty. Wyciągnęła garnek z pieca, zdjęła pokrywę, i ledwie płomyk zabłysnął, przystawiła trochę dla matki schowanego krupniku; sama jak myszka zajała ukradkiem suchy chleba kawałek, bo okrutnie czuła się głodną.

Motruna tymczasem milczała, i zmrzywszy oczy, zdawała się powoli usypiać; z czego rada Marysia, na palcach, cicho związała się po chatce. Już i krupnik począł parować, i miska i łyżka były gotowe, a Motruna głębokim snem zdawała się uspioną. Dziewczę chrząknęło kilka razy, zakaszłało, myśląc że matkę przebudzi; ale ta tak była znużoną i potrzebującą spoczynku, że się ani ruszyła.

— Co jój mój krupnik — pomyślała Marysia, zlewając go znowu do garnka i przystawiając do ognia, — sen ją lepiej posili... a jadło nie uciecze.

Siadła więc na ławie, przyrzuciła gałązek, odsunęła garnek trochę i z oczyma wlepionymi w matkę, dech wstrzymując, by jój nie przebudzić, przysiadła.

Motruna spała na pozór spokojnie, że ani jój piersi oddech żywszy nie poruszył, ani drgnieniem żadnem nie objawiło się cierpienie; twarz jój stawała się coraz bledszą, oczy na wpół tylko przymknięte nie zdawały się już patrzeć na córkę, ku której ciągle się wprzód zwracały, a usta dziwnie rozwarłe, pozostały nieruchome...

W tym śnie spoczynku, Bóg zesłał jój odpoczynek wiekuisty — śmierć pożądaną po życiu boleści. Ale dziecię wdowy, które nigdy nie widziało umarłego, nie rozumiało śmierci i radowało się biedne, pozornem matki uspokojeniem.

Spoglądała na łóżko kiedyniekiedy, i bała się ruszyć, by nie przerwać snu błogiego.

— To dobrze — mówiła w duchu Marysia — choroba jój snem przejdzie, posili się snem matunia, i wstanie mi zdrowa, zdrowiuteńka, wesola! Taki sen! taki sen! nie pamiętam żebym ją kiedy widziała śpiącą tak głęboko: bywało żebym się ruszyła, to się zaraz obudzi... Wyrażnie lichy tym snem przechodzi: ona go tak potrzebowała.

I cieszyło się i marzyło dziewczęcę czekając przebudzenia, a twarz Motruny, z bladój stawała się coraz bielszą, żółciejszą, siną nareszcie, i dziwna, straszna barwa śmierci rozlała się po niój powolnie. Marysia patrzyła na nią, i nie pojmowała nieszczęścia swego.

Przyszło południe — nie obudziła się matka; zdrzémnęła się Marysia pilnując krupniku i ognia, przebudziła, usnęła znowu i w tój jednostajnej ciszy ani postrzegła, jak zachodzące słońko zajrzało w okno pomarańczowym swym blaskiem, którego promień wprost padł na lice umarlój.

Zdziwiło się dziecko widząc słońce tak nisko, dzień tak szybko na drzémce i czekaniu spędzony, a matkę uśpioną jeszcze i ciągle uśpioną.

Ale niezwyčajność snu tego, nieruchomość Motruny, coraz większą, upartszą nadzieją napawały serce biednego dziecka, nie domyślającego się nieszczęścia swojego; była pewna, że po tym śnie matka się jój zdrową przebudzi.

Już i mrok padać zaczął, a ona wciąż po gałązce dokładając do ognia, siedziała z okiem w łoże wlepioném. Nadeszła noc, nic się niezmieniło w chacie.

— Śpi matka! śpi dobrze! — mówiła Marysia — nie trzeba snu jój przerywać; wątpię, żeby już w nocy jeść chciała.

I odstawiła garnek z krupnikiem, a zaświeciwszy kaganek w glinianej miseczce, żeby mieć ogień pod ręką, sama cichutko spać się układła, nie rozbierając się nawet, żeby zbyt mocno nie usnąć.

Oczekiwanie, niepokój, przymuszona nieruchomość, tak ją znużyły, że ledwie głowę do pościółki przyłożyła, schwycił ją sen twardy, sen młodości; i dzień zaświtał przez szybki zakopcone, gdy znów otworzyła oczy, żegnając się zdziwiona, jak noc długą jednym tchem przespać mogła.

Pierwsze jój wejrzenie było na matkę, którą przy blasku dogorywającego kaganka i rannego świtu ujrzała w tём położeniu, co wczoraj: nieruchomą, a dziwnie białą i bladą. Bładość ta pierwój stopniami przychodząca, nie tyle ją uderzała; teraz świeżemu oku zdawała się przerażającą.

Zbliżyła się powoli na palcach do łożka, poczęła przysłuchiwać, przyglądać; ale ani tchu, ani drgnienia do badać nie mogła.

— Ależto sen się jój uda! — rzekła w sobie — dziwny sen jakiś, kamienny! Ani się obróciła, ani tchnie, ani ruszy.

I dotknęła zlekka, ostrożnie ręki umarlój, a uczuwszy ją chłodną i jakby kamienną, zadumała się głęboko. Ale myśl śmierci nie przeleciała jój przez głowę; miała to jeszcze za dziwną chorobę, za dziwny sen słabości. A że u prostego ludu często w istocie snem boleść najcięższa przechodzi; że o niejednym takim słyszała wypadku: uspokoiła się po chwili dziewczyna, dziwując się tylko osobliwszej słabości, która się tak dziwnie, według mniemania jój, kończyła.

Znowu dzień przeszedł jak wczoraj. Marysia rozpałiła ogień, zgotowała świeżego krupniku z ostatkiem omasty, a wczorajszym zakwaśniałym już, trochę się z chleba kawałkiem posiliła, i ośmieliła wyjść na próg, ażeby świeżém odetchnąć powietrzem.

Ale niepokój wkrótce ją nazad pociągnął ku chatce; ledwie czas miała okiem rzucić na wiosenny świat Boży, po kilkodniowej plusze występujący w blasku słonecznym i srebrzystych szronach zapowiadających pogodę.

Błoto było przykrzepłe, gałązki drzew całe w brylantach, trawy, słomki, listki poschłe aż do źdźbła najmniejszego: wszystko w błyszczącym jednakim stroju. Cmentarzyk ze swemi wierzbnami i wysokimi trawami zwiędłymi, połyskiwał od błyszczących lodu igielek, które aż uśmiech wesela wywoływały na usta Marysi.

— Jakże to ładnie! jakże wesolo! — zawołała — ale jak pusto... Ani ptaszyny, ani wrony, ani sroczki, i wróble nawet moje gdzieś powędrowały pod cieplejszą strzechę.

W istocie na drodze okrytej grudą świeżą do koła jak zajrzeć, żadnego żywego nie było widać stworzenia, a cisza grobowa! Marysia chwilę popatrzała z progu i zawróciła się do chaty. Matka spała nieporuszona, nieprzebudzona, snem ciągle jednym, niepojętym.

Nadeszło południe, a dziewczę instynktowy jakiś począł przejmować niepokój: podchodziła ku łóżku, przysłuchiwała się, wracała, chodziła głośno, pokaszliwała, chcąc przebudzić matkę, stukwała czerpakiem i garnkami, ale nic nie pomogło.

Już się i wieczór zbliżał, a Motruna nie wstawała, nie dawała życia znaku, i noc zapadła znowu, a Marysia zdrzémnęła się nie chcąc się kłaść spać na przypiecku.

Noc miała niespokojną, bo jęć się ciągle zdawało, że już matka przebudzić się powinna, że się przebudza; zrywała się, biegła i siadała, znowu mimowolnie snem znużona padając. Brzask dnia drugiego całkiem ją wreszcie przebudził; uderzyła ją bladość Motruny, poczęła dumać co począć, przejęta strachem.

— Możeby ją trzeba przebudzić! Dwa dni, dwie nocy, to już zadługo!

Ta myśl pognała dziewczę ku matce; ujęła ją za rękę zlodowaciałą i przestraszyła się czując ją zdrętwnioną, jakby drewnianą, a ciężką i bezwładną; poczęła zlekka poruszać, mówić, trącać... ale i to nie pomogło.

— Potrzeba iść do Sołoduchy — zawołała sama do siebie — to nic nie pomoże, ona znachorka, będzie wiedziała jak na taki twardy sen poradzić; matka się zawsze udawała do niej. Postawię krupnik na zydeltu na przypadek gdyby się obudziła, polecę i duchem powrócę.

To rzekłszy Marysia zarzuciła na głowę sukmankę podartą, i przymknąwszy drzwi chaty, biegiem popędziła na drugi koniec wsi do Sołoduchy.

Rataja dnia tego w domu nie było, bo nazajutrz przypadał jarmark w miasteczku, a dziad dla zabrania lepszego miejsca pod cerkiewką, wcześniej się nań wybrał. Sołoducha sama kręciła się po chacie, warząc coś u komina, gdy Marysia wbiegła zadyszana.

Starucha ciekawie obróciła się ku niej.

— Co tam hołubko? — spytała.

— Oj! matuniu! sąsiadko! — zawołała Marysia żywo — coś mi moja chora.

Sołoducha tylko głową pokiwała.

— A co to jęć jest?

— Jakoś na nią dziwny sen przypadł, matuniu, jak poczęła spać już trzeci dzień temu powróciwszy od was, ani się ruszy już dwie doby, a tak czegoś zastygła, a tak strasznie pobladła, i tchu — nic!

Stara Sołoducha plasnęła w ręce, z których jęć łyżka wypadła.

— Aj! oj! co ty mi gadasz?

Marysia przestraszona wyrazem twarzy Sołoduchy, wlepiła w nią wielkie oczy, w których się już łza kręciła.

— Śpi, śpi, — rzekła ciszej — próbowałam obudzić ani sposobu: a taka zimna.

— Krzyż z tobą! — zawołała stara — a toć ona pewnie umarła!

Ten straszny wyraz, którego dobrze nie rozumiała Marysia, jak piorun daleki obił się o jęć uszy; zastanowiła się nad nim chwilę milcząca, ale wnet zaprzeczyła.

— Ale ona śpi tylko! śpi tak mocno! — odparła. — Wy znacie lekarstwa, wy ją możecie obudzić.

Zona Rataja spuściła głowę, zmarszczyła brwi i milcząca nic nie odpowiedziawszy, poszła do kąta wdziewać kożuch na siebie.

— Pójdziemy, — zawołała przygaszając ogień trochą wody i zagrzebując głowienki popiołem, — pójdziemy zobaczyć, moje dziecko!

Chatę na drewniany klucz zamknięto i stara ruszyła zadumana z dziewczęciem, które do jęć powolnego chodu ledwie się zastosować mogło, tak pilno mu było do matki.

Droga śmiertelnie nudną i długą wydała się Marysi, której nawet widok ulubionego ptastwa i gwaru wsi rozerwać nie mógł. Z okiem wlepioném w ziemię szła za staruszką powoli i co krok wzdychała.

Pod górę, ku chatce, Sołoducha choć o kiju, niełatwo się wdrapała; kilka razy musiała odpoczywać, a doszedłszy do progu, siadła wydychać znużenie, nim weszła do lepianki. Marysia ją uprzedziła, spojrzała na łóżko: jakaś czarność plamami wystąpiła na zmęczone oblicze matki... a twarz jęć była tak okropnie zmienioną, że myśl śmierci ujęła serce sieroty szponami strachu i przeczucia.

A wtém i Sołoducha weszła na próg, popatrzała i ręką zamachnęła szeroko.

— Zbliżcieno się, zbliżcie!

— A po co? — zawołała lekarka — ona umarła! ona dawno umarła!
Marysia jak stała, tak załamawszy ręce, szlochając padła na ziemię.

Stara znachorka niedługo zabawiwszy w chacie, powlokła się, napróżno próbując odciągnąć Marysię ku dworowi. Potrzeba było dać znać do pana, do księdza, żeby ktoś przecie litościwy o domowince (tak lud zowie trumnę), o grobie, modlitwie i ubogim pogrzebie pomyślał.

Po drodze kogo spostrzegła Sołoducha stawała każdemu opowiadać, jak Motruna od trzech dni już umarła, a sierota śmierć za sen tylko wzięła, utyskując, że teraz nie wiedzieć kto zmarłą pogrzebie.

Więść lotem strzały rozbiegła się po wiosce, a ciekawsi poczęli powoli ściągać się już do chaty cygana i obiegli drzwi izby, w której Marysia jęczała klęcząc na podłodze.

Tymczasem we dworze niepokój się stał wielki, bo się obawiano, żeby ksiądz nieodmówił pogrzebu, i żeby urzędu nie było potrzeby sprowadzać dla dochodzenia przyczyny śmierci. Ale Sołoducha zarządzając temu, poszła i na plebanię do dobrodzieja i dobrodziejki, opowiadając jak się to jęj chora radziła, jak oddawna niedomagala, i rozczuliła ich historią sierotki, która snem śmierć sądząc pilnowała trzy dni umarłej. Nikt potem nie myślał wstrzymywać cyganichy pogrzebu.

Nie było tylko komu dać desek na trumnę, dołu na cmentarzu wykopać, i zająć się ostatnią posługą.

Szukano krewnych po siele, wmawiając im obowiązek; ale ci głusi nań byli i jeden na drugiego ciężar zrzucił; dwór także nic na siebie brać nie chciał, a tak zwlokło się to do wieczora.

Dopiero ksiądz sam poszedłszy do dworu, przyspieszył obrzęd pogrzebowy i o mroku już wydano tarcice, a trumnę począł cieśla za pańszczyznę.

Niewiele też tam koło niej było roboty.

Kilka babek pobożnych przyniosły świeczki, ktoś z bractwa dobył cerkiewnego krzyża i postawił go przy umarłej, a choć nie było komu sprawić wieczerzy i wódką przyjmować, znalazły się dwie pobożne niewiasty, co ciała przez noc pilnowały.

Chciano od niego odciągnąć Marysię, ale dziewczę wypłakawszy co łez miało, jakby odwagą jakąś natchnione, wprowadzić się nie dało.

Gdy nad rankiem białą przyniesiono domowinkę, z sosnowych desek skleconą, gdy przyszło w trumience złożyć zwłoki: Marysia sama pomagała kobietom, sama pod głowę podesłała poduszczykę, otuliła nogi matce, złożyła ręce, i ostatnia ucałowała ją, gdy wieko na wieki zabijając miano!

Prawdziwy to był pogrzeb ubogiego, w którym nie zachowano obrzędów i zwyczajów starodawnych: każdy nim zajmując się z łaski, co prędkiej ciężaru pozbywał.

Grób ktoś wykopał przez miłosierdzie i wążko i płytko, byle ziemią trumnę przyrzucić; krzyżyk zbito z dwóch kijów ledwie z kory odrapanych, a o świcie przyszedł diak tylko, kilku ludzi z bractwa, jeden krzyż i jedna czarna żałobna chorągiew. Pochód też z chaty na cmentarz nie był długi: przez drogę ino na mogiłki, u których wrót pod starą wierzbą czekała wykopana jama.

Marysia wyszła za ciałem z Sołoduchą, z babkami, krokiem śmiałym i poprowadziła matkę do domu spoczynku. Pierwsza choć z jękiem, rzuciła garść wilgotnej ziemi na trumnę, która wkrótce pokryła się ubitą łopatami, ledwie nad poziomem cokolwiek wzniesioną mogiłą. A że stypy nie było w ubogiej lepiance i nikt z litości nawet nie kupił strawy i wódki; co się zeszło na pogrzeb, rozbiegło się zaraz po nim.

Marysia usiadła na mogile i poczęła płakać, płakać, aż zawodziła z żalu biedaczka.

O kilka kroków stała zamyślona Sołoducha, przebierając w ręku węzeł od chusty, zadumana głęboko, jakby się wahała co ma począć.

— Prosiła mnie nieboszczka, żebym ja ją wzięła — mówiła w duchu — ale co to sobie na karku sierotę uwiązać; nietyłe robi co zjé, nietyłe pociechy co kłopotu. A znowu szkoda żeby to się tak miało zwałać a kto zechce wziąć, jeśli dwór nie weźmie, choć i we dworze nie raj! Namby to tak bardzo nie zaciężyło, wyręczałabym się czasem: byłoby kogo choć po wodę posłać. Nieraz jak stary polezie w świat, choć do ściany gadaj!! Co tu robić?

I tak źle i tak nie dobrze... E! wezmę, dalibóg wezmę! Niezle być musi dziecko, bo biedy zaznała, a do pracy przywykła.

I posunęła się Sołoducha, podeszła i znowu zatrzymała się namyślając, niepewna co pocznie.

— Słuchajno Marysiu — zawołała nareszcie, — a dość już żale zawodzić: wstawaj, i chodź ze mną.

Ale dziecię nie posłyszało zrazu; i stara musiała je ująć za rękę, a siłą prawie wywieść do cmentarzowej furtki. Marysia nie opierała się wcale, szła jakoś bezwładna, spłakana, posłuszna choć niechętna, trzymając ciągle fartuszek przy oczach, i gwałtownie szlochając chwilami.

— No! dałabyś już pokój, — mówiła znachorka — lzy nic nie pomogą, wszyscyśmy się na to urodzili, żeby umrzeć, to darmo! Już jęć płaczem nie wywołasz z pod surowej ziemi i żółtej mogiły i pomyślmy o sobie.

Marysia nic nie odpowiadając sparła się tylko o słup u bramki, i znowu zaszła z płaczem.

— Bóg z tobą, — ciągnęła dalej Sołoducha — chodź, chodź; nie ma tu czego dłużej dosiadywać; przeżegnaj się, pomódl i pójdziemy do chaty.

To rzekłszy, a widząc, że słowa pomagają mało, ujęła ją za rękę, wywiodła na drogę, i stanąwszy naprzeciw chatki cygana, zatrzymała się.

— A może tam masz co do zabrania? — zapytała.

— Jakto? dokąd? — odparła niewyraźnie podnosząc na nią zdziwione oczy dziewczyna.

— A juściż pójdiesz do mnie?

— Po co?

— A jakże tu zostaniesz sama?

— Jak? a toż nasza chata, po cóż mi szukać cudzej?

Sołoducha osłupiała, zamormotała coś pod nosem do siebie, ruszyła ramionami i przeżegnała się powoli.

— Alboż to ty myślisz tu zostać?

— A juściż? a gdzie mam być? spokojnie odezwała się Marysia.

— Krzyż Pański z tobą! A cóż będzie! sama jedna! sama jedna!

— Kiedy nikogo nie mam, to i sama: cóż robić?

— A jakże ty sobie dasz radę?

— A jak my sobie z matką słabą rady dawały? Bięda była, a z głoduśmy nie pomarli, bięda będzie... Taka już dola... a swoja chata takito swoja.

Sołoducha uszom swym wierzyć nie chciała.

— Toć przyjdzie noc — rzekła, — a ty samiusienka jedna, to ci strach będzie.

— Strach? czego? — zapytała Marysia.

— A cmentarz! — rzekła baba po cichu.

— Ja od dziecka bawiłam się na cmentarzu i dniem i nocą... — westchnęła Marysia — czy to mnie nowina.

— A matki mogiła! Bóg z tobą!

— A czyżbym ja się matki bać mogła! — zawołało dziewczę z płaczem.

Stara słuchała i nie mogła pojąć Marysi, która ocierała oczy i odpowiadała jęć tak śmiało, tak dziwnie spokojnie, jakby położenie jęć, sieroctwo, przyszłość, nic w sobie ani zastraszającego, ani nadzwyczajnego nie miały. I znowu zaczęła potrząsać głową, mrucząc pod nosem, a z pod brwi siwej ciekawe rzuciła na sierotę wejrzenie.

— To ty myślisz tu zostać? — zawołała po chwili — sama jedna, ot tak jak palec! No!...

— Wszak inaczej być nie może! — szepnęła Marysia — ta chatynka, to ojcowizna moja, to mój domek, a jakbym ja go porzuciła, alboby się to rozsypało, alboby dwór kogo innego osadził.

— A ktoby tu chciał siedzieć! przerwała Sołoducha — za żaden grosz! Chodźżeno do chaty, chodź; pogadamy, pomiarkujesz się, bo ty sama nie wiesz co gadasz.

Znów stara ująć musiała dziewczę za rękę, i nie opierającą się, ale bezwładną wprowadzić do pustki.

Nigdy ta jama nie była wesołą, nigdy się w niej nic nie uśmiechało do człowieka; ale teraz straszliwie była smutną: pełno śmierci wszędzie. Pogrzeb, który tylko co z niej

wyszedł, pozostawił po sobie ślady. Leżała kupka trzasek i wiórów od trumny przyciosywanej w izdebce, dwa polana na których *domowinkę* stawiano; na ławie chleba bochenek, przyniesiony przez litościwą niewiastę jakąś do przykrycia trumny, a zostawiony bo niepotrzebny, i ręcznik gruby, którego także nie użyto, a którym chleb ten miał być obwinięty. Łóżko nie zgarnięte jeszcze, nosiło ślady ciała, które na niem zbyt długo, czekając pogrzebu leżało; po kątach wszystko w największym nieładzie i rozsypce. Na kominie i w piecu ogień był wygasł zupełnie, a chłód wiał przykry po domku.

Sołoducha posadziła na przypiecku dziewczynę, która na widok izby tyle jęj przypominającej, rozplakała się znowu; a sama poczęła się przechadzać zamyślona.

A że była do roboty i porządkowania przywykła prawie machinalnie, bo i w domu na nię gospodarstwo leżało, i u ludzi gdzie do chorego poszła, często się ładem zajmować musiała; nie wytrzymała, żeby trochę nie pozgarnywać tu i owdzie i nie poustawiać.

Tam przewrócone do góry dnem i pod ławą leżące podniosła wiadro, tu znów do była ognia i podnieciła go trzaskami, aż wreszcie dopadłszy miotły w kątku wyszarzanęj i zeszlęj, sprobowała jęj, ruszyła ramionami, i zaczęła wymiatać śmiecie, gromadząc do progu. Marysia wciąż siedziała z oczyma wlepionymi w łóżko, na którym spoczywała matka, a lzy jęj przerwane na chwilę, dziurkiem znów biedz poczynaly.

— Taż to czyste pustkowie! — obejrzawszy znów wszystkie kąty, poczęła Sołoducha — nie ma nigdzie a nigdzie nic: gałganów trochę, zapasu żadnego... jak wymiótł... gdyby po wojnie. A co ty tu poradzisz taka młoda i niesilna? Żeby mnie tu kto staręj kazał i zapłacił za mieszkanie; żebym sobie wszystko z palca wyłamała... choć doświadczeńsza od ciebie i taki umięjąc coś zarobić; a jednak urwawszy się uciekłabym! Ty tu zginiesz!

— Zginać! to zginę, a taki ztąd nie pójde — ocierając oczy zawołała dziewczynka stanowczo — to moja ojcowizna, to moja chatynka: ja jęj nieporzucę. Myśmy tu z matką żyły, biedowały; jam tu wyrosła, na nogi stanęła, świat zobaczyła... ona tu umarła. A! nie! nie! to święty kąt dla mnie, ja nie porzucę, nie porzucę chatynki mojęj.

Sołoducha, która zrazu nie miała wielkięj ochoty brać sobie na kark dziewczęcica, jakoś poczęła się rozmyślać, a może i natura lubiąca trochę na przekór drugim czynić, naprowadziła ją na uparte naleganie. Im bardzięj Marysia chciała zostać, tém baba mocnięj zaczynała namawiać ją do siebie.

— Co tu długo mówić — rzekła wreszcie stając przed sierotą — matka twoja jak poczuła się źle, a życia jęj już nie stało, sama się przecie do nas przywlokła, a z czém? wiesz ty z czém? — zaklinała mnie i mojego starego, prosiła żebyśmy cię przytulili... Umierającemu nie odmówić. Rataj i ja, choć samym nam ciężko, chleba ci nie pożałujemy; służba u nas nie straszna. W chacie taki i ciepły kąt i strawa się znajdzie, a tu ty z głodu umrzesz!

Marysia słuchając staręj, powoli oczy otarła, wstała i rzucając okiem po izdebce, poczęła przerywanym głosem, który co chwila więćj mocy nabierał:

— Posłuchajcieno matko, dobre serce macie, Bóg wam zapłać, i tobie i staremu Ratajowi; ale z tego nic nie będzie! Chcecie się opiekować sierotą, ot, czasem na mnie najrzyjcie, dowiećcie się, rzucicie chleba kawałek jakby go bardzo zabrakło; ale ja taki tu zostanę! ja tu zostanę! Ojciec tę chatę budował, matunia w nięj żyli i zmarli; a ja... ja ją tak kocham, że mnieby serce pękło, gdybym otwierając oczy z rana nie zobaczyła ścian jęj popękanych, żebym wyszedłszy na próg, nie postrzegła wierzb cmentarza.

— Ale na krzyż Pański — zawołała stara — ano podumaj, ano pomiarkuj, jakże to sobie dasz rady?

— A jak my z matką dawały?

— To was dwie było do pracy.

— I dwie tęż było do życia; a mnie jednęj czy to tak wiele potrzeba?

— A gdzież ty słyszała, gdzie to widziana rzecz — zakrzyknęła Sołoducha — żeby dziewczyna, i nie dziewczyna, bo taki dziecko, sama jedna sobie żyła i gospodarowała? Taż to nie może być, to nie może być! Jak gospodarz zostanie jedynakiem, to sobie kogoś szuka i znajdzie, a nie dopiéro tak jak ty wyrostek, sierota!

— Wieleto rzeczy matko po świecie nie bywało, a jak pora przyjdzie na nie, to się muszą stać, choć się im ludzie dziwują! — odparła dziewczyna kiwając głową. — Cóż ja na to poradzę żem sama? Matki sobie nie kupić, Pan Bóg ją raz daje, ojca nie wyprosić! Myślicie, że ja tak opuściwszy ręce z głodu umrę?

— To chyba pójdziesz po żebraniu?

— Nigdyśmy nie żebrali i żebrać nie będziemy — zawołała Marysia podnosząc oczy na starą, która zapewne wspomniawszy swego Rataja, dziwnie zacięła usta.

— I to chleb jak i drugi — poprawiło się dziewczę postrzegłszy niezręczność swojej — ale ja go nie chcę. Juściżem młoda i zapracuję; nie bójcie się, nie bójcie!

I przystąpiła do Sołoduchy z wyrazem tak ujmującego przymilenia całując ją w pomarszczoną rękę, że baba choć zagniewana świeżą poniewierką żebractwa, rozdobruchała się powoli.

— Na co się wam obciążać sierotę, kiedy nadto chleba nie macie — odezwała się po chwili Marysia — wszak i tak nie biorąc mnie do chaty, wiele mi możecie dopomódz. Ot pozwolicie mi czasem przyjść, poradzić się, pożalić, pogadać; a jak już czasem niestanie ani okruszyny, to mi rzucicie okrawek suchara, albo lepszą od niego dobrą radę, słodkie słowo.

Stara uśmiechnęła się potrząsając głową.

— Oj dzieciaku ty, dzieciaku — rzekła — co to się tobie roi w głowinie! Gdybyś w ostatku i chleb miała, bo wszyscy ludzie miłosierni jeszcze nie wymarli; a jak się obejdziesz bez twarzy, bez mowy, bez żywego ducha w tej pustce? A jak ci przyjdzie dni całe, nocy całe samiuteńkiej siedzieć na ławie, aż ci duma głowę prześwidruje na wylot? Ja to znam! ja stara, mnie już wszystko obrzydło, a nieraz jak Rataisko się w świat powlecze, przyjdzie zostać samą na dni kilka: człowiekby psa pocałował, żeby do niego zagadał, taka nuda, taka serce je skuka! Cóż dopiero młodemu, co mu jeszcze i gęba świerzbi i serce się tłucze!... Nie wytrzymasz! nie wytrzymasz mówię tobie!

— Wytrzymam, — odpowiedziała Marysia smutnie, ale stanowczo — nie będę ja sama: ściany i ławy gadać mi będą, matuniu, a mam tu pełno znajomych w kolusieńko; wróble i myszy nawet mnie znają.

Sołoducha splunęła ruszając ramionami.

— A! a! probujże — rzekła uśmiechając się, — zobaczymy jak długo pociągniesz... I taki się dziś zaraz chcesz tu zostać?

— A cóż? — spytała dziewczyna — zostanę.

— Bo ja iść muszę — biorąc za kij rzekła baba. — Bywajże mi zdrowa; a jak dokuczy, pamiętaj, że u nas masz zawsze przytulisko... roboty ciężkiej nie będzie... Bywaj zdrowa!

— Bywaj zdrowa! — powtórzyła powoli kilkakrotnie odwracając głowę i ozierając się na dziewczynę, która usiadła, sparszyła twarz na rękę i zadumała głęboko.

I wyszła Sołoducha nie dowierzając jeszcze, sądząc ciągle, że ją sierotka napędzi; ale napróżno się oglądała z wolna spuszczać ze wzgórza, bo drzwi chaty zostały zamknięte, i nikt za nią nie gonił.

Trudno się było w początku opamiętać Marysi rozpocząć to życie nowe, samą jedną, o swą siłę ale Bóg wlewa moc gdy jej potrzebuje człowiek: cudów dokazuje wola, nawet w dziecięciu, cuda robi nędza. Nad wieczorem głód i chłód razem się dały uczuć dziewczynie; musiała wstać z przypiecka, naniecić ognia, pomyśleć coby jadła, czémby się zesłała posiliła. W chacie nic prawie znaleźć nie mogła, na ławie tylko leżał podarek któregoś z bab, chleb pogrzebowy, który miano położyć na trumnie, a choć go nie użyto, już go przesąd nazad zabrać nie dozwolił. Ten bochenek chleba świeżego był jakby ostatnim matki podarkiem; Marysia spostrzegła go uradowana, ukroiła i zaczerpnęwszy wody, żebraczą zjadła wicherzę.

Siadła potem przy ogniu, popłakała, a że jej na myśl przychodziło z czego dalej żyć będzie, i że ciężko pracować potrzeba, żeby na chleb zarobić: porwała się zaraz do kądziółki, przypomniawszy że ma jutro doprząć dla Semenychy motka, i za motek ten odebrać kilka groszy. Pomyślała i wnet siadła do roboty, ale się chwyciła nieboga za żywo: nie miała jeszcze siły do pracy, zaledwie poczęła wyciągać nić i pokręcać wrzecionem, sen gwałtowny, po wysileniu, po boleści, po głodzie, zesłany z niebios na przywrócenie sił straconych, skleił jej powieki.

Wrzecziono cicho potoczyło się na ziemię, kądziel pochyliła i sparła na piecu, a sierota usnęła snem dzieci, snem niewinnych i spracowanych.

Tymczasem Sołoducha z wielkim zdumieniem opuściwszy chatę cmentarną, poszła przez wieś nie mogąc sobie w głowie pomieścić, jak Marysia zachciała zostać samą i radę sobie dać potrafi.

— Zwyczajnie dziecko — mówiła w duchu — alem ja stara a głupia, że na to pozwoliłam. No! ale miałamże ją gwałtem ciągnąć? Jeszczeby ludzie powiedzieli, że ja ją sobie przywłaszczyła! Ale to tak być nie może, bo zginie biédactwo... Możeby dać znać do dworu? do dobrodzieja, do wójta, do gromady? Ktośkolwiekby na to coś poradził! Cyganka, czy co tam takiego, a przecie Boże stworzenie: niechby z głodu nie umierała, wstyd dla wioski.

Tak rozprawiając sama z sobą Sołoducha wlokła się wioską, a że stan jej robił jej wiele znajomych, co krok to kogoś zwabiła do rozmowy. Jeszcze też kupkami stali parobcy, kumoszki i starszyzna, rozpowiadając sobie o śmierci cyganichy i o jej pogrzebie. A że Sołoducha najdłużej zabawiła w chacie za wsią i zdawała się opiekować sierotą: cisnęli się do niej ludzie rozpytujac o Marysię!

— No a cóżto z nią teraz będzie? mówcie, mówcie! — naglono zewsząd.

Sołoducha przybrała minę ważną, ruszała ramionami i poczęła z cicha, jak rzecz najciekawszą opowiadanie swoje:

— Toż ztamtąd ja idę — rzekła — prościuteńko od niej; a czy uwierzycie?! Ot! nie dała mi się wyprowadzić z chaty i została w niej sama jedna.

Ludzie słuchali zdumieni.

— Com ja się jej naprosiła, com nagadała, nic nie pomogło; powiada, że sobie da rady sama, że to jej chata, i po wszystkiém... Aż litość bierze myśleć, jak to marnie przepadnie.

— Ależby to kto wziął za kawałek chleba — mruknał stary Marcin Nieduha — ot i ja jedynoki i żona słaba.

— Darmo jej to i gadać; póki dobrze biędzy nie skosztuje, nigdzie nie pójdzie — żywo przerwała Sołoducha — tak się jej zdaje teraz że sobie rady da: trzeba żeby się przekonała, będzie wówczas tańsza.

Ludzie, jak to zwykle dosyć obojętni, pokiwali głowami, poszeptali, ten i ów się rozśmiał, inny westchnął a każdy wreszcie poszedł do swego, i Sołoducha do chaty.

A Maryś jak usnęła siedząc przy piecu, na którym wkrótce wygasło, nieporuszona, nie czując i nie śniąc, nie marząc, kamiennym snem przetrwała do ranka. Dopiero gdy blask dobrego dnia wcisnąwszy się okienkiem, uderzył w jej oczy, schwyciła się nagle, przetarła powieki i wracając do życia opamiętała się w swém sieroctwie.

Boleść i znużenie tak jej myśli zmieszały, że długo pomiarkować nie mogła czy noc przespała tylko, czy więcej, czy tylko krótką godzinę. Wyszła na próg i po słońcu poznaawszy ranek, zdumiała się.

Świat był wesoly i piękny, pomimo smutku sieroty; słońce wschodziło pogodne, cisza była dokoła, a wróble ożywione szczebiały pod strzechą, latały, kręciły się, wrzeszczały, biły o zapomniane gdzieś ziarnko na drodze, wrzawą napelniając powietrze.

Dziewczę poczęło się rozglądać w obrazie świetnym i wdzięcznym, a oko jej padło przez niski wał cmentarny na żółtą matki mogiłę. Drzwi chaty zostały otworem szeroko, a Marysia pobiegła i przytuliwszy się do zimnego kurhanka, zachodziła od płaczu.

Nie wiem jak długo to trwało, gdy od wioski, szybkim posuwający się krokiem, ukazał się krzepki, barczysty starzec, pomimo widocznej swjej ślepoty, żywo i śmiało postępujący ku górze. Kij tylko wiódł jego krokami, a tak był pewien swjej drogi że ledwie dotknął nim ziemi, posuwał się jak gdyby zdrowe i całe miał oczy.

Nagle stanął i białe źrenice zwrócił ku mogilnikowi, przysłuchując się uważnie. Oślepy dziad uszy miał ostre i czucie szczególne; cichy płacz dziewczyny nie uszedł jego uwagi, domyślił się kto płakał, ruszył ramionami z gniewem prawie, i puszczając się znów żywym krokiem, począł jak gdyby widział, kierować się na cmentarz. Miejsce to tak mu było znajome, jak wszystkie kąty wioski: trafił na przegniły mostek, do furtki i między mogiłami doskonale torując sobie ścieżkę, podszedł do samej dziewczyny, wiedziony cichym jej płaczem.

Marysia spostrzegła go dopiero, gdy się do niej odezwał:

— Dosyćże już płakać, dosyć; umarłym pokój wieczny, a żywym czas do pracy i do życia. Ot wstawaj i chodź!

— Dokąd? dokąd? — spytała niespokojnie dziewczyna, nie dobrze poznając Rataja.

— Dokąd? a do nas — rzekł stary włóczęga — co to myślisz sama gospodarować? Przecie to twoja matka chciała, żebyś do nas poszła, a sama tak zostać się nie możesz.

— Toście wy pewnie mąż Sołoduchy?

— Stary Rataj, ślepe dziadziśko, jakbyś mnie znała; a długo nie gadając zabieraj się rybko i ruszaj.

— Alem ja wczoraj już żonie waszjej powiedziała, że przy chacie zostanę.

— Tak! a ja ciebiem zastał tu na cmentarzu; piękna tobie chata! A co to z tego będzie, jak ty tu zaczniesz chodzić i wyplakiwać! Chleba nie wyplaczesz, to darmo! Musisz iść do nas, nic nie pomoże!

— Nie pójdę! nie pójdę! — krzyknęła Maryś — nie chcę, nie mogę, mam swoją chatę i w swojej chacie choćby umrzeć!

— Co ty oszalałaś Maryś? he?

— Niech oszalała a nie pójdę! — odparło dziecko. — Dziwujecie się żeście mnie tu znaleźli; co za dziw! Wczoraj jeszcze wzięłam się do kądzieli, ale sen mnie zmorzył, kamieniem przespałam noc całą... Wyszłam w słonko popatrzeć zrana, zobaczyłam moją mogiłę i płakać się na nięj zachciało.

— I tak będzie co rano.

— Nie dziadusi! nie! ja wiem co potrzeba: pójdę do roboty, bo z nięj żyję, a lży schowam na niedzielę.

Rataj stał zdumiony jak żona, był bowiem pewien że znajdzie dziecko, a trafił na dojrzałą i rozżaloną tylko istotę; nie wiedział już co poczyć, co powiedzieć.

— Prowadźże mnie do swojej chaty — odezwał się po namyśle, — nigdy w nięj nie byłem, muszę ją obejrzeć...

Rataj zwykł był tak mówić choć oczów nie miał, i niewiele tém grzeszył, bo ślepy tak umiał zastąpić wzrok niezwycajném czuciem i sprytem, że często więcej od najbaczniejszych zobaczył. Poszli więc razem ku chatce cygana. Stary dziad obmacał drzwi i pokiwał głową na ich nizkość, przestąpił próg, i nie zatrzymując się obszedł izbę macając rękoma stoły, piec i ławę, zajrzał do alkierza w tenże sposób, powrócił i zasępiiony usiadł na przypiecku.

— Szatra cygańska — rzekł do siebie pocichu — gorsza od ladajakięj ziemianki, w której choć zaciszno i ciepło... Jak to tu żyć!

Dziewczkę dosłyszało słów ostatnich.

— Oj! żyliśmy ojczy, i dobrze nam było z naszą nędzą; a mnie jednę! aby jamka gdzie głowę przytulić!

— Jakże ty myślisz? co poczniesz? gadajno mi, — zawołał Rataj — trzeba żebyś wiedział.

Maryś zamyśliła się wlepiając w dziada swe czarne, bystre, choć załzawione oczy.

— Oto posłuchajcie — rzekła — niedziwota przecie to samo robić, cośmy z matką robiły. Na wsi dają prząść, a za motek, i chléb, i omastę i krukę, a czasem szmatę jaką dostać można. Ja, ojczy kochany, niechwałę się, tak przędę, tak przędę, że mi trudno kto dorówna. Jak grubszą, to i całą talkę za tydzień wyśpieszę, matka mnie sama uczyła, a znali ją we wsi za piérwszą kądziel, bo jęj i sławna Horpyna od Mudrahela wyprzedzić nie mogła.

— A jak zasłabniesz? — zapytał Rataj chmurno.

— No, to poleżę; i, co Bóg da! co Bóg da! — powtórzyła z westchnieniem — Matka zawsze mówiła, że Bóg nad sierotą!

Rataj słuchał i coraz bardziej czuł się zdziwionym, tak, że ze zdumienia słowa rzecz nie umiał. Oczy jego zwracały się w stronę Marysi i jęj głosu; rzekłbyś, że usiłował przebić wiekiuste ciemności i odgadnąć twarzyczkę dziewczęcia; a czoło było chmurne i zasępione.

— Świta ci w głowie, — odpowiedział po chwili — no, a czemużbyś to do nas pójść nie chciała? Mów, dla czego? Może ty się boisz Sołoduchy? Ale bihme, jakby ci złe słowo rzekła, takbym jęj boki obłatał, żeby cię potem w ręce całować musiała.

— Ale ja się nikogo nie boję! — przerwała żywo Maryś.

— A czemu do nas iść nie chcesz?

Dziewczę się zawahało, łza pociekła z pod powieki i zbliżyła się do starca, poczynając zniżonym pełnym wzruszenia głosem:

— Ojczy... wybyście mnie powinni dawno zrozumieć! Może to śmieszno, może to grzeszno, może to głupio co ja powiem; ale cóż? kiedy tak jest, tać się nie ma co przed wami. Jabym téj chaty nie mogła porzucić! Czy to wy słyszeli jak ją ojciec biedny budował! A cośmy tu z matunią przechorowali... Ja się tu urodziłam, ona tu umarła. Nie! ja jój kolkiem podeprzeć nie mogę i pustką zostawić; póki mnie żywój, dopóty tu siedzieć będę.

— A rób sobie jak chcesz! — zawołał dziad, którego usta zacięte, litość czy wzruszenie tłumione malowały — Bóg z tobą, tyłkono pamiętaj, pamiętaj jak ci dokucz, u Sołoduchy na ławie przy piecu jest zawsze dla ciebie miejsce, a w Ratajowej torbie chleba kawałek. I na grób matki tobie nie chodzić dziecko: ty tego nie wiesz jeszcze co to płacz i smutek... Smutek chodzi po świecie marą, a kogo złapie to dusi, to męczy, jeżeli się od niego nie odzegna, aż póki nie zadławi. Pan Bóg téj zmorze nie każe się poddawać a bronić. Matce twojój nic po łzach: zmów lepij pacierz za nią, a na mogiłę nie chodź. Siadaj, prządź, gospodaruj, kiedy ci się chce probować samotnicy, ale to tego nie będzie! Człowiek człowiekowi potrzebny; cobym ja dał, choć wraźą twarz ludzką zobaczył!

To mówiąc dziadzisko zerwał się z siedzenia, torbę, którą miał przewieszoną przez ramię, zsunął na kolana i począł z niej dobywać kawałków chleba zeschniętych, świeżych, poplesniałych, bielszych i czarniejszych, aż do dna wypróżniając zapas swój na ławę.

— Ot tobie na początek gospodarstwa — rzekł ponuro — jaka ręka, taka i jałmużna; bywaj zdrowa i niech cię Bóg pocieszy hołubku!

Odszedł z tém Rataj, i już go nazad przeprowadzać nie było potrzeba: próg przestąpił śmiało, głową się o niski odźwierzek nie uderzył, w sionkach trafił do wnijścia jakby je sam budował i z góry puścił się drogą, nawet niewiele kija posyłając na zwiady.

— Taki to ród — mruzczał pod nosem idąc ku wiosce — gdyby mi kto z drugiego siola gadał, tobym nie uwierzył, że wyrostek, sierota, dzieciak, a już chce mieć swoją wolę! Rodem oni tacy byli: dziad umarł, a córce na ślub nie pozwolił; córka z nędzy skończyła na swoim postawiwszy, bracia się zakłęli że ona im obca będzie, i ot! dotrzymują psie wiary!

Zatrzymał się na chwilę.

— A gdybym ja próbował pójść do Maxyma i Filipa, hę? kto wie? możebym co utargował dla sieroty? Poprobuję, taki mnie psami za to nie wyszczują, a choćby?

Droga do chaty wujów Marysi szła podług karczemki, której Rataj nigdy nie mijał; nie wytrzymał i wstąpił rozwiązawszy węzełek w koszuli, w którym się parę groszaków schowało. Wypił kwaterkę, i pokrzepiony, z lepszą myślą, milczący ale śmiały, skierował się ku chacie braci Motruny.

Dotąd oni jeszcze byli nierozdzieleni, i choć semia się pomnażała, choć ich tam gęsto było, nie wyprosili sobie kawałka pola, bo pustek u pana zabrakło a z ładu ciężko było wydzielać.

Nienajlepij się więc działo Maxymowi i Filipowi; przyszły dzieci, trafiły się kilka lat nieurodzajnych, żony ich o ładu garnek u pieca się swarzyły, kłóciły w oborze, zajadały na podwórku, gdy jeden podświnek drugiemu zajrzał do koryta: a gdy przyszło na pańszczyznę, jedna drugą wypychała, porywały się do siebie, że je często mężowie rozbraniając, sami się pokłócić musieli. Czyste piekło zrobiło się w chacie.

Jeden na drugiego się oglądał, nikt nic nie robił, i bracia Motruny uboželi przeklinając swoją dolę. Nie poznałbyś teraz tego czystego dawniej podwórka, téj schludnej chaty i zamożnego obejścia, tak się to oszarpało, poopadało i pochyliło przez niedbalstwo. Płaty stały poszczerbione i powypalane kawałami, dach się powyginał od zgnilizny, ścian dawno nie obmazowano, a chróściana stodołka świeciła bokami, przez które wiechcie słomy tylko wyglądały. Dawniej, za Lepiuka, było to jedno z najlepszych gospodarstw we wsi; dziś na dwóch braci jedna już para wołów została. I jakieto tam były woły: jeden stary i chudy, drugi dopiero w trzecim roku niedorosły i cherlawy, aż wstyd było wyjść z radłem na pole, lub się sprzęgać do pluga. A jak nadeszła ta bięda, wszyscy się nią poczęli rzucać, nie przyznając się do tego, żeby jój kto pierwszy drzwi otworzył. Maxym składał na Filipa, Filip na Maxyma, a bratowe obie i na mężów i na siebie. Na przednówku na ościsty chleb pożyczac było potrzeba, a wiadomo co to chłopska pożyczka! Za ćwiartkę żyta oddaj

ćwiartkę żyta w dodatku; już dobrze, kiedy trzy dni odrobić potrzeba, choć cały korzec kupiłby za pięć złotych.

Wiedział Rataj, jak tam było u Motruny braci, bo we wsi wszyscy wiedzą co się dzieje u sąsiadów; wszelako szedł do nich, bo zawsze przecie choć biedni, stokroć więcej mieli od sieroty i wesprzeć ją mogli.

Jakoś to był taki dzień, że wszystkich zastał w domu. Maxym nabijał rozsypane wiadro, Filip dojadał z misy, wybierając się do lasu, a dwie bratowe stanąwszy naprzeciw siebie w dwóch kątach izby, łajały się co wlało o zarzucone wrzeczono. Mężowie już im niedopomagali, przywyklszy do tego codziennego chleba: ruszali tylko ramionami, skrobiąc się po głowie.

Gdy się dziad ukazał w progu, przeprowadzany przez ujadające dwa psiaki, potomstwo starego poczciwego kasztana; wszyscy odwrócili głowy ku niemu, a Maxym rzucając robotę zawołał:

— E! szlibyście z Bogiem!... bo tu u nas chleba też nie ma.

— Albo to ja za jałmużną? — ofuknął się Rataj — chybaście mnie nie poznali? Czy to ja po swojej wiosce bez praznika będę żebrał? Tfu! Maxymie, w głowie się wam przewraca: czy nie znacie Rataja? Czy to już wam ławę przełamie jak na niéj odpoczne? — i Maxym się zawstydził i pokraśniał.

— Nie łajże stary, — rzekł, — siadajcie, odpoczywajcie, a tom was doprawdy nie poznał.

— No! no! stare dziadzisko gniewać się niepotrafię; mój chléb mnie do wszystkiego przyzwyczaił: i do ludzkiej litości i do ludzkiego łajania... Przysycha to jak na psie. A klnie kto mnie, odeklnę go w dziesięcioro!

To mówiąc Rataj ławę namacał, zamilkł na chwilę, jakby słuchał szelestu najmniejszego, żeby zeń o liczbie osób w izbie będących przekonać się, i począł ciężko westchnąwszy:

— A wiecie, jakie na mnie spadło dziedzictwo?

— No? jakie dziedzictwo? — spytali razem Maxym i Filip.

— A! po waszej siostrze Motrunie!

Bracia jakby im kto gęby pozalepiał, umilkli; stary się też nie śpieszył mówić dalej.

— Aż mi serce rośnie, — dodał po chwili — dawnom sobie dziecka życzył, a to na starość mnie i mojej babie Pan Bóg dał gotowe, wyhodowane, i takie co się z nié i przed królem nie powstydzisz. Motruna mi swoją córkę zostawiła.

— A! a! — odezwali się obaj bracia.

— Ot tak! a walna dziewczynina, tylko szkoda, że jak wy wszyscy kury czubate, ma także czubka: uparta gdyby kozioł.

Nikt nie przemówił i słowa, a Rataj dalej ciągnął rzecz swoją:

— Cieszyłem się, że ją zabiorę, boby się było kim posłużyć w domu; a tu choć się sama jedna została, ani jéj z chaty wyciągnąć. Słyszana to rzecz: sama jak palec, bez kawałka chleba, i mówi, że sobie rady da, i sama chce gospodarzyć, a jeszcze to od ziemi nie odrosło!

Bracia i bratowe po sobie spojrzeli, ramionami ruszyli, a ciekawość rozwiązała im usta.

— Co-bo mówicie! — zawołał Filip, — ta to dziecko?

— Dziecko, ale nie takie jak wasze, co to się matczynéj trzyma spódnicy i za próg samo nie wylezie; daj mu i miskę i łyżkę a jeszcze gębę trzeba otworzyć, żeby jadło.

— Żeby ono jakie było, — rzekł Maxym powoli, — to zginie jak ruda mysz... Niedarmo ojciec ich z rodem przeklął; cygan przepadł niewiara, Motruna zmarła o głodzie, i sierotę nie lepsza czeka dola.

— Dalibyście pokój przepowiadać, — przerwał Rataj, — a co ona winna, że drudzy nagrzeszyli? Pan Bóg lepszy i miłosierniejszy od ludzi, nie da jéj zginąć... Kto winien, już odpokutował.

— Ależno powiedzcie, — odezwała się Maxymowa, co ona sobie myśli? Jak to dziecko da sobie rady? samiuteńkie jedno! To dziw!

— Dziw naprawdę! Ja sam nie wiem co będzie; widzi mi się — odparł stary — że pobieduje na téj pustce, a potem do nas zbieży. Bogiem a prawdą i wamby się co dla niéj uczynić należało: choć kawałek dać chleba.

Na ten całkiem niespodziewany wniosek, i Maxym i obie bratowe jednym głosem krzyknęły:

— Co tobie w głowie? czy to u nas chleba nadto?

— Hm! chleba nikomu nie nadto! — rzekł Rataj — wiem ja, że go nie macie do zbytku; ale czemu Pan Bóg nie błogosławi? Któż to wie, czy nie za Motrunę, coście ją tak odepchnęli? Żywicie taki choć nie bogaci psów dwoje, znalazłaby się kromka chleba i dla sieroty; kto to wie, czyby się ten zasiew nie wrócił!

Maxym ramionami ruszył.

— Dajcie pokój, już ja widzę z czémeście wy przyszli. Na co to darmo kręcić! ni to ni owo: a to że ją bierzecie do siebie, a to że ona sama sobie rady daje, kiedy myślicie nam ją na kark narzucić... Ale z tego nic nie będzie! dosyc nas i tak!

— Pluń Maxymie! — zawołał dziad stukając kijem, — ot widzicie, jakto z wielkiej mądrości ażeście się domyślili, co mi w głowie nie postało! Naprzód, żebyście i chcieli, tobym wam jój nie dał; powtóre jak do mnie, tak i do was ona nie pójdzie! A czegom chciał to powiem: możeby wasz datek smaczniejszy był od mojej żebraniny; ale i tak z głodu nie umrze pókim ja żyw! Niechaj wam będzie jak było, kiedy takie serce macie!

To mówiąc wstał szparko, kijem zastukał i nie rzekłszy słowa więcej, drzwiami za sobą cisnął, a na podwórku tylko psy ujadające do wrót odejście jego oznajmiły.

Bracia i bratowe stali chwilę pochmurzeni, spoglądając po sobie.

— Jaki mądry! — odezwała się wreszcie pierwsza Maxymowa — chciał nam jeszcze jedno dziecko narzucić, jakby to u nas tego bobu mało było.

— Cicho babo! — ofuknął się Maxym, podnosząc głowę od roboty, — nie narzekajże choć na dzieci, bo ci je Pan Bóg pozabiera!

— Co to gadać, — odważnie jakoś, wstając z za stołu i nakładając czapkę na uszy, dodał Filip — po sprawiedliwości, nie komu się opiekować tą sierotą tylko nam. Rodzonéjże siostry dziecko zostało sierotą; opuścić, wstyd i grzech, a gdyby kto inny wziął, to palcami nas będą wytykać.

— To cyganie, cyganie! — zakrzyknął Maxym — co ty mówisz siostry dziecko! Ojciec się jój zaparł... krew niewiary! Niech się idzie włóczyć za swojemi, nam nic do tego.

— A pewnie, że tak! — dodała Maxymicha; a żona Filipa spoglądając kwaśno na męża, szepnęła:

— Czy to my już tak bogaci, żebyśmy mieli cudze dzieci brać na głowę; patrzajno, żeby twoim chleba stało!

Filip ruszył ramionami, pokiwał głową, wcisnął czapkę głębiej na uszy, węzelek zarzucił na plecy, siekierę za pas zatknął i fajkę u pieca zapaliwszy wyszedł do wozu, który już stał przed sienią zaprzężony.

Pozostali milczeli długo; ale że się już nie było z kim spierać i pierwszy niepokój ich ominął, zaczęli wszyscy myśleć o sierotce, jak to ona sama tam została i rady sobie daje. Nie śmieli tylko ust otworzyć, ale ich piekło pogawędzić o tém, o czém cała wioska, dwór, plebania, gadali i rozprawiali w téj chwili.

Już się bowiem było dobrze rozniosło o śmierci Motruny, i o dziewczęciu, i o postanowieniu jój pozostania w chatce na własnym gospodarstwie, a każdy się dziwił i ciekawił, jak to będzie.

I dwie bratowe z Maxymem niemniej téż zadumywali się, jaki to temu może być koniec; a jak myśleć poczęli, wystawiać sobie to życie samotne w chatce cmentarnej, tę niedolę, tę pustynię, jakoś się trochę litości obudziło w ich sercu. I choć każda z nich obawiała się bardzo z tą litością wydawać, aby do niej i do niewczesnych ofiar drugich nie pobudzić, trudno już było nie pokazać po sobie co się czuło.

— Ale to — odezwała się pierwsza Filipowa, — ciekawość jednak, jak tam cyganka gospodaruje. Ta to nie ma może jak lat dwanaście, trzynaście, a myśli że się bez ludzi obejdzie... Radabym choć ukradkiem tam zajrzeć, a zobaczyć co się to dziać będzie. Słychana rzecz, taki dzieciak sam jeden na całą chatę!

Maxym głową pokiwał.

— Rataje ją wezmą!

— Sołoducha mi taki mówiła, że ją gwałtem ciągnęła, ale się jój nie dała.

— Zobaczycie!

— A no! zobaczymy!

— Dobrze taki podobno mój powiadał — dodała Filipowa po cichu — wziąć nie wziąć, bo to ciężko, a taki dla niej coś zrobić tobyśmy powinni; ludzie nas za ostatnich lajdaków okrzyczą. Póki żyła matka, to co innego było, ale nad sierotą trzeba się zlitować.

Mówiła to, ale tak nieśmiało, tak bojaźliwie, tak oglądając się na bratową i Maxyma, jakby się obawiała okrutnej na siebie wrzawy, i gotowa była ustąpić zaraz; ale nadspodziewanie nikt przeciw temu nie rzekł już słowa.

Maxym z ust wyjął fajkę, i począł głową pokręcać.

— Jaka ty bogata Filipicho! Oj! oj! nie mówię żeby to dawniejsze lata, kiedy z roku na rok stożek żyta schodził, a i w zasięku zawsze bywały zapasy; ale teraz, tak, to my sami pożyczac będziemy musieli, a pole nawpół siejemy z Semenem, to co z niego zbierzemy?

— Albo to jój dużo potrzeba? — odezwała się już odważniej Filipowa — ot, cokolwiek, aby ludzie nie gadali, a sumienie było spokojne.

— Jaka mi pani! — zaczęła z kolei Maxymowa — dać! dać! a zkąd weźmiesz?

— E! e! na toby się kruszyna znalazła!

Maxym milczał, bratowe pierwszy raz oddawna zbliżyły się do siebie i szeptać poczęły; ale o dziwo! nie swarzyły się jakoś, tylko żywo coś sobie opowiadały krzątając po kątach; duch miłosierdzia w nie wstąpił, wiodąc z sobą duch zgody.

Nie ma bowiem serc lepszych i pocziwszych nad serca ludu naszego, ale je często zatwardza nędza, zamyka własny głód i pragnienie. W ciężkiej doli trudno się zebrać na litość, a ostatnim kęsem nie każdy podzielić się potrafi. W chacie było bardzo ubogo: przecież gdy na myśl przyszły obowiązki, gdy się w sercu własnem rozpatrywać poczęli; ruszyło sumienie, wzięła ochota nędzą się przełamać z biedniejszym. Wprawdzie darek szedł nieochotnie i dobrze się zadumywano nad nim, w pierwszym popędzie zamyślając dać więcej, okrawając powoli gdy przyszło do rzeczy; ale i Maxym i bratowe zgodziły się zanieść coś sierotce i zobaczyć co się tam z nią dzieje.

Wielką tę wyprawę odłożono do jutra, na czém straciła dziewczynka, bo do rana rozmyślano jeszcze i ujmowano podarku, oglądając się na siebie.

O! takto my wszyscy robimy podobno: serca dobre, ale głowy bojaźliwe i chłodne!

Dziewczęciu w jój lepiance ciężko pierwsze upływały chwile; ale nie jest to czczém słowem, ani ciasno tego rozumieć i zastosowywać to potrzeba, co nas uczy wiara, że są zlewane od Boga łaski stanu. Niejedni kapłani mają je sobie udzielonemi; wszelki człowiek w trudnej toni, z sercem czystém i pocziwém, jeśli nań zasługuje, otrzyma ten szczególnie do stanu jego zastosowany dar Boży. Przez anioła opiekuna, niewidzialnie, ześle Opatrzność myśl jakąś płodną, przymiot potrzebny, cierpliwość, siłę, wytrwanie, ziarenko przyszłości, na którego pozyskanie sam człowiek próżnoby pracował. Jest to zapomoga wśród głodu ze śpichlerza bożych dzieci.

Biednej też sierotce w ciężkiej doli i osamotnieniu, gdy tylko pierwsze łzy oschły, gdy serce spokojniej bić zaczęło, zaświtała myśl szczęśliwa przyniesiona przez anioła i włożona na jój skronie.

Nazajutrz rano wstała rzeświejsza, wyszła na próg domu, i spojrzawszy w słonko, na krzątające się ptastwo, na rozgrzewającą ziemię, na ruch gospodarski wioski, której głos ją dochodził z parowu: poczęła dumać nieboga.

Oczy jój błędziły machinalnie goniąc za wróblami, które żwawo zwijały się z pod strzechy na drogę, a z drogi pod strzechę.

— Ot, jakieto maleńkie — pomyślała — jakie to biedne, drobne, bez opieki, prześladowane, a Bóg taki i pokarm i życie im daje... Pracują niebożątka, i siedząc w strzesze przegniłej gniazdka sobie budują i jeszcze śpiewają tak wesoło! Czemużbym ja nie miała sobie dać rady, jak się zawezmę do pracy!

Dziewczę oczyma wyczytało w księdze żywej świata, niemal dosłownie wypisane wyrazy ewangelii, które powtórzył z ust Chrystusa Mateusz święty. (Rozdział VI. *Respiciat volatilia coeli quoniam non serunt, neque metunt, neque congregant in horrea, et pater vester coelestis pascit illa. Nonne vos magis pluris estis illis?*).

Myśl to była od Boga zesłana i serce orzeźwiająca. Marysia spojrzała na mogiłę, ale i ta do niej w też prawie przemówiła słowa.

— I matka moja pracowała, sama jedna, gorzej, bo za mnie i za siebie, bo na nas dwoje, nie mając w pomoc nikogo; a tyle się to lat przeżyło!

Otucha wstąpiła w jej serce.

— Czegóżbo ja stoję w progu — spytała sama siebie — lzy otrzeć potrzeba, bo nic nie pomogą: zmówię pacierz za matuchnę, i koło chaty się wezmę!!

I przeżegnawszy się wbiegła do lepianki, po raz pierwszy od śmierci Motruny, rozpatrując się jak w niej było zaśmiecono, porozrzucano, nieporządnie.

W mgnieniu oka zatknęła za pas końce fartuszka, zakasała rękawki sukmany, i nuż się zwijać po domku. Poczęła od alkierzyka, gdzie nakrywy od bodni, trochę sukien i biedoty leżały bezładnie; pochowała co schować było potrzeba, ponakrywała sypanki, przymiotła i weszła do pierwszej izby. Tu jeszcze nietknięte stało łóżko na którym umarła Motruna, a gdy się do niego zbliżyć przyszło, serce się jej ścisnęło; ależ miała tak zostawić ubogi ów barłóg na pośmiewisko ludzkie? Westchnęła, i powoli z jakimś strachem i ściśnieniem serca wzięła się do tej bolesnej roboty.

Poskładała resztki odzieży, grubym płótnem przysłoniła łóżko, a gdy tę najcięższą odbyła pracę reszta już poszła jej żywo i łatwo.

Zamiotła więc podłogę, śmieci rzuciła na ognisko, bo się na podpałkę zdać mogły, pościerała stoły i ławy, poprzychowywała chleby, nałożyła oszczędnego ognia, bo się znalazł jakiś węgielek wczorajszy w którym iskra tlała jeszcze, i zaparłszy drzwiczki, z wiadrami ruszyła do krynicy.

W drodze co to tam myśli krzyżowało się w głowinie! jak sobie chatynkę urządzi, jak zapas przysposobi, z kąd weźmie drzewa na opał, z kąd garnka na strawę? Nie wiem jak, ale na wszystko jakoś znalazła sobie sposób i radę; trochę się tylko zadumawszy.

— Wstanę rano — mówiła — na wszystko mi czasu stanie; woda niedaleko, mnie i jedno wiaderko wystarczy; drewek w chruśniaku dosyć, to sobie ich mrokiem nabieram, gdy już prząść nie dowidzę. Chybaby Bóg nie łaskaw, żebym na chleb już nie naprzędnę... Koszulinę jedną i drugą wykroję z matczynych, to mi wystarczą na długo. Switek stanie mi na całe życie; w starej chodzić będę w dniu powszednie, a na niedzielę mam jeszcze dobrą, co mi kazała uszyć matunia... Jak się ta podrze, to i do matczynej dorosnę. O cóżbym ja sobie więcej głowę łamała?... Chleb i woda... nie ma głodu?... E! dam sobie rady przy pomocy Boskiej, przy opiece matki, bo ona przecie patrzy na mnie. O! patrzy, ja to czuję, aż mi lżej... i nie da dziecku swemu zginąć!

Tak sobie marząc, zaszła Marysia do źródła, zaczerpnęła w niem, rozpędziwszy wprzód wiadrem zebrane na powierzchni wody śmiecie, i nie tracąc czasu, nie rzuciwszy nawet okiem na wioskę, którą ztąd całą widać było jak na dłoni; pośpieszyła do chaty.

Ogień jeszcze zastała tlejący, ale podsycać go nie było już czém, tak się wyczerpało drewek. Myślała, myślała, przemyślała chwilę i skoczyła ku drabince na strych wiodącej, na którą wdrapawszy się, aż krzyknęła z radości; na górze pełno było suchuteńskiego chrustu. Kiedyś go był głupi Janek jeszcze przysposobił dla Motruny, a po śmierci parobka zapomniano o nim; dziewczęciu nie wiem jak przyszło na pamięć, że łażąc za ostatnią kurą, widziała tam drewna, przypomniała to sobie i zapas gotowy znalazła na długo. Tak to ją ucieszyło niebogę, że aż lzy jej z oczu pobiegły:

— A! jakże to mi Bóg dał w samą porę — zawołała — tymczasem zima i śniegi zejda do reszty, oschnie, i w chruśniaku zbierać będę mogła gałęzie.

Śliczny, wesoły ogienek rozplonął na kominie; Marysia garnek wymyła, wody nastawiła, ale co tu sobie zgotować? Nie było wyboru: nakruszyła chleba, rzuciła go we wrzątek, trochę soli było w drewnianej miseczce nad piecem, i smaczna, o! smaczna dla głodnej zrobiła się z tego potrawa.

— Wszakże to i tём żyć można? — mówiła w duchu zajadając zaciérkę chlebową. — Ot i obiad gotowy, na wieczór przemienię sobie i zjem suchego chleba z wodą zimną... a z głodu już nie przepadnę!

W izdebce rozgrzało się od ognia, Marysia starannie umyła garnuszek, przeżegnała się, i wzięwszy kądziel, poszła prząść do okienka. A wyciągając nić długą, oko jej raz-wraz biegało po chatce, po sierocém dziedzictwie. Gdzie najrzy szparkę w ścianie, myśli jak ją zalepić; gdzie glina odpadła, zapamiętywa, żeby na wiosnę gdy ociepleje, poprawić. Pracuje ręką, pracuje myślą, a nadziei serce pełne.

A czas bieży, bieży, bieży, ani słyhać jak ucieka, i już około południa, ktoś przed chatą zagadał! Myśląc że to Sołoducha albo Rataj stary, bo się nikogo innego nie spodziewała w gościnę, nie wstała nawet z ławy, żeby czasu nie tracić; wtém drzwi się otwarły i dwie nieznanym kobietom, bojaźliwie jedna drugą popychając, szepcząc coś, weszły do izdebki.

Były to dwie bratowe, Maxymicha z Filipichą. Marysia ich nigdy nie widziała w życiu, ani też one sieroty; jęły więc wzajem się sobie przypatrywać, a ciekawość tak opanowała dwie baby, że słowa nie mówiąc, z dziewczęciami na chatę, z chaty na dziewczynę oczyma tylko rzuciły, nie mogąc się wydziwić obojgu.

Marysia wstawszy i postawiwszy kądziel, czekała żeby się do niej odezwały; aż nareszcie Maxymowa szturgnięta łokciem przez bojaźliwszą Filipichę, poczęła z uśmiechem:

— Sława Bohu!

— Na wieki.

— Chciałyśmy to zobaczyć, co się z wami dzieje, choć to my się nie znamy... ale.

— Bóg zapłać — odparła Marysia — a cóż ma być: haruję i żyję.

— Patrzajcieno, patrzajcie — szepnęła Filipicha — jak to u niej czysto i porządnie: i ogień na kominie i wiadro pełne i umieciono..., a któż tobie pomaga?

— Nikt! nikt — tęskno odpowiedziało dziewczę — dwie ręce, trzecia głowa; a kto by to chciał pomódz sierocie? Ratajowie czasem najrzą, więcéj nikt; ot, Pan Bóg i nieboszczka matka moja.

Filipicha, która wspomnienia nawet nieboszczyków się obawiała, przeżegnała się skwapliwie, odganiając nieostroźnie wyrzeczone słowa.

— Siadajcie, — dodała Marysia zmiatając im ławę fartuszkim, a nie śmiejąc się pytać kobiet, co były za jedne; — Bóg zapłać, żeście przyszli choć słowo przemówić; wy nie wiecie, jak to ciężko być saméj!

— A już to prawda — odpowiedziała młodsza — ja i nie wiem, jak wy tu wytrzymujecie; tak tu straszno i cicho być u was musi.

— Tylko, że nieludno — odezwała się Marysia uśmiechając, — ale mi tu wróble swoim językiem cały boży dzień paplają pod strzechą, i sroczka krzyczy, i słoneczko zagłada, i mam kilka myszek burych, co z pola przyszły na zimówkę do chaty, a tak oswojonych, że się mnie nie boją i pod nogi schodzą po okruszynie chleba.

Maxymicha w twarz się uderzyła z podziwienia, z naiwnym ruchem niedowierzenia prawie; Filipicha otworzyła usta wielkie, i obie osłupiały, tak im to było i dziwne i nowe.

— A w nocy? — spytała tchórzliwie oglądając się młodsza.

— E! ja w nocy, upracowawszy się, śpię jak kamień; a matka mi mawiała, że anieli pilnują, kiedy człek z krzyżem świętym spać się kładzie.

— Jakto ona gada, — poczęła w duchu Filipicha — co to za rozum, tażto i stary lepiéjby nie potrafił... Nie widana dziewczyna!

Spojrzały po sobie baby coraz bardziej zdumione, ruszając ramionami, jakby się pytały siebie: — co to znaczy?

Marysia tymczasem uprzejmie je zapraszała, robiąc miejsce na ławie, a sama się już brała do kądzieli. Kobiety usiąść jeszcze nie śmiały, przypatrywały się ciekawie, rozglądając i szepcząc między sobą i trącąc łokciami; jedna i druga tuliły coś w fartuchu przyniesionego, ale nie wiedziały, jak to Marysi oddać.

Dziewczę ze swą prostotą, śmiałością, odwagą, niespodziane na nich uczyniło wrażenie, któremu się odjąć nie mogły; było to coś więcéj niż podziwienie: — rozczulenie i cześć jakaś prawie. Biło serce kobietom choć się uśmiechały, kryjąc wzruszenie do którego nie przywykły.

— Choć siadźcie, proszę — mówiła im Marysia — nie mam was czém przyjąć, bo prócz chleba, którego mi Rataj podarował, nic tu u mnie nie znajdziecie; ale czém chata bogata, tém rada.

— Jakto? to wy prócz chleba nic nie jécie? — zapytała Filipicha.

— Teraz jeszcze żyję o chlebie, bo nie mam nic: ałem sobie z niego zgotowała zacierki i nie jestem głodna, a da Bóg doczekać, będzie i krupa i omasta, byłem motki skończyła, a praść się znalazło więcéj. We wsi mi dają robotę, bo widzą, że przedziwo nie przepadnie, i pod wagą nici oddam. Semenycha, Kociukowa, Pawłowa, Lebedzianka, dobrze mnie już znają, a ja i dwudziestkę uprzedę.

Kobiety przysłuchiwały się pilnie słowom dziewczęcia, a corazto się więcej dziwiły śmiałości jego, odwadze, nadziei i przytomności. Wpatrywały się w ładniuchną jego twarzyczkę z trochę zapłakanymi oczyma, i obie potajemnie w sercu westchnęły, żeby ich córkom Bóg nie taką dołę, a tyle dał serca i głowy, co sierocie.

— Ależ moja mileńka — odezwała się Maxymicha — to ty chyba i drwa nosisz sama i po wodę chodzisz?

— A cóż? wszystko sama robię i na wszystko jakoś mi ręk starczy, — rzekła Marysia. — Jużem się wypróbowała i obmyśliłam jak to będzie.

Tu zaczęła rozpowiadać im, jak ułożyła życie i godziny dniowe: a kobiety zamilkły znowu z wielkiego podziwienia.

— Krzyż z nami! — powtarzały — krzyż z nami! A to cudowisko ta dziewczyna: schodzić się do niej a słuchać, patrzeć a dziwować!

Pobyły tak chwilę u Marysi i nie śmiały nawet w końcu wystąpić już z małym datkiem, który dla niej przyniosły; jak siedziały na ławie, tak po za siebie zasunęły co miały w fartuchach, i posiedziawszy jeszcze, pożegnały Marysię, ciekawe o niej wiadomości niosąc na wioskę.

Poszła z niemi wieść po całych Stawiskach o Marysi cygance; z kim się spotkały, każdemu rozpowiadały o dziewczynie i nagadać się o niej nie mogły, tak, że w chatach, na dworskim, u dobrodziejów w plebanii i w karczmie, nie było słyhać tylko o niej. Nienawiść ku cyganowi i cyganiszce dawno już była przygasła i wyczerpała zubożeniem, ludzie o niej zapomnieli, a sierota wzbudziła teraz powszechną litość i zajęcie. To, co o niej Ratajowie i dwie baby rozpowiadały, obudzało ciekawość, a ludzie dziwy prawili o sierotce pustelnicy, która się stała podziwem Stawisk i okolicy, zaraz w pierwszych tygodniach po pogrzebie matki.

Nie można już było wątpić, że sobie dziewczynina da rady; przestał nawet Rataj spodziewać się, że się do nich schroni, i dziwiono się tylko, z kąd w młodej głowinie tyle się wzięło rozumu i ładu, a w sercu tyle odwagi.

Ze wsi gawęda o Marysi już nie po raz pierwszy doleciała do dworu; ale tu mniej na zubożonych ludziskach, pana otaczających, zrobiła wrażenia. Pan Adam znany nam ze swych szalów i z uczucia, jeszcze tu panował, ale dwór jego i on sam, po kilkunastu latach zmienił się wielce, przerobił do niepoznania. Widzieliśmy moralny stan tego nieszczęśliwego, któremu nie pozostawało chyba umrzeć, lub nowy jakiś wynaleźć żywioł opiekuńczy, coby go przy życiu utrzymał.

Znalazł się on choć nierychło.

Długą walką z rozpaczą i odrętwieniem przyszło okupić młodość zmarnowaną, a chwile ostatnie dogorywającego wieku namiętności, ciężkie były do przebycia. Pan Adam wił się jak gadzina w płomieniach, wyrывał, rzucał, myślał już o samobójstwie na które siły brakły; gdy Bóg niespodziewanie zesłał mu ratunek w najniespodziewańszém trafunkowém spotkaniu.

Jednego poranku, kiedy znudzony wychodził w ganek, sam dobrze nie wiedząc po co i dokąd idzie, spotkał go w progu dziwacznie odziany i na żebraka wyglądający człowieczyna.

Był to staruszek w siwój kapocie, krojem prawie zakonnym zrobionój, z różańcem u pasa, kijem w ręku, z siwą postrzyżoną brodą, łysy i bładny trupią białością choroby i wycieńczenia. Stał on wsparty na swoim koszturze u wschodków, złożywszy na nim ręce, w postawie pokornój i spokojnój.

Pan Adam, który unikał widoku nędzy ludzkiej, cofnął się zrazu do pokoju, ale gdy nie usłyszał ani słowa prośby, ani szmeru wyrazu z ust starca; gdy ten ani postawy, ani oblicza nie zmienił, zdziwiła go obojętność przybysza i zbliżył się ku niemu.

— A czego to chcesz? — zapytał.

— Suknia, wiek i twarz moja, powinna ci powiedzieć czego żądam...

Gospodarz rzucił z niechęcią zacerpniętą w kieszeni złotówkę, dodając prawie wzgardliwie — Idź z Bogiem.

Staruszek przyjął datek z pokorą i pozostał jak był w ganku, sparty na kiju.

— Czegoż jeszcze czekasz? — powtórzył zniecierpliwiony pan Adam.

— Nie czekam; chcę ci się przypatrzeć.

— Mnie?

— Tak jest... Tyś mnie nie poznał, a ja i twoich rodziców i ciebie panie Adamie dobrze znałem za młodu... Mój Boże! na jaką ci to nędzę zejść przyszło!

— Mnie! na nędzę! Coś ty za jeden? co to ma znaczyć? — zawołał obruszony gospodarz, z podbudzoną ciekawością zwracając się do żebraka.

— Ja jestem Józef Mniszewski... Ha! przypominasz mnie sobie przecie? Sąsiadowałem z rodzicami waściniemi!

— Jakto? ty! ty mógłbyś być Mniszewskim? I począł wpatrywać się w niego z podziwieniem wzrastającym co chwila, a powoli z rysów zmienionych, pamięć stworzyła obraz już starty, i pan Adam załamał ręce.

— Mniszewski! ty! w tym stanie!

— Jak widzisz! Miałem dwie wioski, byłem majątny, hulałem, świeciłem, żyłem... i chodzę z kijem po żebranie... A wiesz Adamie, żem dziś może szczęśliwszy niż byłem, a ty przy dostatku twoim, pono biedniejszy odemnie...

Pan Adam, który dobrze teraz przypomniał sobie i świetny swojego czasu dom Mniszewskich i zniknięcie potem zrujnowanego téj rodziny potomka, ujął za rękę staruszka, i rad że się rozbawi, wzruszony nieco wprowadził go do domu.

Tu stary rozpowiedział mu historię swojego życia, znane dzieje marnotrawstwa, które szczęściem nie do zguby, ale do upamiętania go przywiodło. Niepojętymibo drogami Bóg nas wiedzie ku sobie: jednych gościńcem cnotliwego żywota, drugich ścieżkami próby i występku, po których wielka, jak było przestępstwo, następuje pokuta. Tą drogą przyszedł Mniszewski do poznania co świat wart i jego szczęście, a co jest spokój boży, którego on dać nie może.

Zrujnowany, zniszczony na ciele i na duszy, leżał w szpitalu, gdy pierwsze ziarno poprawy spadło nań z ust Siostry Miłosierdzia, która go doglądała. Ten anioł szeptał nad nim pacierz pojąc go lekarstwem, co mu dać miało życie do pokuty; zachęcał do modlitwy, i bezbożnika uczynił pokutującym i pełnym skruchy — sługą bożym.

Mniszewski wyszedł ze szpitala o żebranie, udając się do miejsc świętych.

— Myślicie — rzekł do pana Adama — żem kiedy był szczęśliwszym, jak gdym wydziedziczony od świata, znalazł się z niepojętym duszy pokojem na drodze pielgrzymiej o kiju, z torbą na plecach? Nie! nigdym nawet tego spokoju, téj sercowej ciszy, téj pogody sumienia nie zaznał, jakich używać począłem rzekłszy się wszelkich ziemskich nadziei. Myślisz, że zazdroścę tobie lub komu z was tego bytu, który nie ma celu i wiedzie jak błędny manowiec do przepaści? Nie, nie! Zawędrowałem w te strony, aby jeszcze groby ojców odwiedzić, aby na nich zrzucić ostatnią myśl i żal grzeszny za przeszłością... Idę znów w świat z modlitwą, z uśmiechem, spokojem...

Tak mówił Mniszewski, a mowa jego dziwne i głębokie zrobiła wrażenie na panu Adamie. Wybiła dlań godzina zmiany, a ręka żebraka przyspieszyła jój przyjsie i wykreśliła kierunek.

Zadumał się wynędzniony zużyciem rozpustnik i próżniak; a że był przywykł do gwałtownych uczuć i wybuchów, gwałtownie téż i namiętnie zwrócił się ku zapomnianemu Bogu.

W rok potem poznać nie było można pana Adama, na którego jak na cudowisko spoglądali ludzie. Nieszczęściem, poprawa jego nie była ani zupełną, ani czystą; byłato tylko zmiana drogi i nadzieja, że po téj którą szedł, do prawdziwej trafić może. Pan Adam stał się ascetą, pobożnym, ale fanatykiem.

Życie czynne odrzucił zupełnie od siebie, i uznał się do niego nie obowiązany; całe dni mówił tylko pacierze, całe tygodnie pościł, krzyżem leżał w kościele, dyscyplinował się niemiłosiernie, kładł włosienicę, odział w pasek kołący, i na tychto praktykach, dobrych gdy niemi duch czysty kieruje, zasadzał życia reformę.

Ale kładnąc włosienicę, nie rzucił pychy i egoizmu...

W sercu jego nie zrodziło się ani miłosierdzie, ani pokora chrześcijańska; nieprzystępny dla ludzi, srogi dla drugich jak dla siebie, nielitościwy w karceniu cudzych błędów, zdawał się tylko szukać chluby z fanatyzmu swego, jak dawniej wynosił rozpustą i niewiarą.

Gorszył skromnych swoją pobożnością teatralną, przesadzoną, dziwną, nieustannie popisującą się i wydymającą w oczach ludzkich; gorszył ich bardziej jeszcze, że wyznając

naukę Chrystusową, nie potrafił z żywego jęj źródła zaczerpnąć ducha miłości i pokory, ani jęj zastosować do życia.

W osobliwszy sposób skąpstwo jakieś przyplątało się razem do niego i zaczęło mu serce wyżerać. Stał się nieubłagany dla ludzi, panem srogim, i nie wiedząc, jak godząc w duszy pobożność z chciwością w obojgu założył razem cel wyczerpanego życia. Dwór w Stawisku, świadek scen szalonych, zmienił się w klasztor smutny, w więzienie nieznośne. Opuścił pan Adam mieszkalne pokoje, jedną sobie celę z ołtarzykiem ustroiwszy w obrazy, na ziemi w nięj śpiąc, czuwając zarazem u krzyża i kufierka! Na wytłómaczenie pozorne swojego postępowania, znalazł w głowie najdziksze sofizmata, któremi przed sumieniem swoim i spowiednikami się wykręcał.

Co roku stawiał nowe krzyże, chodził pieszo do miejsc świętych, pościł nowenny o chlebie i wodzie do mdłości prawie, adwent i post czterdziestodniowy suszył cały; ale ubożego zbywał miłosierdziem boskiem, a wieśniaków katował bez litości.

W takim więc dworze, dziś jak pan sam nie pojmującym miłosierdzia, i w chłodném, zasklepieném spełnianiu praktyk powierzchownych, Marysia opiekunów znaleźć nie mogła; a panu o nięj nikt się i powiedzieć nie ośmielił. Ekonom pokiwał głową, poszedł zobaczyć co się tam dzieje, i zostawił sierotę na ojcowiznie, co już wielką było łaską...

Jednęj niedzieli, rano zbudziwszy się, gdy wyszła Marysia na grób matki popatrzeć, usłyszała dzwony cerkiewne donośnym głosem lud wzywające na nabożeństwo; i tknęło ją pójść z innemi się pomodlić.

— Ot! odzieję się i pójdę — rzekła do siebie — dobrze się z Bogiem zobaczyć! jednak dziś i tak robić nic nie będę!

Jak pomyślała tak zrobiła; umyła się, zaciesała, dobyła białęj koszuli i fartuszka od świętęgo, wzięła białą sukmankę i buciki dawno nietykane, które jęj matka za ostatni grosz sprawiła, i tak przystrojona ubogo, ale chędogo, zaparłszy chatkę, spuściła się parowem ku wiosce.

Ślicznież jęj było w tém świąteczném ubraniu z jęj twarzyczką pełną życia, ognia i pojętności! Jakiś wdzięk nieuczony towarzyszył każdemu jęj ruchowi: prosta sukmanka zręcznie na nięj leżała, chustynka twarz osłaniała zawieszona kształtnie, tak, że nie na sierotę cygankę, ale na dziecię zamożnego gospodarza wyglądała Marysia.

Gdy weszła w ulicę, a ludzie ją zobaczyli, wszystkich się oczy zwróciły na nią: poczęto ją sobie pokazywać palcami. Marysia zarumieniła się, przyspieszyła kroku; myślała że uciecze, ale zdaleka ścigano ją oczami i oznakami podziwienienia, a dziewczęta i chłopaki jęj lat, aż pobiegli za nią.

Marysia choć żyła samotnie, dziką nie była wcale; owszem śmiałości jęj nie brakło, i po pierwszém zakłopotaniu, przyszła zaraz do siebie, opamiętała się, zwolniła kroku. Aż na cmentarz szli za nią ciekawi. Tu czekając na nabożeństwo, jak to pospolicie bywa, caluteńka stała i siedziała gromada w odświętnych strojach, gwarząc, śmiejąc się, kupiąc w gronka dla rozmowy. Była tu i Sołoducha, i stary Rataj śpiewający wielkim głosem pieśń o poczajowskim obrazie; i Maxymicha, i Filipicha, i dwaj bracia Motruny i stara poważna Semenycha Biłykowa.

Zaledwie się dziewczętko pokazało we wrotach, wszyscy znajomi do nięj przybiegli z pobudzoną ciekawością; a widząc twarzyczkę rumianą, odzież porządną i dziecię jaśniejące wdziękami, jeszcze się więcej zdziwili. Ten i ów badać ją począł, dzieci do zabawy wyzywały, dziewczęta poprawiały na nięj pasek kraśny, świtkę i chustynkę, dziwiąc się jak tak do twarzy sama ubrać się potrafiła. Co tam było szęptów, co gwaru, co spojrzeń i pytań! Stare baby zdala ją wzrokiem mierzyły, a jedna z nich odwiódłszy Sołoduchę na stronę, bardzo cicho odezwała się do nięj:

— Czy widzicie?

— A co matuniu?

— A Maryś cygankę?

— Widzę, widzę! A cóż dziewczynina przystojna, niczego!

— I jak! i jak! — poczęła baba kręcąc głową — to coś w tém jest!

— A cóż ma być? — spytała Sołoducha.

— Ot ja wam powiem co myślę; żyłam na świecie nie od dziś, widziałam wiele: czarowniki cygany, oj! czarowniki! Niechby tak które z dzieci naszych zostało same; do trzech dniby przepadło... To diabelska w tém sprawa.

— A! porzuciłabyś kumo! *Hde Rim! hde Krim! hde Babińska korcзма!*

— Czeka! czeka! nieraz ja o podobnych rzeczach słyszałam! Motruna była charakternica; zawsze miała słysząc mleko, choć krowy nie było; mąż jój był charakternik, to wszyscy wiedzą, że *zły* mu pomagał nocami do budowania chaty... Oni pewnie upiorami być muszą i do swojej Doni wracają, żeby na nią naglądać, odziewać ją i karmić. Już mi wiercie, to nie może być inaczej.

Słowa te wymówione z powagą, przekonaniem, z uroczyością tajemniczą, głębokie na Sołodusze nawet uczyniły wrażenie: obejrzała się na Marysię, ruszyła tylko ramionami i zamilkła.

— No, no! patrzajcie tylko — dodała baba — taż to włoski jak wylizane, bielizna jakby marcowym śniegiem bielona, i bucik, i pasik, i guzik u koszuli harny, jakby nie przymierzając u gospodarskiego dziecka. Zkądże się jój to bierze? z nieba spadło? Albo to czy głód, czy biedę znać na jój twarzyczce?... Ja moją mlekiem poję, a tak mi nie wygląda. To nieczysta sprawa!!

Zgromadziło się było i więcej kobiet do koła Sołoduchy i domyślnej owój staruszki, podsłuchując ich rozmowy: a że nic się prędczej ludzi nie czepia jak myśl najdziksza śmiało im rzucona w oczy, tak zaraz uwierzyli w upiorów, że w drugim końcu cmentarza rozpowiadać już zaczęto, jakoby Sołoducha z Martynichą, widziały oczyma własnymi Motrunę występującą z mogiły, przekradającą się do chaty córki, muskającą jój włosy i razem z nią przędzącą w nocy na motki najemne.

Do tych dziwów każdy coś swojego dorzucił, i téjże niedzieli ułożyli sobie bajkę, którą wieczorem rozpowiadano po całej wsi za najprawdziwszą prawdę.

Nie wiedziała Marysia, dlaczego gdy wychodziła z cerkwi, już nikt się tak do niej nie garnął, nikt za nią nie śpieszył: dzieci pozostały, tchórzliwe z ukosa spoglądając za odchodzącą, kobiety się poodwracały, i sama wyszła ze cmentarza powoli, smutno wracając do domu.

A że nie było co robić dnia tego, i roboty już szukać musiała; po drodze przyszło jój na myśl wstąpić do Semenychy, która ją z cerkwi wyprowadziła.

Semenychę zastała już zdejmującą z głowy namitkę i odpoczywającą na ławie, czegoś markotną i zamyśloną.

Byłato żona najbogatszego we wsi gospodarza, matrona poważna, władająca całą chatą, mężem i licznym rodzeństwem, słuchającą ją z uszanowaniem, okryta już siwizną i zmarszczkami; kobieta dobra, pracowita, ale jak drugie, przesądna. Plotka rozsiana na cmentarzu o upiorach nieprzyjemne na niej i głębokie uczyniła wrażenie; nie miło jój było pomyśleć, że motki jój jakaś nieczysta siła prząść pomagała, motki przeznaczone na płótno, na ręczniki może weselne dla ukochanych córek.

Z wejrzenia na nią poznała Marysia, że ją coś nie tak dobrém jak zwykle sercem przyjmuje; stała się więc pokorniejszą jeszcze. Pocałowała w rękę staruszkę; i stanęła u progu milcząca, Boga prosząc, żeby jój Semenycha nie odmówiła roboty.

Stara wciąż jeszcze rozwiązywała sztucznie na głowie zaplątaną wedle tradycyjnej formy namitkę, spoglądając z pod brwi siwych na dziewczę w pokorze i milczeniu stojące sobie zdaleka.

— A co tam chcecie Marys? — odezwała się nareszcie.

— A cóż, matuniu... roboty! jak zawsze, dla miłości Bożej jak jałmużny... Gdybyście wy nie litowali się nad sierotą, mogłoby jój chleba zabraknąć.

— Roboty! — powtórzyła Semenycha wciąż zakłopotana i pochmurna — dobrze ci mówić, a tu może i przędziwa w chacie nie ma.

— A! krzyż Pański! U was matuniu — poczęło dziewczę — u takiej gospodyni jak wy, taż to pełne bodnie lnu białego jak śnieg!

Semenycha polechtana uśmiechnęła się nieznacznie.

— Choćby i był, choćby i był! — rzekła — niechaj swoje przędą: czego mają siedzieć z założonemi rękoma i Kasia i Paraska i dziewczyna najmitka!

— A mnieżto nic się już, ani ździebełka nie dostanie? — spytała sierotka pocichu, głosem tak użalenia i głębokiej boleści pełnym, że Semenycha uczuła się wzruszoną.

— Dawniej byliście dla nas litościwsi — dodała dziewczynka — a terazbyście mieli opuścić mnie, gdy i matki nie stało? E! to nie może być! Serce wasze matuniu nie pozwoli na to; a cóżem ja winna, żem nieszczęśliwa.

Semenycha wstała z ławy, coś poprawiła u ognia, poczęła się przechadzać i namyślać.

— Kiedyżboto — odrzekła po chwili — ludzie na ciebie niewiedzieć co wymyślają: mówią, żeście rodem czarownicy... charakternice... lichy wie co; że nieczysta siła wam przędzie...

Marysia przeżegnała się na wzmiankę o sile nieczystej i z przestachem uderzyła w rączki.

— A mój Boże! — zawołała — któż mógł, kto śmiał taką krzywdę wyrządzić sierocie? Wszak widzieli mnie w cerkwi, wszak się żegnam i modlę jak drudzy, a cóżem ja komu zrobiła złego?

I rozplakała się nieboga.

Semenycha dobra i litościwa była w gruncie serca: żal się jej zrobiło dziewczęcia, lży ją te poruszyły, odwróciła się do niej machając ręką:

— Cyt! cyt! — rzekła — ot! widzicie co to ludzie plotą. At! im byle gadać tylko; ja temu nie wierzę, nie wierzę! Nie lubili ojca, nie lubili matki, i tobieby szkodzić radzi... Ja ci to tylko powiadam, żebyś wiedziała co robić dalej... Póki tak siedzieć będziesz sama jedna za oczyma, pleść i wypłatać nie przestaną; im to dziw, że sobie rady dajesz, a drugiemu i zazdrość, żeś do ludzi podobna, że koło ciebie porządnie...

Marysia wciąż płakała, a Semenycha tuliła ją jak mogła: nareszcie sama odstawiła garnek od ognia, dostała miski i łyżki, i nabrawszy stawy posadziła sierotkę za stół do jedzenia, gładząc ją po głowie.

Ta dobroć staruchy ułagodziła cierpienie Marysi, a wnet i rozpytywać poczęła Semenycha o drobne szczegóły jej życia, o chatę, o gospodarstwo, i dziewczę rozgadało się powoli, ocierając lży ciekące jeszcze po twarzy.

Poczęli się schodzić i inni z nabożeństwa; Kasia, Paraska, parobcy, mąż Semenychy, zięciowie i wszyscy kołem ciekawym otoczyli cyganek, która im życie swoje, prace i utrapienia opowiadać zaczęła.

Po godzinie rozmowy tak ich ujęło dziewczę pełnym prostoty i szczerości opowiadaniem swoim, że czém kto mógł i miał, starał się odchodzącej dopomódz. Dano jej chleba, kaszy, séra, okrasy, potrosze się na nią składając jak na macoszyne dziecko; a Semenycha płacząc za lży, których nieważne jej słowo było przyczyną, nietylko dała robotę, ale darowała jeszcze kurkę, która się niosła, obszernie wyuczywszy Marysię, jak ma sobie z nią i spodziewanym potomstwem postąpić.

Ucałowawszy rękę staruchy, uszczęśliwiona sierota, pełna najświetniejszych nadziei, pośpieszyła do pustego swojego kątku, niosąc na rękach maluczkie, ale drogie dla siebie dary.

Tak rozpoczynało się to dziwne życie sieroty, która na bożym świecie prócz słabych rąk dwojga i odwagi wielkiej, a raczej nieświadomości świata, nic więcej nie miała. Ludzie spoglądali na nią jak na cudowisko jakieś, jak na coś niebywałego, jakby patrzyli na wcieloną bajkę o złotej jabłoni, lub źródle grającym: jedni z podnieconą ciekawością, drudzy szukając tłumaczenia tajemnicy w czarach i upiorach. Plotka wszakże utworzona na cmentarzu krążyła jakiś czas tylko po wiosce, i choć całkiem nigdy się zbić nie dała, ale rozsądniejsi ludzie, bliżej się przypatrując Marysi, śmiać się z niej w krótkie poczęli. Zresztą stara Semenycha przyjazna dla pracowitego dziecka, gotowego zawsze na jej posługę; Sołoducha czująca się do obowiązku opieki nad nią; Rataj, który się do niej co chwila więcej przywiązywał, w ostatku nawet chata braci Motruny: zdaleka czuwali po trosze nad Marysią.

Zmuszona przemyślać nad tem, jakby sobie sama rady dać potrafiła, sierota dokazywała cudów, i istotnie duch jakiś dobry zdawał się jej szeptać co czynić miała.

Całym jej utrzymaniem były motki, które i dla Semenychy i dla drugich przędła, co dzień więcej nabierając w to wprawy; znalazła przytém czas na wszystko. Rankami i wieczorami nigdy nie zapomniiała uprzątnąć około chatki, wewnątrz uporządkować, przynieść sobie świeżej wody, dla kurki coś posypać, żeby się miała czém bawić i powi-

tać swoich starych dobrych znajomych: wróble z pod strzechy, jaskółki które z wiosną powróciły, fertyczne sroczki krzyczące na drodze, i cały ten zwierzęcy świat, który jęj pustkę ożywia.

Z wiosną nawet, gdy się ziemia ogrzała i oschła domyśliła się, że za lepianką na wązkim pasku ziemi, okopanym granicą jęj posiadłości, a dawniej chwastami zarosłym, mogło się kilka grządek pomieścić. Jednej niedzieli poszła po radę do Sołoduchy, coby to tam posiać można. Baba ruszyła ramionami i pokręciła głową na tę dziewczęciami ochotę do pracy, ale wynalazła jęj stary jakiś rydelek za piecem, i opatrzyła w wysadki ze swego rozsadnika i trochę kartofli.

Jak zmierzch więc, a prząść w chacie nie było można, Marysia wybiegała na ogródek, składający się z maluczkiego gliniastęj ziemi okrawka, i kopała, przekopywała, sadziła, podlęwała, ciesząc się, gdy Pan Bóg pracy widocznie błogosławić począł, a zielone listki ciekawemi główkami wyskoczyły po nad czarną grzędą.

Kurka się jęj także nieźle powiodła; bo sama, nie proszona prawie wysławszy sobie gniazdko, wysiedziała dziesiątek pociesznych żółtych kurczątek. Z powodu tego niespodziewanego przybytku, Marysia cały dzień straciła, bo jak tylko wyszły na świat pisklęta, pobiegła przestraszona do Semenychy uczyć się na nowo co robić z niemi, i jak tu je hodować. Aleć to nie wielkiej potrzeba było mądrości, i troskliwie pielęgnowane kurczęta, szczęśliwie się jęj powiodły; jedno tylko sroka jakaś niepocziwa schwyciła w oczach pani, za co Marysia poprzysięgła wiekuistą krzykliwemu jęj rodowi nienawiść.

Z wiosną, z zielenią i ciepłem, lżejsze i weselsze coraz stawało się życie; Marysia mogła usiąść przed chatą na starym kłocu obrąbanym i prząść do zmroku na podwórzu, przypatrząc się ptaszętom, lub smętnie spoglądając na zielone grobowiska cmentarza. Nieraz nawet z kądziolką w ręku przechodziła przez drogę na mogilnik, siadała u matczynego grobu, i tam pod okiem macierzy, spędzała długie godziny, zadumana nad jednostajną pracą swoją.

Dzień po dniu schodziły jęj szybko, jednakie, zajęte i do siebie jak siostry podobne. Potrzeby urządziły je w sposób jednostajny i niezmienny, przypadek tylko cokolwiek porządek ich mieszał.

Jak świt, na brzask zrywała się Marysia z pościółki i roznieciwszy trochę ognia, biegła do krynicy po swoje wody wiaderko; potem potrzeba było nim się rozwidniło lepiej umieść chatę, sień, a poprzątnąć nawet przed progiem: tu podeprzeć, tam zalepić, owdzie przytknąć dziurę, bo dziewczę troskało się bardzo o ład i porządek w swojej chatynce. Ledwie co zjadłszy, siadała z kądzielą, albo przed swoją lepianką, albo u mogiły pod starą wierzbą, na której pełno wróbli i różnego drobnego ptastwa, które się jęj wcale nie obawiając szczebiotały nad głową sieroty. W słotę tylko, wicher i burzę, zamykać się musiała w chacie, spoglądając przez okienko co się działo na dworze i czekając roz pogodzenia. Drugi raz we dniu ranném jadłem odegrzaném posiliwszy się, spoczawszy trochę i pobawiwszy się ze swoją kur gromadką, znów wracała do przańnicy i pracowała do mroku... Szła potem na ogródek, związała się w izbie, i tak krzątając się do nocy, zasypiała snem głębokim pracowitych, który zawsze w porę przychodził na jęj powieki.

Ktokolwiek mijał cmentarz i lepiankę cygana, nie mógł przejść tędy, żeby nie stanął i nie popatrzał, a nie podziwił się dziewczeczce, która każdego witała wesołym uśmiechem i dobrém słowem.

Co dni kilka Sołoducha lub Rataj sami odwiedzali Marysię; już nawet przestawczy ją namawiać, aby do nich przeszła, bo się przekonali, że bez nich obejść się potrafi. Nie pomagali też jęj wiele, a kawałek chleba lub trochę stawy, dar dla nięj znaczny, im wcale nie ciążył.

Co w początku zdawało się niepodobieństwem, cudem i dziwném dla wioski, to wkrótce, gdy się z tém oswojono, pospolitą stało się gadką, a radzi nie radzi wszyscy uznać musieli, że takiego dziecka jak Marysia nie było drugiego na okolicę. Jęj kądziel, ogródek, kury, przechadzki na mogilnik, na którym najczęściej ją w dniu pogodne widywano, stały się ulubionym przedmiotem rozmów na wieczornicach i doświtkach: a nie jeden dzieciom ją swoim dawał za przykład do naśladowania.

Tak przeszła wiosna, tak lato i jesień, i zbliżyła się zima, straszna zima; ale Marysię znalazła wcześniej już przygotowaną, bo sionki miała drewek pełne, piec wylepiony na nowo, chatkę okrytą i otuloną dokoła, a w bodniach choć niewielkie, na złą godzinę zapasy.

Rataj sprawił ję nowe buciki, których już potrzebowała i do wyjścia i do prania na wodę; Sołoducha darowała kozuszyne, a gdy śnieg, pierwszy zwiastun śmierci chwilowej ziemi, upadł na skostniałe pola, Marysia powitała go z dziecięcym uśmiechem, nie obawiając się klęsk, które mógł prowadzić za sobą, stękając tylko, że dni coraz robiły się krótsze.

O! lecą lata, lecą! Czy popatrzyś na człowieka, czy na ludzkość, czy na dzieła rąk naszych, jak igła zegarowa wszystko wskazuje znikomość i przelotność pokoleń; kamień tylko posiwiły w sto lat ledwie mchem porasta, ale i on w proch się sypie od spodu i na nim mchy kopią niedojrzałe dolki starości...

Dziewczę utworzywszy sobie życie, które było zdumieniem otaczających ją ludzi, rosło niepostrzeżenie pod ubogą strzechą, i wyrastało z każdym dniem na śliczną istotę, jakby cudem zrodzoną i dojrzałą w pośród grobów na pustkowiu i odludziu. Krew cygańska nie odbiła się rysy plemiennymi w ję rysach wdzięcznych i pełnych życia, ale im nadała tylko ogień niewidziany w pośród pospolitego, zamęczonego pracą ludu naszego. Rodzaj ten życia choć zajętego ale odosobnionego, samotnego i zasiedziałego, wpłynął może nie tylko na rozwinięcie ję piękności, ale i na ukształtowanie się umysłu, wybujałego wyobraźnią i rozrosłego marzeniem, zmuszona karmić się tém tylko, co ję oczy do duszy ze świata milczącego przyniosły, utworami własnej głowy, ciągłym odgadywaniem wszystkich świata tajemnic, rzadko stykając się z ludźmi utworzyła w sobie i wykołysała świat jakiś odrębny, do zwyczajnego niepodobny, wytłómaczony z niewidzialnej dla innych strony, piękny, smętny, zaczarowany, pełen zjawisk, duchów i cudów.

To pojęcie tego, co tylko z widzenia i dumań znała, malowało się w pięknych ję rysach, ożywionych duszą ognistą, omglonych zarazem smutkiem sieroctwa i uśmiechniętych weselem bezbronnej nieświadomości.

Przestano dziwić się sposobowi ję życia, które zdało się zrazu niepodobieństwem, a okazało, że silna wola z pomocą Bożą podoła i najzawikłańszymi trudnościami; i dziwiono się tylko wdziękowi, w który codzien rosła bujniej, rozkwitając na czarowną dziewczkę, o jakiej wieśniak z pieśni chyba lub podania, z najrzanęj gdzieś z daleka postaci mógł roić. Było w niej coś tak szlachetnego, pańskiego, wielkiego, że mimo ubóstwa swego, wzbudzała we wszystkich uczucie uszanowania, prawie bojaźni. Starzy wskazywali ją za wzór młodym, młodzi przypatrywali się ję jak wyjątkowemu zjawisku, a chłopcy wiejscy wcześniej poczuli szalęć za piękną Marysią.

Kiedy teraz szła do cerkwi w niedzielę, albo na tlokę do żniwa, bo ją zaprzężono do jakichś dni odrobku za chatę i ogródek przez nią zajmowany, hurmem za nią ciągnęła młodzież, zaczepiając słowami, uśmiechem, ukłonami, choć bojaźliwie i zdaleka. Marysia dla wszystkich była grzeczna, ale nie poufała się łatwo prócz ze starymi. Jakiś instynkt zachowawczy czynił ją nieśmiałą, tchórzliwą, nie swoją w pośród mężczyzn i młodzieży.

Nie uczęszczała wcale na zabawy, do karczmy nigdy na tańce, ani do dworu na wiejskie przyjęcia; najczęściej kręciła się koło swojej chaty.

A choć w tak ciężkiem położeniu, choć tak bardzo sama, w ciągu lat kilku nie doświadczyła ani jednej przeciwności, ani najmniejszej klęski, a wiodło ję się w najosobliwszy sposób. Czego dotknęła się, rosło, udawało się, mnożyło, ożywiało, szło, jak to powiadają, ręką. Lud, który może nie bez pewnej słuszności w pomyślnościach ziemskich widzi zawsze skutek nieczystej siły, przypisujący powodzenie to skradzionemu groszowi, to innym tego rodzaju talizmanom i w tém szczęściu sieroty domyślał się zawsze potrosze pomocy upiorów, posilku duchów czarownych, i nierychło dopiero, gdy nic nie potwierdziło domysłu, wpadać począł na tajemnicę pracy i błogosławieństwa bożego.

Wzrósł ztąd szacunek dla Marysi, którą niewidzialna jakaś opieka zdawała się swym płaszczem okrywać. Nigdy w ję chatce niezamkniętej, stojącej wiecznie otworem, nigdy w ogródku nieogrodzonym, nie było najmniejszej szkody: grób matki, cmentarzysko strzegło lepianki ubogiej.

W skwarne dni lata, dziewczę jak mogło, z obowiązków gościnności wywiązywało się przechodzącym i przejeżdżającym mimo cmentarza; stało zawsze w sieni wiadro ze świeżą wodą i czysty czerpaczek, a wieśniacy wiedzieli o Marysiniej wodzie, i rzadko kto jadąc z miasta minął chatę, żeby się ję nie napił, zostawując podziękę: Bóg zapłać jakie, lub drobny podarek.

Z latami upływającymi nic się tu prawie nie odmieniło: tryb życia mocniej się jeszcze, stałej, niezmienniej urządził, praca szła codzien łatwiej; a sierota powoli oddychać zaczęła,

na złe dni, na czarną godzinę uciulawszy już nawet trochę grosza, trochę chleba i chust trochę.

Zawsze w pogodę wychodziła na cmentarz pod wierzbę na mogiłę, i siadała tam nagładając na chatkę, a niekiedy słabym głosem nucąc jakąś piosenkę przybłąkaną ze wspomnieniami matki.

Owa chatka, której budowę widzieliśmy w początkach naszej powieści, bardzo się już pochyliła ku ziemi i zmieniła z lat upływem.

Inaczej być nie mogło.

Sklecona na prędcze z surowego i lichego materiału, nieumiejętnie, trzymała się łaską bożą, cudem, a może mchami i grzybami, które pogniłe jej części kleiły. Ściany pomimo obmazywania gliną, dziur miały nieuleczonych mnóstwo; prócz tego tak się były zasunęły w ziemię, że okienko już niemal na równi było z poziomem, a do drzwi odkopywać musiano wnijsć i dobrze się w nich nachylać.

Dach murawą ponaprawiany, zgnieciony jej ciężarem, cały w garbach, zazieleniał od mchu i trawy, wydawał się jak pagórek, i gdyby nie osmolony komin, co wśród niego sterczał, trudnoby było poznać że ludzkie mieszkanie pokrywał. Pomimo to, zewnątrz i wewnątrz czyściuchno było, schludnie i miło, bo wszędzie widać rękę staranną. Marysię otaczało już teraz wielkie i bogate gospodarstwo: kilkanaście gołębi, całe kur rozrodzonych stado, kilka gęsi bałamutek, po które co dzień na staw chodzić było potrzeba, gdy się zadurzyły z sąsiadkami wiejskimi; a w dodatku byli i przyjaciele domowi: kot szary i psiak bury.

Historia tych dwóch stworzeń dość była ciekawa; pierwszego z nich utopionego już, Marysia wyratowała ze stawu, oddechowała i wyhodowała; a drugi przybłąkał się jej nie wiedzieć zkąd i jak. Znalazła go jednego wieczora siedzącego przed progiem z miną bardzo spokojnego, jakby się tam urodził; gdy podeszła ku niemu, od razu ją jak panią powitał, polizal po rękę i wszedł za nią do chaty, niezbyt nawet ciekawie wachając po kątach, jak stary znajomy.

Wprawdzie zjadłszy kawał suchara, napiwszy się wody, zwinąwszy się w kłębek i zasnąwszy twardo, gdy się ów przybłąka nazajutrz rano przebudził, zdawał się być chwilę niespokojny; ale trzeciego dnia ani znaku już nie było tęsknicy po dawnym panu.

Marysia rada była gościowi, który wkrótce wziął się gorliwie do naszczekiwania po nocach około chaty: był bowiem z tego plemienia stróżliwego, co to zasypia we dnie, a jak mrok wstaje, poczuwając się do obowiązku wartowania, niespokojnie ujadając na najmniejszy nawet szelest wiatru przelatującego powietrza. Marysia obawiała się w początku, żeby z drugim jej wychowancem, Burkiem odratowanym z topieli, a potrzebnym przeciwko myszom sprzymierzeńcem, nie było wojny zaciętej i nieustannych zatargów.

Pies, którego zaraz nazwała Sierotką, najrzawszy kotka na piecu się wygrzewającego, doznał wprawdzie w początku niemiłego wzruszenia: spał się ku niemu na łapy, począł wachać, i zaburczał nieukontentowany; Burek podniósł łapy, pokazał pazury i parę razy plunął mu w oczy zdaleka jakby mówił: — odczep się odemnie; ale gdy Marysia głaszcząc psa, ofuknęła się na niego i odpędziła go od kota, zagrożiwszy mu słowami, których się słuchać zdawał i usiłował zrozumieć: pokój stanął pomiędzy domownikami. Sierotka już więcej nie zaczepiał Burka, owszem udawał przez politykę że go nie widzi, zamykał oczy na nadużycia jego względem garnków, ustępował mu z drogi niby niechcący, i okazywał się pełnym usposobień najbardziej pokojem tchnących. Burek ze swjej strony, pomimo dosyć opryskliwego charakteru, umiał się poznać na tém i unikał powodów do zwady. Trzymał się bowiem zawsze wyższych sfer chaty, ław, stołów, pieca, przypiecka, jak najrzadziej i bez ważnych powodów nie schodząc na podłogę, którą zostawił Sierotce. Po jakimś czasie nawet, pies i kot obywuszy się z sobą, kilka razy przechodząc się powąchali, spotkali bez oznak gniewu, co niezmiernie ucieszyło Marysię; a kot, który o wiele był śmielszy i bardziej przedsiębiorczy, wkrótce odważył się przechadzać pod samym nosem Sierotki; nareszcie, gdy ten raz spał pod piecem, położył mu się na grzbiecie.

Pies zdawał się niezmiernie jakoś zdziwiony; głowę podniósł, popatrzał, zdawał się mówić: — większa poufalość niż znajomość; ale widząc, że kot ani się rusza, położył się spokojnie, i odtąd żyli z sobą w najściślejszych stosunkach. Kot tylko jako słabszy, jako złośliwszy co za tém idzie, korzystał z téj wygranej i wcale już nie oszczędzał towarzy-

sza, rachując na wyprobowaną łagodność jego charakteru. Odjadał go, wylegał mu się na grzbiecie, a czasem bił go po pyskach, obmyśliwszy tylko do rejterady miejsce na wypadek wybuchu ze strony Sierotki; ale Sierotka w najgorszym razie pokazywał mu tylko dwa ślicznych białych zębów rzędy, i burknawszy a odpędziwszy natręta, z głębokim westchnieniem ucisku, kładł się spać na swoim miejscu.

Gdy Marysia wychodziła z chaty, pies towarzyszył jej wszędzie i zawsze; nawet na wieś, kędy go napadały psy, ze wszystkich podwórzy, wśród których z podkulonym ogonem, z najeżoną na grzbiecie sierścią, defilować musiał coraz to im zęby pokazując. Kot zaś do progu tylko dochodził, powracał nazad i chaty z garnkami pilnował.

Sierotka nie odstępując swojej pani, leżał u nóg jej na mogile gdy przędła, siedł za nią na wieś, choć go to wiele kosztowało, a w nocy choćby mróz był największy, nie folgując sobie, wywdzięczał się szczekaniem za strawę. A tak sobie zawsze umiał dawać radę, że gdy go podchodzące wilki ściagały, wlaził na dach, i zamtąd bezpieczny przyparłszy się do komina, ogromną wrzawą ich odpędzał.

Taki był skład dworu Marysi, która towarzyszów swej doli i karmiła, i pilnowała, i niemal jak ludzi tuliła pod swoją opiekę; począwszy bowiem od gołębi do głupich gęsi i rozumnego Sierotki, do wszystkich stworzeń tych mówiła słowy, których do ludzi użyć nie mogła; rozmawiała z niemi, klóciła się, radziła, gniewała, chwaliła, zachęcała... Jeden pies tylko zdawał się to rozumieć, kot bowiem choć dość zły i opryskliwy, obojętny był, ospały i gadać do niego, było to groch rzucać na ścianę; ptastwo zaś, głos jeden, jedno wołanie, na które przywykło się zlatywać, pojmowało.

Sierotka był niepospolicie rozumny, grzeczny i domyślny piesek. Uważała Marysia nieraz, że w przyjęciu przychodzących ludzi robił wyraźny, rozmyślny wybór form grzeczności: jednych witał milczkiem nie wstając ze swego miejsca, innych machając ogonem, łaszcząc się i przysiadając, innych wachając za niemi powietrze, a niektórych burcząc zdaleka, lub ujadając złośliwie i uparcie, jakby miał ochotę ich pożreć. Najnienawistniejszych szarpał za suknię, ale nie kąsał nikogo.

Tych oznak przychylności i wstrętu oduczyc go nie było można; odwołany słuchał wprawdzie pani, ale drugą razą toż samo czynił co wprzódy. Miał w tym swoje widzimisię.

Było to jakoś latem: dzień skwarny kończył się jednym z tych wieczorów rzadkich u nas i wyjątkowych, bez chmur, bez wichru, pogodnym, cichym, złocistym, kroplistą rosą zwiastującą posuchę zwilżającym spragnione ziola i trawy. Marysia wróciwszy ze cmentarza ustawiła kądziolkę pod piecem, pogłaskała najeżonego burka, wzięła wiadro i miała schodzić do źródła, bo jej wody zabrakło, gdy tętent konia ją zatrzymał.

Drogą ku wiosce jechał ktoś śpiesznie na małym szpakowatym koniku, pogwizdując wesoło hulacką piosenkę. Marysia przez ciekawość wstrzymała się i stanawszy przypatrywać zaczęła. Wieczór był jasny jeszcze, a przejeżdżający ujrawszy dziewczętkę, zwolnił kroku, wlepił w nią oczy ciekawe i nawet gwizdać poprzestał. Był to młody chłopak z jasnymi włosy, skromnie, ale czysto odziany, wyglądający na leśniczego lub pisarza, z torbą myśliwską na plecach, w czarnych, długich po kolana butach, z harapnikiem przez plecy, w wiejskim kapeluszu słomianym na głowie. Na ogorzalej jego twarzy znać było jeszcze rumieniec młodości wytryskujący z pod opalenizny, i ciekawość gorącą, patrzącą z piwnych, pełnych ognia źrenic. Na ustach błąkał się uśmiech wesoły i zalotny. Koń pod nim związał się i niespokojny wyrwał, jakby zdradzał tym, że go nieco wstrzymano: znać nie przywykł był do powolnego chodu i zdradzał przez to charakter swojego pana żywy i czynny. Ubranie młodzika pomimo swój prostoty, z pewnym było uszyte staraniem, bo mu kibić giętką i szerokie ramiona dobrze rysowało.

On i ona zatrzymali się nieco spojrzawszy sobie niespodzianie w oczy; przejeżdżający zwolnił kroku siwemu, by dłużej na śliczne dziewczętko popatrzeć; ona się zacofała, sądząc, że może potrzebować... choćby kropli wody po znoju i dziennym upale. Ale chłopak słowem się nie odezwał, obrócił ku chacie, popatrzal, obejrzał na cmentarz, jeszcze raz na dziewczynę śmiałym rzucił okiem, konia śmignął i poleciał świszcząc wesołą piosenkę. Marysia powoli zeszła ku krynicy.

A schodząc, ję oko mimowolnie zwróciło się w stronę, którą gnał nieznajomy chłopak, żywo pędzący przez sioło na parszającym siwoszku. Jakoś miło ję było widzieć jak on koniem kierował, jak odważnie sadił przez groblę dziur pełną, jak się ze zwierzem borukał, gdy mu się ploszyło, i wychodził z walki zwycięzko. Piosnka jego wesoła i junacka mile się objęła o ję ucho; i zatęskniła prawie, gdy się skrył za domami, a szum kół młyńskich zagłuszył śpiewkę ochoczą...

Wrażenie tego spotkania trafunkowego nie zatarło się jak tyle innych; a choć Marysia ani próżnować, ani marzyć nie miała czasu; często przed ję oczyma przelatował ów jeździec na siwym koniku.

— Tfu maro! — zawołała nareszcie — a to jakieś nasłanie!... Czegóż ja o nim myślę!

Rozsmiała się sama z siebie, ruszyła ramionami i powróciła do pracy.

Nazajutrz rano, gdy zwyczajem swoim przed próg wyszła powitać ptaszęta, obejrząc gospodarstwo i okiem dać dzień dobry mogile; na widok pustego gościńca, przyszedł ję na myśl znowu wczorajszy podróżny, i ciemne jego oczy z pod słomianego kapelusza, tak ognistym patrzące wzrokiem.

— Któżby to był? — pomyślała — kto taki?

Ale nie znając ani okolicy, ani swojej wsi nawet, domyślić się nie mogła, i rzuciwszy pytanie z wiatrem, a na prędcę urządziwszy chatę, z Sierotką razem poszła na matczyną mogiłę prząść do południa, póki ję skwar z tamtąd nie spędził.

Pies, który już dobrze wiedział drogę codzienną, naszczekując i wesoło się zwijając, poprowadził ją do zielonego wzgóрка, u stóp którego Marysia na omszonym siadywała kamieniu, pod starą spróchniałą wierzbą.

Widok z tęg wyżyny sięgał daleko, i w istocie mógł samotnicę zabawić, bo przez obalony parkan i nizki wał, z pagórka całą wioskę jak na dłoni, i pola z drogami po za wsią, a w prawo jary, zarośla i bory widać było daleko. Choć ruch na gościńcu był mały, bo w tęg stronę niebardzo kto jeździł, prócz w dzień jarmarku do miasteczka, do którego bliższa wprawdzie, ale gorsza tęg prowadziła droga; za to oko zdala napaść się mogło ruchem okolicy i obrazem pracy ludzkiej. Co się działo we wsi, za wsią, na polach, we młyń, wszystko mogła ztąd rozeznąć Marysia; a czasem oko ję mimowoli chwycęta przechodzących, przejezdnych, i zgadywało łatwo, dokąd i po co dążyli, jaka tam ich myśl wiodła. Každy pług wychodzący na pole, každy wóz zbliżający się do młyń, každy radło rano lub leniwie wysuwające się na łan policzyć mogła sierota, a poznawała je po koniach, po bydłętach, po postawie przewodników.

Zaledwie nić poczęła wyciągać z kądzieli, gdy znowu tętent żywo lecącego konia ucho ję uderzył; oko się zwróciło na drogę, i chłopak na siwym koniku ukazał się odewsi na pagórku ku cmentarzowi jadący. Znowu on gonił żwawo, a siwek pod nim wyrwał się zasapany drapiąc ku górze... Dziewcęg śledziło okiem i konia i pana razem, niepostrzeżone dotąd, badając gdzie zmierzają oba. Chłopak zrównawszy się z chatką, przytrzymał zasapanego siwka i twarzą obrócił się ku lepiance, na którą pilnie poglądał; a widząc drzwi ję zaparte, już miał znowu konia zaciąć, gdy zwracając głowę, ujrzał po nad cmentarzem twarz Marysi siedzącej z kądzielą.

Przed nią zbudzony hałasem niezwykłym Sierotka, przednimi łapami wsparłszy się na wierzbę krzywą, burczał i naszczekiwał, choć widocznie wielkiej ku temu nie miał ochoty, ale czynił to z uczucia obowiązku raczej, niżeli z gniewu. Widać to było z tego, że wśród szczeku, wyrwało mu się kilka razy szerokie ziewnięcie.

Siwek już się był spiął i zerwał do galopa, gdy jeździec go powstrzymał i zdziwiony poczęł głowę potrząsać; a że nie wiedział może od czego począć z ładną dziewczyną rozhovor, zawołał:

— Hej! dziewczeczko! czy to wy może z tęg chaty?

— Z tęg chaty? a ja! a cóż?

— A cóż robicie na cmentarzu?

— To co zawsze: wyszłam prząść na grobie matki...

Chłopak zdziwiony ruszył ramionami.

— Dalibyście mi się wody napić?

— Ot zaraz poczekajcie!

I Marysia ruszyła się zostawując kądziolkę pod wierzbą, wybiegła z Sierotką razem, przeskoczyła drogę, otworzyła chatę, i kubek drewniany podała z uśmiechem nieznanemu.

Wszystkim jęj ruchom przypatrywał się młody chłopak z wyrazem nadzwyczajnego zajęcia, jak gdyby nie wierzył temu wdzięcznemu zjawisku, które miał przed oczyma.

Drżącą ręką wziął kubek, a niósł go do ust tak powolnie, jakby mu się nic pić nie chciało; siwek tymczasem nogą grzebał, a Sierotka wachając obchodził do koła przyjezdnego na psi sposób, starając się poznać nosem z kim miał do czynienia. Znać śledztwo jego nic złego nie okazało, bo wkrótce usiadł spokojnie, i począł tylko w oczy patrzeć podroźnemu!

— Patrzcie! — to w kubek, to na dziewczynę spoglądając rzekł chłopak — to wy tu mieszkacie??

— A cóż dziwnego mój panie?

— Naprzeciw cmentarza! — mruknął jeździec — a z wami kto? ojciec?

— Nie mam ojca...

— Matka?

— Nie mam matki — westchnęła Marysia...

— To służysz u kogo?

— Nie panie...

— A z kimże tu siedzisz?

— Ot tak, sama jedna!

Chłopak podniósł głowę zadziwiony, a oczy aż mu się zaiskrzyły.

— Jakto? sama jedna? A jakże to może być?

— Bom sierota — odezwała się pocichu Marysia...

Podroźny napił się wody z widocznym jakiéms roztagnieniem; znać było, że nie rozumiał wcale ani sieroctwa Marysi, ani jęj ustronnego mieszkania, a pytać już nie śmiał dalej. Pokiwał głową, popatrzał, a że siwek się zrywał do biegu, uśmiechnął się skinąwszy głową i jak strzała poleciał.

Sierotka, który dotąd siedział spokojnie, przerażony jak i pani jego, kopnął się za koniem szczekając zajadle; ale wkrótce powrócił nazad miarkując zapęd gwałtowny i starannie począł obchodzić ślady stóp konia, rozpatrując się w miejscu, z którego jeździec znikł tak prędko.

Marysia z nawpół wypróżnionym kubkiem stała długo, patrzała tęskno za uciekającym, i bardzo powoli wróciła zamyślona na matczyną mogiłę, dokąd jęj wierny psiak ze spuszczoną towarzyszył głową...

Wiele ludzi dnia tego przechodziło i przejeżdżało gościńcem, ale znajomi widząc sierotę na jęj zwykłym miejscu, wcale się nie dziwili: każdy kiwnął głową, pozdrowił ją i mijał.

Zrazu było to dziwowisko dla wszystkich, widzieć ją przedzającą na mogilniku: ale po latach kilku oswoili się z tém i z sierotą; zwali ją tylko często *dziewką ze cmentarza*, a choć ją pocichu stare baby o związku z duchami posądzały, nikt już temu wierzyć nie chciał.

Jeszcze był tuman pyłu wzniesiony kopytami siwego konika nie osiadł i nie rozwiął się w powietrzu, gdy pieśń grubym nucona głosem, dobrze znajomym dziewczynie, rozległa się pod cmentarzem. Po nięj Marysia poznała Rataja, a nawet domyślić się mogła że szedł wprost z karczmy, bo trzeźwy był milczący, a im więcej wychylił kieliszków, tém donońniejszym głosem pieśni pobożne wyśpiewywał.

Sierotka szczeknął tylko raz, jakby się oznajmywał ślepemu; nastawił uszy i umilkł.

— Aha! już Maryś na cmentarzu! — odezwał się Rataj — dobry dzień dziewczyno! Bóg tam z tobą, a co słyhać?

To mówiąc zręcznie zbliżył się do wnijscia i wsunąwszy się na cmentarz, przysiadł ocierając pot z czoła pomiędzy dwoma mogiłami.

— Nic ojciec nie słyhać — odpowiedziała dziewczyna — nic nowego!

— Ho! ho! kłamiesz cyganko! — śmiejąc się odparł mąż Sołoduchy — a kto tu wczoraj się przejeżdżał, a kto tu był dzisiaj?

Marysia zapłonila się jak wiśnia, i wrzeczono wypadło jęj z ręki.

— Któż miał być? kto?

— Na siwym koniku, hej! był ktoś, był! dziewczyno! A tęgi chłopiec; choć go oczy nie widziały, to go uszy zrozumiały.

— Jakże wy wiecie?

— Ale bo! Maryś! — krzyknął Rataj — Maryś cyganko, ślepy to zawsze więcej wie i lepiej widzi od tych, co oczy mają; już to tak w świecie zawsze... Wczoraj cię wieczorem napatrzył, a dziś tu się zatrzymać musiał... Ot lepiej sama przyznaj się staremu.

— A czemużbym przyznać się nie miała? — odpowiedziała Marysia — przed wami powiem wszystko. Ot jakto było: przejeżdżał wczorajszego wieczora chłopak jakiś koło chaty; no prawda... obejrzał się na mnie, a dziś znowu tędy jechał i o wodę prosił, tom mu jęj wyniosła; trochę popytał... A wy go znacie?

Rataj głową pokiwał milcząco.

— To i ja ci powiem jakto było — rzekł — bo nie z czém, tylko z przestrogą przyszedłem: młodemu jak ty kurczęciu, łatwo się dostać w szpony kobusie... ale bądź ostrożna.

Marysia drżąca i czerwona patrzyła w twarz starego, który powoli dobywszy z torby chleba i cebuli, tymczasem śniadał odpoczywając kawałem razowej kromki, natartym główką aromatycznego warzywa.

— Ten chłopak, toć ja go znam — mówił zajadając — to syn bogatego budnika z Rudni; kiedyś to byli szlachta... od tego Adama Choińskiego, co to wołami i wieprzami i zbożem handluje... a słyszę groszowity... Imię synowi Tomko; znają go na okolicę: dobry słyszę chłopiec, ale urwisowaty i za dziewczętami gotów czy w ogień, czy w wodę! Ojciec, choćby mu to doma chleba nie zabrakło, kazał służyć; a to od niedawna przyjął u nas miejsce leśniczego. Bardzo się nam z nim niebratać, bo to harde: czuje grosz w kieszeni i myśli, że wszystkiego za grosz dostanie, a jedynak u ojca. A szalawiła! szalawiła!! Szlachcianek i naszych dziewczek nabałamucił już dość.

Marysia słuchała i zżymnęła ramionami.

— A co dziwnego mój ojczu — rzekła hardo — że pobałamucił takie, które tylko wyglądały, żeby kto na nie palcem kiwnął.

— Zapewne, zapewne, ot i ta Kachna, Boże odpuść, zaczęła powiadają od parobczaka księdzowego, potem był ekonom z Wójtówki, a naostatku Tomko... Czysto kiedy szukała i znalazła... Ale to słyszę taki niebezpieczny chłopiec, bo i niczego, i tak się układa, że gotów przysiądz, że się ożeni; aby mu nieboraczątko w pole wywieść. Strzeżno się i ty, bo słyszę wczoraj w karczmie zajechawszy w wieczór mocno pytał zaraz, kto to w chatynce mieszka, co to za dziewczyna tam siedzi; a że mu ludzie nic nie odpowiadali i śmieli się z niego, zmieszany umilkł. Dziś znowu chodził darmo na zwiady, a to już zły znak że drugi raz tu był. Abyno się to lichu do ciebie nie przyplątało; zaraz ludzie zaczną Bóg wieć co gadać, a sierocie dosyć jednej biedy na ramionach.

— Bóg zapłać ojczu za przestrogę — odparła po chwili namysłu Marysia — dobrze żeście mi rozpowiedzieli kto on taki... Niechno jeszcze spróbuje do mnie zajrzeć, będę wiedziała jak go ztąd wyprawić.

— O to mi zuch dziewczka! — zawołał stary plaskając w dłonie — naucz szlachcica rozumu... Jemu w głowie szlachectwo, ta może i ojcowskie grosze, i liczko gładkie, że sobie z niemi będzie broił bezkarnie; ale ty masz rozum!

— Ej! rozumu nie mam ojczu, ale mi Pan Bóg i matunia z nieba dopomagają... Sierota, jużem powinna była sto razy przepaść z głodu, chłodu i nędzy, a ot mnie przecie trzyma łaska Pańska na nogach i sytą i okrytą i wesołą; to poratuje i dalej.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — szepnął stary kiwając głową — a sobie bardzo nie ufaj: ty młoda, on młody, krew nie woda; tobie tęskno samą jedną, przyszlaby zła godzina... człek się zdurzy i zapomni; a co potem leż za to wylać potrzeba!! a co oczu nachować! Czymto ja się nie nasłuchał, czym się nie nabywał między takimi... Tomkowi jużta potrzeba kochanki, i zaraz sobie namotał na ciebie... bywajże mi ostrożna!

— Ale się ojczu nie bójcie! Bóg i od tego obroni! — odezwała się spokojnie Marysia — jemu nie tak to źle z oczu patrzy.

— O, o! słyszysz! — krzyknął Rataj śmiejąc się — toś mu już w oczy zaglądała, lotrzyco!... Ostrożnie z tém, ostrożnie.

Sierota smutnie się tylko rozśmiała, dziad mówił dalej.

— Ha! ha! gdyby się chciał ożenić, nie mówię; ale to wielki pan, gdzie! gdzie! wysoko on patrzy, wyżej niżli wrona leci! Ale ja tu z tobą gadu, gadu, a psy w krupach;

a na jutrzejszy jarmark iść potrzeba, bo mi najlepsze miejsce zajmie kulawy Łajda... No! pilnujże się Maryś, a chatę zamykaj od złodzieja.

Śmiejąc się wyszedł żebrak ze cmentarza i ledwie na gościńcu rozpoczął znowu przetrwaną pieśń pobożną od tego wiersza, na którym ją porzucił. Marysia poczęła prząść żywo, i Bóg tam wie jakie myśli krążyły po jej główce, ale się często wstrząsała; to spoglądała na drogę, to rzucała okiem na pole, to zadumywała się porzucając wrzeciono; aż nakoniec jakby zwyciężywszy błędne rojenia jakieś, które ją trapiły, wzięła się żywo do kądzieli i do swojej godziny doprzędła.

Kiedy z Sierotką przez drogę wracali do chaty, przechodząc miejsce na którym były ślady kopyt końskich, pies znowu się zastanowił, obszedł je z wielką uwagą i rozpatrzył. Marysię to zastanowiło, zrozumiała ten ruch, jako dowód czujności stróża swego, zawołała go, pogłaskała, pocałowała w czoło, a Sierotka jak oszalała z radości, nałasiwszy się przed swoją panią, wybiegł szczekać na cztery wiatry, głosząc jej sławę, a swoją gorliwość.

Dobrze już zmierschac zaczynało, a Marysia zamknęła się była w chatce na skobel, gdy drogą znowu tętent konika dał się słyszeć, a pies ku drzwiom zaszczekał. Koń powoli zdał się zatrzymywać i przystanął... Tomko widać przed chatą go osadził. Marysia pobiegła do okienka, wyjrzała i szybko skryła się pod piecem.

Chwila upłynęła w milczeniu, aż puk! puk! słycać do zamkniętych drzwiczek. O! i serce puknęło biednej dziewczyninie, a pies rozgniewany za natrętność, na dobre szczekać począł.

I znowu puk, puk do drzwi, potem do okienka.

— A kto tam? — spytała drżącym głosem Marysia.

— To ja!

— Któż to *ja*? Czegoto chcecie? — odpowiedziała dziewczyna śmiało zbliżając się do okna.

— E! to ja! nie bójcie się... Co to u was już i chata zaparta... tak zawczasu.

— Bo ja tu sama, zamykać się muszę, a nikomu po nocy nie otwieram.

— Ja wam coś chciałem powiedzieć i wody się napić, a za ranny kubek, tom wam coś przywiózł z jarmarku... Ale doprawdy mnie nie myślicie puścić?

— Jedźcie z Bogiem dalej; do wsi dwa kroki — szepnęła Marysia — Nocą to już do mnie nikt nie wchodzi: piesby mój pokaleczył.

— To choć podnieście okienko i przyjmcie gościniec.

— A! okno się nie podnosi! — odpowiedziała dziewczyna — a gościńców ja nie biorę.

— Cóżto za chata przeklęta — zawołał chłopak — A no! to dobranoc! zostawię gościńca na przyźbie... Bywajże mi zdrowa!

Odstąpił wkrótce odedrzwi, bo zaraz i tętent konia dał się znów słyszeć na drodze, i piosenka wesoła uciekła z nim ku wiosce.

Marysi serce biło, a biło niezmiernie! W głowie mąciło się biednej, i wyraz czardziejski „*gościniec, podarek*”, błyskał przed jej oczyma tysiącem barw jasnych, świetnych, iskrzących... Chciało się jej bardzo wyjść zaraz, zobaczyć; ale strach jakiś instynktowy chwycił za serce i odrętwiał nogi. Już Tomko był daleko, już nikt na nią nie patrzył, szła do drzwi niespokojna, gdy u progu siedzący Sierotka spojrzawszy w płonącą jej twarz, jakby ostrzegając czy łaszac się, zaszczekał. Marysia zatrzymała się, zaczęła myśleć i została przy piecu.

— Mógł ja przyjąć podarek? — spytała sama siebie — co na to powiedzą ludzie?... Jak raz wezmę, nie odzamię się od niego?

Nikt jej nauczyć nie mógł jak to pytanie rozwiązać, i gdyby na myśl nie przyszły prestrogi starego Rataja, byłaby skwapliwie chwyciła tę rzuconą pod jej okienkiem zagadkę.

Potrzeba jednak było walki z sobą długiego i cichego w duszy boju, żeby w końcu sobie powiedzieć: nie pójdę, nie tknę, nie przyjmę!

Nie łatwo jej przyszło to postanowienie, a ciekawość jakito tam podarek być może, długo jej oczu zamknąć nie dała i sen miała niespokojny.

Nazajutrz jak brzask, już wytrwać nie mogła; wysunęła się z lepianki okiem szukając owego wczorajszego gościńca... tyle domysłów niepokoiło ją noc całą. Co to być mogło! Zrazu nic nie zobaczyła; ale zbliżywszy się spostrzegła krasną, czerwoną, ładną... a! jaką ładną chustkę nowiuteńką i kilka łokci szerokiej karmazynowej wstęgi! Oczywiście jej

nie przywykłe do podobnych strojów, powiększały jeszcze piękność tych bardzo zresztą pospolitych gałganków; ale ona i takich nigdy nie miała!

Obejrzała je wzięwszy w drżące ręce ze strachem, pożądlivością, pokusą, z jakimś żalem nawet; ale przecucie nie pozwoliło przyjąć od nieznanego tak wielkiej i podejrzanej ofiary... Rozstała się biedna nie bez boleści z chustką i wstążką, zostawiając je na tém miejscu, na którym były położone; a sama szybko schwyła wiadro i rozpoczęła dzień lecąc jak zwykle do krynicy po wodę.

Sierotka po pani obwąchał podarek Tomka, obszedł go wkoło, burknął, i nieodstępny pognął za Marysią do źródła.

Dziewczyna choć ją to kosztowało wiele nie spojrziała już nawet na gościniec, i zabrawszy kądziel, ze spuszczoną głową poszła smutna ku mogile. Ale jój oczy zwracały się ciągle na drogę, ale serce drżało jakimś niepojętym niepokojem. Słonko się już było dobrze podniosło, gdy tętent siwego konika dał się słyszeć zdala, a dziewczyna prężyć zaczęła coraz żywiej.

Leśniczy zatrzymał się naprzeciw chałupy, obejrzał, i szczekanie psa zwróciło oczy jego na siedzącą pod wierzbą dziewczynę.

— Co u kata? po cobo ona zawsze siedzi na cmentarzu? — burknął nieukontentowany zsiadając z siwego.

Jak wszystek lud prosty i budnicy, młody chłopak był przesądny, i za nicby był nie poszedł w umizgi na cmentarzysko; markotno mu było, że Marysię tam zastał, pochmurniał i nie wiedział co począć.

— Dzień dobry! — odezwał się zbliżając do drogi ku wałowi cmentarnemu i opierając się na zielonym garbie, który go oddzielał od niedaleko siedzącej dziewczyny. — Dzień dobry! A co? choćby Bóg zapłać należy mi za gościniec.

— Nic się wam nie należy — podnosząc głowę odezwała się powoli Marysia — znajdziecie gościniec wasz tam, gdzieście go wczoraj położyli, jeśli go kto w nocy nie wziął... Rosa tylko musiała go przypaść...

Tomko stanął zdziwiony.

— To go niechciecie przyjąć odemnie?

— Bo nie mogę — odpowiedziała Marysia — a za cóż i na co miałabym od was brać podarki? a coby to na to powiedzieli ludzie?

— Czyto koniecznie ludzie o wszystkiém wiedzieć mają? — rzekł kusiciel słodko, podkręcając wąsika i ze strachem a pożądlivością razem spoglądając na zakłętę cmentarzysko.

— A Pan Bóg? — odezwała się Marysia.

— Albożto Pan Bóg zakazał dawać i brać gościńce?

— Ja tam tego nie wiem, bom nie mądra — rzekła sierota po chwili namysłu — alem nigdy w życiu nic od nikogo darmo nie brała i nie wezmę...

Tomko niedowierzając jeszcze, rzucił okiem ku chacie, ujrzał na przyźbie chustkę i wstążkę, i dźwignął ramionami zniecierpliwiony.

— No! to jak tam sobie chcecie — rzekł szydersko. — Znajdzie się taka, co to weźmie.

— I takięj sobie gościńca swego oddajcie — odpowiedziała Marysia — choćby Kachnie — dodała z uśmiechem, przypominając opowiadanie Rataja — ja pewnie nie pozardroszczę.

— Filut dziewczyna — rzekł w duchu zagryzając usta Tomko — trafiła kosa na kamień... Ale ba! nie ona jedna na świecie.

A że to był budniczuk i syn bogatego gospodarza, przywykły do łatwych umizgów i dumny dawném szlachectwem swoim; jakoś się oburzył na sierotę, że go lekceważyć śmiała; świsnął piosenkę, siadł na koń, podjechał pod chatę, chwycił schyliwszy się chustkę, i wcisnąwszy ją za czamarę, okiem nie rzucił na Marysię i poleciał!

Gdy się to działo, Marysia sobie przędła ze spuszczoną głową, przędła nie patrząc nań, a jednak widziała wszystko: każdy ruch zagniewanego chłopaka, każde jego ku sobie skierowane wejrzenie; i ścisnęło się jój serce, gdy bez pożegnania, bez dobrego słowa odjechał.

Pies jój naszcze kiwał jeszcze na odjeżdżającego, a ona... ona płakała...

Z tych łez nie umiała by się była wytłómaczyć przed nikim, przed sobą nawet; ale tak jój było smutno, tak ciężko po odjeździe Tomka, jak gdyby najdroższe ze swych stworzeń,

najmilszy sprzęt straciła. Już się dnia tego nie przędło, nie wiodło, nie śpiewało; i gdy noc przyszła, nie spało.

Ucho jój mimowolnie szukało w powietrzu dźwięków znajomej piosenki i tętentu konia; ale głucha cisza panowała na gościńcu...

Tomko pomyślał sobie słowami piosenki:

„*Ne wetyka sercu tuha,*
„*Ne budesz ty, bude druha...*”

I poleciał na tany do karczemki, za krasną twarzyczką, za białém liczkim i czarném okiem, za któremi tęskno mu było przecie! Dużo było dziewcząt pod karczemką, gdzie grała muzyka, złożona ze skrzypka sławnego, szewca, z basetlisty tkacza i bębniarza, który prawdę rzekłszy, był pastuchem przy dworskim bydle. Leśniczy traktował, przymilał się, wywijał, ścisnął, szeptał, poił i nahasał do syta; ale gdy nahulawszy się, powrócił nocą już do swojej izdebki, zdziwił się, że mu wciąż ładna twarzyczka cyganki stała przed oczyma.

— Co u licha! — zawołał w duchu — toć pewnie ona z nich nie najładniejsza... A nie chce, to się bez niej obejść i myśleć o niej przestanie! Jeszcze się to czupurzy i udaje panienkę dworską: kat ją bierz!

Starato historia serc ludzkich; daj im najdroższe skarby, pełną sypiąc dłońią, odwróć się od nich obojętnie; odejm tylko ziarnko drobne i podróż się niem trochę, już ci bez niego żyć nie potrafią. Próżno sobie wmawiał Tomko, że dla niego niczem jest Marysia: złość go na nią brała, a co gorzej, porównyując ją z dziewczętami wiejskimi, widział dowodnie, że od wszystkich była piękniejszą, choć tego przyznać nie chciał.

— Już że piękna to piękna — mówił — ale nieznośnie harda; nie będę się przecie lada cygance kłaniał i w rękę ją całował!

I jak się zaciął Tomko, tak ani tą nawet drogą przejechał, ani się pod chatą pokazał przez tydzień cały.

A co myślicie: tydzień dla młodych, to mało?? Wiek to cały w tej epoce szczęśliwój życia, która czarodziejską ma władzę z godziny robić lata, a z lat mgnienie oka... Tęskniła i smutna Marysia, złościł się Tomko, i ani się spostrzegł, jak wreszcie jednego ranku siwek sam zaniósł go pod cmentarz.

Marysia przędła na mogile. Chłopak minął ją świszcząc nie spojrzawszy nawet, ale oboje się widzieli choć głowy mieli poodwracane; a pies, który był odwykl od konia i pana, wyleciał aż do furtki naszczekiwać na nich. Mignął Tomko jak zjawisko, i znów go nie ma i nie ma.

Kilka dni tak przeszły, aż wyszpiegował dziewczynę o której porze chodziła na cmentarz i nadjechał raniuteńko, kiedy się dopiero z wiadrami wybierała po wodę.

— A! dzień dobry, krasawico?

— Dzień dobry!

— Cóż to? sami sobie wodę nosicie?

— A któżby mi miał nosić i na co, kiedy sama zdłużam?

— E! szkoda mi twoich białych rączek, Marysiu, bo doprawdy — rzekł zbliżając się — nie chłopskie rączki macie!

— A cóżby nimi robiła? — śmiejąc się odparła cyganeczka — jużciż ja nie ta pani o której gadają, że sobie siedzi założywszy ręce dzień cały; toćbym z nudy umarła!

— Jakato z ciebie będzie gospodyni! — rzekł kusiciel pochlebca, coraz się do niej przysuwając.

— Czemu mówicie będzie? — odezwała się sierota — alboż już nie jestem? A kto mi w domu gospodarzy, kiedy nie ja sama?

— Słyszałem ja słyszał; ta-tę się we wsi wydziwić nie mogą waszój robocie i ochocie.

— Ale gdybym tak oto stała wpośród drogi, a codzień gawędziła z chłopcami jak dziś z wami; wiem, jakby szło gospodarstwo! Słońce wysoko, czas mi do krynicy...

— To i ja za wami — zawołał Tomko rzucając konia naprędce przywiązanego do kółka — i ja zwami...

Marysia nie śmiała mu nic powiedzieć, wzięła wiadro i posunęła się naprzód, za nią Sierotka, za Sierotką Tomko. Ale ile kroć chciał napędzić ją i zbliżyć się do dziewczęcia, pies stróż czujny stawał, zęby mu pokazywał i niedopuszczał.

— A! dobrego macie stróża! — rzekł z przekąsem chłopak — może i kasa jeszcze?

— Czasem! — śmiejąc się pocichu odpowiedziała Marysia — ale byleby do mnie nie przystąpić, nic nie robi.

Tomko zwolnił kroku, śpiewać począł i zachodząc ze strony, zrównawszy się z sierotą w przywoitęj jednak od niej odległości, rozmowę zawiązał.

— Czemu to wy nigdy nie przychodzicie na taniec do karczmy?

— Nie mam czasu.

— A w niedzielę?

— Trzebaż jeść ugotować i pokarmić kury, gęsi, gołębie, chatę oporządzić, spocząć.

— I nie nudno wam to na odludziu?

— Nie... na nudę nie ma też czasu.

— Trzysta diabłów — rzekł w duchu Tomko — zkąd się ona tak pięknie mówić nauczyła?

— Prawda — dodał — że z was dziwne stworzenie: innaby tak przepadła ze skuki, a wy sobie cudem radę dajecie.

— Nie cudem paniczu, ale łaską Bożą.

I westchnęła Marysia.

Tomko poźerał ją tymczasem oczyma; pierwszyto raz był z nią tak długo i tak blisko się jej mógł przypatrzeć, a wydawała mu się co chwila ponętniejszą, porównywał ją z wszystkimi jakie dotąd widział, nawet z czarnobrewą Petronellą, garderobianą sąsiedniego dworu, i musiał przyznać, że przy Marysi gaśla nawet biała, rumiana i świeża dworka.

Ma to do siebie samotność, że jeśli nie psuje, to dziwnie, wznioślejsze zwłaszcza natury uszlachetnia, a dusza czysta musi się przelać w rysy twarzy, w każdy ruch, w spojrzenie, dźwięk głosu; rzekłbym, w barwy i kształty uwidomialące ją przed światem. Dziwił się Tomko, że dlań sierota miała urok i powab, powagę, ponętę, jakich nigdy nie doświadczył wrażenia. Myśl jego zuchwała i do zuchwalstwa przywykła łatwemi zwycięstwami, porywała się na sierotę; ale gdy na nią oczy podniósł, uczuwał jakąś nieopisaną obawę i tchórzyl, ust nieumiejąc otworzyć. Wejrzenie jej niepokoiło go, mieszało, języka zapominał w gębie, choć nim gdzieindziej zęczenie bardzo władał; słowem, przy Marysi czuł się jak skrepowanym.

— To lichy! — mówił w duchu — czy ja tu z tém kurczęciem ładu nie dojdę: taćto być nie może. Cóżto za jedna? zaklęta królewna? Tfu! cyganka sierota! przybłęda! A takbyto było wygodnie się do niej umizgać: chata na odludziu, żywej duszy, nas tylko dwoje; przyjeżdżaj kiedy chcesz, nikt niezobaczy, nikt nie polaje, nikomu się nie kłaniaj.

Dumał tak idąc obok dziewczyny, aż do studni, a coraz to na nią spozierał z ukosa, a co się chce zbliżyć, to Sierotka warknie, i leśniczy choćby mógł go harapem odpędzić, woli odstąpić trochę. Tak doszli do krynicy pod górą.

Ta Krynica, była to sobie, jaką nie jednością widzieli pewnie w życiu: studenka nie studenka, źródło sączące się zpod glinianego obrywu na białej opoce kredziastej, ostawione starym szerokim pniem spróchniałym. Dokoła niego sączyła się woda spływając do bliskiego stawu drobnymi, wężykowatymi strumyczkami, przez które po rozkislonej ziemi, gdyby nie kładki, kamyczki i cegły, trudnoby nawet przejść było.

Na pniaku leżał kruk drewniany, służący do spuszczenia wiadra, choć tu niewiele kto czerpać przychodził, bo źródło było daleko odewsi: ale wymyślniejsze gospodynie aż tu czasem z za grobli przybiegały, bo woda była wyborna. Dokoła w prawo i w lewo zarastały bujno po bokach wzgórza tarnina, leszczyna drobna, kaliny i bzy, migdałowym swym zapachem napełniające powietrze. Wśród tej drobnoty, jedna tylko obłamana, stara, kaléka czereśnia wyżej się wznosiła, litość budząc koszlawym pniem swoim, co roku nowymi pooranym bliznami.

Miejsce było puste a ładne. Wdali staw, grobla, młyny i część wsi jak na dłoni... Tomko chciał dziewczęciu dopomóc do zaczerpnięcia wody, ale nim się do tego po szlacheczkę przybrał, już Marysia przebiegła po znajomych kładkach, chwyciła kruk, zanurzyła wiadro, i pełne, śmiejąc się, postawiła na ziemi, szybko toż samo z drugim robiąc.

Sierotka korzystając ze zręczności napił się wody ze strumyka, popilnował aż Marysia wiadro dobyte, i znów poważnie na straży ku domowi iść począł. Tomko, który nieplonną miał nadzieję, że przy studni coś oberwie, choćby kradzionego całusa rozpoczynającego wiejskie zaloty, powrócił całkiem z niczym i w dosyć złym humorze na psa i dziewczynę; bo śmieszno mu było, że przed sobą wytlómaczyć się nie mógł, po co aż na dół schodził.

Po drodze rozmawiali tylko; ale coby miał nabierać odwagi, a Marysia ją tracić, to on czuł się co chwila bardziej onieśmielonym, ona zaś coraz weselszą i odważniejszą.

— Ha! — pomyślał Tomko — pójdę za nią do chaty, zobaczymy.

Ale dziewczyna u drzwi postawiła wiadro i siadła na przyźbie. Tomko znów kłął tę jej politykę, której się nie spodziewał; usiadł wszakże koło niej; cóż, kiedy jakby naprzekór Sierotka umieścił się między niemi na straży, co chwila białe ukazując mu zęby, byleby się ruszył.

Po chwili przekonawszy się, że nic nie zyska Tomko zły, gniewny, choć niby żartował z tego klnąc że więcej nie powróci, poleciał do dworu.

Jeszcze była Marysia nie odeszła ze swego miejsca, kiedy milcząca i zadumana zjawiała się przed nią Sołoducha.

Sierota radośnie rzuciła się ku niej, tak jej było pilno serce otworzyć i pogadać o świeżych wypadkach, maluczkich na oko, ale wielkich w życiu dziewczęcia, które czuło, że się los jego waży na szali pierwszego w życiu stanowczego kroku.

— A! matuniu! matuniu! — zawołała rzucając się ku niej Marysia — jakże ja wam rada, żeście do mnie przyszli; to strach, co ja mam do was spraw pilnych... ażem już biedz chciała.

— Pewnie ten szalawiła, który tylko co ztąd odjechał, głowę ci zawrócił... No, przyznaj się? — odezwała uśmiechając się Sołoducha.

— E! nie! — bawiąc się końcem fartucha odpowiedziało dziewczę — ale co tu z nim poradzić, tak się do mnie uczeplił?

Baba kręciła głową.

— Jakże ci się zdaje? — spytała widocznie próbując.

— Szczerze powiedzieć matuniu?

— A szczerze! — I stara ciekawe oczy wlepiła w sierotę.

— No to tak — rzekła śmiało Marysia — ożenić się on nie ożeni, boby mnie i dobry gospodarz za synowę ani za żonę nie chciał, sieroty, za którą nie ma komu ani wesela sprawić, ani nawet dać ręczników; a co dopiero budniczuk hardy i syn takiego bogatego ojca jak Choiński! Pokręci się, pokręci, porzuci i żal tylko w sercu zostawi... Na co darmo się kumać, kiedy chrztu nie będzie...

Sołoducha jakoś się dziwnie rozśmiała z prostodusznej przypowieści dziewczyny.

— Nie głupio — rzekła — nie głupio; już też on nam dosyć dziewczek nabałamucił; pora żeby go też która przytrzymała... A podobał ci się? — spytała podejrzliwie i chytrze baba spoglądając z podelba.

Marysia spuściła oczy i zapłonila się.

— A czemużby się nie miał podobać? — szepnęła — chłopak niczego i takito panicz! Ale tém bardziej on nie dla mnie! — I westchnęła.

— E! gadaj zdrowa! Byle rozum, nie takieto się na świecie dzieją rzeczy; a choćby syn Choińskiego ożenił się z córką cygańską, cóżby to był za dziw, kiedy się panowie nieraz z takimi flondrami żenią, co twojego palca niewarte! Tylko się umiej z sobą podrożyć, to go gdzie chcesz zaprowadzisz.

To rzekłszy zamilkła chwilę.

— Ale — dodała jakby się namyśliwszy — kiedyto już się te konkury zaczęły, czy nielepijby tobie teraz na jaki czas do naszej chaty się schronić? Byłoby bezpieczniej... Ej! byłoby bezpieczniej! Zwłaszcza kiedy i te przybłędy znowu się tu przywlekli — dodała ciszéj.

— Kto? — spytała Marysia.

— No! albożto nie wiecie, że ta banda cygańska z której był twój ojciec, znowu słyszę do wsi przysła...

Na te słowa dziewczę zerwało się z siedzenia nagle, rzekłbyś przeistoczone zupełnie, zmienione, przerażone, pobladłe i drżące.

Ręce załamała i słowa wyrzec nie mogła.

Stara nie pojmowała co się z nią stało, bo uczuć dziewczęcia odgadnąć nie była w stanie; a sierocie, sierocie wzmianka o jakiejś odległej rodzinie, która się jej nie zaprze, która ją przytulić może, uderzyła w serce dziwnym wrażeniem... Ona prócz matki nie miała nikogo, coby ją przytulił, coby przygarnął ku sobie, ukochał i przyznał się do niej.

Sołoducha wzięła za przestrach, co było tylko silnym uczuciem wyrwijącego się serca... O! rodzina, czarodziejskie to słowo! Ile w nim ukrytych leży radości, ile pociech, ile węzłów łączących nas przez nią ściślej ze społeczeństwem całym... Jest to niejako ogniwo łańcucha wielkiej całości, od której oderwani, blakamy się nie wiedząc co począć z życiem. Kto nie miał nigdy rodziny, kto nie uczuł słodkiego uścisku brata, ojca, krewnego, jakże marzy o nich i jak gorąco ich pragnie!

— Co tobie dziewczyno? — zapytała się po chwili Sołoducha — czy ty się tak boisz? No! to ruszaj ze mną! ja cię przechowam, nie masz się czego lękać.

— Ja? bać się? a czegożbym się swoich obawiać miała? — odezwała się dziewczyna — toż to moi! to moi!

Sołoducha oburzyła się.

— Jacy oni twoi? Pluć na marę! poganie! ne chresty! Matka twoja była chrześciana, a ojciec obwiesił się nie chcąc ci być ojcem: czémże oni twojemi być mają?

— Bracia ojca! — jęknęła dziewczyna.

— Co katowali go, aż od nich uciekać musiał!

— Lepsiż byli bracia matki!? — spytała Marysia.

Sołoducha skrzywiła się.

— Ale wiészże ty co to za lud? — spytała gorąco — matka ci tego nie powiedziała pewnie, a cudzy nie śmieli. Cały Boży świat od nich jak od zapowietrzonych ucieka; złodzieje, zbóje, czarowniki, i gorzej, i gorzej jeszcze: — poganie, nechresty!

Marysia zdrżała.

— A czyż to prawda? — spytała przerażona.

— Jak Bóg miły! Dowiedz się od ludzi, idź od wsi do wsi, nic ci innego nie powiedzą: to postrach okolic. A gdyby to było co dobrego, czyby to się tak włóczyło po świecie, nigdzie miejsca zagrać nie mogąc.

— Im w to graj — dodała uśmiechając się stara — jak się tylko dowąchają, że tu żyje córka ich brata cygana, a sierota, a sama jedna, a jeszcze i młoda i ładna; zlecą się i gotowi gwałtem cię porwać z sobą. Te lotry i krwią własną i cudzą frymarczą... Niby to nie pamiętają ludzie, jak tu ich dziewczka bałamuciła naszego pana.

Marysia słuchała, drżała, i sama nie wiedziała co począć: ogarniał ją przestrach jakiś, a żal było chatkę porzucić, a serce i ciekawość ku cyganom ciągnęły... W głowie pomieszało się wszystko, załamała ręce, spojrzała na mogiłę matki.

— No! i cóż myślisz? — spytała Sołoducha.

— Ale bo to widzicie — odpowiedziało dziewczę usiłując myśli pozbierać — a cóż ja pocznę z gospodarstwem? Sądzicie, że mi tylko zebrać manatki i drzwi kołkiem podpierać? A toć mam i gęsi, i kury, i gołębie, i psa i kota, których tu nie porzucę, boby to zgłodu pozdychało marnie; jużcić tego nie zabierzecie.

— A lepiéjże tobie ginąć?

— Wiecie co? — zbliżając się zawoła dziewczyna — cyganie długo nie popasają, kiedy już ich taka dola włóczyć się po świecie, Tomko mi też długo dokuczać nie będzie: a gdybyście wy pobyli u mnie tydzień jaki?

— Toby Rataisko z głodu umarł, a ja ze strachu nocując podle cmentarza! — odparła zrywając się starucha.

— Rataj teraz z jarmarku na jarmark chodzi, bo to wołowe targi poczęły się i odpusty w okolicy... No, a cmentarz! widzicie, że mi nic nie zaszkodził, to i wam przy mnie nicby się nie stało...

Stara zamyśliła się.

— Ot! podumam — rzekła wstając — jeżeli starego w chacie nie ma, to przyjdę i posiedzę...

Marysia pocałowała ją w rękę i tak się rozeszły.

Za wsią na rozłogu, istotnie od wczoraj roztasowała się była banda cyganów, taż sama, która nawiedziła Stawisko przed kilkunastu laty; jeżeli jest co na świecie, coby tém samém po upływie lat tylu nazwać się mogło!

Taż sama była i nie ta!

Dzieci Aprasza porosły, Aprasz choć krzepki jak dąb, zgiął się od pracy, znoju i wieku; a Aza, owa prześliczna Aza, nie tą już była co przedtém! Musiała zostać w końcu żoną cygana, i dziś panowała znów jemu i całej gromadzie, w miarę jak on się starzał i słabiał, nabierając sił i woli. Na jój skinienie drżał kowal stary, chowały się jego dzieci które nieraz smagała własną ręką, a gromada słuchała jój jak wodza. Po długiej w świat pielgrzymce, nigdzie nie zagrzawszy kąta, przyszła znów tułaczem nawiedzić to siolo, w którego pamięci tak krwawo zapisało się pierwsze ich przybycie. Kto wie, może ta dzika niewiasta zachciała tam grób czyj odwiedzić i pamiątkę oplakać.

A gdy się im ukazała z pagórka znajoma okolica z zieloną mogiłą, z jasnym stawem i błonią, na której dwakroć już obóz ich stawał; z oczów Azy błysnął jakiś ogień straszliwy, i sine jój usta się ścięły.

Aza nie była już ową wdzięczną, czarującą dziewczką cygańską, której oko paliło na kogo padło: znikła dawna świeżość jój i wdzięk młodości; a przecie po lecjach kilkunastu tułactwa, nędzy, cierpienia, jeszcze była piękną i ciągnęła oczy ku sobie. Zachowała swą dawną kibic i kształty, oczy powiększyły się jeszcze: nie wiem od łez wylanych, czy srogiej rozpacz, która przez nie patrzała; usta ścięte gdy się otwarły świeciły jeszcze zęby białymi, a kruczy włos nie spadł ze skroni jak liść jesienny... Mimo smutku który ją pożerał, cyganka zachowała instynktowie jakieś pragnienie przedłużenia młodości i zachowania wdzięku: strój jój o nié m zaświadczal. Gdy inne w jój wieku zwiędłe, zszarzone, zobojętnione, ledwie się oszarpaną otulały płachtą, ona szukała w odzieży barwy i kształtu, i stroiła się jak królowa.

Tylko co roku twarz jój surowszego, dzikszego nabierała wyrazu, usta pogardliwym wykrzywiały się uśmiechem, oczy ognistym w świat patrzyły wyrzutem. Jakby za swe cierpienia na wszystkich mścić się chciała, nieubłaganą gniewną była dla tych, co ją otaczali; a Aprasz, który szalał i ginął za swoją *egaszi*, robił co tylko chciała...

Pierwszej nocy zaraz po przybyciu do Stawiska, Aza znikła z obozu. Aprasz schwycił się za siwe włosy, poleciał do dworu; ale powrócił z niczém, bo nogą tam nie postąpiła: domyślił się gdzie była, a z umarłymi nie walczyć żywym w sercu kobiety.

W istocie Aza całą noc przesiedziała na mogile Tumrego, niema, zadumana, straszna jak widmo z grobu wywołane. Sercem tylko, niepytając nikogo, wynalazła zielony pagórek, który krył w sobie zwłoki jój ulubionego: bo lat kilkanaście wbiły go do ziemi i zasiały na nim wysokie burzany, za którymi go prawie widać nie było. Wśród ciemności kalecząc ręce, zapalczywa cyganka obrywała chwasty i krzewy z mogiły samobójcy, a gdy rano zastał ją spoczywającą na ziemi, kurhanek już był oczyszczony z zakrywających go burzanów.

Błysnęło światło dzienne, i z nocą pierzchnęły dumy i żale. Wstała cyganka ze śmiechem dzikim, podniosła się i garść ziemi chwyconą z mogiły rzuciwszy na pierś za koszulę; pobiegnęła ku dworowi.

We dworze chciała zobaczyć pana Adama, drugiego kochanka, by może szyderstwem żal ochłodzić. Byłato chwila, w której nawrócony grzesznik, małym wózcikiem wyjeżdżał na mszę do przyległego kościółka... Dnia tego opóźnił mu się woźnica i brał za to różgi w stodole, a pan Adam z książką nabożną i różańcem w ręku, czekał w ganku, ażeby po napomnieniu ojcowiskiem zajęchał po niego chłopak... Wtem zjawiła się Aza.

Aza nietyle była zmieniona, co nawrócony rozpustnik... Poznał ją od razu i z krzykiem zakrył twarz konwulsyjnym ruchem, a cyganka rozśmiała się, po ruchu tym i po głosie poznawszy w nim dopiero zwiędłego młodzieńca, dziś w zgrzybiałego zmienionego starca.

— Patrzcie! tażto on! — zawołała — A! jak mi się masz! ha! ha! ha! a! co się z tobą zrobiło?!

— Idź precz, idź precz wszetecznicco! — zakrzyczał pan Adam zakrywając wciąż oczy — precz szatanie, bo różgami osmagać cię i ze wsi wypędzić każę.

— A grzecznie mnie przyjmujesz! — rozśmiała się cyganka — ale popatrzno, popatrz, jeszcze doprawdy nie taka stara i szpetna, jak ty zdechlaku! Nie dalej jak tydzień temu,

dwóch młokosów pędzało się za mną, żem się im kijem musiała oganiać! Zdejm z oczu *angushti* (palce), spojrzuj... przekonasz się że nie kłamię.

Ale pan Adam już słów tych nie słyszał i przelękły uciekł w głąb domu.

Aza popatrzała, splunęła, odwróciła się i poszła, poszła wprost do chaty Tumrego.

Po drodze spotkała ludzi, zatrzymała jakąś dziewczynę i dowiedziała się od niej o córce Tumrego; z ogniem w oku wysłuchiwała powieści, i zadumana poszła ku cmentarzowi.

Poważna i smutna zbliżyła się ku chacie i zadziwiona stanęła nagle, gdy pies z pod wierzby u mogiły, zajadł na nią zaszczekał.

Sierotka, jak wszystkie oswojone stworzenia co nas otaczają, przywykł był już do pewnych twarzy, sukni i postaci, do swojskiej woni wieśniaka; przestraszył się więc cyganki z narzuconą na ramię *urakha* (płachtą) kolorową, od której zaleciał go dym obozowiska i szatry cyganów. Nie jak zwyczajnie bywało wsparty na drzewie zdaleka, ale wybiegłszy na wał zielony, srodze ujadać na nią zaczął. Cyganka stanęła rozglądając się i w téjże chwili spostrzegła podniesioną głowę Marysi, której nazwiska wiedzieć, żeby ją poznać nie potrzebowała. Było coś w rysach dziewczęcia znamionującego jój pochodzenie, przypominającego Tumrego, i zamglone wspomnienie ukochanego wydobyło się z piersi Azy, stając przed jój oczyma w postaci jego dziecięcia. Serce jój biło gniewem na świat cały, co jój odebrał kochanka: z pragnieniem zemsty na ludzi i łza gorąca pociekła z czarnego jój oka.

— A *Bynk!* przeklęta pocichu — to ona! to jego córka! *Tumrego ciał!* Jaka śliczna! jaka śliczna! Ja nawet nigdy nie byłam taką! I poszło to między *gadziów* na sieroctwo, na poniewierkę i nędzę, w niewolę, przykute do mizernej *khery!* (chaty).

Aza stała mrucząc te słowa i wciąż patrzyła na Marysię, która z przestachem wpatrywała się także w dziwną jój postać, pełną groźnego jakiegoś i dzikiego wdzięku. I ona odgadła w niej cygankę, może pokrewną... a serce biło niewytlomaczonym uczuciem bojaźni i miłości.

Sierotka tymczasem to z wału zeskakiwał, to na wał wpadał i ujadał gryząc ziemię.

Dziewczyno, *Rakloro!* — odezwała się Aza — zawołaj psa swego: chcę się zbliżyć do ciebie i pomówić z tobą.

Marysia odezwała się do Sierotki, ale ten ogonem pokiwał, zakręcił się i szczekał znowu.

Przybyła zbliżyła się tymczasem do cmentarza przeszła przez furtkę, i postąpiła ku Marysi. Wzrok jój zatapiał się w rysach, na których czytała przeszłość swoją...

Siadła blisko, niezważając na psa, podniosła oczy i zapatrzyła się nie mogąc nasycić widokiem sieroty, milcząca, ponura, zapłakana... Wzrok jój palił Marysię... Po długim spoczynku, łagodnym głosem spytała sierota:

— Czego mi się tak przypatrujecie dobra kobieto?

Aza rozśmiała się gorzko.

— Ja nie jestem *latio egaszi* (dobra kobieta), nie, nie; alem znała ojca twojego Tumry, i patrzę na dziecko jego... A nad tamtym płaczę...

— I matkęście moją znali? — spytała dziewczyna.

Aza nic nie odpowiedziała.

— Dawno matka twoja umarła? — odezwała się żywiżej po przestanku.

— O! lat już temu kilka — zapłakany głosem odezwała się Marysia. — A, ot... jój zielona mogiła. — I wskazała na pagórek, przy którym siedziały obie.

Aza ze wstrętem odsunęła się od niego, nie kryjąc się z uczuciem, które nią wstrząsnęło.

— A któż ci był matką? kto ojcem? — spytała.

— Jeden Pan Bóg! — odpowiedziała sierota.

— A ludzie?

— Jam nie wiele potrzebowała ludzi.

— I żyłaś tak... sama?

— Jak widzicie, w téj lepiance, sama, samiuteńka.

— A któż cię karmił? — zdziwiona poczęła Aza.

— Moich rąk dwoje, i opieka Boża, i modlitwy matki...

— Nikt się nie zlitował? nikt nie dopomógł?

— Ale nie! ja się nie skarżę! nie! — żywięj przerwała Marysia — tyłkom nie potrzebowała pomocy i nie wołała o litość: nauczyłam się sama radzić sobie. A było, było pocziwych dwoje co mnie strzegli i strzegą, co pomagali chlebem, sercem i słowem... O! i więcej niż dwoje!

— Któż to taki? przerwała ciekawie cyganka.

— Stara Sołoducha, żona żebraka, i stary Rataj jój mąż.

— Tak! cygańska dola nad cygańskim zlitowała się dzieckiem — szepnęła Aza i zamysliła się. — Ale dość już tego życia — zawołała po chwili wlepiając oczy w sierotę — tyś dziecko *Romów*, czas ci *gadziów* porzucić a iść z nami. Tyś piękna i młoda, lepiej ci u nas będzie. Co to za życie? życie *szukeli*, życie *zycaja* (psa, kota), których głupi nałóg przykuwa do chaty, do progę, do kąta i robi kamieniem. Co dzień jedno przed oczyma, codziennie toż samo życie, ta sama nędza i praca! pójdiesz z nami, pójdiesz i zobaczysz, jak świat się córce Tumrego, krwi *Romów* rozśmiej! Tu na ciebie patrzą jak na obcą i brzydzą się tobą, a z nami będziesz królować, będziesz *rani* (pani) jak ja!

I wstała, na świat potrząsając ręką...

— Jak świat szeroki, jak *pfuf* (ziemia) wielka, wszystko to nasze królestwo; jak zajrzęć ojczyzna: granic jój nie stawi nikt! Źle tutaj! wóz zaprzęgą i dalej pod cieplejsze niebo za góry, na Węgry, het! het! aż nad sine morze, do miasta, co w wodzie pływa! A idąc śpiewamy i nie mamy tęsknić czasu, bo w oczach co raz co nowego! Zobaczysz *rakloro* zobaczysz, rzuć tylko chatę, pluń na tę kądziel *gadziów*, weź na ramiona *urakbę* i z nami, z braćmi twojemi.

Te słowa wymówione żywo, gorąco, choć połamanym językiem, pełne ognia i zapалу, dziwnie przejęły sierotę, przywykłą do powszedniej chłodnej mowy wieśniaczej. Ozwała się w niej może uspiona krew cygańska i instynkt tulaczy; zadrżało serce, ale usta otworzyć się nie umiały. A Aza mówiła, mówiła, i bujała jakby pieśń jakąś śpiewając, rajem czyniąc włóczęgę, rokoszą nędzę, która ich jadła, na ustach nawet śmiech błędził pożyczany i straszny...

Skończyła, a Marysia słuchała jeszcze, bo ją ten obraz nieznanego życia, nieznanego rodziny pociągał ku sobie jak przepaść: obawiała się ich i pragnęła.

— Dobra kobieto — odezwała się podnosząc oczy które spotkały i mogiłę zieloną, i starą chatkę matczyną — A! nie mnie to iść z wami: jam już nie cyganka, nie! nie! ojca nie znalazłam, ssalam piersi matki mojej, z niej przywiązanie do kąta i strzechy...

— A ot grób matki, a ot ojcowska praca! Ot ścieżki, któremi biegałam za młodu, i moi przyjaciele — dodała wskazując kury, psa i stado gołębi unoszące się nad cmentarzem.

— Cóżbym ja poczęła z wami? co wy ze mną — mówiła dalej — ja was, wybyście mnie nie zrozumieli: a pierwszego dnia, gdyby mi z oczu znikła ta chata i mogiła, z tęsknotybym za niemi umarła. Na co mi świat? albow to ja ciekawa szerokiej ziemi i sinego morza? Gdzie kogo posadziła dola, tam mu żyć i umierać! Co wam lepszego, że kości wasze leżą rozsypane po świecie, a serce nie ma się gdzie, nie ma do czego przytulić?

— No! to zgnijże tu *gadziów ciał*! — krzyknęła gniewnie cyganka — chcesz być kamieniem — bądź nim sobie! Głupiego nie wiąże sznurek a wola jego; i skomli jak pies na łańcuchu, a urwać się nie ma siły... Omyliłam się: w tobie nie ma już krwi cygańskiej.

To mówiąc powstała oburzona, ale gdy znowu spojrzęła na twarz zasmuconą Marysi, na te rysy, które jój Tumrego w całym blasku młodości przypominały, zmięknęła i zatrzymała się, zmieniając głos, który chciał zionąć nowemi przekleństwami.

— A co twoja za dola? — spytała — Ot! młodość przesiedzieć na mogile! Kto ciebie zechce? kto cię przytuli? kto pokocha? Sponiewierasz młodość swoją, sprzedasz się za chleb i za strach może; a potem pójdiesz o kiju żebrać obelg i szyderstwa... Szczenięta psa twego nogi ci będą obrywać!

— Niech i tak będzie, — odpowiedziała Marysia, — a czy to życie tak długie?

— Żal mi cię dziewczyno, boś nie stworzona na poniewierkę, — dodała Aza. — O! o! jakbym ja ciebie po swojemu ubrała, a nauczyła skakać i śpiewać; panowieby szaleli za tobą, pieniądzeby się sypały gradem... Kto wie! w złocie czasem chodzą cyganki i garścią złoto rzucają.

Tych słów pokusy nie zrozumiała nawet dziewczyna, bo się rozplakała na wspomnienie matki, które jój przyszło do serca.

— Ej! to darmo, — szepnęła cicho — doli swojej nie przerobić, losu nie przetkać na nowo; człowiek jak nic, co ją pan Bóg przędzie: z grubej na cienką wysnują ludzie, ale z cienkiej nie zrobią grubiej... Na cóżbym latać miała za lepszym, kiedy go dla mnie nie ma na świecie.

W tej chwili rumieniec jak krew trysnął na twarz dziewczęcia, bo posłyszała tętent siwego konika i przyszło jej na myśl, że gdy ją Tomko z cyganką zobaczy, już i spojrzeć na nią więcej nie zechce.

Aza dostrzegła niepokoję Marysi, odwróciła się, powstała, najrzała chłopaka, który niespokojnym okiem szukał sieroty, i odgadła wszystko.

Tomko widział w przelocie, że nie była samą; nie zatrzymał się nawet, obejrzał tylko, uśmiechnął i poleciał ku wiosce.

— Ha! teraz ja to rozumiem — śmiejąc się zawołała Aza — dla tego białowłosego nie chce ci się od chaty i mogiły... Zawczasu dziewczeczko, zawczasu! Gdybyś z nami była, ukochałabyś kogo chciała, porzuciła odchodząc, i ktoby tam wiedział, co ci przez serce przeszło. Ale tu!! ot mizernie ci zginąć przyjdzie nie zakosztowawszy życia! Jeden cię zbalamuci, a wszyscy palcem pokazywać będą! Myślisz, że się ten młokos z tobą ożeni? O! o! czy jemu to w głowie; dość spojrzeć na niego, żeby cię pożałować: godzina wesela, reszta życia płacz! Póty on tu jeździ, póki pierwszej lzy nie zobaczy: a potem, bywaj zdrowa! Prosty nawet chłop cię nie weźmie, bo i jemu zechce się krasnego pasa, czerwoną wstążką związaną flaszki na weselu... Myślisz, że ludzie kochają? A! głupia! głupia! psy, to jeszcze, ale ludzie!!

Potrząsa głową, poczekała na odpowiedź i udawała że odchodzi. Marysia milczała, lzy się jej w oczach kręciły.

— Nie pójdziesz z nami? — spytała Aza.

— Nie, nie! — odpowiedziała sierota — niech się dola spełni, nie ucieknę ja od niej.

— To gnijże, gnij! — odparła cyganka gniewnie, na dół człek ma wolę... ale głupiemu nie poradzić!

I wysunęła się ze cmentarza, ale oglądając się, zatrzymując, wahając, jakby ją co nazad ciągnęło; a Sierotka przeprowadził cygankę szczekaniem i wyciem aż za górę.

Gdy się w człowieku gwałtowna rozbudza namiętność, wszystko coby bieg jej tamować powinno, jeszcze go silniej przynagla. Jest w tym coś niepojętego: walczym z sobą, cierpimy, a z walki i boleści zarówno korzyść odnosi nieprzyjaciel. Owszem, przeciwności mają w sobie siłę podbudzającą, której nie posiada powodzenie. Tę uwagę, nie śmiejąc się czytelnicy, robimy z powodu przywiązania Tomka Choińskiego do córki cygana; ale Tomko nie takiż człowiek jak my wszyscy i nie temuż ulega prawu, co bracia jego w Adamie: — w słabości i upadku?

Tomko jak wszystka szlachta podupadła, a nieco zamożniejsza, mimo swego skromnego leśniczostwa i budki, w której jego rodzice mieszkali; dumny był, jakby jeszcze przysłowie o zagrodzie i wojewodzie pamiętał.

Pierwszy jego krok do Marysi całkiem był tylko skierowany płochą myślą uwiedzenia biednego dziewczęcia. Zbliżył się, poznał, przypatrzył, postrzegł, że trudniej to będzie niż mu się zdawało! ale w chwili gdy już postanowił porzucić głupie zaloty, po czasie było: poczuł, że bez tego ślicznego stworzenia, z którego oczu raz się napił rajskich nadziei, już żyć nie potrafi.

Chłopak tego sobie nie mówił, śmiał się z tęsknoty i serca własnego, ale rady nie było na nie. Gdzie pojechał, Bóg wie jak kierował drogą, a musiał przesunąć się mimo lepianki; którego dnia dziewczyny nie zobaczył, tęsknił aż szalał: w ostatku pochmurniał, zadumał się i zmiarkował, że to nie żarty.

— Czarownica czy co! — mruknął w duchu — już ciżto nie pierwszyżna mi się kochać, a nigdy takiej z tego jak teraz nie miałem dokuki... Jeszcze licho nadało: ładne, gołe, a harde, że ani przystąpić. Oj! cyganka! cyganka! dała mi jakiegoś licha w tej wodzie, comto się jej na moją biedę od niej napił.

Tak rozmyślał Tomko, a rady sobie dać nie mógł już był postanowił co będzie to będzie formalnie się do niej począc zalecać, choćby do reszty postradać głowę, gdy przejeżdżając

koło chaty właśnie w czasie bytności Azy, temi stosunkami Marysi z łotrowską bandą włóczęgów tak się zgorzysł, że postanowił ani już spojrzeć na dziewczynę.

Cały dzień latał lając, wściekając się, srożąc, tłukąc za swoje grzechy nieszczęśliwego siwka, a na cyganach się to skrupiło, bo ich zaraz ze wsi przepędził własnym domysłem, tak, że ledwie czas mieli rzucić na wóz manatki, i co prędzej ku sąsiedniej wiosce pociągnęli.

Tomko zaklął się nawet, szczęściem sam przed sobą, co go nie tak bardzo zobowiązywało: że zupełnie o Marysi zapomni, do chaty za wsią nie zajrzy, i pocznie się do Horpyny sotnikównęj zalecać, gdzie pewien był, że go dobrze przyjmą; ale wszystkie te postanowienia trwały niezachwianie niespełna dwadzieścia cztery godziny.

W ciągu nich nawet Tomko, nie gościńcem wprawdzie, ale kędyś drożyną po za cmentarzem przejechał raz mimo chaty i z ukosa spojrzął w stronę Marysi. Nazajutrz już mu z tém strasznie było ciężko; ale na lekarstwo wprosił się do sotnika. Horpyna była niczego, zdrowa, hoża, młoda, i niezmiernie śmiała; sotnik wdowiec, w chacie tylko stara milcząca najmitka: słowem, zaloty szyby były jak po maśle, bo dziewczęciu panicz się wcale podobał; ale Tomkowi po Marysi wydała się sotnikówna tak pospolitą, prostakowatą i bezwstydną, że pokręciwszy się chwilę koło niej, choć go zapraszano na wieczorynkę pod pozorem objazdu lasów powrócił do domu.

Chmurny a gniewny sam na siebie, położył się spać i zasnął sprawę bardzo wcześniej z wieczora. Ale sen co go miał uleczyć, to mu w głowę naplątał jakichś obrazów, że z niemi wstał o zaraniu gorzej jeszcze niż był rozmarzony.

I tego dnia i kilku następnych kręcił się, włóczył jak Marek po piekle, i nic mu niby nie było, ale taka się do niego uwiązała tęsknota, że coś to aż na chorobę zakrawało.

Wszędzie mu było źle, nudno, samotno; a że dawno dosyć rodziców nie odwiedzał, wzięwszy pozwolenie we dworze pojechał na budki.

Owa szlachecka w lesie osada nie była tak bardzo oddalona od Stawiska; leżała ona na samém pograniczu pomiędzy Rudnią a wioską pana Adama, i składała się z dziesiątka chat czynszowników dawniej szlachty, niegdyś sprowadzonej do wyrobku lasów i palenia potażów, teraz zmienionych w rolników i przyrostów do kąta, w którym się od pradziada zagnieździli.

Chaty czynszowników rozrzucone były na górzystej wśród lasu polance, co roku prawie szerzej wykarczowywanęj; każdą z nich oddzielał od sąsiednich ogród obszerny, półko, sad wiśniowy, pasieczka, stare grusze i czereśnie, a białe domki wdzięcznie malowały się w pośród lasu. Na pagórku od kraju leżała chata najbogatszego pana Choińskiego, który miał do dwudziestu roboczych koni, gospodarstwo zamożne, i handle prowadząc to wołami, to wieprzami, głośny był jako Krezus między swemi. Świeżo wzniesiony domek z dobrego drzewa, dość wysoki, z kominem i ganeczkiem o dwóch słupkach, okolony porządnymi zabudowaniami, powiadał wyraźnie, czyjém był pomieszkaniem.

Adam Choiński byłto już poszpakowaciału człowieczek, przebiegły, pracowity, który nie z jednego pieca chleb jadął, bywał na wozie i pod wozem; a że mu się wszystko dotąd, czego dotknął udawało, przemyślał coraz co nowego, aby nie próżnować i groszowi nie dać darmo leżeć. Brał pola cudze na współ, kupował woły, karmił wieprze, sprzedawał masło i sery od licznej trzody bydła, koło którego Adamowa szczęśliwą miała pieczę, najmował się pod transporta drzewa i zboża, a wreszcie gdy zabrakło konceptu, to po sól do Konstantynowa, to po ryby jeździł do Pińska, co roku kapitalik powiększając obrotami. A że i pasieka się rozmnażała, bo jójmość była gospodynią co się zowie, i w domu żyło się oszczędnie: co dzień miał się lepij Choiński.

Tomko był u niego jedynakiem, ukochaném dziecięciem, a przez jójmość trochę nawet pieszczonym; pan Adam nie dawał mu jednak próżnować i baki strzelać; oddawał go naprzód do parafialnej szkółki, potem na służbę choć lekką do Mińska, abyto niby coś robił. Że niedaleko otrzymał miejsce, widywali się z rodzicami niemal co tygodnia, bo jeżeli Tomko nie przybył, to Adamowa kałamaszkę zaprząglszy, jechała do niego się dowiedzieć.

Stary był doma, i matuś aż na próg wybiegła, gdy kopyta siwego zatętniły na podwórku. Pan Adam wybierał się tego dnia gdzieś na jarmark, i wóz już stał przygotowany przed chatą, a on sam we drzwiach wdziewał szaraczkową kapotę, gdy się syn przystawił.

Choć się krzepko trzymał, pan Adam nie był już młody: włosy miał jeszcze dosyć, ale szpakowatego, twarz do zbytku może rumianą i ogorzałą, oczki szare biegające, usta szerokie i uśmiechnięte a nad niemi wąs szczególnego rodzaju. Kształt jego wymyślić musiał ktoś, co wąsa ogolić żałował, choć znał z doświadczenia niedogodności jego i zapobiedz im usiłował przemyślnie. Coś to było na kształt siwego sznureczka, w równym oddaleniu od ust, by w potrawy nie zaglądało, i od nosa żeby go tabaką nie walać; niepostrzeżona prawie linijka twardo stojącego i krótko obciętego włosa, która pozwalała się pochwalić wąsem a zimą i latem do niczego nie zawadzała. Bięda tam tylko być musiała z gołębieniem, żeby po tygodniowym lub dłuższym odroście, trafić na pozycyją owego wąsa, ale od czegoż doświadczenie? Golił się sam pan Adam i nigdy wąsów nie wykąsił, ani się im dozwolił do zbytku po twarzy rozpościerać.

Ledwie Tomko zsiadł z konia, troskliwe oko matki i baczne wejrzenie ojca już go objęły całego, i oboje postrzegli, że chłopak przymizerniał, a wesołość, która dawniej twarz jego okrywała, stracił. Pocałował w rękę rodziców, i milczący, powolnie, bez swawoli, bez głosu wszedł do chatki.

Ojciec go nie spytał co mu było, ale matka zaraz szepnęła na ucho:

— Co to? czyś nie chory Tomku? albo ci się co nie stało? Mizernie ci coś z oczu patrzy?

— Ot tak! — rzekł leśniczy — coś mi na sercu ciężko.

— No! no! — dodał zażywając tabaki stary Choiniński, który i pytania i odpowiedzi dosłyszał — raz wraz bo z dziewczętami się parasz... *Dobra taja brednia... ale nie szczo dnia...* Jużby czas ją porzucić, a to zdrowie stracisz i na jakie lichy trafisz, że ci kwaśnego piwa nawarzy!

Tomko, który się ojca bał i wstydział, zawołał zaraz:

— A gdzie mnie tam to głupstwo w głowie, tatuniu; nie miałbym roboty... Ciężko lasu upilnować, nie ma dnia, żeby nie było trzeba siekiery odbierać... Pan nie żartuje, sam po drogach o kwitki pyta, tchnąć człek nie ma czasu.

— To i dobrze, że pracować musisz; to i dobrze!

— Ale jednakże; żeby zdrowia nie nadwerężył! — dodała matka.

— Porzuć jęjmość — przerwał stary — praca nie zaszkodzi, byle to prawda tylko była, co Tomko mówi, jeszczeby pół biedy; wyśpi się, naję i będzie zdrów.

Matka spojrziała, westchnęła i zamilkła; a przypomniawszy sobie, że syn może być głodny, pobiegła do komory po przekąskę. Stary z boku popatrzwszy na syna, sam wkrótce do ładowania wozu i wyboru na jarmark pośpieszył, bo zwykł był mawiać: sprawa sprawy nie tamuje... Jakoż wkrótce konie zaprzągłszy siadł i pojechał, choć mu tęskno było syna porzucać, ale jarmarku opuścić nie mógł.

Adamowa była matką, syn jęj jedynym dziecięciem, jakże tu przenieść widoczną jego zmianę, smutek i troskę? Poczęła koło niego chodzić, żeby się prawdy dopytać.

Tomko nic dla niej skrytego nie miał, a choć matka do zbytku pობłażała mu może, serce też za to miała zawsze dla siebie otwarte. I teraz nietrudno jęj było o przyczynę zadumy dopytać.

— Ot, lichy się do mnie przyplątało — rzekł pocichu, kryjąc oczy jak winowajca.

— Ani chybi, znowu tam jakieś przekłęte dziewczysko — zawołała matka. — Gadaj już gadaj... niech wiem, co się święci.

— Teraz to chyba gorzej jak kiedy — odparł Tomko, i nuż spowiadać się matce, a słów nie skąpił, bo mu się na nie długo zbierało. Gdy począł mówić, wygadać się nie mógł.

Adamowa stała, słuchała, głowę kręciła i summowała zasmucona.

— Hm! hm! — rzekła po chwili — lepijbyś to sobie z głowy wybił... Cyganka... diabeł ją wie... *może co zna!* O jęj ojcu i matce dziwy prawili: nasłuchałam się, że włosy na głowie wstają... Cyganisko się w końcu obwiesił!! Brudy i szkarady: potrzeba ci było tam nosa wtykać?

— A! kiedyżto ładna jak drugięj w życiu nie widziałem! — zawołał Tomko — a poczciwe, a skromne!

— E! pluń ty mi na to! A zkąd się tu u niej poczciwość ta i skromność wziąć miała... Widać tylko durzy ludzi... E! ostrożnie Tomku, ostrożnie bo się doigrasz! Dziewczyny mi tęg więcej ani patrz! Mało masz szlachty, coby każda za ciebie poszła... to się żeń już lepij, niż masz tak bałamucić.

Długo jeszcze w ten sposób mówiła pani Adamowa; słuchał jój syn w milczeniu, ale znać było, że do serca mu to nie szło, i matka pomiarkowała, że przekonać nie musiała, bo ciągle w jedno biła, powtarzając swoje, a słowa z niego nie mogąc wywołać. Gdy nareszcie milczący odjechał, rozplakała się usiadłszy na ławie. Biedna kobieta przebiegła w myśli wszystkie możebne skutki synowskiej namiętności, i drżała nad dziecięciem, chciała go już z leśniczostwa odebrać, to daleko gdzieś zasłać, tak jój cyganki i czarów strach było.

Cała zadumana o przyszłości, ani spostrzegła, jak zmierzch padł na dworze; w chacie noc się zrobiła, a drzewi powoli rozwarły się i głos z nich chrypliwy, pocichu ją pozdrowił.

— Dobry wieczór, imościuniu!

Dopiero odwróciła głowę, wstrzęsła się i nie mogąc poznać gościa zapytała:

— A kto tam?

— Oj! a tożecie mnie widzę staręj sługi nie poznali? — dodała śmiejąc się chrapliwym głosem Sołoducha... Stara Ratajowa ze Stawiska! Byłam na budkach u Marcinowej, której Pan Bóg dał syna... i do jejmości przychodzę jako do kумы z *warem*.

Zerwała się szlachcianka, krzyknęła na sługę i wnet zaświecono łuczywo. Po przyjęciu podarku, kazawszy dziewczę w zamian zań krupniku, tojest wódki z miodem i korzeniami przyprawić, Adamowa poprosiła babę, żeby usiadła i sama się przybliżyła do niéj. Na rękę jój było właśnie urodziny owe i przybycie Sołoduchy, bo nie wiedząc jak ściśle stosunki łączyły starę z Marysią, a znając zdawna lekarkę, chciała z niéj coś o cygance się dowiedzieć.

Zręcznie więc naprzód podpoiwszy babę, nuż wypytywać o to i owo!

— Oj! — rzekła nakoniec wzdychając — biedato moja, że Tomko u was w Stawiskach; chłopiec młody, strasznie do dziewcząt ochoczy a z dawien dawna o waszych niedobrze słyhać: wszystkie tam ladaco, gotowe mi go rozłajdaczyć.

— Moja jejmościuniu — odpowiedziała stara — jak się co ma zepsuć, co chcesz rób nic nie pomoże... A ja tak źle nie myślę o waszym synu, a nasze dziewczęta toż nie takie teraz jak bywały, kiedyto pan młodszy hulał i psuł ludzi.

— I teraz się tam jeszcze znajdzie nie jedna, co mego bałamucić zechce... a może się już i znalazła? — spytała szlachcianka ciekawie.

— Nie wiem... nie wiem — odparła baba śmiejąc się — at, zwyczajnie nie do jednéj się uśmiechnie, jak naprzykład do sotniczanki Horpyny; ale to młodość na to...

— Tam-bo uwas — dodała Choińska nie mogąc dłużej wytrzymać — jest jakaś cyganka którą chwałą, że ma być bardzo piękną...

Sołoducha podpita już, miała wielką ochotę gadać, i zerwała się z siedzenia jak oparzona.

— To o Maryś widzę mówicie — przerwała — O! o! daj nam Boże wszystkim takie dzieci, jak ta dziewczyna się udała! cyganka nie cyganka, a drugieć takiéj we wsi nie znajdziesz. Czy to wy nie wiecie nic o niéj?

Matka rada się była jak najwięcej dowiedzieć, i naławszy jeszcze kieliszek wódki Sołodusze, poczęła ją wypytywać.

Dopieroż Ratajowa dziwy o dziewczynie jęła jój śpiewać, o jój życiu, pracy, piękności, poczciwości, wytrwaniu; jakie to śliczne, jakie to dobre, i jak to Bóg sam sieroctwo jój wykolysał. Stara Adamowa zadrżała, zmarszczone jój czoło okryło się potem, i ciężki niepokój sercem poruszył: załamała ręce, wydając się ze swoją tajemnicą.

— To już niema co taić — zawołała — Tomko się mój w niéj na zabój rozkochał; był tu u nas przed chwilą... przyznał mi się że za nią szaleje... Co tu robić Sołoducho? —

Baba spuściła głowę milcząca.

— Alboto ja wiem! — rzekła.

— Żenić się z cyganką, z sierotą, z ubogą, a jeszcze i poddanką waszego pana, ani myśleć Choińskiemu — dodała z dumą Adamowa — a chłopcu jakby kto co zadał!

— Dziewczyna pocziwa — przerwała Sołoducha — ona go bałamucić nie będzie, Tomko sobie ją z głowy wybije.

— A jeżeli to czary? — spytała szlachcianka pocichu.

— Jakie czary? — odparła ruszając ramionami Sołoducha — czarne oczy, czerwone liczko, ot i po wszystkim...

— Ależ Tomko mój oszalał!

— Alboto jemu pierwszyna!

Flasza stała gotowa, baba schwyciła ją pod pachę i zabięrała się do wyjścia; niespokojna szlachcianka jeszcze do szafy poszła po grosz jakiś i wetknąwszy go staruszce, usiłowała ująć ją sobie.

— Słuchajcie — rzekła pocichu — a gdybyście wy mnie pomogli i oko tam mieli na mojego chłopaka: dalipan gotowabym wam takiego gościńca dać, o jakim się wam nie śniło!

— A co ja mogę?! szepnęła Sołoducha odrzucając pokusę i szybko sunąc ku drzwiom — bądźcie spokojni, ja do Marysi chodzę, z oka ich nie spuszczę, i co podołam to zrobię: nic się złego nie stanie! Bóg z wami! nie macie się strachać czego.

Mówiąc to baba wpół pijana, starała się jednak język za zębami utrzymać i szybko wyszła z chaty, a ledwie w podwórku aż się za siwą uchwyciła głowę.

— Cyt! cyt! — zawołała do siebie — precz lichu! ta — to się na wielkie rzeczy kroi! Myślałam, że Tomko tylko ją bałamuci i szczęścia probuje, a on naprawdę zaszłapał! No! no! może Pan Bóg sierocie da szczęście!

A jakto w każdej ludzkiej czynności by najlepszej, jest diablego ogona kawalek, bo nim szatan musi każdą zamieszać potrawę; do dobrych chęci dla Marysi stariej Sołoduchy, wmieszało się i złe uczucie, dodając jak drożdże ciastu siły robocie i wzrostu. Choinscy byli bogaci, stary trochę się czwanil i rękę kładł za pas; Adamowa w niedzielę na panią patrzyła, w chacie ich było dostatnio: a myśl upokorzenia ich dumy daniem im cyganki, sieroty za synowę, uśmiechnęła się stariej Sołodusze.

— Ot toby dopięro musieli nosy pospuszczać — dodała w duchu — oni co najmniej jaką ekonomównę lub pannę z garderoby dla syna roją; a tu im przyjdzie golusienkie cyganiątko!! i córka wisielca!

Ratajowa cała w rozmyślach stanęła nawpół drogi.

— Coby tu robić? — spytała się sama siebie ożywiona wódką — jakby tu począć?

Chwilę tak stała głęboko zadumana, potem coś zapewne przemyśliwszy, kopnęła się wesoło do chaty pani Marcinowej. Tu choć dni jeszcze parę miała zabawić, ale tak się poczęła niepokoić o Marysię, że nazajutrz rano piechotą wyrwała się do Stawiska, nieczekając na podwodę. A że dobrze znała okolicę; przez lasy wprost poszła ścieżką na cmentarzysko wiodącą.

Zbliżając się ku niemu, zdala już poglądała, czy nie zobaczy dziewczyny przy mogile; ale choć dzień był piękny, nikogo tam niedopatrzyła, tylko z tumanem kurzawy Tomko na siwku przeleciał i mignął jęj jak strzała przed oczyma.

— Leć! leć! — uśmiechając się zawołała baba — złapiemy cię ptaszku; ale gdzie hołubka moja? gdzie Marysia?

I przeszedłszy w poprzek drogę zbliżyła się do chaty, w której izbie pies zaszczekał. Drzwi były zamknięte, zapukała, i po chwilce Marysia przysła jęj otworzyć. Stara bystrém okiem podejrzeń pełném, zmierzyła spokojną i smutną dziewczynę.

— A co to ty w chacie? — zapytała.

— Ot tak! — odparła Marysia — nie chciało mi się piec na słońcu...

— Bałamucisz! gadajno prawdę!

— Ten się włóczy a włóczy — pocichu szepnęła Marysia — raz wraz mnie zaczepia: musiałam się przed nim schować.

Sołoducha mrugnęła oczyma.

— I cyganka się już do mnie jakaś dwa razy przywlokła, dziwy mi prawiąc... Nie śmiem wyjść już na cmentarz.

— I dobrze robisz odpowiedziała Sołoducha, siadając — ja ze strachu żeby ci się tu co złego nie stało, leciałam do ciebie aż z Budek od Rudni jak oparzona... Chłopcu ani końca nosa nie pokazuj! Już ja co wiem, to wiem!

— A cóż wiecie? — spytała zarumieniona Marysia.

On się w tobie do szaleństwa, na zabój rozkochał! — na ucho ostrożnie szepnęła baba — bylebyś rozum miała, to się z tobą ożeni.

— On! ze mną! — czerwieniejąc się coraz mocniej krzyknęła Marysia — chyba żartujecie ze mnie?

— Ale gdzie tam! tak jest! miej rozum, a nie przypuszczaj go do siebie ani na staje, to go będziesz miała... Tyś głupia, ale ja żyłam na świecie to wiem: mężczyźnie im gorzej dokuczysz, to cię lepiej pokocha.

— Tego nie rozumiem moja matko!

— Rozumiesz, nie rozumiesz, a rób, co ci mówię! Zobacysz, ja w tém że pójdziesz za szlachcica i cała wieś będzie ci zazdrościć... A dopiero stara Sołoducha wzięwszy się na weselu pod boki, całej wiosce powie: — A co? a co? ot, jak moja cyganka poszła za męża? Nie chcieliście na nią patrzeć, teraz się jęj będziecie kłaniać; a kto to zrobił... Sołoducha!

I baba w istocie wzięła się pod boki i podrygiwała stanąwszy naprzeciw Marysi, która przelękła i zdumiona więcej niż uradowana, patrzyła jak sierotka na Sołoduchę szczebrać począł, widząc ją w tak niezwykły sposób uwijającą się po izbie.

— Matuniu! — powtórzyła dziewczyna — ale ja was nie rozumiem.

— Cyt! — zamykając jęj usta dodała stara — tylko mnie słuchaj, a głowy nie masz czego łamać.

— Ale cóż mam robić? — spytała Marysia.

— W chacie siedzieć, nosa na dwór nie pokazywać: to pierwsze... Zobacysz, szczęście ci się samo położy na progu i garścią go weźmiesz...

To powiedziawszy Sołoducha usiadła na ławie i nieco odetchnąwszy, wyraźniej się tłómaczyć poczęła.

— Musiał szlachcic zaszłapać — rzekła — kiedy już i matka jego wie o tém, a ze strachu umiera, bo się przedemną aż wypowiadała. Teraz tylko podmuchać i ogień będzie. Do cerkwi w niedzielę wystrój się moje dziecko, ale jeżeli cię zdybie, zaczepi, zagada, ani się nawet oglądaj... Tomko zobaczy, że tu nie ma innęj rady, tylko się ożenić; i albom ja już do niczego i głowy nie mam, albom przysięgła że się ożeni!.. Rodzice krzyżać będą, łajać, fukać i na niego i na ciebie, ale w końcu pozwolili muszą... Chłopiec niczego! chata raj! hroszy u starego choć czapką mierzyć... Nie zapomnisz, spodziewam się i o staręj Sołodusze.

Zdziwiła się stara podniosłszy oczy na Marysię, gdy ją we łzach całą ujrziała.

— A tobieżto co? — krzyknęła.

— A matuniu — cicho odpowiedziała Marysia — nibyto ja rozumu nie mam! Gdyby się to i stało, a coby mnie tam w chacie czekało?

— Co? — ofuknęła baba...

— Czyby mnie to tam jak dziecko przyjęli i ojciec i matka? A ktoby mi dobre słowo powiedział! Na niewolębym tam chyba poszła i na poniewierkę.

— Albo to starzy wieczeni!

— A na co mam ich śmierci patrzeć? — odezwała się dziewczyna.

— I cóż myślisz? — przerwała Sołoducha.

— A cóż? gdyby nawet takie szczęście spotkać mnie miało, ja go nie chcę.

Baba osłupiała z podziwu, załamała ręce, przeżegnała się mruczając coś pod nosem niezrozumiale.

— Alboto mi tu źle? — spytała Marysia — albo mi brak wody i chleba? A na co mi więcej? Przywykłam do chaty i wiek w nięj przeżyję... Szlachcicby mi całe życie wytykał, że mnie z błota wyprowadził; gdyby nie on, to i chłop gdyby mnie wziął nierazby w złą godzinę nazwał cyganką i córką wisielca... Wolę, że mi tu ściany milczą, niżbym tego słuchać miała.

Sołoducha z usty otwartemi, milcząc, zdawała się chcieć zrozumieć słowa dziewczyny i nie pojmować ich wcale.

— Otóż tobie rozum! — rozśmiała się nareszcie — oto tobie dola! Jak jęj szczęście świta, toby się chciało, żeby Pan Bóg i wczorajszy dzień przerobił. Tfu! na marę... lichu tam wie, czego ci się zachcięwa! Ja tego i słuchać nie będę; a co wiem, to wiem, i co mówię, to zrobię...

To rzekłszy zerwała się z ławy i cała oburzona, ale podtrzymując się jak mogła tém, że dziewczę bredzi nie wiedząc co; odeszła od Marysi, we łzach ją zostawiwszy.

Biedne dziewczę zostało same i usiadło na ławie zadumane tak smutnie, jak nigdy jeszcze; oczy jęj oschnąć nie mogły, a niepokój bił piersią wzruszoną. Co tu począć i jak tyle różnych uczuć pogodzić! Sierotka jakby przeczuł co jego pani cierpiała, przyszedł, siadł przy nięj pocichu, i począł ją lizać po rękach, łapą drapiąc po kolanach, żeby z zadumy rozbudzić. Ale ciężko to było! ciężko!

Pierwszyto raz dziewczęciu ktoś się starał podobać i podobał; pierwszy raz obcy przemówił do nięj tym językiem, który tak słodkiem brzmieniem młode ucho kusil;

a uśmiechnąć mu się, odwrócić do niego jak serce chciało, nie było podobna! Cała przyszłość czarna, ponura, straszliwa stanęła przed sierotą...

— I zawsze tak będzie — mówiła w duchu — i nigdy nie potrafię znaleźć równego sobie; chybabym wzięła żebraczego syna i poszła w świat ze ślepym. Któż weźmie cygankę? Kto wie! kto wie! dobrze może radziła stara cyganicha, pójsz z nimi na wieczną włóczęgę... Ale jakby moją kochaną chatę i mogiłę porzucić, i moje życie spokojne?

— A! — dodała płacząc — już ono nie będzie jakimś było! Jeden się zbliżył i spojrział... podobam się drugiemu, nie dadzą spokoju, aż sponiewierają mnie bezbronną i bezsilną... Co tu począć! co począć!

I załamała rękę.

Ale w chwili największej rozpacz, przychodzi czasem otucha, świta pociecha nie spodziewana. Marysia spojrziała przez okienko na jasne niebo, na uwijające się ptaszki pod chatą, posłyszała szczebiotanie swych skrzydlatych przyjaciół, i trochę jęj przybyło odwagi.

— Bóg łaskaw — rzekła pocieszając się w duchu — co będzie, to będzie, ja do mojej roboty, do mogiły i do dawnego obyczaju powrócę... A przyjdzie umierać, to nie pożałuję świata, bom go nie zaznała! Tyle go dla mnie, co w oknie.

Tymczasem, jak łatwo można było przewidzieć, szalony chłopak, chodź co dzień się zarzekał, że Marysi więcej nie zobaczy, codzien więcej za nią przepadał; w końcu całkiem poddał się tej namiętności, i już na nie postanowił nie zważać.

Marysia udawała obojętną i w niczym nie zmieniła postępowania; ale czasem musiała choć po niewoli nań spojrzeć, a ten wzrok przeszywał go do duszy; musiała powiedzieć słówko, a mowa sprawiała mu dreszcze i sprowadzała sny dziwaczne; musiała się pokazać choć na chwilę, a ujrawszy ją leśniczy głowę tracił do reszty. Przyszło w końcu do tego, że po pięć i sześć razy włóczył się około chaty, w której Marysia ze strachu, aby się z nim nie spotykać, siedzieć musiała zamknięta jak niewolnica.

Nie można się było z nim rozminąć, kręcił się po gościńcu, przy studni, po za cmentarzem, i czychał tylko, żeby ją zobaczyć.

Ludzie dobre mają oczy, zwłaszcza na cudze sprawy: rychło też po wiosce wieść gruchnęła o zalotach leśniczego do Marysi, a sam pan Adam, który wraz gospodarzem i pobożnym został, codzien teraz prawie łapał na drodze do lasu wykradających drzewo bez kwitów. Tomkowi leśniczostwo wcale nie było w głowie; zgromił go raz i drugi dziedzic; wysłuchał bury, ale się nie poprawił. Pan Adam zapowiedział, że go za trzecim razem odprawi; ale zaraz nazajutrz złapano w szkodzie z sąsiedniej wsi chłopków, którzy korę dębową obdzierali do blizkiej garbarni. Pan Adam wpadł w gniew potężny, i Tomkowi natychmiast leśniczostwo odebrał. Strata miejsca niewiele go obesza, ale bał się ojca i nie wiedział jak się tłómaczyć: a że go serce wiązało do Stawiska, postanowił do czasu utaić odprawę, i przyzostać w chacie sotnika, dobiegając z niej do cmentarza i Marysi.

Przywiązanie do niej gwałtowne i niepohamowane, dziwnie nad nim brało górę. W pierwszych chwilach była to tylko młoda fantazyja, płoche zachcenie i powab pociągający pięknej twarzyczki. Tomko chciał się pobawić i porzucić, ale teraz myśli jego całkiem barwę zmieniły; chciał się już żenić i nie taił z tém przed sobą. Widział on niepodobieństwo ożenienia dla rodziców, ale dziecinnie i wieśniaczo mówił sobie, że uciecze z dziewczyną, że się z nią gdzieś ukryje; a ożeniony gdy wróci, rodzice ich przyjąć będą musieli.

— A nie, — dodawał w myśli — to pójdę służyć na kraj świata, pójdę dla niej i dla siebie pracować, ale jęj nie porzucę.

Były nań jeszcze chwile oprzytomnienia, w których się sam z siebie naśmiewał, że za cyganką lata, że oszalał; ale namiętność wnet brała górę i znowu snuł potem rajskie życie z piękną Marysią. We wsi, gdzie już wciąż o tém tylko mówiono, na wieczornicach, na połudeńkach, pod cerkwią i w karczmie, Tomko się dowiedział, że Sołoducha i oboje Ratajowie mieli jakąś władzę nad sierotą i opiekę nad nią, i jak tylko tę wiadomość pochwylił nazajutrz rano poleciał do ich chałupy.

Sołoducha go czekała, bo wiedziała dobrze, że w końcu musi przyjść koza do woza; i jak go zdala postrzegła, zaraz męża za piec pchnęła, domyśliwszy się, że chłopcu przy

nim niebardzo mówić się zechce. Dziad się zrazu ofuknął, ale jak mu stara szepnęła na ucho, że to o sierotę idzie, wgramolił się na zapiecko i począł chrapać, choć dobrze ucha nadstawiał. Sołoducha znowu udąła bardzo zajęta i nuż z zimnemi garnkami chodzić od stołu do komina i od komina do stołu. Nie zobaczyła nawet niby, gdy Tomko wszedł do chaty.

— Dzień dobry matko! — rzekł trochę zmieszany szlachcic rozglądając się do koła.

— A to panicz!! — zdziwienie udając odezwała się stara — może wrota na łan zamknięte, zaraz pójdę otworzyć...

— Nie, nie, nie trzeba — odparł siadając na ławie Tomko — ja tu do was matuniu po radę...

— Panie Boże! a tóż co! — odezwała się stara śmiejąc — czy już mnie potrzebujecie?? No, mówcież co wam potrzeba; ale ja taki przestrzegam, że lubczyku u mnie nie ma, choć to wy i bezemnie i bez niego sposób sobie na dziewczęta znajdziecie.

— Co tu długo gadać a bałamucić — wstając z ławy rzekł Tomko — ot matuniu powiedźcie mi, czy to wam krewna, czy chrzestna córka, czy co... Marysia cyganka?

— A co ona mi ma być? — ruszając ramionami odparła stara — nic...

— Ale wy z nią żyjecie?

— Bo to widzicie matka nam ją przed samą śmiercią poleciła; ale cóż wam do niej?

— Co mnie do niej? — wybuchnął chłopak — tu nie ma co kłamać: ot, ja za nią oszaleję!

Baba udąła zdziwienie wielkie, w ręce plasnęła, głową zaczęła kiwać, brwi zmarszczyła, cmokała; wreszcie poufaléj przysiadła się na ławie.

— A na co się wam to zda? — rzekła podpierając twarz zgrzybiałą na pomarszczonéj dłoni — wy myślicie, że to dziewczyna sierota, sama jedna, to ją jak grzyba wziąć; ale widzę Marysi nie znacie.

— Jakże nieznam, kiedy mi głowa pęka, że jéj dostąpić nie mogę.

— I takito porzucicie — szepnęła Sołoducha — wierzcie mi, bo z tego nic nie będzie: obałamucić jéj nie obałamucicie, a cóż? o ożenieniu wam ani myśleć; dopierobyto szlachta krzyku narobiła!

Chłopiec się zamyślił smutnie.

— A ja bez niej żyć nie będę! — rzekł cicho.

— Co wam się stało? — zawołała baba: — Młodemu tak się to zdaje... Oj! oj! albo to ona jedna? Krzyż z wami! Co wy mówicie? Już że Marysi tak nie dostaniecie nie poszedłszy z nią do cerkwi, to pewna: dziewczyna stateczna, pobożna, pracowita a i nie głupia, z chłopcem się nie wdą... na gościńce jéj nie złapać...

— No! to się z nią ożenię! — rzekł zamaszysto Tomko — niech co chce będzie, a taki się ożenię...

— A toż rozumna mowa? odparła starucha — co wam paniczu? czy o Marysi nie wiecie że cygańska córka, czy swoich nieznacie, jak nosa do góry zadzierają? Ojciec i matka toby się was wyparli.

Tomko głowę zwiesił.

— Wy-bo sobie tém darmo krwi nie psujcie; bo co nie można, to nie można — dodała Sołoducha. O! już to prawda, że takiéj śliczności jak ta dziewczyna — kończyła stara powoli poddmuchując ogień, którym leśniczy gorzał; — takiéj śliczności nietylko na okolicę nie ma, ale i na świecie poszukać! Gdyby człowiek nie wiedział, myślałby, że to pańskie dziecko!

Leśniczy westchnął głęboko.

— A tu — rzekł raptownie jakby sam do siebie — ani się zbliżyć, ani pogadać, ani oczu napaść.

— Jużto darmo — dorzuciła baba — ona taka bojaźliwa i skromna, że ledwie zasłyszysz turkot na drodze, do chaty się chowa... Wybijcie to sobie z głowy.

— Kiedy żyć bez niej nie mogę! — zawołał Tomko rozpaczliwie, i zaklął się; a baba udąła, że ją przestraszyło zaklęcie.

— O mój Boże! a cóż to będzie? — zawołała — co to będzie?

— Choćby przyszło dla niej zginąć.

— Cyt! cyt! cicho, nie mówcie w złą godzinę, ja na to nie poradzę...

— Gdyby choć zobaczyć, choć pogadać — rzekł Tomko — wy tam chodźcie?

— To prawda! — mruknęła stara — co dzień.

— Słuchaj Ratajowa! — gwałtowniej przerwał leśniczy — ot, rubla kładę na stół, nie odmawiajcie mi a pomóżcie.

Baba odskoczyła obruszywszy się.

— Co to wy oszaleli naprawdę, żebym ja dla grosza dziewczynę gubiła i do bałamuctwa dopomagała.

— Ale posłuchajcież — dokończył Tomko — ja złego nie chcę i o nic was nieprosię; tyle tylko, jak będziecie u niej w chacie, dajcie mi znać, wypuście za sobą, niech ja przy was choć przebędę z nią jaką godzinę. Będziesz się na nas patrzeć.

Sołoducha jeszcze się oburzała.

— Ale to nie może być?

— Na miłość Bożą — zaczął zaklinać Tomko — widzicie że ja nic złego nie myślę.

— A jak się Choińscy dowiedzą?

— Nie dowiedzą się; a jakby i tak było, niech się sobie dzieje co chce. A to przyjdzie mi dla téj miłości zeschnąć i umrzeć, bo już dłużej nie wytrzymam!

Babie tak się wszystko ślicznie składało, że jęj aż serce rosło; ale udawała zafrasowaną, i nierychło, nacmokawszy poczęła pocichu szeptać coś Tomkowi na ucho, który rozweselony; jakby ożył na nowo, wsiadł na siwka i poleciał.

Dopiero z za pieca dziad się zwłókl co najprędzej po rubla o którym zasłyszał, i chyłkiem skradł się do stołu; ale Sołoducha przeczując napaść, dawno już była schowała grosz w węzełek i zatknęła w łóżko, a Rataj go nie znalazł.

Rozpoczęła się zwada, krzyk, targanie; wyparła się Sołoducha, że datku nie przyjmowała; Rataj parę razy kijem machnął i burza ucichła jakoś wkrótce zalana kwaterką wódki.

O zmierzchu Sołoducha wdziawszy świętę, zabrała się na wieś do Marysi, nie bez sztyderskiego uśmiechu, przekradając się przez ulice wioski ku cmentarzowi i cygańskiej chałupie.

Wielka była radość samotnicy, gdy zobaczyła babę zbliżającą się do chaty: rzadkito bowiem był gość o mroku. Marysia właśnie odpoczywała na przyźbie przed sienią, otoczona całym swym dworem, gdy babina się przywlokła, i na widok który miała przed oczyma, stanęła, by mu się lepiej przypatrzeć.

W istocie było na co spojrzeć.

Śliczne dziewczę, w białej koszuli, w krasnym fartuszk, dłonią hojną rozsiewało ziarno do koła, a wychowańcy Marysi klóćąc się, wyprzedzając i bijąc po trosze, lecieli na nie łapczywie. Szare i białe gęsi, pstre gołębie, kurki czubate, wszystek dwór aż do psa i kota, otaczał panią swoją, nawet kilka dzikich śmiałych wróbli przyplątało się do rozdawanéj karmy, i ukradłszy ziarenko, uciekały z niem co prędzej pod strzechę. Zazdrosny Sierotka widząc że kury i gęsi zajadają, corazto poskoczył, odpędził je, powąchał tego rodzaju jadlo, i nie mogąc go zrozumieć, odchodził zamyślony, jakby powiadał:

— Co téż te głupie stworzenia jedzą! — Marysia śmiała się z tych codzien prawie powtarzanych wybryków swojego ulubieńca. Na widok nadchodzącej Sołoduchy, i dziewczę się z siedzenia zerwało i pies zaszczekał, i ptastwo pochwytawszy co mogło na prędce, wrzeszcząc rozbiegło się, a na miejscu swojskiego stadka, wnet drapieżny zastęp wróbli upadł na tokowisko.

Ostatnie promienie słońca oświecały blaskiem jaskrawym tę scenę wiejską, nacechowaną sielankową prostotą. Po chwilkę Sołoducha przybliżyła się, ujawszy za rękę Marysię, wwiiodła ją co prędzej do chaty.

— Słuchajno — rzekła — nie bądź głupia; Tomko się z tobą niezawodnie ożeni, bo ginie bez ciebie biedne chłopczyko... Zaraz tu przyjdzie; tylko co go nie widać. Jużciż przy mnie oczyma cię nie zjé, puść go do chaty, niech choć pogada z tobą.

Marysia zarumieniła się, jakby ją krwią oblał.

— Krzyż na mnie! Ach! ja nieszczęśliwa; a cóż ludzie powiedzą? — zawołała.

— A co gadać mają, kiedy ja tu! — ofuknęła ją baba, — ja cię do złego nie poprowadzę; słuchaj mnie tylko, wszystko dobrze będzie. Cyt! cyt!

Położyła palec na ustach, a tuż tętent siwka dał się słyszeć. Marysia nie wiedziała już co począć, rzuciła się ku drzwiom, ale baba posadziła ją na ławie, i otworzyła je nieco, a Tomko wszedł jak piorun.

Wpadł i prost do dziewczęcia, chwytając ją za ręce:

— Marysiu! serdeczna Marysiu, nie uciekaj! — rzekł zadyszany — nie bój się, tyś mi miłsza nad życie! Choć chwilkę pozwól pobyc z sobą gołąbko moja; a jak każesz, to pójdę!

Baba uśmiechnęła się, Marysia zdawała się tracić przytomność i powiodła ręką po czole.

— A! to nie gubże mnie — odezwała się drżąca wyrrywając się od niego — kiedym ci miła jak mówisz, nie trujże mi życia!

— Ja! jabym za ciebie w ogień skoczył.

— O! nie mówcie słów takich! nie mówcie, bo im nie uwierzę. Wy się ożenić ze mną nie możecie; na co daremnie gubić sierotę? Rodzice wam nie pozwolą.

Tomko patrzył wciąż w czarne jęj oczy i pałał cały.

— Słuchaj — rzekł — na co to długo się spierać; jeżeli mi nie pozwolą rodzice, ja z tobą na kraj świata ucieknę.

— Nie — odparła Marysia żywszym i śmielszym głosem — widzicie przez to okno dwie mogiły na cmentarzu: jedna z nich dziada mojego, druga matki. A wiecie z czego oni pomarli? Jeden, że przeklął dziecko swoje; druga, że na nią przekleństwo było ojcowskie! Nie chcę przekleństw na głowę moję: porzućcie mnie, porzućcie!

Stara słuchała i brew się jęj namarszczyła, a usta zacięły; Tomko załamał ręce zdziwiony.

— Inaczéj mów, — odparł — ty chyba serca nie masz do mnie Marysiu. No! to mów i zabij mnie już od razu!

Dziewczę odwróciło się ku niemu z uśmiechem.

— Dlaczegożbym serca do was nie miała; wyście do mnie pierwsi przemówili dobrém słowem i zbliżyli się do sieroty. I gdyby, gdyby nie strach rodziców waszych, a... — nie dokończyła.

Tomko znów pochwycił ją za ręce i począł całować; ale stara, której na myśl przyszło, że powinna była stać na stronie sieroty dla oka, odciągnęła go od niej.

— Porzuć, rzekła — porzuć, ot siadaj na ławie i rozmówcie się po ludzku.

Marysia zobaczywszy, że stara zabiera się ku drzwiom, podbiegła i wstrzymała ją.

— Na krzyż Pański nie odchodźcie, — krzyknęła, zlitujcie się! Ja nie zostanę sama: to być nie może.

— Siadajcie, — rzekł Tomko — mnie pozwólcie zdaleka być... choć popatrzeć.

Marysia, na której to wszystko dziwnie smutne jakieś czyniło wrażenie, podparła się na rękę i rzewnie rozpłakała; chłopcu zrobiło się przykro, boleśnie: odsunął się do progu i stanął jak wryty.

— Ej! dzieciaki! dzieciaki — zawołała Sołoducha. — Ot! głupie! coby mieli czasu użyć, pogadać ślicznie, oboje podurnieli i lichy wie jakie stroją fochy. — A no! porzućcie... Marysia tobie do smaku, a i ty jęj nie hydki: chcesz się żenić, czegoż tu płakać; weselcie się dziateńki.

— Nie wesele mnie w głowie — odparła Marysia, — mnie tak straszno! tak straszno! Od czasu jak przestąpił próg chaty mojęj, głowę tracę.

— Marysienko! — odezwał się Tomko — klnę ci się na Boga, na wszystko, że się bać nie masz czego... Ja twój, zrobię co każesz, byleś mnie nie odpędzała.

— Co wam o tém mówić odpowiedziała Marysia, a rodzice, a wasi? a nuż się dowiedzą? Jutro was zaślą daleko, a mnie ludzie osromocą i zginąć przyjdzie marnie.

Trudno było odjąć obawę sierocie, i Tomko i Sołoducha próżno się o to silili: rozmowa nie szła, a że wieczór się zbliżał, po krótkim rozhoworze baba kiwnęła na Tomka, chłopiec westchnął i ująć musiał. Siwek paśł się na wale cmentarnym, i ledwie go złapał; a Rataicha aż się za głowę pochwyciła, zobaczywszy, że w chwili właśnie gdy Tomko z chaty się wymykał, wóz Marcina z budek rudeńskich przesunął się mimo cmentarza. Choiński nie uważał na to, tak był Marysią i koniem zajęty; sierota nic nie widziała, ale baba rozrachowała zaraz co z tego wyniknąć może, i na wieś pobiegła zachmurzona tym wypadkiem.

Marcin dobrze był jęj znajomy, bo świeżo chodziła pilnować jego żony; chciała go Sołoducha dognać i uprosić o milczenie; ale gdzie starym nogom zdążyć za młodemi końmi?

Szlachcic popędził w tumanie kurzu w jedną stronę, Tomko w drugą; Sołoducha o kiju powlekła się ku karczmie.

Wiedziała ona, że Marcin gaduła jakiego świat drugiego nie miał, karczmy pewno nie minie, i rachowała na to, że go tam jeszcze palącego fajkę zastanie. Omyliła ją wszakże nadzieja... Nim z góry zeszła, nim groble przebyła, nim się z trzodą spotkawszy wyminęła z bydłem, doszedłszy nareszcie do karczmy, postrzegła, że Marcin już konie zaciąwszy, boczną ulicą do Rudni pojechał.

Baba zła, na zwiady tylko weszła do izby szynkowej. Szumko szynkarz z kilką innymi włościanami stał w pośrodku izby gawędząc pocichu z nimi; nie zważali jak się baba wsunęła.

— Tak, tak — rzekł rozdając tabakę szynkarz do starosty cerkiewnego — on tu sobie hula i kręci się koło dziewczyny, a tam rodzice myślą, że jeszcze we dworze służy. Marcin aż ramionami do sufitu ruszył, gdym mu powiedział, że już leśnicostwo oddane Pawłowi; a to wczoraj jeszcze stary Choiński słyszę, chwalił się, że syn ma takie miejsce na początek! Ot co! ot co!

— A bodajże was! a bodaj długo-języczni! — krzyknęła baba z za pleców Szumkowi, aż się cały wstrząsł — a świerzbiał was język spowiadać się przed Marcinem!

— A wiedzmo przekłeta, toś mię nastraszyła!... Bodaj cię febra trzęsła! — krzyknął Szumko.

— Gaduło, ty gaduło; na ciebieby febrę nasłać, tobyś pleść o cudzém zapomniął.

— Czyto mnie kto o sekret prosił — odparł Szumko — hę? Marcin pyta, dziwuje się że Tomka widział wedle chaty u cmentarza i mówi: Co to u was leśniczy wierzb na mogilniku pilnuje czy co? — No, to miałem mu kłamać?

— Dajcieno kieliszek wódki! — machając ręką zawołała Sołoducha z gniewem — a nu! wódki, i dosyć tego! bodaj wam to słowo bokiem wylazło!

Szumko poszedł po fłaszę, resztę ludzi zamilkło, a Sołoducha wypiwszy porcyą jedną i drugą duszkiem, nie rzekłszy słowa więcej, milcząca, szparko ku domowi pobiegła.

Sąsiad z Budek naturalnie wracając ze Stawiska, zaraz stanął przy chacie Choińskiego, bo mu niezmiernie pilno było ze złą nowiną.

Stary handlarz siedział na przyźbie fajkę paląc, i dobytek swój wracający z paszy oglądał.

— Dobry wieczór kumie — rzekł Marcin biczysko w wóz wtykając.

— A! jak się macie panie Marcinie. Co słyhać w miasteczku? sprzedaliście żyto? po czemu?

— Cena licha! jeszcze chcą, żeby im chłopską miarą dziesięcio-garncową mierzyć, te żydy niewiary! Ot... i żyto do domu wraca!

Stary Choiński się uśmiechnął.

— A nie chcieliście mi sprzedać, com dawał cenę chrześcijańską, i darmo dzień stracili.

— Darmo albo i nie darmo — odparł z uśmiechem Marcin. — Kumie! dacie sześć złotych za korzec, to wam coś takiego powiem, że aż podskoczycie do góry!

— Półszosta, ani szeląga więcej nie mogę. Ba! ale cóż to takiego? — spytał podchodząc Choiński.

— Jak półszosta, to nic — rozśmiał się Marcin i zmierzył ku furze.

— Cóżto taka jakaś nowina, żeby od niej półzłotka gębowego płacić, tfu — rzekł budnik — jeszcze czego nie stało: a toście handel wymyślili!

— Wola wasza — odparł filuternie Marcin — nie chcecie dać pół złotego, zapłacicie ją może później nie jednym sotkiem, ale będzie po czasie.

Stary jakby co go kolnęło, wstrzymał odjeżdżającego sąsiada: — Słuchaj kumie, czy ty kpisz czy drogi pytasz?

— Co prawda, to prawda: zapłacicie za żyto, a dam wam w dodatku takiego gościńca...

— No! cóż tam u licha... ki diabeł! Czy nie bałamuczysz panie Marcinie...

— Jak Bóg miły, prawdę świętą mówię; ale kiedy wy sąsiadowi, kumowi półzłotka żałujecie za jego krwawicę, no! to niech będzie co Bóg chce, a ja też gębę stule.

— A tegoroczne żyto? — spytał mięknięc stary.

— Przeszłoroczne, suchuteńkie.
 — Ważne?
 — Toż je znacie.
 — Ale u was i groszku i stokłosu pełno?
 — No, to nie kupujcie — rzekł Marcin idąc znowu do wozu — nie kupujcie.
 — Ej, kumie, kumie, jaka z was gorączka! Myślicie że ja na was zarobku pragnę? — odparł pan Adam — No! zsypujcie zboże, a pieniądze płacę. Ale cóżeście to przywieźli?
 — poczał żywo stary.
 Marcin się obejrzał.
 — Ot co — rzekł — jak myślicie, co wasz synek robi w Stawisku?
 — A cóż ma robić? — ofuknął stary odskakując — toż wiećcie, że służy.
 — Tak?? a no, wieźćcie, że już od dwóch podobno niedziel wypowiedzieli mu służbę we dworze.
 — Co gadacie?
 — Prawdę kumie! tak jest!
 — Jamże go pozawczoraj pytał... a mówił...
 — To łął, to łął kumie; nie służy, wypędzili go, i ono się wałęsa...
 — Wypędzili Tomka! cóż to jest? Gadajże kumie Marcinie a cicho, żeby Agata nie posłyszała, i nie cedź mi po kropelce... Cóż on tam zrobił?
 — A co miał zrobić? zawsze jedna historia — rzekł do ucha zbliżając się pan Marcin — wpadła mu tam w oko jakaś dziewczyna cyganka, czy ki lichy, i tak za nią głowę stracił, że wszystek obowiązek porzucił. Pan przestrzegał, przestrzegał, a nareszcie wypędził. Ot co jest kumie... i tak podwaryował słyżę, że stancję sobie najął na wsi, przed wami się wyłgiwa, a co wieczór do dziewczyny chodzi. Sam go na moje oczy widziałem wychodzącego od cyganki.
 Stary pochwyił się za głowę.
 — Kara z nim boska! — zawołał — cyganka, cóżto za lichy?
 — Co za lichy — rzekł Marcin — ha! to dziewczyna słyżę śliczna, że drugiej nie ma na okoliczność: a harda a filut! Zaprowadzi go ona daleko! Jeszcze sierota, broń Boże biędy, wy myślicie że Tomko się sianem wykręci? Gadają nawet, że czarownica...
 Mówił, ale stary już nie słuchał, tak go silnie to niespodziane uderzyło nieszczęście: stał wryty, sparszy się o wrota, długą chwilę przebył w osłupieniu; dopiero głos żony go ocucił.
 — Zsyp żyto panie Marcinie — rzekł — zapłacę, ale wara z tém przed moją Agatą się wygadać: zjadłaby mnie, żem go tam oddał, a i tak dość oczu nawypieka.
 — A sześć złotych dacie?
 — Ot i kieliszek wódki wypijecie u nas — rzekł Adam.
 Ale gdy weszli do chaty, choć stary usiłował kłamać twarzą, nie bardzo potrafił; żona wyczytała na niej zmartwienie.
 — Coto tobie Adamie? — spytała.
 — Ot... siwą zdaje się zpleczyli...
 Była to ulubiona klacz Choińskiego, po której połowę prawie miał stada; ję był synem i ów siwek, na którym Tomko tak dokazywał. Uwierzyła więc Adamowa kłamstwu, bo zpleczenie siwój bardzo skłopotać mogło, a Marcin napiwszy się wódki, uradowany sprzedaż, pojechał do chaty.
 Nazajutrz jak świt, Choiński coś tam znów przed żoną skłamałszy, zły, gniewny, wściekły na konia siadł, i choć stary, poleciał do Stawiska kłusem. Po drodze miotalo nim jak opętany, tak, że koń choć go znał, zrozumieć nie mógł: zżymał się, gadał głośno i walił stępaka, że mu wierzgał co chwilę.
 Przedę wsią zatrzymał się i znowu dereszowatego po bokach wprost ku cmentarzowi, bo dobrze się był rozpytał kuma Marcina.
 Zdało mu się z opowiadania, że dziewczyna niepocziwa zalotnica, syna mu bałamuci umyślnie, i gotował się na nią wpaść z całym gniewem, jaki przez noc w sobie przyzbierał.
 Jakkolwiek to było rano, już Marysia siedziała u mogiły; tętent konia zwiódł ją: pomyślała, że Tomko znów jedzie, a gdy na jego miejscu zobaczyła starego z ponurą twarzą szlachcica, tknęło ją w serce jakieś przykre przecucie, złękła się, zadrżała.
 Stary ani spojrzął na cmentarz, zsiadł z konia przed chatą i wprost drzwi ję otworzył.

Marysia wstała, Sierotka ujadać począł.

— Czegoto chcecie? — spytała podnosząc się.

Stary ją dopiero zmierzył oczyma.

— Ty tu mieszkasz? — rzekł gniewnie.

— Ja — odpowiedziała Marysia.

Milczenie trwało przez chwilę namysłu; stary obejrzał się na cmentarz, nie chcąc nań wchodzić, zawrócił się, zbliżył na kilka kroków.

— Chodź tu! — rzekł rozkazująco.

Sierota posłuszna, drżąc cała, ze psem swym razem wybiegła z wrót cmentarza i stanęła zarumieniona przed Adamem, który wciąż wlepione w nią miał oczy.

— A! to ty tu mieszkasz — powtórzył zapalając się — to ty.. łotrzyco jakaś syna mi zwodzisz... poganko!

— Czego odemnie chcecie? — zmieszana odstępując zawołała sierota.

— Czego ja chcę? — w złości krzyknął szlachcic, tupiąc nogą, na co pies ogromnym szczekaniem odpowiedział stając pomiędzy nim a panią swoją — czego chcę? Otom ci umyślnie przyjechał powiedzieć bezwstydnico jakaś, że jak tu ten łotr więcej do ciebie jeździć będzie, a ty go przyjmować; to jak mi Bóg miły!..

Wtém łzy puściły się z oczu sieroty, przerażonej popędliwością starca, a z niemi tak była piękną, tak wzbudającą litość; tak niewinnie zdawała się pocziwają; że stary choć w przystępie złości, uczuł się napół rozbrojony.

— A do kroćset diabłów! — zawołał — czego beczysz? Żle robisz a płaczesz? A co tu łzy pomogą? diabli cię wezmą i tego trutnia!

— A niegniewajcie się na Boga, nie gniewajcie: cóżem ja winna.. Ja wam wszystką prawdę powiem — z płaczem poczęła Marysia.

— Co ty mi pleść będziesz duby smalone.

— Ja wiedziałam, że to się tak skończy — odparła sierota — klnę się wam na Boga, żem go nie przyjmowała, nie słuchałam go, nie gadałam do niego... Wczoraj jeden, jedyny raz był tylko w chacie u mnie, i to przy ludziach.

Stary wciąż na nią patrzył, słuchał i Bóg wie co się w duszy jego działo; ale twarz mu się mieniła, widocznie miękł i stygnął.

— Powiadam ci — odezwał się już wolniej — syna mi nie bałamucić... a nie! to źle z tobą będzie. Klnę się, że się z tobą nie ożeni, a ciebie diabli wezmą, diabli wezmą!

Szlachcic krzyczał jeszcze, ale go już gniew opuszczał.

— Ot, i ciebieby żal było — dodał — dla jednego dudka świat sobie zawiązywać: on ci lichu wie co obiecuje, czego w rękę nie ma. Możesz pójść za mąż, niczego jesteś, a on cię tylko zgubi jak drugie pogubił... On szlachcic.. jemu z lada włóczęgą poswatać się nie dam... Nie bądź więc głupia i nie wierz mu.

— Ale nie dziwota — rzekł sobie w duszy stary poglądając na dziewczynę z ukosa — dalibóg! szelma piękna jak królewna... Oj! zła sprawa.

I pokiwał głową.

— Ja się wam klnę — zawołała Marysia — żem tu nic nie winna: uciekałam i uciekam od waszego syna, pokoju mi nie daje. Bóg świadek żem niewinna!

— Winna czy niewinna — rzekł Choiński — a trzebabo skończyć; niech mi tu raz jeszcze noga jego postanie a zobaczycie!

— Syna sobie sami trzymajcie... ja...

— A tyż tu co robisz? — zapytał stary — nie mogłabyś pójść gdzie służyć?

— Ja? służyć? mnie nikt nie weźmie... A na co mi to, kiedy mam swoją chatę; mnie i tak dobrze: na chleb sobie zarabiam i żyję.

— Zarabiasz! co u diabła? a któż tu z tobą mieszka?

— Nikt, ja sama.

— Sama? — stary wstrząsł głową — sama! — powtórzył — dobrze sobie rozpatrzył... Masz szczęście dziewczyno! Ja go dziś nauczę tego chłystka; ale jeśli się tu zjawi, ani mu się pokazuj! ani nosa!

Marysia zakrywając oczy, wpadła cała rozszlochana do chaty; szlachcic sam pośród drogi pozostał, pies za panią okrążywszy nieprzyjaciela przebiegł, stanął w progu i ujadać począł.

Stary Choiński rozmyślał.

— Niczego ma oczy ten łotr; dziewczyna śliczna! Sierota, aż żal... gotów ją zgubić... Ale teraz ani już do niej przystąpić za tym psem szatanem... Hej! — krzyknął — odwołajcie sobie sobakę, mam jeszcze słowo do was!

Nie wiem czy Marysia słyszała to czy nie, czy odwołała psa; ale Sierotka ustąpił, a Choiński rozglądając się ciekawie, wszedł do chałupy.

Tu nędza sieroca, a przy niej ład i porządek w ubogiej lepiance, uderzyły go widocznie: oniemiał na chwilę, musiał powoli w głowie wystawiać sobie to życie, tę pracę ważyć, która je utrzymywała.

— To jednak nielada dziewczę — mówił w duchu — jak to ona sobie rady daje! Bóg wie, może z grzechu żyje, ale nie głupia być musi.

Marysia stała obyczajem dziewcząt wiejskich przy piecu i płakała; stary już począł wcale innym głosem.

— Ej! słuchajno... nie zjem cię przecie, nie jestem zbój, złego ci nie zrobię... Ta ty sama to musisz rozumieć, żem nie na to syna hodował, żeby go z lada cyganką żenić: mnie i matce życiaby to skróciło...

— Alem ja nic nie winna! — powtarzała rozplakana dziewczyna.

— Nie prowadźże na głowę swoją przekleństwa naszego, i niech go więcéj oczy twoje nie widzą — rzekł stary. — Ty myślisz może żarty, a to śmierć moja i śmierć matki na twoje spadnie sumienie... To jednak u nas; ja duszę gubię żeby go wyprowadzić na ludzi, a miałbym pozwolić, żeby sobie fartuchem świat zawiązał?

Stary z gniewu przechodził powoli w prośby prawie, i niemi skuteczniej pewnie niż łajaniem dotknął serca Marysi.

— O! na Boga klnę się wam — zawołała żywo — nie chciałam i nie chcę być wam przyczyną umartwienia: zrobię co każecie, byleście mnie nie przeklinali.

Łzy jęj i te słowa uczucia pełne, trafiły do serca szlachcicowi, który pragnął już tylko wyrwać się co prędzej: tak go jakoś samego dziewczyna obalamuciała, tak czuł w jęj ustach prawdę, cierpienie, i wyrzucał sobie niemal popędliwość swoją.

— Cóż onabo winna — począł myśleć — to temu gałganowi daćby ze sto bizunów... ale ba! młody też, krew nie woda, a dziewczyna gdyby jabłko... Licho ją tu nadało; żebym wiedział, nie dałbym go do Stawiska... Żeby do licha gdzie powędrowała... możeby ją z głowy sobie wybił. Ot, gdyby nie Marcin i nie jego żyto, byłby ten wisus nieszczęścia i wstydu narobił; ale natrę ja mu uszy!

— Niechże mi tu więcéj noga jego nie postanie — dodał Choiński głośno, ujął za klamkę i mrużąc a spluwając, więcéj gniewnego niż był udając, wyszedł, dosiadł konia i pośpieszył na wieś szukać chaty soтника.

Nie pytajcie mnie co się działo z sierotą: padła ona na ławę przy piecu i jak słup pozostała na miejscu nieruchoma, odrętwiona.

Myślicie, że proste dziewczę nic nad strach uczuć nie mogło? O! są chwile w życiu, w których spotęgowuje się człowiek i widzi więcéj, i więcéj czuje, i więcéj może niż zwykle; a Marysia była pustelnicą, była dziecięciem mogiły, wykołysaném dumami wśród samotności i tém wyższą od otaczającego ją ludu, że cała żyjąc w sobie, sama sobą władać i kierować musiała. W sercu biednego dziewczęcia scena ta zostawiła bolesne wrażenie i przecucie, że z losem swym dotychczasowym rozstać się musi. Było to jakby jakieś jasnowiedzenie konieczności; i żal ciężki, żal srogi ucisnął jęj serce nieprzekarmione dotąd weselem. Nie wiedząc jeszcze co się z nią stanie, Marysia wiedziała już, że chatę swą opuścić będzie musiała. Myślała już tylko co począć z sobą, a na przypuszczenie rozstania, żal ją brał niewysłowny. Pożałowała wszystkiego co ją otaczało, całego tego maluczkiego światka, którego była środkiem: Sierotki, Burka, gołębi, gąsek i kur swoich, i wróbli pod strzechą...

I wybiegła patrzeć na mogiłę matki...

Cisza była na dworze, cisza jakaś złowroga: parno, duszno i straszno. Przed chwilą marzyła jeszcze snuć dalej przedzę kądzieli i życia; teraz obojga nic była przerwana.

— A! — mówiła w duchu przebiegając chatkę do której wróciła, i łamiąc ręce — ja tu już pozostać nie mogę; pójdę, pójdę w świat służyć, żebrać, a nie chcę, by mnie ten stary siwo-włosy przeklinał: nie chcę na biedną głowę moją nabierać łez cudzych i nieszczęścia... Dola moja być samotną i biedną: na cóż do niej drugą wiązać? Cierpieć, to cierpieć saméj!

Jeszcze tak biegła nieprzytomna, gdy Aza niepostrzeżona weszła do chaty i stanęła w progu. W milczeniu patrzyła długo na dziewczynę kiwając głową, czytając z jej ruchów co się z nią działo; nareszcie zbliżyła się ze śmiechem, Marysia cofnęła się przelękniona.

— A! to wy!

— To ja! dziecko moje — odezwała się cyganka — przyszedłam już po ciebie.

— Po mnie? — zapytała Marysia zdziwiona.

— Prawda, że teraz pójdziesz z nami? — dodała Aza — A co? dobrze żyć z *gadziami*? można wyżyć z niemi?

— Wy wiecie wszystko?

— Wszystko! wszystko! — rzekła cyganka — i o nim i o tobie, i o ojcu, który tu dziś z fukiem do was przychodził. Patrzyłam ja zdaleka i wiedziałam na czém się to skończy. Nie masz tu co bawić dłużej, ludzie cię już ogadali; choćby raz próg przestąpił obcy, zrobią ci zaraz z niego kochanka; to i choć niewinna, a dla nich już będziesz osądzona...

Dziewczyna stanęła i pobladała.

— Ej! — dorzuciła prostując się i przybierając poważną proroczą postać cyganka, a dobierając słów, by dziewczynie głowę zawrócić. — Jest dola, jest los napisany dla każdego człowieka: gdyby miał skrzydła nie uleci przed nim, gdyby sto nóg miał, nie uciecze, i w *Jagoro* (piekle) przed nim się nie schowa... A poco myśmy przyszli tu po latach tyłu, a dlaczego ci oto właśnie w tej godzinie *Mroden oro* dał łzy i przekleństwo? Patrzaj jak się złożyło — ażeby Romów krew poszła z Romami na wędrówkę... Krew ty nasza, nie czyja... Co ci ta chata? co ci ta mogiła? Nam świat chatą, niebo dachem, a mogiłą ziemia cała... Gdzie stąpisz, to kości depcesz praoców i matek... Nigdzie nie brak wody, by pragnienie ostudzić, i miejsca na rozbicie szatry, i gałęzi na ogień; a kto siedzi ten gnije przykuty jak pies na łańcuchu...

Marysia słuchając drżała, ale widocznie poruszoną była, i mało brakło by rzekła:

— Otom gotowa iść z wami...

Ale każde wejrzenie na chatę żalem ją napawało.

— A! — zawołała — jakże to wszystko opuścić!... Wy nie znacie tego żalu, boście przywykli wędrować, ja nie wiem jak się oderwać od swojego kąta? A cóżby się stało z niemi!

I wskazała na zwierzęta swoje.

Aza rozśmiała się białymi ostremi zębami...

— Co? — rzekła — kto twój, a bez ciebie żyć nie potrafi, ten pójdzie z tobą; kto nie wart łzy, zostanie. Tym stworzeniom jak trawie co na dachu rośnie, nie ten potrzebny kto żyje pod dachem, ale grudka ziemi co je żywi... Maszże być ich piastunką?

— Kości dziada! kości matki! — zawołała dziewczyna — i to miejsce...

— Dziecko — przerwała Aza — matki duch pójdzie za tobą, a miejsce wszędzie twoje, gdziekolwiek usiądziesz.

— A chata ręką ojca zbudowana?

— Już i tak się wali na głowę twoję; nam wielki ojciec chatę wieczną zbudował. W drogę! w drogę! dziś jeszcze w nocy idziemy, i ty z nami! Jutro nasz obóz rozłożym o mil kilka i wszystko się zapomni.

— O! nigdy! nigdy! — zawołała dziewczyna.

Aza uśmiechnęła się.

— Mówimy *nigdy*, a jutro, dziecko moje! jutro! serce twardnieje jak kamień: śladu kto na nim siedział nie będzie.

I z dziką energią uderzyła się w pierś zeschlą.

— Nasz obóz w rudeńskim lesie: masz cały dzień na sprzedaż twoich rupieci, o świcie ruszymy; ale nie mów nikomu! Ja sama przyjdę po ciebie!

Tych słów domówiwszy Aza, rzucając je jak nasienie, które wyrosnąć miało powoli, wysunęła się z chaty, samą zostawując sierotę!

Marysia widziała już konieczność ucieczki i uwierzyła w to przeznaczenie jakieś, które ją gnało za cyganami, jedyną rodziną przyznającą się do sieroty; bolała, ale nie widziała sposobu zmienić tego losu, i zakrzętnęła się wyborem do drogi.

Zamknawszy drzwi chaty, pobiegła do Sołoduchy, której nie zastała w domu; potem do Semenychy odnosząc jej motki i przędzę.

Zdziwiła się starucha zobaczywszy Marysię w dzień powszedni, a więcej jeszcze, gdy w jęj ręku niedoprzędzone lnu dziesiątki ujrzała.

— A co to? — spytała.

— To matko — odparła całując ją w rękę sierota — to reszta przędziwa: już go wam nie doprzędę... bo idę... idę służyć.

— Jakto? ze wsi? dokąd? po co?

— Niedaleko... nie wiem, do Rudni — zająkując się odpowiedziała Marysia.

— Do kogo?

Dziewczynnie strasznie ciężko było kłamać pierwszy raz w życiu, i kłamała tak niezręcznie, że stara głową kiwając, zrozumieć jęj nie mogła.

— Róbcie sobie co chcecie — dodała starucha — ale pamiętajcie duszy jeno nie gubić; dotąd byłaś poczciwą, siedziałaś doma, a chleba ci nie brakło; idziesz w świat, kto to wie czy będzie lepiej... Przystojna jesteś, ludzie nicpotem... dobrze na się patrz Marysiu.

Cóż odpowiedzieć było? Ot zapłakała znowu, a nieczekając nawet zapłaty, wybiegła, żeby ją łzy i słowa nie zdradziły. Sołoducha szła drogą i spotkały się na gościńcu.

Z tą trudnięj było daleko.

— Wy nic nie wiecie? — spytała Marysia żywo.

— A co mam wiedzieć?

Cyganka poczęła jęj opowiadać przybycie starego Choińskiego i cały dzisiejszy poranek; a Ratajowa aż wargi z gniewu zakąsywała.

— Byłam tego pewna, że skoro Marcinisko tęj sprawy powąchał, już się ona nie utai; a cóż teraz myślisz? — zapytała.

— Dziś sprzedaję co mam w chacie, resztę na wolą Bożą zostawiam, a jutro mnie tu nie ma! — odpowiedziała stanowczo dziewczyna.

— Coś ty oszalała?

— Mówcie sobie co chcecie, stało się... Przejeżdżał mieszczanin z Taborzysk, przyjąłam służbę w miasteczku i wzięłam zadatek..

— Kiedy? jak?

— Dziś o półdniu...

Sołoducha pokręciła siwą głową.

— A gdzie ci tu kto tak prędko co kupi?

— Resztę wam zostawię...

— Ale po co iść: na zgubę, na pohybel! Porzuc chatę, chodź do mnie, nikt cię u nas nie zobaczy; ludzie się przedziwiają i przegadają, a potem do chaty powrócisz.

Dziewczyninie ła pocięła, ale głową potrząsała w milczeniu.

— Nie! nie! bywajcie zdrowi Matusiu! To już być nie może... Wzięłam zadatek, dałam słowo... Tylkobym chciała starego Rataja pożegnać i za chleb i jemu podziękować...

— Stary włóczęga gdzieś w Brzozowej-górze na prażniku, ani słyhu o nim...

— O! szkoda!.. szkoda!..

— Nie odchodź lepiej jak masz żalować — rzekła wpatrując się w nią Sołoducha — w mieście ty zginiesz z taką twarzyczką... Gładkie liczko, to dla dziewczyny utrapienie: spokoju ci nie dadzą.

Marysia przerwała jęj mowę.

— Matko! — odezwała się — jutro rano przyjdźcie do chaty, a co w nięj zostanie, to wasze... Tylko proszę was, proszę, weźcie do siebie Burka, gołębie i ptastwo, niech z głodu nie zdycha: weźcie dla miłości Bożęj...

Sołoducha miała coś odpowiedzieć, gdy Marysia szybko ją pocałowała w rękę, biegiem od nięj uszła. Pilno jęj było nacieszyć się tą chatą, której więcej widzieć nie miała, swemi przyjaciółmi wiernymi i ostatnim dniem młodości. — Pobiegiła, pobiegiła wprost na cmentarzysko, naprzód na mogiłę matki, twarzą na ziemię padając przy nięj zapłakana.

Nie wiem jak długo leżała tak na wilgotnej glinie, ale gdy wstała, zesłabła i złamana boleścią, znużenie samo sprowadziło w nięj jakąś zmianę: zdrętwiała, ostygła; podniosła się machinalnie, poszła do chaty powoli, krótki był wybór, i mały węzelek jęj podróży: rzuciła go na ławę zostawiając wszystko, niechając nic ruszyć z miejsca, aby dłużej patrzeć na nietknięte domostwo swoje. Obeszła potem wszystkie kąty, żegnając każde miejsceczko, każdą ściankę, każdą komórkę chaty; niespokojny Sierotka, sam jeden towarzyszył jęj

w tój pielgrzymce. Ani się spostrzegła jak zgłodniałej i znużonej dzień przeleciał strzałą, a słońce zapadać zaczęło za góry i lasy.

Z kawałkiem chleba, który gryzła, wyszła Marysia na próg, powtarzając usty najstraszniejszy z ludzkich wyrazów: — ostatni raz, ostatni!

A! czyż nie każda chwila w życiu naszym ostatnia? Choć o tём zapominamy, w każdej z nich obsypuje się jakaś cegła z tój ruiny, którą zowiemy życiem. W mgłach tego wyrazu: — raz ostatni — inaczej wydało się jój wszystko; pożałowała nawet boleści i sieroctwa swego. Sen ani myślał kleić jój powiek i pozostała tak na przyźbie, aż ją krzyk ptastwa dopominającego się strawy przebudził.

Pobiegła i wyniosła im płacząc wszystko, co miała jeszcze, rozsypując po ziemi ziarno, o które obojętnie rozbijając się zaczęli zgłodniać. Patrząc na to setne powtórzenie codziennej swój zabawki, usnęło biedne dziewczę zmorzone uczuciem i boleścią, której ciało znękane podolać już nie mogło.

Gdy otworzyła oczy, księżyc już był wysoko na niebie, a przed nią stała czarna postać Azy cyganki.

— Czas! czas! — odezwała się do niej przybyła — wybieraj się i chodź ze mną!

Marysia wstrząsnęła się, krzyknęła, ale po chwili namysłu wbiegła do chaty, i szybko jakby się sama lękała siebie, porwała przygotowany węzełek, nie patrząc, nie oglądając się, a biegnąc z Azą na szeroką drogę.

Przed nią był cmentarz... Aza ciągnęła za rękę, ale dziewczę co nie pożegnało chaty, musiało matki mogiłę pożegnać. Cyganka nie śmiała wejść za nią na pole umarłych, wśród którego jak duchy czarne wznosiły się gęste krzyże.

Sama tam weszła sierota i ścieżką swoją trafiła na znane miejsce: pocałowała zimną ziemię, pomodliła się jeszcze.

— Matko! — szepnęła w ostatku — ty widzisz, że mi iść potrzeba; tu nie bracia moi, tu obcy, jeden był, a i za tego przeklinaliby mnie starzy rodzice. Ty wiesz co to przekleństwo starego ojca za dziecko swoje! Trzeba iść w świat, w świat!

I objęła jeszcze rękami starą wierzbę, na której kądziel wieszala; a w tём niecierpliwym głos cyganki dał się słyszeć, i dziewczyna posłuszna mu jak głosowi przeznaczenia, wyrwała się ze cmentarza.

A księżyc tak srebrzysto oświecał lepiankę starą, a na jój dachu gruchotały gołębie, a na jój progu białły gąski zbierające jeszcze resztki owsa, i Burek leniwy mruczał na przyźbie... Jeden Sierotka wierny szedł za swoją panią liżąc jój rękę, jakby zaręczał że jój nie opuści.

Przelotnym wejrzeniem objęła ten obraz niezapomniany dziewczyna, i rzuciła się drogą, by odeń uciec co prędzej... Aza ledwie za nią podążyć mogła, mruczając pod nosem:

— Krew ojca!

— W milczeniu przeszły górę, okrążyły wioskę i zbliżyły się do drugiej mogiły na rozdrożu, u której zatrzymała się cyganka.

— Czekaj — rzekła do wylęklój Marysi — i to mogiła, którą pożegnać potrzeba: — mogiła ojca twojego... modliłaś się za matkę, niech i ja powiem słowo duchowi przyjaciela...

Dziewczę wstrzymało się drżące i objęte jakimś strachem; a cyganka powoli wstąpiła na pagórek, twarzą obróciła się do księżyca, wyrwała garść zeschniętej trawy z mogiły, garść suchych dorzuciła gałęzi, i dobywszy ognia, zapaliła tajemną jakąś ofiarę.

Rzuciła na nią zioła wonne i coś z chusty dobytego; zaczęła szeptać słowa i tajemnicze zaklęcia, a rękę zwróciwszy na dwór i wioskę, miotać się zdawała jakieś na nie przekleństwa. Wiatr, który rozdmął płomyk i susz rozpalił, wprędce tóż zdmuchnął ten stos pogrzebowy, a ogień buchnąwszy do góry, opadł i zagaśł w mgnieniu oka: świst tylko wiatru, który zdawał się z sobą unosić słowa cyganki, rozległ się po okolicy.

— A teraz dalej! dalej w świat! — ozwała się schodząc z mogiły Aza — w świat córko cygana.. Pamiętaj, że ci ojca zabili *gadziowie*... pamiętaj!

We dwa dni potём pan Marcin z budek Rudeńskich powrócił do domu ze Stawiska, i znowu zatrzymał się u wrót podwórka Choińskich.

Adam siedział u chłwka na kłodzie i chmurny fajkę palił, która mu co chwilę zagasła.

— Dzień dobry kumie!
 — Dzień dobry waszeci... A co? może znowu z żytem?
 — A z kąd go nabrać? Jadę ze Stawisk od młyna.
 — No, to jedźże z Bogiem — odrzekł pan Adam — a jaką tam miarkę biorą?
 — Dziesiątą z czubem — odezwał się Marcin wzdychając — Ot! jaki to czas! Ale, ale kumie, mam i nowinę dla was zanadrzą.
 — A kat cię bierz z twojemi nowinami co je po pół złotego sztuka w sztukę płacić każesz; może i tę masz na sprzedaj?
 — A jakże i złotybym się za nią wziąć nie powstydział.
 — Patrzajcie! wydrwigrosz! Już mnie teraz nie złapiecie; syn w domu, prawda że coś niedomaga; ale to młode, to się wychoruje i diabli go nie wezmą.
 — Bywajcie zdrowi kumie — rzekł z uśmiechem Marcin, zabierając się niby do odjazdu.
 — No! a wasza nowina?
 — Jest u mnie jeszcze ćwiartka grochu: cobyście mi za nią dali?
 — Ot! żydzisko! — zaburczał pan Adam — a po diabła mi twój groch?
 — A dla wieprzów? Oddam nie drogo.
 — Wiem ja go; przez wpół robaczywy i lady w nim pełno... Ale nowina?
 — A cóż dacie za groch?
 — Dajcie pokój, kiepskie żarty!
 — Dobranoc kumie.
 Właśnie gdy to mówili, chory Tomek wywłókł się był do sieni, a ujrawszy ojca i wyjść dalej nie śmiejąc, słuchał mimowolnie rozmowy.
 Marcin odchodził, pan Adam go wstrzymał.
 — No, no! — rzekł — kupię groch kumie; a co tam?
 — A dziwy! — odparł Marcin, któremu się gęba rozwiązała gdyby cudem — tażto Marysia cyganka, jakżeście ją nastraszyli, tak nieboga z chaty uciekła wszystko porzuciwszy. Choiński się zerwał z miejsca.
 — Czy to może być?
 — Jak Bóg Bogiem...
 — A to uczciwsza dziewczyna niż myślałem!
 — To też kto żyw wszyscy ją we wsi żalują i rozpadają się po niej; a co się słysze napłakała biedniaczka, nim poszła! A na odejściu, wyraźnie tak powiedziała Sołodusz, że przekleństwa waszego nie chce mieć na głowie.
 — A gdzież się podziała? — spytał Choiński.
 — Bóg wie! Jedni gadają że poszła gdzieś służyć do miasteczka: drudzy że ją zabrali i namówili cyganie, co to tu byli i niedawno nocką zemknęli...
 — A! szkodać mi jój niebogi! — westchnął stary — kiedy to takie pocziwe... ha! Ale może to i lepij!
 — A kiedy mój groch przywozić każecie? — zapytał Marcin. — Ale pan Adam poszedł zafrasowany do żony, i zapytania tego już nie słyszał.
 W chwili, gdy przez sień przechodził, Tomko, który stał jak wryty za drzwiami zaciąwszy się, skoro ojciec izbę za sobą zamknął, wychwycił się na podwórze. Pan Marcin pokiwawszy głową i coś namruczawszy o grochu, zawrócił do domu. Chłopak tymczasem jakby nic nie wiedział co się koło niego działo, pobiegł wprost do stajenki, dopadł siwka, uzdę mu na kark zarzucił, i oklep nań siadłszy, ścisnął go kolanami.
 Wrota były otwarte, i nim się w chacie postrzeżono, już Tomko był na drożynie, a wnet i skrył się w lesie.
 Matka i ojciec ani się domyślali ucieczki i gadali jeszcze z sobą pocichu, gdy syn na polance wśród dębniaku stanąwszy, rozmyślał tylko co począć z sobą.
 — Polecę za nią na kraj świata — mówił w duchu — ale jak ją tu wyszukać? gdzie się ona biedna podziała? kogo tu spytać o nią?
 Jakby na zawołanie koń pierzchnął ze strachu i stara Sołoducha o kiju idąca ukazała się o kilka kroków.
 — A to wy paniczku! — zawołała — tylko coście moich starych kości nie roznieśli.
 — Sołoducha!! a to ty! biesz cię po nocy lasem wodzi?
 — Niosę Marcinowój lekarstwo; a wyżto dokąd?

Tomko westchnął.

— W świat! — rzekł.

— O! to daleko paniczyku — odezwała się stara. — W którąż stronę, możebyście się komu pokłonili odemnie?

— Albo ja wiem gdzie pojedę — odparł chłopiec. Tylkom co się dowiedział o mojem nieszczęściu. Polecę jój szukać choćbym miał kark skręcić...

— Paniczku, a ojciec? a matka rodzona?

— Nie chcieli mojego szczęścia, niech i mnie nie mają — zawołał Tomko. — Ale nie wiesz gdzie się ona podziała?..

— Gdzie? jużciż pewnie z cyganami poszła... bo ją ta bestya kusiła nie mało? a jak wasz ojciec pogroził, musiała nieszczęśliwa posłuchać włóczęgów.

— A cyganie dokąd poszli?

— Ale! szukaj wiatru w polu!.. Jeszcze dwa dni temu byli w Rudeńskim lesie, terazby o nich ludzi pytać...

— A! prawda! jakiz ja głupi! — zawołał Tomko. Od tutejszych ludzi dowiedzieć się muszę i pójdę tropem.

I ścisnął siwego, a babie nie powiedziawszy nawet Bóg zapłać za radę, znikł w lesie gdyby wichur pędząc bez drogi.

Sołoducha się uśmiechnęła i mrugnęła okiem.

— Ot tobie szlachcicu zalecanki! ot tobie stary górą głowę nosić! Będziesz cygańskie dzieci kołysał.

Nazajutrz lament i zamieszanie w Choińskiego chacie. Syn jak w wodę wpadł, nie wiedzieć gdzie się podział; ojciec winuje matkę, matka na ojca narzeka, a oboje płaczą. Całe budki zeszyły się pod ich podwórko, każdy z radą, ubolewaniem, z dobrém słowem, a pan Marcin z grochem. Sołoducha także przyparła się do płotu, niby nic nie wie, milczy i wzdycha tylko.

Na dziedzińcu zagrody jak w wielkie dnie nieszczęść i klęski, wszyscy razem: i pan Adam z załamanemi rękoma, i Agata rwąca włosy z siwój głowy, i czeladka szepcząca o Tomku różne wiadomości pochwyte z przeszłości, różne domysły Pan Bóg wie na czém oparte.

— A niechby się był żenił z kim chciał — wołała Agata — z cyganką, żydówką, ostatnią łajdaczką; mogłoby się to lichu powoli nawrócić i poprawić naszym staraniem i modlitwą; ale tak pójsć, uciec od nas na kraj świata!!

— Niewdzięczne dziecko! — krzyknął pan Adam, dałbym mu sto łóz, gdybym go złapał.

— Otóż to twoje pięćdziesiąt i sto coś je raz wraz powtarzał, tego licha narobiło — odparła matka. — Tybys mu nie dał i pięciu, a na języku tylko waszeci batogi a batogi.

— Ależto nie może być! — zawołał ojciec chodząc po podwórku — ja go taki wynależć muszę, żeby się śród ziemi schował!

— A jakże poszedł za kordon? — odezwał się jeden z sąsiadów.

Choiński westchnął ciężko na samą myśl która i jemu do głowy już przychodziła, bo Rudnia nie dalej dwóch mil leżała od Galicyjskiej granicy.

— Cyganie musieli pewnie do Węgier pociągnąć, to i ona i on za niemi poszli — potwierdził drugi.

— A! nieszczęśliwa godzina moja, już go oczy moje więcej nie zobaczą! — płakała matka. — Adamie zlituj się na rany Chrystusowe, gonić ich potrzeba!

— Co gonić! kogo gonić! gdzie? — odrzekł ojciec niemniej zafrasowany — wiatru w polu! A któż go wie gdzie jest?

W tém Sołoducha ukazała się z za płota.

— Za pozwoleniem waszeci — odezwała się — a ja tu jego wczoraj w lesie na siwku oklep jadącego spotkałam...

— Spotkałaś go? — krzyknęli ojciec i matka podbiegając ku niej — gdzie? jak? kiedy?

Wszyscy otoczyli Sołoduchę; a ta rada, że na nią tak obrócili oczy i nastroili uszy, zabrała się do opowiadania. Nie myślcie jednak, żeby po prostu powtórzyła jak było; sta-

rucha miała zwyczaj chwalebny zawsze coś z głowy dorzucić, i teraz też nie omieszkala dodatków.

— Idę ja, idę wczoraj drogą — mówiła — a był sobie tak zmierzch już dobry; idę drogą, tą drogą, co to na budki ze Stawiska prowadzi przez las mimo pasieki dobrodzieja; idę, i modłę się sobie... Jedną razą, Chryste Jezul! jakby dąb leciał na mnie, szum, trzask, ledwie miałam czas odskoczyć: patrzę przestraszona, żegnam się... a to Tomko tak gna na siwym. Ot tak oklep siedział na nim, a taki straszny, taki blady, jak chusta: bez czapki, z włosom nasrożonym na głowie... Czy nie swój, czy chory, czy nawiedzony.

Ażem krzyknęła... a on stanął i patrzy... patrzy, a oczy mu się świecą. Boże jedyny jak straszno!! A potem do mnie, bo on mnie znał i dawniej, i taki nie minął, żeby dobrego słowa nie powiedział. — Dobry wieczór matko? — A ja: — Dobry wieczór paniczu; a dokądże tak? On tylko ręką rzucił. — W świat, gdzie oczy poniosą. — Ja tedy: Miły Boże, dokąd? jak? co? cóż to jest? — Ten tedy westchnie, aż mi ciarki po skórze poszły. — Niechcieli szczęścia mego, niechże i mnie nie mają; ot za cyganami pojedę i z cyganami na włóczęgę. — Ja widząc, że to nie żarty, kiedy go nie zaczę prosić i odwozić, ale gdzie?? tylko że mnie nie wybił... Potem powiada — Słysz stara! na to już nie ma rady; ja za nią pójdę choćby w piekło, bo bez niej żyć nie mogę; a jeźliby mnie i złapali... dodała chytra Sołoducha — to sobie śmierć zrobię... bo mi życie obrzydło!...

Długie milczenie nastąpiło po tym opowiadaniu; matka spojrzała na starego Choińskiego, on wargi zaciął, głowę spuścił, a Marcin nielitościwy złą dobrał porę spytać go, gdzie groch zsypywać.

Nic nie rzekł pan Adam, lza mu się jakaś zakręciła w oku, i do wozu kazał co najrychlej zaprzęgać. Z zimną krwią wydawał rozkazy, dobrał trzech sąsiadów, wyznaczył dla nich konie, sam sobie wózek opatrzył i rozdysponował pogonią.

Matka stała, patrzała, ale ze strachem widząc tę zimną krew nadzwyczajną Choińskiego, czekała tylko pory, żeby coś z niego wydobyć, żeby go nieco zmiękczyć. Namarszczona brew, ścięte usta, bladeść twarzy pana Adama, przerażały ją; nie mogła się domyślić co postanowił, nie wiedziała więc od czego zaczynać; dopiero gdy rzuciwszy ciekawych paplejących w podwórku, Choiński wszedł do chaty po trzosik podróżny, żona pośpiesznie się za nim wcisnęła.

Sami byli w izbie.

Stara siwowłosa kobieta uklękła przed mężem i panem, i nie mówiąc słowa, przyciągnęła do ust spracowaną dłoń jego.

— Adamie! — rzekła po chwili — odezwij się, powiedz, co ty myślisz o dziecku naszym, co u ciebie w duszy: nie zabijaj mnie przed czasem... Po co go doganiać, jeżeli nie chcesz mu ani przebaczyć, ani pofolgować biednemu.

Nie uważała, że staremu ojcu ręce się trzęsły, gdy woreczka z pieniędzmi dobywał, że oczy miał lez pełne i chlpał prawie; nie dopatrzyła się, że wszystek już gniew ojca przepaliła żalostí po jedynaku, że jedyną jego myślą było tylko odzyskać Tomka.

— A! Agato! — zawołał wybuchając — na rany Boże, czyż ty mnie jeszcze nieznasz; daj Boże, byśmy go odszukali, a nie bój się o chłopca. Ludzie świadczą, że dziewczyna poczciwa: niech się dzieje wola Pańska — dodał poważnie — Chciał nas Bóg upokorzyć w oczach ludzi tą synową, żeby nas grosz zapracowany w dumę nie wzbijał; niech się dzieje wola Jego... niech się stanie... Bylebyśmy go odzyskali! A że koni i siebie i grosza nie pożałuję, możesz być pewną; klęknij ty przed Najświętszą Panną i świętym Antonim, niech nam odda zgubę naszą...

To mówiąc pocałował ją w czoło wydarłszy rękę, którą do ust cisnęła, i poważnym krokiem wyszedł z chaty. W podwórku wszystko już było gotowe: trzech szlachty, konie, wozy; a ciekawi tłumnie wyprawę otoczyli.

Adam stanął w pośrodku.

— No — rzekł — waszeć panie Wincenty, jeżeli laska na Stawisko; choć tedy cyganie iść nie mogli, ale żadnego szlaku minąć nie chcą... Wy kumie Macieju, mimo Porwańca ku granicy pociągniecie; a żywo, i koni moich nie żałujcie... Ty Bartku, przez lasy na karczemkę mecherzyniecką, a ja od wsi będę szukał języka, i za nim się powlokę. Jeżeli z cyganami się zetkniecie, chwytajcie mi i Tomka i dziewczynę... Niech się dzieje wola Boża, kiedy już inaczej być nie może. Powiedźcie mu, że przebaczam wszystko i pobłogosławię... pobłogosławię — powtórzył głosem drżącym.

Sołoducha posłyszawszy to, rozparła tłum i przybliżyła się.

— Czekaścieno — rzekła — naprzód potrzeba jechać do wioski, napytać języka, potem wprost śladem cyganów, bo taki mówił, że ich dogoni... Byle pośpieszyć nim się do granicy dostaną, bo jak kordon przejdą, to wszystko przepadło.

Już szlachta na konie wsiadła i Adam na wózek się zbierał, gdy Sołoducha plasnęła w ręce ujrzawszy Rataja zbliżającego się drogą od wsi do budek

— Postójcie! postójcie! — zawołała znów głosem donośnym — ot mój się stary wlece, onże wie co się dzieje na trzy mile w koło, jego tylko popytajcie, on wam najlepiej powie gdzie cyganów szukać!

Choiński z wózka skoczył, szlachta z koni, i nim Rataj się zbliżył o płot się opierając, już go pytaniami zasypali.

— Czekaścieno, powoli — rzekł żebrak stając — a na co wam cyganie? czy koni nakradli?

Sołoducha zbliżyła się, a stary poznał ją po chodzie, nim gębę otworzyła.

— A! i moja stara tutaj — rzekł — ha! chatę porzuciła i po świecie się włóczy! — Ale Sołoducha nie dając mu się rozpościerać, poczęła coś szeptać na ucho, stary głową pokiwiał, i czapkę zdjął udobruchany.

— A na co was tyle? — rzekł powoli — ot niech pan Adam mnie z sobą na wóz weźmie, ja go do cyganów doprowadzę.

— Ty ślepy?

— Ale ba! lepiej ja bez oczu widzę niż wy, co ich macie po dwoje na jednego. Siadajcie, ta czasu nie traćcie, stary Rataj nie zawiedzie.

Choińskiemu nie w smak było brać z sobą na wóz żebraka, ale cóż miał począć; Rataj tylko się za koszyk pochwycił i rzeško wskoczył do środka.

— Wy Bartku za nami — rzekł Choiński.

Zacięli konie, i dalej w las manowcami, jak dziad pokazywał.

Od Rudni i budek Rudeńskich, przestrzeń lasów przecinana tylko polankami i łąkami, na których stoją odwieczne dęby i brzozy, ciągnie się bez przerwy prawie do samej galicyjskiej granicy, której szlak przechodzi wzgórzystym zaroślem. Mało kto tak znał dobrze tę okolicę jak Rataj stary, który póki oczu nie postradał przekradał paczki, a i teraz jeszcze w sakwie pod pozorem żebractwa, niejedną kontrabandę modląc się przemycał. Wszyscy nad granicą uwijający się żydkowie i ich pomocnicy, byli mu doskonale znajomi: żadna w lesie kryjówka nietajna, a ścieżkę każdą tak opisywał, że Adam wydziwić się nie mógł, jak on bez oczów wszystko tak mógł pamiętać.

Bili się tak po lasach dzień cały po szkaradnej drodze, dwa razy trochę oddychali, a gdy noc nadeszła, Rataj wóz poleciwszy zostawić z chłopakiem w gęszczach, sam z Choińskim i Bartkiem począł prowadzić piechotą.

Wprędce jednak namyśliwszy się, znowu za sobą koniom iść kazał. Tu dopiero pokazało się, że lepiej czasem oczu nie mieć, bo dla jednego Rataja nocy nie było; wiódł ich jak we dnie, ani na chwilę się nie zastanawiając i ani razu nie zgubiwszy drogi.

W milczeniu tak zbliżyli się ku dolinie zewsząd pagórkami opasanej, wśród której stary Choiński pierwszy dostrzegł rozpalone ognie. Zatrzymali się na wzgórkach i podkradając pocichu, ujrzeli widok malowniczy, dziki i w swoim rodzaju dziwniej surowej piękności.

Cały tabor cyganów leżał w dolinie u wielkiego ogniska, rozpalonego pod rozłożystym dębem wypróchniałym. Szatra płócienna przyparta była do pnia jego i przytwierdzona do grubych pokręconych gałęzi. Tuż stał wóz i para spętanych koni się pasła.

Widać było kociołek (kakabia) na trzech laskach zawieszony nad ogniem, zwijające się przy nim baby i siedząca z głową na rękach opartą Ażę, i leżącego u nóg jej Aprasza, i kilkoro cyganiąt wyrostków kręcących się w kółko przy starszym, który im grał na drumli. Zrazu oczy niespokojne szlachcica nie dostrzegły ani syna, ani dziewczyny, i serce bić mu zaczęło niepokojem.

— Nie ma tu ich, nie ma! — zawołał łamiąc ręce.

Ale w téjże chwili Bartek wskazał mu na uboczu w cieniu ledwie odbłaskiem słabym oświeconą parę, w której oko starego rozeznało Tomka i Marysię. Sierota siedział na pniu

spróchniałym, zakrywszy oczy rękami, u nóg jój mały leżał węzełek, Tomko stał z boku, mówił coś do niej i jakby zaklinając bił się w piersi... Pies z nastawionemi uszami siedział przy swój pani, pogładając niespokojnie do koła.

Niekiedy wzrok Azy padał na nich, ciekawy, szyderski, pełen jakiegoś uczucia mściwej prawie radości. Choiński rozpoznawszy to wszystko, chciał się zaraz rzucić do syna, ale go drudzy, a zwłaszcza Rataj opamiętał, że uciec mogą, że cyganów siła większa, a licha drażnić niebezpiecznie. Poczém wskazawszy ręką staremu, żeby pozostał na uboczu, sam odsunął się nieco i wszedłszy w bliski wąwóz, prosto się skierował na ciepły dym cygańskiego ogniska.

Dobrze się zbliżył, a nikt go nie dostrzegł jeszcze; dopiero gdy Sierotka zaszczekał i za nim dwa psy cygańskie ujadać zaczęły, Aza spojrziała, Aprasz się podniósł i co żywo kupił się i zbiegać jęli, na dziada kierując.

— Dajcieńo pokój, to stary Rataj ze Stawiska — rzekł Tomko — pewnie przynosi żydom paczki, a powąchawszy dymu, przyszedł się ogrzać.

Cyganie zdawali się naradzać co począć, a stary śmiało się zbliżył do obozowiska. Kijem namacał miejsce uczuwszy się przy ogniu, psy odpędził i usiadł na trawie, ani się troszcząc o otaczającą go gawieź cygańską.

Na widok Rataja Marysia aż krzyknęła z radości, tak jój Stawisko, chatę i życie dawne przypomniał, i zabywszy wszelkiego strachu, nie myśląc taić się z sobą, rzuciła się zaraz ku niemu.

— Jak się macie ojczy? jak się macie?

— A! to ty Marysi! he? — zawołał stary, który tylko na to czekał, by mu się odezwała. — Nie nowina mi to, żeś ty tutaj; domyślałem się że za cyganami pójdziesz rozkochawszy Lacha, a i Lach, lichy go nie brało, za tobą pociągnął: wszakci i jego głos słyszę. Otoście się harno domyślili oboje.

Marysia stanęła milcząca.

— Ojczy — zawołała po chwili — widać, że kiedy komu z doli wypadnie być przeklętym, to już się od przekleństwa nie wychodzi; wiecie, że nigdy, ah! przenigdybym była i chaty mojej i mogiły matki nie porzuciła, gdyby się Lach nie upędział za mną, gdyby mi ojciec jego nie pogroził przekleństwem... Nie chciałam, żeby mnie ubogą klęli starzy jego rodzice; ale widać była w tém wola Boga!!

Dziewczę westchnęło głęboko.

— Prosiłam go na kolanach, płakałam, żeby powracał do domu; zaklinam go jeszcze, on nie chce... O! powiedzcie wy mu, powiedzcie niechaj powraca!

— Idę z Rudni — rzekł stary Rataj — toto sądny dzień u Choińskich... Żleś zrobił chłopcze: ojciec i matka rozbijają się za tobą, aż mi ich żal było, że za takim jak ty płaczą włóczęgą... Jak tobie nie wstyd! jak nie żal!

Tomko milczał ponuro; Marysia łamiąc ręce zawołała:

— Ojczy! mówcie mu, mówcie, może serce jego ruszycie. A! czyż to się godzi dobrych rodziców tak rzucać... O! gdybym ja takich miała!

— Chybabyś ty wróciła ze mną, inaczej nigdy — rzekł Tomko — nigdy...

— O doloż ty moja nieszczęśliwa — zawołała Marysia.

— Gdzie ty, tam i ja! albo się zatracę! — dodał chłopiec.

Rataj wydobyl z torby kawał chleba i począł go krajać powoli. Aza zbliżyła się, stanęła i przysłuchując rozmowie wpatrywała się w starca, a dziki uśmiech błędził po jój ustach.

— Poszaleją rodzice starzy — zawołała — poszaleją! Dobrze im tak, chcieli innego szczęścia dla syna, niechże innego syna szukają...

— Kobiéto! ty chyba nie masz dzieci! — odezwał się Rataj surowo.

— Nie mam! i mieć ich nie chcę — odparła dumnie Aza — póty z nich pociecha, póki wiszą przy piersi; na ziemię skoczywszy, chleb ci tylko z gęby i spokój z duszy wydzierają: nie prawda stary?

Rataj głową potrząsł.

— Nie, nie! — dodała Aza — już ani ona, ani on do was nie powrócą: muszą iść z nami! To dziecko krwi naszej, a to jój mąż... wyparł się wszystkiego dla niej i dobrze zrobił... dobrze! Godzina szczęścia lepsza, niż wiek grzybiego pustego życia.

— Moja kochana — chleb zajadając odparł Rataj — to tak jak komu do serca; a jabym godzinę mojej nieszczęśliwej doli, na krótszą chwilę lepszego szczęścia nie pohandlował: takito się żyje...

— Tyś cygan jak my i włóczęga — odpowiedziała Aza — a nie ma jak cygańskie życie: i tobie ono smakuje. Plunę na dolę bo ją za sobą zostawiam, codzień mam nową, nowe niebo, nowe życie.. Hej! dalej a dalej, aby dzień do wieczora!

— Jak wy tak mówić możecie — nieśmiało przerwała Marysia — A! mój Boże, mój Boże! a ja za ten kątek mój, za mogiłę, do której serce przyrosło, i za dolę dawniejszą, dałabym życia połowę, gdyby je choć we śnie zobaczyć... Niedawnom ztamtąd poszła, a spokoju nie mam od tęsknoty, aż mi głowa pęka... aż szaleję od płaczu.

— Boś niedawno poszła — zawołała śmiejąc się Aza.

— A nędzy mi to jeszcze dodaje, że Tomko z nami, i za nim gonią przekleństwa pocziwych ludzi; zdaje mi się, że czuję jak je każdy wiatr przynosi, jak mię z nóg wałą i suszą duszę moją.

— No! to powracaj nazad! — rzekł Rataj.

— Ja! alboż mogę? — westchnęła dziewczyna. — A! nigdy już! nigdy! pomiędzy tamtych ludzi, na śmiech, wzgardę, na przekleństwo!

Rataj mocno kaszleć począł, a tak robił piersią, że go o staję słycać było...

— Ot, co mi dasz Marysiu, — rzekł — to cię odprowadzę do domu?

— O! jabym tam i sama trafiła, gdyby mi wolno było — odpowiedziała dziewczyna — lepiej tam Lacha zaprowadź...

— Nie mówże tego Marysiu — oburzył się Tomko — wiesz, zem przysiągł, i nie opuszczę cię nigdy.

— Nieszczęście! nieszczęście! — zawołała Marysia, i twarz utuliła w dłonie.

Wtém Rataj się zerwał, wyprostował i obrócił twarzą po za siebie; a na znak ten umówiony, z blizkich krzaków jakby cudem wystąpił stary Choiński, który całej wysłuchał rozmowy.

Zaledwie blask ognia oblał twarz jego, a krzyk Tomka, którego żebrak silną uchwycił dłonią za rękę, rozszedł się po lesie; cały obóz cygański ruszył się jak stado dzikiego ptastwa po wystrzale myśliwca. Aza zawołała na swoich, Aprasz, jego dzieci, baby, co żyło skoczyło do kijów, do siekier i wrzawą niesłychaną zapełniło dolinę.

Cyganie nie wiedząc jeszcze dobrze co się stało, sądząc się napastowani krzyczeli:

— *Katarlot? katarlos?* (z kąd? kto to?) — Marysia upadła na ziemię jak nieżywa ze strachu, zakrywając sobie oczy; Tomko wyrывał się i szamotał; i możeby jakim krwawym razem skończyło się to zamieszanie, gdyby Rataj nie krzyknął głośnieję od wszystkich:

— Czekajcie, słuchajcie, cyganie, poganie, psie plemie; nas dwóch, toć was nie pojemy... A ty głupi Lachu, co masz od szczęścia uciekać, jak długi do nóg ojca razem z nią...

— Ja do domu nie powrócę! — zawołał zapamiętały Tomko.

— Cicho! milcz — przerwał żebrak — ojciec ci przebaczył, powróćcie we dwojgu... Do nóg staremu, do nóg!

Na te słowa Tomko, któremu Rataj puścił rękę, osłupiony stał chwilę, a potem skoczył, objął i począł nogi ojca całować; ale Marysia usłyszawszy to zerwała się z ziemi i drżąc skryła się za Azą, pomiędzy cyganami.

Choiński stary milcząc, groźny razem i rozczulony, słowa wyrzec nie mogąc, cisnął syna do piersi.

— Przebaczam ci — odezwał się nareszcie — bierz ją i powracaj do domu; ale pamiętaj chłopcze — tu lzy mu słowa przerwały.

Tomko wychwycił się z objęć ojca szukać Marysi, która opodal stała szepcząc z cyganką.

Obóz cygański jakby czarnoksiężką dotknięty laską, kupił się, zwijał, i zabierał szybko do opuszczenia ogniska. Namiot na wóz rzucono, konie wprzęgano z pośpiechem, wszyscy pomagali do pakunku, a Aprasz niepatrząc na kogo padną, gęsto razami okładał otaczających.

Tomko precisnął się do dziewczyny.

— Ojciec nam przebaczył — zawołał — chodź, chodź, i padnij mu do nóg ze mną.

Ale Marysia płacząc schowała się za Azę.

— Ona nie chce — odezwała się cyganka — słyszysz, że nie chce...
— Jakto nie chce? — krzyknął Tomko.
— Spytaj jój saméj; idzie z nami...
— To i ja z wami! — zawołał Tomko ale to być nie może.
— Co to się dzieje? co to jest? — przerwał Rataj, cisnąc się do nich.
— Dziewczyna nie chce! czy co? — odezwał się stary Choiński — na rany Boże, czyż ją jeszcze prosić będziemy?

Oba z szlachcicem zbliżyli się do sieroty.

— Co tobie się stało, dziecko — począł Rataj — oszalałaś, takie szczęście odpychać? mów! To cygańska sprawa, odurzyli, czy oczarowali?

— Nikt mnie nie oczarował — odezwała się zbierając siły Marysia — ale mogeż ja, powiedzcie sami, narzucić się wam za niewiastkę? Czyto tam szczęście będzie, gdzie miłości nie ma, gdzie woli nie było? Wy mną gardzicie jak cyganką, a ja jałmużny nie chcę. Przyjmujecie mnie z żalem, żeby mieć syna, a jutro precz wygnać możecie z torbami; lub za rok jeśli dożyjem, wykluwać mi oczy cygaństwem, sieroctwem i ubóstwem... Nie! ja tego nie chcę!

Choiński zamilkł zadumany.

— Słuchaj — odezwał się po chwili namysłu — słuchaj i zawierz mi dziewczyno, bo to co mówię, mógłbym i przed ołtarzem Bożym powtórzyć... Miałem cię za ladaco, nie taję, ale kiedyś cię zobaczył i posłyszał, a teraz bardziej jeszcze... klnę ci się na Boga, że gdybym temu hultajowi wybierał żonę, a sobie synową, tobym już innéj nie żądał... Pocziwą jesteś i hardą, a ja do chaty grosza nie potrzebuję, tylko szczęścia...

Dziewczyna stanęła wryta; łzy puściły się jój z oczu, podbiegła, pocałowała w rękę starego i cicho rzekła.

— Bóg zapłać ci za dobre słowo; ale ludzie! ale matka!...

— E! głupia jesteś — krzyknął Rataj podnosząc sękatego kija — at! nie durzyłabyś się darmo... A mało ci to, że powrócisz do chaty swojej do swego kąta i mogiły matczynéj, a włóczyć się nie będziesz gubiąc duszę z cyganami! Do nóg, plackiem do nóg staremu, i w drogę!

Gdy to się działo w maleńkiém kółku złożoném z Choińskich, Rataja, Bartka i Marysi; cygańska tłuszcza odstąpiwszy nieco, stała w milczeniu; rzuciwszy nawet pakunek i wybór w drogę, tak się podziwiali nie rozumiejąc dziwnym, niezrozumiałym dla nich targom.

Aza stała milcząca, chmurna, zagniewana, a gdy wreszcie ujrzała, że Marysia pada do nóg staremu; rozśmiała się śmiechem szatańskim, jak przekleństwo przeraźliwym.

— Głupia dziewczyna! — zawołała — idź na zgubę, kiedy chcesz, idź.

I odwróciła się do swoich.

— Aprasz w drogę! na Węgry!

— I my w drogę — zawołał Choiński — w chacie nas tam modląc się czeka matka...

Gdy sierota odwróciła się chcąc zbliżyć, by pożegnać cyganke, Aza cofnęła się odpychając ją ręką:

— Idź precz, krew gadziów nienawistnych — zamruczała przez zęby — idź na stracenie do swoich... Nie warta jesteś ogniska Romów i Romów serca... precz biała!

Porwali ją otaczający, i na wytaczający się z krzaków wóz wsadzili. Zasiadł zaraz stary, Tomko i Bartek, a tak szybko unosili się obawiając napadu cyganów, że nawet o starym Rataju zapomnieli, który o kiju pomrukując, powlókł się za niemi. W istocie posłuszna Azie banda, zdawała się cicho tylko naradzać, by odbić i porwać dziewczynę; ale nim się tam rozmyślili co począć, konie zaciąwszy Choińscy po bezdrożach popędzili ku Rudni przez lasy.

W popłochu tym, tylko siwy koń Tomka padł ofiarą, bo go Apraszowie uprowadzili z sobą na Węgry.

W kilka tygodni potém — skończmy jak się kończą bajki — sprawiono huczne wesela... A było obfite, a było wesołe, a było ochocze i gości na niém co niemiara. I ja tam byłem, miód, wino piłem, po brodzie ciekło, w gębie nic nie było...

Chata z wsią stoi jeszcze staruszką, ale obok na gruncie, na czynsz puszczonej Choińskim, osiadł Tomko i pobudował dworek, o którym kiedyś, kiedyś, gdy mi na duszy

będzie weselój, na sercu swobodniej a na świecie lepiej, może wam kiedy opowiem: bo w bajce tylko kończy się wszystko weselem, na świecie od niego poczyna... a chata za wsią stoi jeszcze...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/chata-za-wsia/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Chata za wsią*, wyd. B.M. Wolff, druk. J. Jaworski, Petersburg 1854-1855.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, a korektę ze źródłem Wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0418-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).